

# NÓŻ W ŁODZIE

KRONIKI  
ŻELAZNEGO  
DRUIDA

KEVIN HEARNE

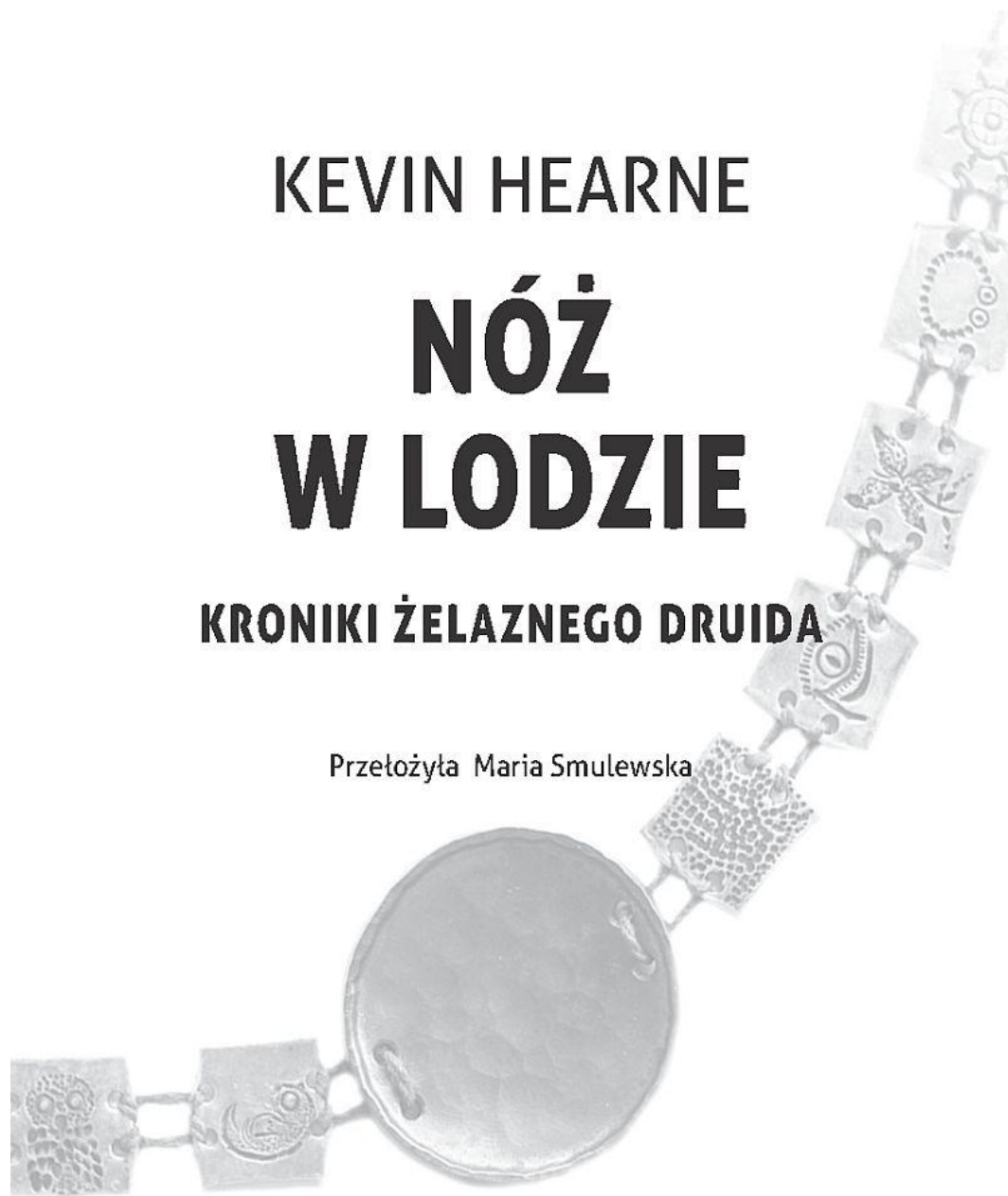


KEVIN HEARNE

# NÓŻ W LODZIE

KRONIKI ŻELAZNEGO DRUIDA

Przełożyła Maria Smulewska



DOM WYDAWNICZY REBIS

*Nicole Peeler i Jaye Wells,  
założycielkom Laser Vaginas,  
oraz wszystkim członkom honorowym  
tegoż zespołu. Ciut! Ciut! Ciut!*



## **Wskazówki dotyczące wymowy**

Naprawdę uważam, że najlepiej będzie, jeśli wszystkie te nietypowe nazwy własne występujące w moich książkach będziecie sobie czytać, jak wam się podoba. Na pewno nie będę wam robił z tego kartkówki ani nie dam wam szlabanu na ciasteczka, jeśli któreś słowo wymówicie niepoprawnie. W końcu chodzi tu o to, żebyście się dobrze bawili, a raczej trudno się dobrze bawić, kiedy ktoś wam mówi, że robicie coś źle. Zamieszczam więc niniejsze wskazówki tylko na wypadek, gdybyście naprawdę chcieli nauczyć się wymawiać te wszystkie nazwy i bawiło was językowe globtroterstwo druidów. A więc proszę bardzo (dużymi literami zaznaczam sylaby akcentowane):

## Staronordycki

Erlendr = ER len dur (w pierwszej sylabie takie jakby krótkie *e*)

Freydís = FREJ dis

Hildir = HIL dur (imię żeńskie do dziś używane w Islandii i Norwegii, ale we współczesnej pisowni zaznaczają tę ostatnią samogłoskę – Hildur)

Ísólfur = IS ol wur

Krókr Hrafnson = KROH kur HRABn son (Hrafn = kruk. Nie jest to łatwo wymówić.

Mamy tu i *h* przydechowe na początku wyrazu, i jeszcze kłopotliwe *fn*. We współczesnym islandzkim wymawia się je jako *bn* albo wręcz po prostu jako *b*, ale nie jest pewne, jak było wymawiane po staronordycku. Być może dawniej był to HRAW son. Z analizy poezji wynika, że między *f* i *n* nie było żadnej sylaby, ma to więc być słowo dwusylabowe, być może jedynie z lekko artykułowanym *n* w środku).

Oddrún = OD ryn (imię żeńskie do dziś używane w Islandii. Bonusowe punkty za poprawne wymówienie głoski *r*).

Skúlfur = SKU wur

## Irlandzki

Creidhne = CREJN ja

Flidais = FLI disz

Fuilteach = FŁYL ta

Goibhniu = GAW niu

Granuaile = GRON ja WEJL

Fragarach = FRA ga rah

Luchta = LUKT a

Orlaith = OR la

Scáthmhaide = SKA ład dże

Siodhachan = SZI ja han

## Hindi

Dabāva = da BAW (= ciśnienie, ucisk. Ostatnia samogłoska pomijana w wymowie).

## Dotychczasowe wydarzenia

Atticus O'Sullivan, urodzony w 83 p.n.e. jako Siodhachan Ó Suileabháin, większość swojego długiego druidzkiego życia spędził na uciekaniu przed jednym z bogów Tuatha Dé Danann – Aenghusem Ógiem, który chciał odebrać mu Fragaracha, magiczny miecz ukradziony przez Atticusa w drugim wieku naszej ery. To, że Atticus posiadał sztuczkę utrzymywania wiecznej młodości i nijak jakoś nie chce umrzeć, doprowadzało irlandzkiego boga do szału.

Kiedy Aenghus Óg znalazł Atticusa w jego kryjówce w arizońskim Tempe, druid podjął przełomową decyzję – postanowił walczyć, zamiast znów uciekać, i w ten sposób nieświadomie uruchomił całą lawinę następstw, które spadają na niego mimo jego najszczerzej chęci, by siedzieć cicho i nikomu nie wchodzić w drogę.

W tomie *Na psa urok* Atticus wyłowił naszyjnik, w którym skryła się indiańska wiedźma Laksha Kulasekaran; zyskał uczennicę – Granuaile – oraz odkrył, że jego zimne żelazo w aurze stanowi całkiem skuteczną ochronę przed ogniem piekielnym. W końcu udało mu się też pokonać Aenghusa Óga (choć nie bez znaczącej pomocy Morrigan, Brighid i okolicznej watahy wilkołaków). Przy okazji jednak spowodował poważne szkody wśród grupy czarownic, które nie były może szczególnie sympatyczne, ale jednak chroniły Phoenix i okolicę od jeszcze gorszych drapieżników.

*Raz wiedźmie śmierć*, czyli drugi tom serii, opisuje zmagania Atticusa z tą sytuacją – konkurencyjny i zarazem o wiele bardziej niebezpieczny sabat próbuje przejąć terytorium Sióstr Trzech Zórz, a do tego w Scottsdale załęgły się bachantki. Atticus decyduje się na pakt z Lakshą Kulasekaran i wampirem Leifem Helgarsonem, żeby z ich pomocą pozbyć się jakoś tych zagrożeń z miasta.

W tomie trzecim – *Między młotem a piorunem* – nadchodzi czas zapłaty za te przysługi. Zarówno Laksha, jak i Leif chcą, żeby Atticus wybrał się na wyprawę do Asgardu i skandynawskich bogów wywiódł w pole. Atticus organizuje więc ekipę twardzieli i napada na Asgard – w sumie aż dwa razy – ignorując ostrzeżenia Morrigan i Jezusa Chrystusa, którzy twierdzą, że jest to bardzo zły pomysł i lepiej byłoby już nie dotrzymać danego słowa. Wszystko to kończy się epickich rozmiarów jatką i poważnymi stratami po stronie Azów, między innymi śmiercią Norn i Thora oraz kalectwem Odyna. Wraz z wyeliminowaniem z gry Norn, które były dotąd odpowiedzialne za przeznaczenie, diabli biorą wszystkie stare przepowiednie – w tym także te dotyczące Ragnaröku, który nagle może zacząć się już w każdej chwili, bo Azowie niewiele mogą teraz zrobić, by powstrzymać nieczne plany Hel. W dodatku fiński bohater Väinämöinen nieświadomie przypomina Atticusowi o jeszcze innej przepowiedni – tym razem wypowiedzianej przez syreny w rozmowie z Odyseuszem – i druid zaczyna mieć złe przeczucie, że za trzysta lat świat spłonie, co być może oznacza jakąś nową wersję Ragnaröku.

W obawie przed skutkami swoich błędów, a zarazem potrzebując czasu na dokończenie szkolenia uczennicy, Atticus pozoruje swoją śmierć. Pomaga mu w tym Kojot – w tomie czwartym pod tytułem *Zbrodnia i Kojot*. Zgodnie z najgorszymi oczekiwaniami druida rzeczywiście pojawia się Hel i co gorsza, proponuje mu przejście na ciemną stronę mocy, bo przecież i tak zabił już tylu Azów. Atticus pozbawia ją wszelkich złudzeń w tej sprawie, ale zaraz potem sam zostaje wykiwany przez Leifa Helgarsona i ledwo udaje mu się uniknąć śmierci z rąk prastarego wampira imieniem Zdenik. Zakończenie książki daje przynajmniej promyk nadziei, że Atticusowi uda się dokończyć nauczanie Granuaile w spokoju, jaki daje im anonimowość.

W opowiadaniu *Dwa kruki i jedna wrona* z długiego snu budzi się Odyn, który doprowadza do rozejmu z Atticusem, wymuszając na nim zobowiązanie, że podczas

ewentualnego Ragnaröku przejmie on obowiązki Thora, a przedtem jeszcze załatwi kilka spraw niecierpiących zwłoki.

Po dwunastu latach nauki Granuaile jest gotowa do splecenia z ziemią, ale wszystko wskazuje, że wrogowie druida tylko czekali na to, żeby wreszcie wyszedł z ukrycia. W tomie piątym – *Kijem i mieczem* – Atticus musi się użerać z wampirami, mrocznymi elfami, faeriami i rzymskim bogiem Bachusem, aż w tym zamieszaniu ściąga na siebie uwagę jednego z najstarszych i najpotężniejszych panteonów tego świata.

Gdy Granuaile jest już pełnoprawną druidką, muszą z Atticusem uciekać przez całą Europę przed strzałami Diany i Artemidy, które obraziły się na nich śmiertelnie za złe potraktowanie Bachusa i kilku driad z Olimpu. Morrigan poświęca się, żeby dać Atticusowi szansę na ucieczkę, i tak zaczyna się tom szósty – *Kronika wykrakanej śmierci*. Biegając i walcząc z wszystkimi mocami, które zmówiły się przeciwko niemu, Atticus dociera wreszcie do Anglii, gdzie udaje mu się zdobyć pomoc Herna Myśliwego oraz irlandzkiej bogini łowów Flidais. W końcu wspólnie dają radę pokonać Olimpijczyków i wynegocjować niepewny sojusz przeciwko Hel i Lokiemu. Pod sam koniec tego tomu Atticus odkrywa także, że przez wszystkie te stulecia jego archdruid tkwił na jednej z Wysp Czasu w Tír na nÓg, a gdy go stamtąd wyciąga, jego stary nauczyciel jest jak zawsze we wszawym nastroju.

I gdzieś tam po drodze była też chyba mowa o pudlicach i kiełbasie.

# Rozdział 1



Nic tak nie przywołuje starych wspomnień jak autorytety z młodości. Nie mówię wcale, że te wspomnienia muszą być miłe. Są tylko stare i mają tę tajemniczą właściwość, że wpychają nas z powrotem w role, z których dawno już wyrosliśmy. Bywa, że takie wspomnienia są ciepłe niczym matczyzna miłość. Częściej jednak działają mniej więcej jak dwudziestostopniowy mróz, od którego w pierwszej chwili zapiera nam dech w piersiach, potem wpadamy w lekkie otumanienie, aż w końcu przesywa nas to paraliżujące zimno aż do szpiku kości.

Archaiczny archdruoid, który właśnie podnosił się przy mnie do pozycji siedzącej, wywoływał bardzo niewiele ciepłych wspomnień. Poza tym, że był niesamowicie uzdolniony magicznie i dość inteligentny, to jednak charakteryzował się tak podłym charakterem, że naprawdę nie pozyskał sobie wielu przyjaciół w życiu, które – jak sądziłem dotąd – zakończyły całe tysiąclecia temu. Gdy już splótł mnie z ziemią, a było to jeszcze przed naszą erą, mieliśmy okazję spotkać się ledwie kilka razy i żyłem w przekonaniu, że zmarł jak prawie wszyscy z mojej młodości. Jednak z niepojętych mi przyczyn Morrigan postanowiła przechować go te dwa tysiąclecia w Tír na nÓg i zaraz dotrze do niego, że wykonał niezłą podróż w czasie – bryzgając przy tym wokół śliną i kawałkami bekonu.

Mam nadzieję, że jeśli przyjdzie mi kiedyś skoczyć o dwa tysiące lat w przyszłość, przynajmniej będzie jeszcze istniał bekon.

Charakterystycznym dla siebie głosem – był to rodzaj wiecznie przytłumionego flegmą warczenia – mój archdruoid wycharczał pytanie w języku staroirlandzkim. Będziemy się musieli jak najszybciej zabrać do nauki angielskiego. To jest, jeśli on chce móc się porozumiewać z kimkolwiek poza Tuatha Dé Danann i mną.

– Jak długo tkwiłem na tej cholernej wyspie, Siodhachan? Wyglądasz mi dość młodo, kurna. Na oko nie dłużej niż ze trzy, cztery lata, tak?

Oj, czekała go mała niespodzianka.

– Odpowiedzi udzielę ci w zamian za pewną informację. Jak się nazywasz?

– Jak się nazywam...?

– Zawsze zwracałem się do ciebie per Archdruoidzie.

– No i słusznie się zwracałeś, gówniarzu. Ale skoro już wyrósł niby na pełnego druida, mogę ci powiedzieć, czemu nie. Nazywam się Eoghan Ó Cinnéide.

Uśmiechnąłem się.

– Ha! Jak to zangielszczymy, wychodzi, że jesteś Owen Kennedy. Może być. Zadzwoń do Hala i załatwię ci odpowiednie papiery na to nazwisko.

– O czym ty gadasz?

– Być może to pytanie będziesz odtąd dość często zadawał. Słuchaj, Owenie... mam nadzieję, że nie będzie ci przeszkadzało, jeśli będę się tak do ciebie zwracał, bo nie mogę przecież nazywać cię przy ludziach Archdruoidem... prawda jest taka, że tkwiłeś na tej wyspie ponad dwa tysiące lat.

Posłał mi to miażdżące spojrzenie.

– Nie łaskocz mi dupy kurzym piórem. Poważnie pytam!

– Poważnie mówię. Morrigan umieściła cię na najwolniejszej Wyspie Czasu.

Owen przyjrzał mi się podejrzliwie i zrozumiał, że nie kłamię.

– Dwa tysiące?



– Tak.

Odruchowo zamachnął się ręką, żeby chwycić się czego popadnie. To była dość spora liczba, a fakt, że wyrwano go z jego świata, do którego nigdy już nie będzie mógł wrócić, stanowił głęboką, mroczną studnię, do której łatwo było wpaść raz na zawsze. Otworzył usta, coś wymamrotał, znów je otworzył. Czekałem cierpliwie, aż sobie to przemyśli. W końcu z braku innych opcji chwycił się mnie kurczowo.

– No to by wychodziło, że i ty tkwiłeś na jednej z tych wysp. Musiała cię tam wsadzić mniej więcej w tym samym czasie.

– Nie, ja nie przeskoczyłem tych dwóch tysiącleci w okamgnieniu, jak ty. Przeżyłem je rok po roku. A przy okazji nauczyłem się kilku rzeczy, o których nigdy ci się nie śniło.

– Teraz już wiem, że mnie tu próbujesz zrobić w kutasa – mruknął z powątpiewaniem. – Chcesz mi wmówić, że masz ponad dwa tysiące lat?

– To właśnie powiedziałem. Lepiej się przygotuj na jeszcze kilka szoków. Świat jest o wiele większy i bardzo się zmienił, odkąd go opuściłeś. Nigdy nawet nie słyszałeś przecież o Jezusie Chrystusie, Allahu, Buddzie, Nowym Świecie czy o tych piekielnych skrzydełkach Buffalo. Tak, czeka cię szok za szokiem.

– Pojęcia nie mam, co to niby jest szok.

Oczywiście, że nie miał. W życiu nie słyszał o elektryczności. Nieopatrznie wplotłem do mojego staroirlandzkiego słowo ze współczesnego języka irlandzkiego.

– Ale twój brak włosów jest dla mnie w każdym razie nie lada niespodzianką – dodał, wskazując moją dramatycznie przystrzyżoną czaszkę.

Trochę już mi odrastały włosy – musiałem je zupełnie zgolić w konsekwencji bliskiego spotkania z pewnymi faeriami, które chciały mi przeżuć skalp – ale dla Owena wyglądało to pewnie jak jakaś niezbyt rozsądna decyzja kosmetyczna.

– I co się stało z twoją brodą? Z tobą to mam dziewięć światów. Tak ma wyglądać mężczyzna? Wyglądasz jak chłoptaş, któremu zdechł szczur na gębie.

– Jak dla mnie może być – mruknąłem, żeby zamknąć temat. – Ale słuchaj, Owenie, nie wyświadczyłbyś mi przysługi?

– A co? Jestem ci jakaś winien czy jak?

– Gdyby nie ja, nadal tkwiłbyś na tej wyspie, więc wydaje mi się, że jednak tak.

Mój archdruid prychnął, otarł usta i w końcu udało mu się usunąć przyklepione do nich kawałki bekonu.

– Czego?

Podwinąłem prawy rękaw, żeby pokazać mu ramię ze zniszczonymi na bicepsach tatuażami.

– Pewna mantykora tak mnie poharatała, że zupełnie nie mogę się teraz przemieniać z powrotem w człowieka, więc wolałbym nie przyjmować żadnej zwierzęcej postaci, póki tego nie naprawię. Nie podreperowałbyś mi tego?

Posłał mi wściekle spojrzenie i zaraz na mnie naskoczył:

– Do stu Fir Darrigów, przecież nauczyłem cię, jak się poskramia mantykorę, tak czy nie?! Tylko mi teraz nie mów, że cię tego nie nauczyłem! To nie moja wina!

– Wcale nie mówię, że...

– Nawet pamiętam, że ci się to wcale nie podobało. – I piskliwym falsetem zaczął mi przypominać moje słowa: – „Niby kiedy spotkam jakąkolwiek mantykorę?”, mówiłeś. „Po co muszę się uczyć łaciny? Kiedy wreszcie będziemy się uczyć o rytuałach seksualnych?”.

– Hej, nigdy w życiu czegoś takiego nie powiedziałem!

– Nie musiałeś. Był taki rok, kiedy nie mogłeś do nikogo podejść z zaskoczenia, bo twoja

fujara szła zawsze przed tobą i ludzie od razu wołali: „Patrzcie, idzie Siodhachan!”, a dopiero potem pojawiała się reszta ciebie. Całkiem jużes o tym zapomniał?

Rozpaczliwie próbując wrócić do tematu nieco nowszych blizn – który był zdecydowanie bezpieczniejszy niż przykre wspomnienia z okresu dojrzewania – powiedziałem:

– Mantykora uderzyła tak szybko, że nie miałem szans jej poskromić.

– Zawsze są jakieś szanse.

– Nie, nie zawsze. Nie było cię tam i pewnie nigdy nie musiałeś radzić sobie z jadem mantykory. Wierz mi, rozbicie tych toksyn wymagało ode mnie pełnego skupienia. A gdy już sobie z nimi poradziłem, byłem tak osłabiony, że nie miałem żadnej nadziei na przetrwanie kolejnej dawki. Byłem poważnie ranny i nie miałem jak stawić jej czoła, nie odsłaniając się samemu na kolejny strzał. Jakakolwiek próba poskromienia jej skończyłaby się moją śmiercią. To i tak fuks, że wyszedłem żyw z tego spotkania.

– Dobra, dobra, ale czemu akurat ja? Nie możesz sobie poprosić innego druida o pomoc? Ja mam teraz całkiem sporo do nadrobienia.

Jakoś nie chciało mi się wspominać tak z miejsca o tym drobiazgu, że jesteśmy dwoma z trójki druidów, jacy chodzą po tym świecie. Przyjdzie jeszcze na to czas.

– To prawda, musisz sporo nadrobić. Mamy wiele do przegadania i powinienem nauczyć cię nowego języka, jeśli masz sobie sam dawać radę. A jedyny inny druid, któremu ufam, zajęty jest teraz innym projektem.

Granuaile tresowała właśnie swojego nowego wilczarza – Orlaith. Próbowala ją także nauczyć mówić, a przy okazji zajmowała się Oberonem. Naprawdę wolałem, żeby na razie nie rozmawiała z Owenem. Może potem, kiedy nauczę go współczesnych manier, ta znajomość jakoś się ułoży. Bo gdyby odezwał się do niej tak, jak miał w zwyczaju mówić do mnie, połałaby się krew – i to w większości jego.

Mój archdruid wzdrygnął się, westchnął i potarł sobie skronie, jakby miał potężną migrenę.

– A niech mnie Dagda, jeśli mnie nie suszy. Pewnie nie znasz jakiegoś miejsca, gdzie by się dało wypić coś innego niż woda?

– Jasne, że znam. Ja stawiam. Możesz już chodzić?

Spojrzałem na jego nogi, które połamały mu się podczas wyciągania z Wyspy Czasu. Już chwilę się leczył, przy czym proces ten był przyśpieszony dzięki uzdrowicielce Fand, magicznemu bekonowi Manannána Mac Lira oraz własnym mocom uzdrowicielskim Owena, ale nie miałem pojęcia, czy to wystarczy.

– Myślę, że tak. – Skinął głową. – Kości szybko się zrastają. To raczej mięśnie zajmują więcej czasu. Idźmy wolno, pijmy szybko.

Oparł się lekko na mnie i ruszył ostrożnie, ale udało nam się całkiem sprawnie zejść z barki i siaść w łodzi, którą przypląnąłem. Gdy dotarliśmy do brzegu rzeki, czekał nas już tylko krótki spacer do najbliższego drzewa splecionego z Irlandią. Stamtąd będziemy mogli przenieść się gdzieś, gdzie nie będzie brakowało różnych trunków w beczkach i miejsca, gdzie by można spokojnie pogadać. Dziwne, ale nawet miałem na to ochotę. Trudno było nie czuć odrobiny satysfakcji, że wiem teraz mnóstwo rzeczy, o których mój archdruid nie ma zielonego pojęcia.

Ktoś jednak nie chciał, żebyśmy sobie spokojnie pogadali. Gdy tylko nasza łódka wsunęła się na kamienie nabrzeża, rozległ się wściekły, piskliwy wrzask.

– Oi!

Prosto na nas pędził w podskokach jakiś szalony Fir Darrig – dosłownie w podskokach i dosłownie szalony, co potwierdzał jego wytrzeszcz oraz *shillelagh*, irlandzka ciupaga, którą wymachiwał wojowniczo na wszystkie strony, wyraźnie pragnąc przynajmniej zwrócić naszą

uwagę, jeśli nie po prostu rąbnąć nas nią po łbach. Fir Darrigi mają nieco szurcze pyszczki, czerwone płaszcze i ledwie metr wzrostu, ale potrafią skoczyć na dobre półtora metra wwyż i świetnie posługują się shillelaghami. Ich IQ można spokojnie wyrazić liczbą jednocyfrową, co być może wyjaśnia poniekąd, dlaczego zawsze zdaje im się, że mają co najmniej dwa metry wzrostu i wzbudzają grozę.

Zwykle jednak wystarczy rzucić im jakieś świecidełko, a natychmiast pochylą się nad nim z ciekawością, bo są małymi pazernymi goblinami i zbierają wszystko, co wyda im się cenne.

Miałem w kieszeni jakieś drobne, cisnąłem więc jedną z monet, tak żeby rozbłysła w słońcu, ale ku mojemu niepomiernemu zdumieniu Fir Darrig nawet na nią nie spojrział. Z niepojętych dla mnie przyczyn byłem dla niego o wiele ciekawszy niż to świecidełko.

Zza drzew w dole rzeki wyskoczył kolejny, zobaczył nas i rzucił się w naszą stronę z głośnym:

– Oi!

Nie minęła sekunda, a pojawiły się trzy kolejne.

– Oi! Oi! Oi!

– Coś tu, kurna, nie gra – syknął mój archdruid.

I miał rację. Fir Darrigi to stworzenia samotne. Od czasu do czasu można się natknąć na dwie sztuki zderzające się pięściami, co należy do ich rytuałów godowych, podczas których – jeśli nie udało im się najpierw pozabijać nawzajem – przechodzą do zderzania się innymi rzeczami i przedłużania gatunku, ale nigdy w życiu nie widziałem trzech osobników naraz, a tymczasem atakowało nas ich właśnie pięć.

– Oi! Oi! Oi!

Oj. To by już było osiem.

Pierwszy stanowił oczywiście największe zagrożenie, splotłem więc pospiesznie węzeł między wełną jego schludnego czerwonego płaszczyka i mułem rzeczonym, a ziemia przyciągnęła go do siebie czule. Nie zdążyłem jednak spleść mu płaszcz tak, żeby się z niego nie mógł wypiąć, no i wyszarpał się ze swojego odzienia i rzucił na nas zupełnie nagi, bo poza tymi płaszczami Fir Darrigi nie zwykły nosić żadnej innej odzieży. Był paskudny i brudny, a zza jego żółtych zębisk wydobywała się seria niespójnych warknięć. Poniewczasie pomyślałem sobie, że trzeba było do tego mułu spleść mu nie płaszcz, tylko jego shillelagh. Wyciągnąłem Fragaracha z pochwy i ruszyłem w jego stronę, bo teraz nie było już czasu na jakiegokolwiek sploty.

Za mną Owen pospiesznie zrywał z siebie zniszczoną tunikę i spodnie. Nie miał żadnej broni – sam był bronią, jeśli się przemienił w swoją drapieżną postać.

– Odsuń się, synek, poradzę sobie z tym.

Obejrzałem się przez ramię, żeby go spiorunować wzrokiem.

– W tym stanie nie możesz przecież walczyć.

To go oczywiście jedynie rozwścieczyło.

– Kiedy nadchodzi czas na walkę, nikt cię nie pyta, czy jesteś w odpowiednim stanie!

Trzeba być zawsze gotowym! Dzień, w którym nie będę gotów do walki, będzie moim ostatnim.

Pozbyszy się ciuchów, przemienił się w ogromnego czarnego niedźwiedzia i ryknął. To raczej zwróciło uwagę pierwszego Fir Darriga, który odpowiedział podobnym rykiem, odskoczył na lewo ode mnie, po czym odbił się od ziemi i skoczył wysoko z wyraźnym zamiarem roztrzaskania Owenowi czaszki za pomocą shillelagha. Odwróciłem się i popędziłem za nim, tak jak się biegnie za frisbee. Owen chciał stanąć na tylnych łapach, żeby zaatakować faerię, ale jego nogi ledwie przed chwilą zostały przecież całkiem porządnie połamane i zwyczajnie nie utrzymały ciężaru niedźwiedzia. Udało mu się tylko trochę podnieść, nim nogi się pod nim ugięły i runął na ziemię. Kiedy Fir Darrig się zamachiwał, celował w głowę Owena, a teraz nie zdążył

na czas zmienić toru ciosu, gdy miś upadł, przez co trafił kijem w jego ramię i dopiero z niego zsunął się aż do niedźwiedziego ucha. To nieco ogłuszyło Owena, który zawył i wywinął się niezgrabnie faerii, ale ona już nie miała więcej okazji się zamachnąć. Udało mi się do nich dobiec i szybko wbić Fragaracha w faeryczny kark. Gdy ten Fir Darrig osuwał się na ziemię, obróciłem się, żeby stawić czoło pozostałym siedmiu.

Przywódca był jeszcze dobre trzydzieści metrów przede mną, a reszta za nim. Miałem więc jakieś pięć sekund do starcia, jeśli zdecyduję się czekać, aż do mnie dobiegną, a ciut mniej, jeśli popędzę im na spotkanie. Owen wciąż jeszcze dochodził do siebie po pierwszym ciosie w głowę i pewnie nawet nie zarejestruje następnego shillelagha, jeśli tylko dam komuś szansę zbliżyć się do niego na odległość ciosu. Rzuciłem się więc w ich stronę z wielkim wrzaskiem, żeby skupiły się raczej na mnie niż na złym misiu. Owen naprawdę nie był gotowy do walki, choćby nie wiem jak się upierał, że jest inaczej.

Pędziłem z mieczem uniesionym wysoko i zniżyłem go dopiero w ostatniej chwili, podcinając nogi tym, które nie skoczyły, żeby zaatakować mnie z góry. Te, które skoczyły, też się nie spodziewały, że się pochylę, więc przeleciały po prostu nade mną, ale udało mi się wpaść na trzy aż Fir Darrigi, które gdy tylko weszły w kontakt z moją żelazną aurą, skazane już były – jako istoty magiczne – na pełną dezintegrację. Nie musiałem nawet ich uderzać. Po prostu wydały przerażone okrzyki, gdy ich jestestwa spruły się cicho, a powietrze z wnętrza ich płaszczy wybuchnęło chmurą popiołu.

Zerwałem się na równe nogi mniej więcej w chwili, gdy pozostałe trzy faerie wylądowały na ziemi i obróciły się w moją stronę. Uniosłem Fragaracha, żeby osłonić się przed kolejnym atakiem.

Jeden z nich – najmniejszy i najsprytniejszy z tej małej zwinnej grupki – skoczył mi na brzuch, jeszcze gdy obracałem się w ich stronę, przez co straciłem równowagę i runąłem na piasek i kamienie nabrzeża. Oczywiście sam Fir Darrig wybuchnął i zniknął na wietrze, nim nawet dotknąłem ziemi, ale jego kumple mieli mnie już teraz jak na dłoni. Bystrością jednak nie grzeszyli – zamiast podejść mnie z boku i zaatakować shillelaghami jak drzewo do porąbania, skoczyli na mnie z wysoko uniesionymi kijami. Podrapali mnie przy tym pazurami, przygnietli tak, że straciłem dech w piersiach, ale i tak wyszli na tym gorzej niż ja. Rozpłynęli się w powietrzu, nim zdążyli dokończyć zamach, a jedyne rany, jakie odniosłem, wywołane były tym, że spadły na mnie trzy kije i trzy brzydkie czerwone płaszcze. Zaniósłem się kaszlem od tego całego popiołu w powietrzu i obejrzałem na Owena, który był już trochę bliżej, ale jednak dobre dwadzieścia metrów od pola walki. Nastawił uszu, a jego morda wyrażała bezgraniczne niedźwiedzie zdumienie.

Nie podziękował mi za uratowanie mu tyłka ani nawet nie skomentował, że może całkiem nieźle poradziłem sobie z ośmioma Fir Darrigami. Tak się jednak szczęśliwie składało, że znałem go na tyle dobrze, żeby nie oczekiwać ani podziękowań, ani pochwały.

– Cożeś ty zrobił? – spytał, gdy tylko przemienił się z powrotem w człowieka. Dyszał ciężko. – Miały cię przygotowanego do zabicia i nagle wybuchły. Czemuśże nie zostawił mi choć paru?

Wstałem, otrzępałem się i postukałem w naszyjnik.

– Udaje mi się wciąż chodzić po tej ziemi między innymi dlatego, że mam ten amulet, młoda foka. Jest z zimnego żelaza i splotłem go z moją aurą, głównie dla ochrony magicznej. Ale przydatnym skutkiem ubocznym jest to, że dzięki niemu moja aura zabija faerie, jeśli mnie dotkną. Nazywają mnie przez to Żelaznym Druidem.

– Masz na szyi zimne żelazo? To jak niby rzucasz zaklęcia?

– To wymagało trochę eksperymentów, ale tak w skrócie masa żelaza jest na tyle mała, że

dopuszcza rzucanie zaklęć.

Owen chrząknął i machnął palcem na resztę naszyjnika.

– A te srebrne błyskotki po obu stronach, to co to niby jest?

– Charmsy. Pozwalają rzucać podstawowe sploty samymi poleceniami mentalnymi, bez używania głosu. Tak jest szybciej. Daje mi to pewną przewagę.

Znów chrząknął w zamyśleniu.

– I wszyscy druidzi teraz takie mają?

– Tylko ja. Ale to by znaczyło, że prawie wszyscy.

– Że co?

Brwi mojego archdruida – szalone, białe, włochate gąsienice, które spokojnie mogłyby mu służyć jako miotłki do odkurzania bibelotów – zjechały się na czole.

– Nie licząc Tuatha Dé Danann, a trudno ich liczyć, bo przecież powinni niby w miarę możliwości siedzieć w Tír na nÓg, chodzi po tej ziemi tylko troje, w tym nas dwóch.

– Zamknij ryj. To niemożliwe.

– Owszem. Rzymianie nas dorwali. Spalili wszystkie gaje na kontynencie i zaczęli polowanie. Nie mieliśmy jak przenosić się do innych krain, więc łatwiej nas było osaczyć. Pewnie coś o tym słyszałeś. Już za twoich czasów Juliusz Cezar był przecież w Galii.

Owen zamarł.

– Ano, pamiętam. Czyli Rzymianie opanowali Irlandię?

– Nie, tam nigdy nie dotarli.

– No to czemu jest tylko troje druidów?

– Bo pogańscy Rzymianie przemienili się z czasem w chrześcijańskich Rzymian. Święty Kościół Rzymski w końcu, kilka wieków później, znalazł sposób, żeby wysłać swoich ludzi do Irlandii, a facet zwany świętym Patrykiem nawrócił całkiem sporą część naszej populacji na swoją religię. Druidzi po prostu wymarli z braku nowych uczniów.

Klapnął na ziemię. Wiedziałem, że nie wszystko, co mu mówię, jest dla niego zrozumiałe, ale na pewno potrafił wyłapać istotne fakty.

– Wszyscy druidzi wymarli poza tobą, co? Jeśli to nie jest jakiś głupi żart... a jeśli jest, to poproszę samego Ogmę, żeby mi pomógł wytłuc z ciebie całe żywe łajno... to jak niby udało ci się przeżyć, skoro wszyscy wyginęli?

– Opuściłem Irlandię znacznie wcześniej, z polecenia Morrigan zresztą, a potem nauczyłem się utrzymywać ciało w stanie młodości. Widziałem świat, Owenie. Jest o wiele, wiele większy, niż nam się zdawało. Dla większości ludzi na ziemi Irlandia to maleńkie państewko słynne ze swoich wojowników i trunków.

– Jak maleńkie?

– Załóżmy, że świat to dziewięćset owiec i jeden cap. Irlandia jest tym capem.

– Hmm.

Milczał chwilę, próbując ogarnąć tę skalę, ale wyraźnie mu to nie wyszło. Spojrzał na mnie spod zmrużonych powiek.

– Ale jednak, synek, coś nas podejrzenie mało? Miałeś dwa tysiące lat, to co żeś ty robił, zamiast uczyć nowych druidów, he?

– Głównie to uciekałem przed Aenghusem Ógiem.

– A, przed nim. Jak na boga miłości to jest dość skory do nienawiści, to prawda. Kawał z niego drania.

– Jest już martwym draniem. Zabiłem go.

Uniósł palec i przechylił głowę.

– Czy ty mi mówisz prawdę, Siodhachan?

– Tak. Gdy tylko zszedł z tego świata, zacząłem szkolić uczennicę. Splotłem ją z ziemią zaledwie nieco ponad miesiąc temu.

– Tak? Jak ma na imię?

– Granuaile.

– Kiedy ją poznam?

– Później – mruknąłem. – Najpierw musimy cię przystosować do nowego świata, który naprawdę się mocno zmienił. Boję się, że możesz się wycofać i zamknąć w sobie, gdy go ujrzysz.

– Jakos w to wątpię – stwierdził Owen, a w kącikach jego ust pojawił się uśmiezek. – Szczerze mówiąc, już się nie mogę doczekać, kiedy to wszystko zobaczę. Poza tym najbardziej podstawowe rzeczy na pewno są takie same. Ludzie nadal jedzą, śpią i srają, nie?

– No tak.

– No to nie może być aż tak inaczej niż przedtem. Musimy tylko wyszkolić więcej druidów.

– Pewnie masz rację. Ale uprzedzam, że będziesz musiał się pod wieloma względami dostosować do nowej sytuacji. Możemy zacząć ten proces nad pintą czegoś dobrego. – A uświadomiwszy sobie, że przecież nie wie, co to pinta, dodałem: – Nie napiłbyś się czegoś?

– Ano. Ale pewnie powinienem się najpierw ubrać.

Przenieśliśmy się do Irlandii – pod zamek Kilkenny, gdzie wzdłuż kanału roso kilka splecionych drzew. Stamtąd zaprowadziłem go starymi uliczkami do Kyteler's Inn, szarej gospody z kamienia zbudowanej w 1324 roku. Wnętrze i tak dostarczy mu wstrząsająco nowych wrażeń, ale przynajmniej nie było tam olbrzymich ekranów plazmowych wrzeszczących o ostatnim meczu. Spodziewałem się potoku pytań po drodze, szczególnie na widok zamku, ale nie odezwał się ani słowem. Rozglądał się tylko z szeroko rozdziawioną gębą, gapił na samochody, ulice wybrukowane kamieniami i zalane asfaltem, cementowo-stalowe konstrukcje nowoczesnej architektury wymieszane z tymi z kamieni i zaprawy ze starszych dni. Przyglądał się też ze zdumieniem ludziom, których ubrania i buty musiały być w jego oczach dość zadziwiające. On sam też budził pewne zainteresowanie przechodniów. Nikt już nie szyje w dzisiejszych czasach takich łachów jak jego.

Barman powitał nas z wahaniem w głosie. Zapewne uznał, że jestem studentem, który postanowił kupić piwo jakiemuś bezdomnemu. Wskazałem pusty stolik, przy którym zamierzałem usiąść.

– Dwa jamesony i dwie pinty guinnessa proszę – zamówiłem.

– Już podaję.

Owen ostrożnie usiadł w fotelu, bo zobaczył, że tak właśnie robię, a jego mina była ucieleśnieniem zdumienia, gdy poczuł pod tyłkiem miękkie poduszki. Ale zaraz potem na twarz wróciło przerażenie, gdy przypomniał sobie, co widział po drodze, i pochyliwszy się nad stolikiem, wyszeptał swoje pierwsze słowa we współczesnym świecie:

– Siodhachan! Oni zakryli nam ziemię!

## Rozdział 2



Atticus nadal zajmuje się tamtym brudnym, zręczliwym staruszkim z przeszłości – który jest jakoby pod względem zagrożeń ludzkim odpowiednikiem zbiornika z propanem – a ja mam się zająć psami w Kolorado. Uważam, że o wiele lepiej na tym wyszłam.

Oberon tak się cieszy z obecności Orlaith, że nadmiar jego radości zalewa mnie jak przypływ – fale szczęścia rozprowadzane wokół machaniem ogona. Co rano pyta mnie, czy już może rozmawiać z Orlaith, i jest tylko odrobinę rozczarowany, gdy mówię mu, że jeszcze nie. Biegamy w trójkę po lesie, jak już zwlokę się z łóżka. To osładza mu wszelkie smutki. Przeplątam się w postać jaguara – ciemnego, smukłego cienia przy dwóch roślach wilczarzach – i tańczymy wśród drzew. Szelest liści pod naszymi łapami obwieszcza lasowi naszą radość. Gonimy wiewiórki, czasami trafi się jakiś jeleni, i obwąchujemy wszystko, by poznać rozmaite historie leśnego życia i śmierci.

Coraz bardziej przyzwyczajam się do zapachów i nie boję się już tej postaci. Jak przy magicznym wzroku – najważniejsze to nauczyć się filtrować.

Orlaith stopniowo uczy się języka. Jest teraz na takim etapie, że zalewa mnie potokami słów ułożonych w proste zdania. Na płynność gramatyczną jeszcze musimy poczekać, ale w każdym razie umie już zapytać o nowe słowa, a ja i tak zawsze potrafię ją zrozumieć przez naszą więź – rodzaj emocjonalnego i obrazowego przepływu danych, podobnego do tego, którego doświadczam, gdy komunikuję się z żywiołakami.

Orlaith znalazła się w schronisku, bo niemowlę pary jej właścicieli okazało się uczulone na psy. Wciąż za nimi tęskni i pamięta, jacy byli smutni, że muszą ją oddać, ale jest z nami szczęśliwa. Jej mentalny głos jest nieco lżejszy od Oberonowego i jest zachwycona drzewami w naszej okolicy.

<Sosna! Świerk!> woła, gdy biegniemy, a ekscytację nie tylko słyszę w jej słowach, ale i widzę w ruchach ogona. <Miasto! Hałas!>.

Zadanie, jakie wyznaczyliśmy sobie na dziś, to zwiedzić piechotą Ouray. Mające powierzchnię nie większą niż dwie mile kwadratowe, otoczone z trzech stron górami San Juan miasteczko znajduje się w naturalnej misie z wyjściem na północ. Wczoraj wykopaliśmy jamę tuż nad miastem i schowaliśmy tam pieniądze, ubrania dla mnie oraz obroże i smycze dla psów, bo choć Ouray jest bardzo przyjazne psom, to jednak lokalne prawo wymaga, by pies był cały czas na smyczy.

Zakopywanie rzeczy i wykopywanie ich następnego dnia już samo w sobie jest oczywiście ogromną frajdą.

Teraz ubrana w dżinsy, sandały i czarny T-shirt, głoszący wszem i wobec moją miłość do legendarnego dziewczęcego zespołu punkowego Laser Vaginas, zwijam papierową torbę, w której leżały moje ciuchy, i ruszam w dół zbocza. Psy brykają przodem, obracając się co chwilę, żeby sprawdzić, czy nadążam, bo teraz oczywiście już nie jestem taka szybka, jak gdy biegnę z nimi w mojej kociej postaci.

Gospodarka Ouray w dużej mierze opiera się na turystyce. Większość dochodu pochodzi z hoteli, restauracji i sklepików sprzedających badiuszowe pamiątki, a czasami i płody okolicznych artystów. Latem otwarte są warsztaty kowala i dmuchacza szkła, a jeszcze inny typek robi piłą łańcuchową zupełnie niesamowite rzeźby z pni drzew. Prócz tego wszelkie firmy obwożące turystów jeepami też obłowią się latem na tyle, że mogą jakoś przeżyć długie miesiące

poza sezonem. Teraz jest październik, temperatura już spadła i prawie całe miasto pogrążone jest w ciszy, stanowi więc idealne miejsce, by uczyć Orlaith, jak się powinna zachowywać w środowisku miejskim. A także kilku nowych słów.

Nie mam kurtki i trochę mi zimno, więc posługuję się splotem, którego nauczył mnie Atticus, żeby podnieść temperaturę ciała, a potem przywołuję moje psy, bo już zbliżamy się do rzeki Uncompahgre, która wyznacza zachodnią granicę Ouray. Zakładając im obroże, mówię na głos:

– Powtórzmy złote zasady zachowania w mieście. Oberonie, zaczynasz.

<Nie podchodzimy do ludzi, tylko pozwalamy im podejść pierwszym>.

– Bardzo dobrze. – Powtarzam słowa Oberona, żeby usłyszała je Orlaith, a potem pytam ją: – Pamiętasz jakieś inne zasady?

<Kupa nie! Siusiu nie!>.

– Doskonale. Proszę załatwić wszystkie te sprawy, zanim przejdziemy przez most. Coś jeszcze?

<Nie wolno nam obwąchiwać niczyich tyłków> mówi Oberon.

<Hau-hau nie!> dodaje Orlaith.

– Dobrze, dobrze. I?

<Żadnego skakania, żadnego ocierania się, mamy się trzymać blisko ciebie i zawsze dać ci znać, jeśli będziemy mieli ochotę coś obwąchać> kończy Oberon.

– Wspaniale!

Powtarzam jeszcze wszystko, co powiedział, gwoli wyjaśnienia Orlaith, ale nie tracę już czasu na powtarzanie Oberonowi jej uwag. To stary wyga i wszystkie te reguły są dla niego oczywiste.

Z dwiema smyczami w dłoni i beztroskimi myślami w głowie wchodzę na polną drogę przy wodospadach Box Canyon, przechodzę przez most i wkraczam do miasteczka tuż przy Victorian Inn. Skręcamy w lewo, w Main Street, i powoli idziemy na północ, zatrzymując się co chwilę, żeby psy mogły obwąchać, co chcą, albo żeby przechodnie mogli je pogłaskać i ze mną pogadać. Są też tacy, którzy na nasz widok przechodzą na drugą stronę ulicy – wilczarze mogą sprawiać dość przerażające wrażenie, jeśli się ich bliżej nie zna. Ludziom pewnie się zdaje, że nie dam rady utrzymać dwóch gigantycznych psów, jeśli strzeli im coś głupiego do łbów.

Ten piękny poranek szlag jednak trafia, gdy przystajemy przed sklepem z wyrobami skórzanymi, choć to zupełnie nie jest wina tego sklepu. Ze środka wyłania się nagle kierownik – szpakowaty pięćdziesięcioparolatek z lekko zdezorientowaną miną. W dłoni trzyma telefon bezprzewodowy i mówi:

– Przepraszam, ale czy pani ma może na imię Granny-Woo czy jakoś tak? – Kompletnie przekręca moje imię, ale do tego akurat jestem przyzwyczajona.

Oberon i Orlaith natychmiast obracają się, żeby na niego spojrzeć, a on aż podskakuje na ich widok. Na pewno nie było ich widać ze sklepu, więc zaskoczyły go dopiero na progu.

– O kurczę! Ale wielkie psy – wybąkuje.

<Hau?> pyta Orlaith.

<Jeśli teraz na niego szczeknę, zacznie piszczeć> stawia hipotezę Oberon i trudno mi zachować obojętny wyraz twarzy, skoro oba psy mówią właściwie to samo. I mają rację. Gdyby zaczęły szczekać, pewnie wycofałby się pospiesznie i jeszcze by sobie zrobił jakąś krzywdę, więc nakazuję im zupełne milczenie.

– Tak, mam na imię Granuaile – mówię.

– W takim razie to do pani – odpowiada kierownik sklepu i podaje mi telefon. – Podobno coś pilnego. Sprawa życia i śmierci.



Biorę od niego słuchawkę, a on mówi jeszcze, że będzie w środku, kiedy skończę. Nie jestem jakoś bardzo zaskoczona tą sytuacją, bo mam świadomość, że każdy, kto umie wróżyć, może mnie z łatwością namierzyć, ale i tak serce mi zamiera ze strachu, że coś się stało.

– Dziękuję – mówię do kierownika i przykładam słuchawkę do ucha. – Halo?

– Granuaile. Tu Laksha.

– Laksha?! Gdzie jesteś? – Z Lakshą Kulasekaran nie rozmawiałam od dobrych dziesięciu lat. Kiedyś duch tej hinduskiej wiedźmy mieszkał w mojej głowie. To dzięki niej dowiedziałam się prawdy o Atticusie i zostałam jego uczennicą. Ale potem, gdy już znalazła ciało, które mogła w pełni opętać, nie miałyśmy wielu okazji do porozmawiania, bo ja byłam zajęta szkoleniem, a ona przeprowadziła się, żeby zacząć nowe życie.

– Jestem w Tańdzawurze, w Indiach.

– Aha. Nie wiem dokładnie, gdzie to jest.

– Blisko południowo-wschodniego wybrzeża, w stanie Tamilnadu. Mieszkam w okolicy od kilku lat. Mamy tu problem, który cię pewnie zainteresuje, a jeśli nawet nie, to i tak przydałaby mi się twoja pomoc. Jesteś już pełną druidką, prawda?

– Tak.

– Gratuluję. Twoje umiejętności bardzo by mi się tu przydały. Tym bardziej, jeśli jesteś może spokrewniona z tym człowiekiem. Znasz niejakiego Donala MacTiernana?

– Tak, to mój ojciec. Mój prawdziwy ojciec, nie ojczym.

– Czy twój ojciec jest archeologiem?

Ta rozmowa zaczynała mnie niepokoić.

– Tak.

– Tego się obawiałam. Dlatego właśnie zadałam sobie trud wywrócenia twojej lokalizacji i zadzwoniłam. Myślę, że to twój ojciec. Czy wiesz coś o tym, żeby jechał ostatnio na wykopki w Indiach?

– Nie, ale to wielce prawdopodobne. Jeździ kopać po całym świecie.

– Obawiam się, że tym razem wykopał coś, co powinno być zostać pod ziemią. Wydobył na powierzchnię pewne gliniane naczynie i je otworzył, albo zupełnie ignorując wypisane na nim ostrzeżenie, albo jeszcze bardziej nim zaintrygowany. Naczynie nie było puste. Zawierało ducha, który tkwił tam uwięziony od wielu stuleci, i to nie bez powodu. Duch natychmiast go opętał.

– Opętał go? Cholera. Jak? Tak jak ty to robisz?

– Nie, ale w podobny sposób. Duch twojego ojca wciąż jeszcze trzyma się ciała, ale duch, który go opętał, zdecydowanie dominuje.

– Co o nim wiesz?

– Znalazłam naczynie. Twój ojciec je upuścił, albo może celowo rozbił. Poskładałam kawałki razem i odczytałam informację w sanskrycie. Ostrzegła przed uwięzionym w środku raksojudżem.

– Przed czym?

– Raksojudż to pan rakszasów. Taki czarnoksiężnik. Byłam pewna, że zlikwidowano ich, jeszcze nim się urodziłam. Potrafią wzywać demony i naginać je do swojej woli. I ten tu właśnie to robi. Rakszasy, które wzywa twój ojciec, wywołały zarazę w całym regionie. Są już ofiary śmiertelne.

– Chwila, czy ty mi mówisz, że mój ojciec zabija ludzi?

– Odpowiedzialny za to jest duch, który go opętał, ale tak, posługuje się ciałem twojego ojca. Domyślałam się, że już wkrótce ktoś będzie próbował go powstrzymać i że raczej nie zachowa przy tym jakiegóż szczególnej ostrożności.

– Bogowie...

– Tak, oni też.  
– Dobra, będę u ciebie za kilka godzin. – Muszę przecież najpierw wrócić do chaty, spakować się i znaleźć Atticusa, ale przynajmniej podróżowanie nie powinno mi zająć za dużo czasu. – Gdzie cię znajdę?  
– Spotkajmy się przed wejściem do świątyni Bryhadiśwary. Jesteśmy tu jedenaście i pół godziny do przodu względem twojego czasu, więc będzie już ciemno, jak dotrzesz na miejsce.  
– Do zobaczenia. Dziękuję, że do mnie zadzwoniłaś.  
Rozłączam się, nakazuję psom zaczekać przed sklepem i wpadam do środka oddać telefon.

<Czy coś się stało, Bystra Dziewczyno?> pyta Oberon, gdy wybiegam na zewnątrz.  
*Tak*, odpowiadam mu mentalnie, po czym upewniam się, że komunikat dociera też do Orlaith. *Musimy natychmiast wracać do chaty. Biegnijcie za mną. Żadnego zatrzymywania się, chyba że przystanę.*

<Nie miasto?> pyta Orlaith.  
*Nie to. Ale zaraz będziemy w innym.*  
Obracamy się i szybko pozeramy metr za metrem, zwłaszcza że mamy teraz z górki. Ludzie na chodniku schodzą nam z drogi.

<Czy ja dobrze słyszałem, że kogoś opętało?> pyta Oberon. <Ale nie Atticusa, co?>.  
*Nie, mojego ojca. Laksha mówi, że jest w Indiach i potrzebuje mojej pomocy.*  
<To przenosimy się teraz wszyscy do Indii?>.  
*Hmm... cholera.*

Przecież nie mogę zabrać ze sobą i Oberona, i Orlaith, chyba że przeniosłabym ich na dwie raty. Nie mam jeszcze „w pełni umeblowanej” przestrzeni umysłowej na tak duży bagaż, bo druidzi potrzebują osobnej przestrzeni umysłowej na każdą istotę, którą mają przerzucić do innej krainy. Możemy przechowywać naszych przyjaciół w światach zbudowanych z literatury, rozdzielając naszą świadomość na samowystarczalne partycje. Atticus wyjaśnił mi to tak: nici są jak drogi, a druidzi jak pojazdy na tych drogach. Każda przestrzeń umysłowa to miejsce dla pasażera. Jak dotąd nauczyłam się na pamięć tylko świata Walta Whitmana, co oznacza, że mogę wziąć jedną dodatkową osobę – lub psa – przerzucić nas do Tír na nÓg, a stamtąd do Indii. Najlepiej by było, gdyby Atticus wybrał się razem z nami – on ma sześć przestrzeni myślowych. Jest jak jakiś staroświecki łódzkomobil, gdy tymczasem ja jestem tylko dwuosobowym smartem. Nie, no chwila. Jestem raczej jak dwuosobowy jaguar F-Type.

*Nie jestem pewna, Oberonie. Musiałabym najpierw namierzyć Atticusa.*  
Zaraz za mostem nad rzeką Uncompahgre, która przechodzi potem w wodospady Box Canyon, chowamy się w zaroślach, rozbieram się i przemieniam w jaguara. Zostawiam dzinsy i sandały, ale koszulkę Laser Vaginas postanawiam jednak ponieść w pysku. Nie jest tak łatwo je dostać. Biegniemy razem do kabiny, a psy cieszą się tym pędem jak szalone, zupełnie nie przejmując się moimi zmartwieniami – i słusznie.

Gdy docieramy do domu, natychmiast idą do swojej miski z wodą, a ja chowam się w sypialni, żeby się ubrać odpowiednio do walki. Jakoś wątpię, żeby fizyczna broń przydała się w walce z duchem, ale z drugiej strony duchy, które przejmują cudze ciała, mają swoje sposoby, żeby stanowić również fizyczne zagrożenie. Wkładam więc kolejne dzinsy i T-shirt, tym razem zupełnie nijaki, prosty, czarny. Żadni celnicy z wykrywaczami metalu nie będą opóźniać mojej podróży, więc zapinam dwa pasy z nożami do rzucania i jeszcze dodatkowy zestaw noży chowam na plecach, za paskiem dzinsów.

*Oberonie, Orlaith, skoczę teraz do Tír na nÓg poszukać Atticusa. To nie powinno długo potrwać. Jak u was z jedzeniem? Okej?*

<To zależy, jak definiujesz słowo „okej”> odpowiada Oberon. <Jeszcze nie dostałem dziś porannej kielbaski>.

<Kielbaska teraz?> pyta Orlaith i mimo całego tego stresu uśmiecham się. Tych dwoje to naprawdę pokrewne dusze.

*Okej, niech wam będzie* – odpowiadam. Nie wolno zapominać o priorytetach.

Zmuszam się do zrezygnowania z historycznego pośpiechu i smażę psom kielbaski, a sobie robię tosta z chleba z kiełków. Choć mam wielką nadzieję, że to naprawdę będzie krótki wypad, łatwo może się przemienić w jakąś dłuższą wyprawę i nie wiem, kiedy będę miała okazję coś zjeść, a jeszcze nie mieliśmy dziś przecież czasu na śniadanie.

To samo dotyczy psów, wyciągam więc wielką torbę suchej karmy i napełniam nią dwie wielgachne miski.

<Chyba nie myślisz, że będziemy to jeść?> oburza się Oberon.

– To tylko na wszelki wypadek – wyjaśniam. – Ale macie oczywiście pozwolenie na polowanie do woli, a w rzece znajdziecie tyle wody, ile dusza zapagnie. Mam nadzieję, że wrócę za kilka minut i to są zupełnie niepotrzebne przygotowania. Ale wiecie, jak dziwnie się wszystko może potoczyć, gdy się oczekuje, że Atticus będzie się zachowywał normalnie.

<No ba! On nawet czasami jada warzywa!>.

– Chodzi mi tylko o to, żebyście tu nie przymierali głodem, gdy mnie nie będzie. Ale postaram się wrócić jak najszybciej.

Jemy śniadanie dość szybko, ściskam oba psy serdecznie i przenoszę się do Tír na nÓg, głównej krainy irlandzkiej, do której irlandzcy bogowie podłączyli wszystkie inne, dzięki czemu możemy podróżować, dokąd chcemy. Najpierw sprawdzam w posiadłości Manannána, ale tam Atticusa nie ma. Ani na Wyspie Czasu – łódka, której używał, stoi przy brzegu, a cuma przywiązana jest do kija wbitego w ziemię. Nie ma go też w warsztacie Goibhniu ani na dworze faerii i w ten sposób wyczerpuje się lista miejsc, które znam w Tír na nÓg. Nikt, kogo pytam, nie wie, gdzie się podział Atticus i tamten staruszek. Nie mam już czasu szukać dalej, więc wracam do Kolorado i znajduję psy, który hasają sobie nad rzeką.

*Oberon! Orlaith!*

<Bystra Dziewczyna wróciła!>.

<Granuaile! Ścigać się!>.

Żadne stworzenie nie powita cię tak jak szczęśliwe psy. Nie było mnie zaledwie jakieś pół godziny, ale ich radość z mojego powrotu jest taka, jakby mnie nie było dobre pół roku. Gdyby tak ludzie potrafili witać się z równą radością. Tylko może bez lizania twarzy.

Teraz jednak, choć serce mi pęka, nie mogę się z nimi bawić. Jeśli mam się przenieść do Indii, muszę zostawić Oberona.

– Nie udało mi się znaleźć Atticusa. Musisz tu zostać i wyjaśnić mu, gdzie jesteśmy, żeby mógł mnie znaleźć – mówię mu.

Wchodzimy do chaty i łapię papier i długopis, żeby zostawić Atticusowi krótki list.

<To co mam mu powiedzieć?>.

– Powiedz mu, że jestem z Lakshą. Próbujemy odnaleźć mojego prawdziwego ojca, który ma poważne kłopoty. Namiary na miejsce, gdzie może mnie znaleźć, są w liście. Nie zapomnij mu o nim powiedzieć, dobra?

<Nie zapomnę>.

– Dobry piesek.

<Myślisz, że to będzie w złym stylu, jak cię poproszę, żebyś powiedziała Orlaith, że będę za nią tęsknił?>.

Uśmiecham się i odpowiadam mu mentalnie:

*Naoglądałaś się za dużo ludzkich filmów. Psy mają pełne prawo tęsknić, za kimkolwiek im się żywnie podoba, na dowolnym etapie związku i nie dostają za to żadnych ujemnych punktów.*

<A, racja! My mamy inne zasady>.

*Będę tęskniła i za tobą, i za Atticusem – mówię, biorąc mój kij Scáthmhaide, i wychodzę. Orlaith potulnie drepcze za mną. – Mam nadzieję, że zobaczymy się już niedługo.*

<No jasne!>.

Kładę rękę na splecionym drzewie i proszę Orlaith, żeby jedną łapę położyła na mnie, a drugą też na pniu. Orlaith mówi:

<Pa, Oberon! Bawić później!>.

Przekazuję Oberonowi, co powiedziała, i przenosimy się do Indii.

## Rozdział 3



Dlaczego to zrobili? – spytał Owen. – Dlaczego zakryli ziemię?

– Pewnie odpowiedzieliby ci, że to usprawnia ich system transportowy, ale myślę, że głównie to rezultat ich awersji do błota. Nie czują przecież magii ziemi tak jak my, więc nie jest to dla nich decyzja moralna. To kwestia wygody.

– Och, Siodhachanie – jęknął Owen, kręcąc głową z rozpaczą. – Czy ty mi zaraz powiesz, że wszystko zmieniło się na gorsze? Czy świat naprawdę nie stał się ani odrobinę lepszy przez te dwa tysiące lat?

Pojawił się barman z naszymi piwami i whisky, więc podziękowałem mu uprzejmie.

– Są i takie rzeczy, które zdecydowanie się poprawiły – powiedziałem, spoglądając na napoje.

– A to co niby ma być? – Mój archdruoid podejrzliwie popatrzył na kufle i szklanki.

– Próbką irlandzkiego geniuszu – odpowiedziałem i już w następnym zdaniu przeszedłem na angielski. – Whisky i stout. – Uniosłem szklaneczkę z whisky i znów wróciłem do staroirlandzkiego. – Zaczynj od tego. Wypij do dna, a potem zapij kilkoma łykami tego ciemnego piwa.

– Niech ci będzie – mruknął niechętnie, podnosząc szklaneczkę. – Twoje zdrowie.

– *Sláinte* – odparłem, posługując się współczesnym irlandzkim.

Whisky paliła gardło jak zawsze, a guinness gasił, jak należy.

Owen zakaszłał i oczy zaszyły mu łzami.

– Och, bogom niech będą dzięki – westchnął, odstawiając kufel. – Jeszcze Irlandia nie zginęła.

Roześmialiśmy się zgodnie – co ogólnie jest dość częstym zjawiskiem wśród ludzi, ale naprawdę nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek przedtem przytrafiło mi się to z moim archdruoidem – a potem odpowiadałem długo na potok jego pytań dotyczących tego, co widział po drodze do karczmy, który następnie przeszedł w strumień pytań o to, co widzi w środku knajpy, i tak w ogóle to o co chodzi z tą dziwną nową ideą zwaną nauką.

Gadaliśmy tak jeszcze kilka kolejek, aż do knajpy zaczął napływać tłum pokolacyjny. W pewnym momencie Owen bardzo się zapalił do jakiegoś poruszanego przez nas tematu, co niezwykle ubawiło kilku młodych osiłków stojących przy barze. Śmiali się z niego, a jeden nawet zaczął go przedrzeźniać – wybitnie zła decyzja, która oznaczała w praktyce, że jego miły wieczór z kumplami właśnie zmienił się w Tę Noc, Gdy Skopano Mu Tyłek.

– Morda w kubel! – ryknął na niego Owen. Wprawdzie po staroirlandzku, ale ton był raczej jednoznaczny.

Z twarzy mięśniaka zniknął uśmiech. Odstawił swoje piwo i zrobił charakterystyczny gest rozciągania mięśni szczęki; niektórzy to robią, bo im się chyba zdaje, że przez to wyglądają na twardzieli.

– Mówisz do mnie, dziadku?

Oczywiście z doświadczenia tegoż mięśniaka wynikało, że to właśnie moment, w którym przytłaczająca większość jego oponentów wycofuje się w panice. Chodziło mu wyraźnie o to, żeby Owen powiedział „przepraszam” i odwrócił wzrok, a cała sprawa została zamknięta. Tylko że mój archdruoid bynajmniej nie był typowym staruszkiem. Wiedział, co to wyzwanie do walki, i nigdy nie unikał okazji, żeby z niego skorzystać. Nie spuszczał wzroku z młodzieńca i sącząc

drwinę w każde słowo, syknął:

– Siodhachan, powiedz mu, że jego matka popiskuje jak borsuk, jak ją stukam bokiem.

Wyszczrzyłem zęby, ale uznałem, że jednak lepiej tego nie tłumaczyć. Nie było zresztą takiej potrzeby. Mowa ciała i ton głosu Owena były wystarczająco obraźliwe, a mięśniak był wyraźnie dość drażliwą osobą. Zaciśnął pięści i ruszył w stronę naszego stolika.

– Słuchaj, staruchu, sam się o to prosisz. – Uniósł pięść i podsunął ją Owenowi pod nos. – I w ogóle to...

Ale nie dokończył. Owen chwycił go za ramię, pociągnął do siebie i strzelił mu z główki. Osilek osunął się z cichym jękiem, a Owen wstał, kopnął krzesło i ryknął:

– Szanuj starszych, synek!

W knajpie zapadła cisza, jak to zwykle bywa, gdy dojdzie do podobnego syfu. Przy barze stało czterech kumpli mięśniaka, którzy na własne oczy zobaczyli, jak ich kolega przegrywa w sekundowej bójce z mężczyzną, który wyglądał, jakby był mocno po siedemdziesiątce i nie miał czym zapłacić za piwo. Mieli więc teraz wybór: mogli obśmiać kolegę i wypominać mu tę porażkę do końca życia albo solidarnie dołączyć do bójki. Owen bardzo szybko pozbawił ich tego wyboru. Kopnął pokonanego w brzuch i skinął na pozostałych.

– No już, chodźcie, chodźcie, wam też się należy lekcja szacunku – powiedział i choć oczywiście nie mówili po staroirlandzku, znaczenie jego słów było dość jednoznaczne.

Dinozaur chciał się bić, a wielki uśmiech na mojej twarzy pewnie też nie pomagał.

– Chłopcy, zaczekajcie... – zaoponował barman, ale oni jak jeden mąż odstawili swoje kufle i ruszyli na Owena; duma i braterstwo nie pozostawiały im wyboru.

Ani drgnąłem, ale na wszelki wypadek wymamrotałem słowa splotu wzmacniającego mi siłę i szybkość.

Pierwszy wyraźnie chciał powalić Owena na ziemię i pewnie obłożyć pięściami. Ale nie miał żadnych szans. Mój archdruid regularnie kazał nam w ten sposób atakować, bo to bardzo rozpowszechniona taktyka w walce wręcz. Zrobił unik na prawo, przez co małaś też rzucił się w tę stronę, a potem staruszek odskoczył w lewo, odbijając jego wyciągniętą prawą rękę, żeby mieć jak przeskoczyć. Biedny młodzian poleciał do przodu, a Owen obrócił się z pięściami przy mostku, po czym lewym łokciem zadał mu cios w skroń, ale nie zakończył obrotu, tylko rąbnął następnego napastnika w plecy i wbił mu prawy łokieć w brzuch. Smarkacz przystanął, pochylił się, a Owen znów uniósł prawą rękę, nadal zgiętą, i zakończył obrót poprzez wbicie łokcia w szczękę nieszczęśnikowi, który w drodze na podłogę stracił jeszcze kilka zębów.

Trzeci typek zwolnił, wyraźnie postanowiwszy szukać Owenowej pięty Achillesa, a czwartemu strzeliło do głowy, że lepiej będzie zaatakować mnie, choć przecież widział chyba, że mam miecz na plecach. Rzucił się na mnie z mojej lewej, z zaciśniętą pięścią, a ja tylko czekałem, aż mnie ta pięść dosięgnie, a wtedy chwyciłem ją lewą ręką i biorąc przykład ze swojego nauczyciela, wykorzystując zarazem rozpęd napastnika, strzeliłem go główką. Rozbiłem mu nos i padł na podłogę, przyciskając palce do twarzy.

Ostatni z drużyny rzadko zachowuje się odważnie, gdy nagle zostanie sam na placu boju. Morale ulatnia się dość szybko, jeśli napotkało się coś, co pokonuje twoich kompanów w zaledwie kilka sekund.

Chłopak uniósł dłonie i wycofał się.

– Hej, przepraszam. To się nie powtórzy.

– A temu co, Siodhachanie? Najpierw mnie atakuje, a teraz nagle się rozmyślił? – spytał Owen.

– A ty byś się na jego miejscu nie rozmyślił?

– Może i przelożyłbym tę bójkę na inny dzień. Ale tylko pod warunkiem, że do tego

czasu nauczyłbym się porządnie walczyć. Z takimi patalaciami to żadna zabawa.

– Zabawa już nadciąga – zauważyłem, wskazując mu zbliżającego się bramkarza. Był to wysoki typ, nieco w stylu Hulka, który wyglądał mi na takiego, co to będzie cię cierpliwie rąbał po głowie, aż sam się osuniesz na ziemię. – Do obowiązków tego tam należy wyrzucić nas stąd jak najszybciej.

– Aha. A jest obowiązkowy?

– To się zaraz okaże. – Wyciągnąłem z kieszeni trochę pieniędzy i przechodząc na angielski, powiedziałem do barmana: – Bardzo przepraszam za bałagan. Zostawiam trochę więcej, niż by wyszło za te napoje.

Miałem przy sobie akurat tylko amerykańskie dolary, ale przecież mogą je sobie łatwo wymienić. Nie narobiliśmy właściwie za wiele szkód, poza odrobiną krwi na podłodze, którą będzie można bez trudu zetrzeć, ale miałem przecucie, że to się zaraz zmieni.

W przeciwieństwie do tamtych maślaków bramkarz umiał się bić. Sprawiał wrażenie byłego wojskowego i okazało się, że trenował też krawmagę, bo zrobił Owenowi szybkie wprowadzenie do podstawowych zasad tego systemu walki. Po około dwudziestu sekundach mój archdruid leżał obezwałdniony, zasapany i z ręką wygiętą na plecach. Bramkarz też sapał, bo Owenowi udało się go nieco zmęczyć. W każdym razie obaj uśmiechali się szeroko i krwawo.

– Dziadek zna się na rzeczy – stwierdził bramkarz i splunął krwią na podłogę, po czym spojrzał na mnie. – Ty też będziesz mi tu sprawiał kłopoty? Jeśli wyciągniesz ten miecz, to będziesz miał przekichane nie tylko u mnie, ale i u prawników.

– E, nie, mnie tam nie trzeba poprawiać postawy społecznej. Ale dzięki za poprawienie jego.

– Dobra. To już stąd spadaj. – Wskazał mi głową drzwi. – Idę za tobą z dziadkiem.

Minąłem go, zachowując bezpieczny dystans, i poprowadziłem ich w stronę drzwi wyjściowych. Owen śmiał się, gdy bramkarz podciągnął go do pionu.

– Siodhachan, powiedz temu durnemu olbrzymowi, że go lubię.

– Co on takiego powiedział? – spytał bramkarz, ciągnąc Owena za sobą. – Że mi skopie tyłek później?

– Nie, powiedział, że cię lubi.

– Aha. To co innego.

– Ale tyłek też mu oczywiście skopię – dodał Owen, a ja wybuchnąłem śmiechem.

– A jednak mów, że skopie – wyjaśniłem.

Bramkarz zachichotał.

– Zawsze to mówią. Słuchajcie, naprawdę jestem wam w sumie wdzięczny, że wpadliście i wyeliminowaliście mi tamtych palantów, bo tak to nic tylko dupę mi tu zawracają, ale nie wracajcie do mojej knajpy, bo następnym razem nie będę już miły.

– Bez obaw – zapewniłem go, wychodząc na zewnątrz.

Wypchnął Owena za mną i zamknął drzwi.

– Czemu tak ich atakowałeś dziwnie łokciami? – spytałem archdruida.

– A, bo te moje cholerne kłykcie... – Przeciągnął się, chwycił za krzyż i westchnął. – Jakbym przyłożył im dłońmi, toby mi się rano palce nie rozwarły. Starość jest mniej więcej równie zabawna jak pływanie w łąjnie.

– Wiem to z własnego doświadczenia.

– Doprawdy? Ile miałeś lat, gdy zacząłeś się starzeć na odwrót?

– Miałem siedemdziesiąt pięć, gdy spotkałem Airmid, i to ona nauczyła mnie tego triku.

Ten ból, o którym mówisz, nazywa się teraz artretyzmem.

– Czy ja cię pytam, jak to ktoś tam nazywa? Łajno mnie to obchodzi, bo ja to nazywam

bólem kłykci.

– W porządku.

– To jakim cudem jesteś taki młody i dziarski? Dorwałeś się do jednego z wieprzów Manannána czy jak?

– Nie, piję pewną herbatę. Zaparzę ci ją, nim zaczniemy ci załatwiać współczesną tożsamość. W jakim wieku chciałbyś być?

– Ty mnie poważnie pytasz?

– Ano.

– No, na pewno nie chcę być takim gówniarzem jak ty. Wiem, że jesteś tak naprawdę starszy ode mnie, ale wcale to tak jakoś nie wygląda, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

– Rozumiem.

Moim zdaniem mój młody wygląd miał wiele zalet. Między innymi sprawiał, że przeciwnicy nigdy mnie nie doceniali.

– Najchętniej to bym chyba wrócił do czterdziestki. Byłem wtedy dość młody, żeby być silny i aktywny, ale i dość stary, żeby budzić już trochę szacunku.

– Nie ma sprawy. Chodźmy z powrotem do tamtych splecionych drzew, a potem zbiorę wszystkie niezbędne składniki. Jak nogi? Lepiej?

– Ano. W tak dobrym stanie, jak mogą być, gdy się jest zdzieciniałym staruszkiem. Ten bekon Fand naprawdę pomógł.

Ruszyliśmy w stronę zamku Kilkenny i rzeczywiście szedł o wiele sprawniej niż w tę stronę. Pomyślałem sobie, że odrobina alkoholu i bójka pomogły mu pewnie w równym stopniu co magiczny bekon od Manannána.

– Gotowy na naukę nowego języka?

– Ano. Ale bądź łaskaw zacząć od nauczenia mnie odpowiednich przekleństw.

Zabrałem się więc do nauki angielskiego z irlandzkim akcentem i okazało się, że łapie wszystko w lot. Oczywiście uczył się języka w druidzkim tempie. Przenieśliśmy się z Kilkenny do Flagstaffu w Arizonie, gdzie było wczesne popołudnie, więc sklep Winter Sun Trading Company na San Francisco Street był normalnie otwarty. Można w nim było kupić wszystkie niezbędne składniki herbaty „Młodości Czar”, a nawet imbryk. W dodatku tuż obok był las, co dla Owena stanowiło dodatkowy atut.

Nim jednak weszliśmy do sklepu, wyciągnąłem komórkę i zadzwoniłem do mojego prawnika Hala Hauka, który był też alfą Watahy z Tempe. Owen był tak zafascynowany przechodniami i miastem, że nawet nie zarejestrował, że rozmawiam z kimś przez małe, prostokątne urządzenie przyłożone do ucha.

– Cześć, Hal! Potrzebuję dowodu tożsamości.

– Kpisz sobie? Ledwie wam przecież wyrobiłem nowe!

– To nie dla mnie. – Granuaile i ja pozbyliśmy się już starych przydomków (koszmarnych nazwisk, które nadał nam Kojot: Sterling Silver i Betty Baker) i funkcjonowaliśmy teraz pod nazwiskami Sean Flanagan i Nessa Thornton, choć nigdy ich nie używaliśmy, gdy byliśmy na osobności. Dla mnie Granuaile nadal była Granuaile, a ja dla niej wciąż byłem Atticusem. – To dla kogoś innego. Potrzebuje pełnego serwisu, bo nigdy go tu nie było.

– Kto to taki?

– Bardzo stary znajomy. Nazywa się Owen Kennedy. Słuchaj, jesteśmy we Flagstaffie i nie dam rady skoczyć teraz do ciebie. Masz tu może kogoś, kto by mu mógł zrobić zdjęcie, zebrać informacje i przesłać je do ciebie?

– No. Idźcie do Sama Obrista. To koleś ze Szwajcarii. Zarządza chłopakami z okolicy. Skup się, podaję adres.



Zapamiętałem namiary na Sama i podziękowałem Halowi, obiecując, że gdy tylko dokumenty będą gotowe, przyprowadzę Owena, żeby poznał jego watahę.

Zakupiwszy wszystkie składniki w Winter Sun i skoczywszy szybko drogą 66 do Peace Surplus po kuchenkę propanową, lustro, parę ciuchów dla Owena i małą łopatę turystyczną, ruszyliśmy piechotą w górę Mars Hill z sześcioma galonami wody i ukryliśmy się wśród sosen żółtych, kilkaset metrów za obserwatorium Lowella. Zmieszałem odpowiednie zioła, a potem splotłem je tak, jak nauczyła mnie tego Airmid, żeby zrobić z tej łagodnej mieszanki przeciwutleniaczy i detoksykantów cudownie odmładzający napar. Potem – jako że ognisko byłoby rozwiązaniem nielegalnym i nieefektywnym – zaparzyłem „Młodości Czar” na palniku gazowym i nakazałem archdruidowi zacząć ją pić.

Po pierwszym łyku wykrzywił się z odrazą.

– Smakuje jak łajno, synek.

– Ale dobrze ci robi. Zaraz to poczujesz.

Wzruszył ramionami i wypił do dna, a potem jeszcze kilka kubków, aż w końcu cała pierwsza porcja zniknęła. Zacząłem parzyć drugą, uśmiechając się pod nosem, a on zaraz wyczuł, że coś knuję.

– Coś ty taki zadowolony?

– Zawsze piję tylko trochę, jakieś pół kubka raz na cztery czy pięć miesięcy, żeby podtrzymać swój wiek. Pół kubka ma lekko przeczyszczające działanie.

– Jakie działanie?

– Przeczyszczające. Rozluźniające twój stolec.

– Pół kubka ma...? Ale przecież ty mi kazałeś wypić cały imbryk!

– To dlatego kupiłem też łopatę. Pomyślałem, że może powinienes wykopać sobie odpowiedni dołek. Masz.

Rzuciłem mu łopatę.

– Ty bezecny bękarcie kozy! – ryknął, łapiąc ją w powietrzu i potrząsając nią groźnie. – Powinienem raczej rozrąbać ci nią czaszkę!

– Nie dasz rady, póki nie wypijesz jeszcze kilku imbryków – stwierdziłem. – Teraz to głównie będziesz się musiał skupić na wyrzucaniu z siebie wszystkich tych toksyn, ale wierz mi, nie będziesz potem za nimi tęsknił. Pozbędziesz się w ten sposób między innymi tego bólu w kłykciach.

Z ust mojego archdruida popłynął obfity potok przekleństw, ale odwrócił się, żeby znaleźć odpowiednie miejsce na zbudowanie doraźnej latryny. Poprzysięgał mi przy tym zemstę za taką zniewagę.

– No, no, proszę, już się zrobiłeś bardziej dziarski – skomentowałem. – Nie zapominaj, że jednak wyświadczam ci wielką przysługę. Przyspieszona regeneracja komórek i zastąpienie... Mniejsza z tym. I tak nie wiesz nawet, co to komórka.

Tak naprawdę łopata nie była niezbędna. Mój druid mógłby spokojnie przesunąć odrobinę ziemi odpowiednim splotem, ale żeby to zrobić, musiałby przestać mnie na chwilę przeklinać i skupić się na wypowiedaniu splotu, a wiedziałem aż za dobrze, że tego nie robi. Zresztą wcale bym tego nie chciał. Przez długie dwanaście lat mojej nauki z wielką satysfakcją zameczał mnie na przeróżne sposoby, więc uznałem, że mam prawo do odrobiny *schadenfreude*.

– Oj! – jęknął, przerywając potok złorzeczeń, bo już chwyciły go konwulsje. Słyszałem, jak rzuca łopatę i rozpaczliwie zdziera z siebie spodnie. – Niech cię licho, Siodhachaaaaan!

Alem się uśmieł.

Mimo całego tego narzekania Owen musiał przyznać, że moja herbatka naprawdę działa. Za każdym razem, gdy wracał z dziury, podawałem mu lustro, żeby bardziej go zmotywować

do wypicia kolejnej porcji ziół. Zmarszczki stopniowo znikają, a plamy na rękach blakły. Przybyło mu mięśni, a sylwetka znów stała się prosta. Pamiętałem jeszcze, jak sam przeszedłem przez ten sam proces, gdy nauczyłem się parzyć „Młodości Czar”, ale wtedy wymazałem pięćdziesiąt parę lat zamiast trzydziestu, w które on celował. Gdy wrócił po czwartym garnku, włosy i brwi, a nawet broda znów zaczęły rosnać mu ciemne. Wszystko zresztą rosło szybciej niż zwykle, gdy ciało pozbywało się oznak wieku.

– Trzeba będzie skoczyć do fryzjera – mruknąłem.

– Co to jest fryzjer?

– Ktoś, kto obcina włosy.

– A to nie wszyscy ludzie je obcinają?

– Nie, fryzjerzy uczą się tego i potem robią to, żeby zarobić. Ludzie specjalizują się w konkretnych dziedzinach w o wiele większym stopniu niż kiedyś. Sam też będziesz musiał znaleźć sobie jakiś zawód.

– Co ty znowu gadasz? Jestem druidem. I kropka.

– Nie. Odtąd jesteś *też* druidem. Nikt ci za to nie będzie płacił, więc oprócz bycia druidem musisz znaleźć sobie jakieś zajęcie, które przynosi pieniądze.

– Tak? A ty co takiego niby robisz?

– Przez te wszystkie stulecia parąłem się różnymi zajęciami. Ostatnio byłem złotnikiem.

Przedtem miałem księgarnię, w której można też było kupić zioła. Trochę taką podobną do tej w Flagstaffie.

– Co to jest księgarnia?

– Miejsce, gdzie się sprzedaje książki. Książki to takie jakby zwoje w okładce. Zawierają wiele informacji. To dzięki nim ludzie uczą się różnych rzeczy, znaczy jeśli jeszcze używają papieru.

– Uczą się rzeczy z książek zamiast od druidów?

– Tak.

– To muszą być dość durni, nie?

– No, część z nich może rzeczywiście – przyznałem. – W większości ci, którzy nie czytają. W każdym razie książki mają tę zaletę, że zawierają wiedzę dostępną dla wszystkich. Ludzie, którzy czegoś nie wiedzą, mogą w każdej chwili się tego dowiedzieć, we własnym tempie. Poza tym książki nie mają zwyczaju walić ich po głowach dębowym kijem i mówić, że znowu coś spieprzyli.

Owen zmarszczył się na ten nagły przytyk.

– Ach tak – wycedził przez zęby. – Czyżbym nie dość delikatnie obchodził się z twoimi uczuciami podczas nauki?

– Przyjemne to to nie było – wypomniałem mu. – Ani konieczne.

– Chwilunia, synek. Jesteś druidem czy nie?

– Nie tylko jestem druidem, ale wręcz Druidem, jeśli wsłuchasz się w opinię żywiołaków.

– I przeżyłeś wszystkich innych druidów, tak?

– To się raczej rozumie samo przez się.

Zamachał mi palcem tuż przed nosem.

– W takim razie moje cholerne metody były doskonałe. Już to, że siedzisz tu i się nad sobą roztkliwiasz, zamiast wachać kwiatki od spodu, świadczy jednoznacznie o tym, jak dużą wartość miało wbicie ci do głowy całej tej wiedzy.

Skupiłem wzrok na palniku i milczałem. Po dłuższej chwili podjął wątek, mamrocząc pod nosem coś, co być może było jego wersją przeprosin.

– Wygląda na to, że teraz to ja będę musiał być twoim uczniem, i głowę daję, że będzie to

dla mnie o wiele przyjemniejsze niż wtedy, kiedy role były odwrócone. Co teraz?

– Teraz wypijesz jeszcze jedną porcję i uporasz się z efektami ubocznymi. Potem pójdziemy do miasta, ogolimy cię, przystrzyżemy i nakarmimy, a potem zabiorę cię do wilkołaka, który się nazywa Sam Obrist.

– Do kogo?!

– Do wilkołaka. Wilkołaki to zmiennokształtni, ale tacy, którzy potrafią przemieniać się tylko w jedną postać, to jest w wilka. Odporni na magię, ale nie na srebro.

– Aha. Właśnie się nawet zastanawiałem, dlaczego wybrałeś srebro na te swoje charmsy. Złoto przecież lepiej przenosiłoby energię, nie?

– Tak, ale kiedy je robiłem, uznałem, że warto zyskać na dodatkowej ochronie.

– Czy wilkołaki mogą więc nas zaatakować?

– W dzisiejszych czasach raczej nie. Ale kiedy zaczynałem pracę nad charmsami, sytuacja wyglądała inaczej. Teraz są znacznie bardziej cywilizowane, a ich terytoria mają jasno określone granice. Jeśli będziesz chciał sam zrobić sobie kilka charmsów, pokażę ci jak. Ale najpierw musimy uruchomić długi proces wystawiania ci wszystkich niezbędnych dokumentów, a potem, gdy będziesz mi poprawiał tatuaże, możemy kontynuować lekcje angielskiego.

Wystarczyła jeszcze jedna porcja herbaty i Owen wyglądał i czuł się jak czterdziestolatek – co było dość niesamowite w porównaniu do tego, jak się czuł jako siedemdziesięcioletek. Zabrałem go do miasta, żeby go wymyć i kupić mu późny lunch w Lumberyard Brewing Company. Fryzjer miał lekko zdumioną minę, gdy zobaczył wszystkie te ciemne włosy rosnące pod siwymi, ale mój archdruid posłał mu tak groźne spojrzenie, że facet nie zadawał żadnych pytań. Owen uparł się, że chce mieć nadal brodę, ale przynajmniej była teraz elegancko przycięta, a i brwi udało się przystrzyżyc do akceptowalnych norm. Wyglądał tak, jakby miał zaraz wrzucać coś bardzo ciężkiego na tył pickupa w jakiejś prawdziwie męskiej reklamie, gdzie niski bas mówi o wytrzymałości i ciężkich ładunkach.

Podczas lunchu nasz stolik obsługiwała bardzo ładna studentka i gdy uśmiechnęła się do nas na powitanie, mina Owena ostrzegła mnie w samą porę przed niebezpieczeństwem.

– Ani drgnij! – syknąłem na niego po staroirlandzku. – Spójrz na mnie!

Jego pożądlive spojrzenie zmieniło się w groźne.

– Co znowu?

– Nie wiem, co zamierzałeś, ale to nie była dziewczyna z jakiejś tawerny sprzed dwóch tysięcy lat. To, że się do ciebie uśmiechnęła, nie znaczy, że możesz ją zaraz złapać za tyłek. Jeśli ją dotkniesz, na pewno wywali cię stąd na zbity pysk, a być może może aresztować za napaść na tle seksualnym.

– Co?

– Trzymaj łapy przy sobie, choćby nie wiem co, i nie gap się, nie wystawiaj języka, nie puszczaj oka, nic. Masz ją traktować tak, jakby była córką samego króla.

– To potomkini jakiegoś starego rodu?

– Jak dla ciebie tak. I traktuj tak każdą napotkaną kobietę. Zaloty bardzo się zmieniły i różnią się zależnie od kraju. Poczekaj chwilę. Tylko zamówię jedzenie i zaraz ci wszystko wyjaśnię.

Stęknął niezadowolony i odwrócił wzrok. Przeprosiłem kelnerkę, która wykazała się anielską cierpliwością, a następnie zamówiłem dla nas po kajzerce i kuflu tradycyjnie warzonego czerwonego ale. Wyjaśnienie Owenowi zawiloci współczesnych – jak to mawiał Oberon – „ludzkich zwyczajów kopolacyjnych” zajęło nam całkiem sporo czasu i wywołało sporą frustrację obu stron.

– Nikt już nie jest tak uczciwy w sprawach seksu jak kiedyś – zacząłem.

– Dlaczego nie?

– Przez monoteizm wszyscy się boją, czy aby się nie puszczają.

Owen popatrzył na mnie kompletnie zdezorientowany.

– Nie rozumiem, co do mnie gadasz.

– Ludzie nie chcą wyjść na lubieżnych, więc wszystko trzeba robić powoli. A poza tym jest pełno tych dziwnych facetów, więc kobiety się zawsze boją, że jesteś jednym z nich.

– Że co? – Głową wskazał mi kuchnię, gdzie zniknęła kelnerka. – Przecież ona mnie nawet nie zna.

– Właśnie. I póki cię nie pozna, masz zero szans na seks. Wiem, że takie zachowanie wydaje ci się dziwne i niepotrzebne w porównaniu do tego, do czego jesteś przyzwyczajony, ale nic się nie dzieje bez przyczyny. Póki nie poczujesz się pewniej w zakresie językowym i kulturowym, najlepiej będzie, jak przyjmiesz zasadę czekania, aż to kobieta zrobi pierwszy krok. I uśmiech to nie jest krok.

Owen zasłonił dłonią oczy i wymamrotał:

– Brigid, pobłogosław mnie cierpliwością.

– O tak, tego to by ci się przydało w dużych ilościach.

Po naszym późnym lunchu zabrałem go pod adres, który podał mi Hal, i poznaliśmy tam Sama Obrista, alfę Watahy z Flagstaffu. Choć wiedziałem oczywiście, że to miasto ma całkiem sporą watahę, nigdy jakoś nie miałem okazji go poznać. Wysoki blondyn o kwadratowej szczęce na nosie miał okulary, które były bez wątpienia tylko objawem hipsterskiego sentymentu. Jego dom położony był tuż pod lasem – w sumie logiczne – i mieszkał w nim ze swoim beta, Tyem Pollardem, który był zarazem jego mężem.

– Hal mówił, że wpadniecie – powiedział na powitanie i uścisnęliśmy sobie dłonie. Jego oczy zatrzymały się na chwilę na srebrnych charmsach na mojej szyi, ale nie skomentował ich. – Wejdźcie, proszę.

Uśmiechnął się, zaprosił nas gestem do środka i zaproponował piwo, ale odmówiliśmy, bo piliśmy przecież podczas lunchu.

Potem zmierzył Owena, zważył go i spisał wszystkie potrzebne informacje, takie jak kolor oczu i włosów.

– Słyszałem, że możesz się zmieniać w wilczarza – zagadnął mnie podczas tej roboty.

– Tak.

Gdy tylko poznawałem nowego wilkołaka, ten fakt wpływał zawsze dość szybko. To, że nosiłem srebro i przemieniałem się w zwierzę wyhodowane do polowania na wilki, z oczywistych względów budziło ich zainteresowanie, choć przecież w sumie nigdy tego nie robiłem. U niektórych wilkołaków poznanie mnie wywoływało miły dreszczyk niebezpieczeństwa. U innych potrzebę rywalizacji lub wręcz walki. Na szczęście Sam należał do tej pierwszej grupy.

– Biegałeś czasami z watahą Hala, prawda?

– Tak, ale to było jakiś czas temu. Kiedy jeszcze Gunnar był z nami.

– Rozumiem. Czy on też potrafi się przemieniać? – spytał, wskazując Owena.

– Tak. W niedźwiedzia między innymi.

Padło jeszcze kilka innych pytań: czy mamy jakieś konkretne nazwiska lub zawody, które Owen chciałby mieć w swojej przeszłości? Powiedziałem Samowi, że jeśli chodzi o imiona rodziców, może wymyślić, jakie chce, a do jego CV to niech generalnie wpisuje jakieś profesje, które wymagają przebywania w lesie. Przypomniała mi się maskotka okolicznego uniwersytetu, więc dodałem:

– Może niech będzie drwalem.

Już niedługo będziemy mogli wreszcie zająć się moimi tatuażami, ale to z kolei zajmie nam na pewno ponad tydzień i nie będę w tym czasie mógł mieć włączonej komórki, więc pomyślałem, że lepiej będzie przedtem sprawdzić, co u Granuaile.

Kiedy jednak wyciągnąłem telefon, okazało się, że już sam się wyłączył. Mój telefon do Hala zużył widać smętne resztki baterii, a nie miałem przy sobie ładowarki. Będę musiał przenieść się do naszej chaty i opowiedzieć jej wszystko osobiście.

– Nie będzie wam przeszkadzało, jak skoczę tylko na chwilę coś załatwić, gdy będziecie robili mu zdjęcie? – spytałem Sama.

– Jasne, że nie – odparł. – Widzę przecież, że facet jest nieszkodliwy.

– Dzięki. – Odwróciłem się do Owena i po staroirlandzku powiedziałem mu: – Nim ruszymy do Starego Świata, muszę sprawdzić, co u Granuaile. Chcę, żeby wiedziała, że przez jakiś czas nie będzie mogła się ze mną skontaktować.

– Chcesz mnie tu zostawić? – spytał.

– Tylko na kilka minut. Zrobią ci zdjęcie, dadzą piwo. Nie musisz się niczego obawiać.

– Do reszty zdurniałeś czy co? Ja przecież nawet nie wiem, co to jest to cholerne zdjęcie! Nie możesz poczekać i potem zabrać mnie z sobą?

– Wolałbym najpierw bardziej cię wprowadzić do współczesnej kultury i obyczajowości.

– A co? Nie uczę się dość szybko? Też coś. – Spojrzał na Sama, wskazał mnie palcem i po raz pierwszy w życiu przemówił do osoby trzeciej w języku angielskim. – On. Bez jaj.

Zaskoczeni nagłą zmianą języka i nieoczekiwanym oskarżeniem Sam i Ty wybuchnęli śmiechem. Pomachałem im na do widzenia w głębokim przekonaniu, że świetnie się dogadają. Las za domem Sama oferował wygodne połączenie z Tír na nÓg, dzięki czemu jeszcze przed zachodem słońca znalazłem się w naszej chacie w Kolorado. Granuaile i Orlaith nie było, ale był chociaż Oberon.

<Atticus! No czas najwyższy! Siedzę tu sam jak palec od tyłu dni!>.

Skoczył do mnie, wymachując ogonem. Poglaskałem go.

– Dni? Jesteś pewien, chłopie? – To był długi dzień, ale miałem dziwną pewność, że nie minęły nawet pełne dwadzieścia cztery godziny, odkąd stąd wyszedłem.

<No, zdążyłem się już kilka razy zdrzemnąć po tym, jak mnie zostawiły>.

– Gdzie jest w takim razie Granuaile?

<Gdzieś w Indiach. Ojca jej opętało i Laksha zadzwoniła, żeby Granuaile jej z nim pomogła>.

– Co takiego?! Kiedy to się stało?

<No przecież mówię, że całe wieki temu! Granuaile zostawiła ci list na stole. Masz go przeczytać>.

– Hmm. Lepiej rzeczywiście od tego zacznę.

Była to tylko żółta samoprzylepna karteczka, która czekała na mnie w kuchni. Starannym pismem Granuaile, niebieskim atramentem zapisana była następująca wiadomość:

Atticusie!

Dzwoniła Laksha. Ojca opętało coś, co się nazywa raksojudź. Spotykam się z nią w świątyni Bryhadiśwary w Tańdzawurze. Postaram się zostawić tam wiadomość dla Ciebie. Znajdź mnie, proszę.

G.

21 października, godz. 9.10

– Oberonie, to nie było napisane kilka dni temu, tylko dziś rano!

<Hmm. Na swoją obronę mogę tylko powiedzieć, że poza tym jestem uroczy>.

– Nie ma jej już od dziewięciu godzin, a to o wiele za długo jak na przebywanie z Lakshą.

Nie ufam tej wiedźmie. Skąd ona w ogóle wzięła ojca Granuaile?

<Wydaje mi się, że ona znikąd go nie wzięła. Raczej chyba dopiero chce go szukać>.

– Czyli cała ta sprawa to może być jedynie podstęp Lakshy! A Granuaile, nie mając żadnych danych, poleciała tam zaraz na złamanie karku? – Zdenerwowałem się i ruszyłem od razu w stronę drzwi.

<Znaczy masz na myśli, czy zrobiła tak, jak ty to robisz w tej chwili? No tak>.

– I co to w ogóle jest raksojudź, na miłość ziemską?

<Gdybym miał zgadywać, to powiedziałbym, że szaszłyk z marynowanej wołowiny w pikantnym sosie>.

– Czekaj, masz rację – syknąłem, obracając się na pięcie i z powrotem wchodząc do chaty. – Pędzę na złamanie karku, a nie mam żadnych danych. Powinienem naładować komórkę i zostawić jej wiadomość na wypadek, gdyby wróciła, gdy my będziemy jej szukać.

<Hej, a tak w ogóle to czemu jesteś sam? Nie miałeś przypadkiem wyciągnąć z tamtej plaży tego starszego typka, który wytykał nas nieładnie palcem?>.

– No tak. Wyciągnąłem. Jest w Flagstaffie z kilkoma wilkołakami. Nic mu nie będzie... chyba.

<Nie słyszę pewności w twoim głosie>.

– Nie zna jeszcze najlepiej języka i jest w gorącej wodzie kąpany – mruknąłem, podłączając komórkę i odrywając kolejną żółtą karteczkę, żeby zapisać czas naszego wyjścia.

<Czyli byłby idealną gwiazdą filmów akcji, tak?>.

– Gdy po niego skoczemy, na pewno będzie gotowy na sekwencję walki, bo miałem wrócić tam w ciągu kilku minut, ale to nie może poczekać. To potencjalnie niebezpieczna sytuacja, więc masz się trzymać blisko mnie i mieć cały czas na baczności.

<Zrozumiałem, Dowódco Czerwonych>.

Poprawiłem sobie Fragaracha – bardziej chyba, żeby się pocieszyć tym, że go mam, niż dla wygody – i wyszedłem, żeby podejść do podłączonego drzewa.

– Nie byłem w Indiach całe wieki. Mam tylko nadzieję, że będzie jakaś nić blisko Tańdżawuru.

<Jak tam jest?>.

– A, racja, nigdy jeszcze nie byłeś w Indiach. No, przygotuj się na szok, chłopie. Ponad bilion ludzi i większość to wegetarianie.

<Ha-ha, zabawny jesteś>.

– Mówię poważnie, Oberonie. Krowy są święte. Nikt ich nie je.

<Czy ty mnie próbujesz nastraszyć?>.

Posłałem mu promienny uśmiech.

– Gotowy na tak przerażające doświadczenie? Chodź, Oberonie. Łapy na drzewo.

<Zaczekaj, Atticusie, naprawdę uważam, że powinniśmy to przegadać...>.

## Rozdział 4



Indie witają nas ciężkim powietrzem i chmurami nabrzmiętymi od obietnicy deszczu. Rechotanie żab i szum owadów zlewają się w pieśń o cyklach, głodzie, potrzebie i jej zaspokajaniu, o obrotach koła i wytrwałości. Mój pies od razu wyczuwa zmianę pogody.

<Mokre powietrze> mówi.

*Tak, dość wilgotne.*

Tańdzawur jest w większości otoczony polami ryżowymi, a do tego z rzadka napotkać tu można gaje kokosowe czy bananowe. Właśnie do jednego z takich gajów się przeniosłyśmy. Nad głową wiszą nam kiście bananów i mamy kilka mil do granic miasta. Mimo to jednak nic i tak była znacznie bliżej, niż się tego spodziewałam. W czasach, które Europa zwykła nazywać Wiekami Ciemnymi, Atticus podróżował po świecie i mozolnie łączył kolejne obszary z Tír na nÓg, a gdy już to zrobił, Brighid poleciła strażnikom faerycznym podtrzymywać je poprzez zagładanie do nich od czasu do czasu, upewnianie się, że nadal działają, i zastępowanie tych drzew, które umarły czy zostały usunięte przez ludzi. Część tych strażników pracowała dla Aenghusa Óga i przy okazji szukała Atticusa, ale w sumie wszystkie faerie i Tuatha Dé Danann zyskały na istnieniu tych nici.

Gaj bananowy znajduje się dość wysoko, tak więc po włączeniu noktowizji widzę z pagórka nawet kanał, który wpływa do miasta. Wzdłuż niego biegnie jakaś ścieżka, a może to ulica. Postanawiam, że nią pójdę, bo zakładam, że po drodze spotkam kogoś, kogo będę mogła zapytać o drogę do świątyni. Większość ludzi już zamknęła się w domach na noc, ale na pewno przecież ktoś jeszcze będzie na dworze. Na Orlaith też rzucam zaklęcie noktowizji i biegniemy razem w stronę kanału. Po ogonie widzę, jak ją to cieszy.

<Radość! Nowe zapachy!>.

*Zupełnie inne, prawda? – mówię.*

Gdzieś tu musi być świeżo ścięta trawa czy siano, a w powietrzu unoszą się aromaty przypraw opowiadające nam o tych rozpustnych domowych curry i zapachowych kadzidłach. Gdy przechodzimy koło domu o otwartych oknach i zapalonych światłach, słyszymy drżące dźwięki czyneli i struny zawodzące ponad rytmem wybijanym na skórach bębenków. Głosowi z nagrania wtóruje drugi – nietrzymający melodii, nieszkolony, beztroski.

W końcu, gdy wbiegamy na drogę wzdłuż kanału, widzimy jakichś ludzi. Część z nich wpada w popłoch na widok Orlaith – wielkiej, pędzącej i bez smyczy. Wywołujemy ciche okrzyki, wzdrygnięcia i westchnienia ulgi, gdy już ich mijamy.

<Ludzie przestraszeni. Dlaczego? Dobry piesek, tak?>.

*Jesteś najkochańszą psiną na świecie, ale oni o tym nie wiedzą, a trochę ich zaskoczyłaś. Nie przejmuj się tym. Po prostu trzymaj się blisko mnie.*

<Najlepszy człowiek. Kochać Granuaile>.

Spada na mnie kilka kropel deszczu i uświadamiam sobie, że powinnam jak najszybciej spytać jednak o drogę. Przecież moje założenie, że świątynia znajduje się w środku miasta, może być mylne. Namierzam jakąś parę i daję Orlaith znać, że chcę zwolnić, żeby z nimi pogadać.

Zatrzymują się natychmiast na nasz widok, a mężczyzna odruchowo zasłania przed nami swoją żonę czy siostrę. Nie znam ani tamilskiego, ani hindi, ani w ogóle żadnego z kilkunastu innych języków używanych w Indiach, więc mogę tylko liczyć na to, że znają angielski na tyle, żeby mi pomóc.

– Świątynia Bryhadiśwara? – pytam, unosząc ręce w rozpaczliwym geście. Ale gest zupełnie przepada, bo wzrok mają i tak utkwiony w Orlaith.

*Usiądź na chwilę i staraj się wyglądać uroczco i nieszkodliwie* – mówię jej, a ona natychmiast wykonuje moją prośbę.

Potem powtarzam pytanie i para w końcu w ogóle mnie zauważa. Muszę powtórzyć je jeszcze dwa razy, wreszcie mężczyzna unosi rękę i wskazuje mi kierunek, w którym i tak biegłyśmy. Teraz, gdy już mnie zauważył, wyraźnie się zastanawia, czy nie stanowią jeszcze większego zagrożenia niż pies.

Tak, dobry człowieku, stanowią.

Mam wrażenie, że przez te moje tatuaże nieznajomy bardzo niechętnie patrzy mi w oczy i wolałby chyba w ogóle ze mną nie rozmawiać. Celtyckie plecionki z pewnością nie przypominają niczego, do czego ci ludzie są przyzwyczajeni. Wyczuwają jednak, że to nie tylko ozdoba, i ta tajemnica budzi ich niepokój. Może nawet chcą spytać o znaczenie tatuaży, ale coś ich powstrzymuje. Niewykluczone, że to te noże przypięte do moich ud i kij w dłoni.

*Jesteśmy na dobrej drodze, Orlaith. Biegnijmy dalej.*

Kłaniam się lekko mężczyźnie i dziękuję mu, po czym znów biegniemy. Deszcz zaczyna padać z jakąś niepokojącą pilnością, jakby chciał nas poinformować o porządnej ulewie i zapewnić, że nim dotrzemy do celu, będziemy obie z Orlaith przemoczone do nitki. Z ulic znikają ostatni maruderzy, bo ludzie chowają się pod dachy, zostawiając nas w samotnej ciemności – i bogom dzięki, bo teraz możemy biec jeszcze szybciej.

Po jakichś dziesięciu minutach z mroku na lewo od nas wyłaniają się zarysy wieży. Świątynia jest podświetlona od dołu reflektorami i smugi deszczu lśnią w sztucznym świetle. Przebiegamy po moście nad kanałem i docieramy do celu. Wieża okazuje się zaledwie fragmentem większej, otoczonej wysokim murem budowli. Brama to wielka kamienna dziura w murze, wysoka na dobre dziewięć metrów i dwakroć tyle szeroka. Chowamy się w niej przed potokami deszczu. Wokół nas rozciągają się mury zdobione rzezbami wedyjskich bogów i ich czynów. Człowiek czuje się malutki, gdy stoi przy tak wielkiej budowli. Czeka tam na nas samotna postać – nie pod łukiem bramy, ale pod parasolką, otulona sari. Gdy podbiegamy bliżej, widzę, że to Laksha, a raczej ciało, które chwilowo zajmuje. Nigdy nie wiem, jak o niej myśleć – zmienia ciała jak my z Atticusem dowody tożsamości, ale teraz wciąż jest jeszcze w ciele Selai Chamkanni, które przejęła wiele lat temu po tym, jak wyprowadziła się z mojej głowy.

Na mój widok błyska bielą zębów, a ja też odpowiadam uśmiechem. Atticus pewnie myśli, że zbytnio jej ufam, ale wydaje mi się, że on po prostu nie rozumie, kim ona dla mnie jest. Kiedy jeszcze byłam barmanką w Rúli Búli, Laksha mogła zabić mnie w każdej chwili – więcej, takie rozwiązanie byłoby dla niej o wiele prostsze – a jednak nie zrobiła tego. Wiem, że jestem przy niej bezpieczna, bo kilka lat wcześniej moja śmierć byłaby dla niej wybawieniem, a mimo to żyję. Wiem to także dzięki temu, że mieszkała w mojej głowie. To wymaga niesamowitego zaufania. To relacja, którą trudno komuś wyjaśnić, nawet jeśli tym kimś jest Atticus. On uważa, że Laksha może w każdej chwili zmienić zdanie, i pewnie teoretycznie ma rację. Rozumiem w pełni, dlaczego inni się jej boją. Jej moc łatwo wykorzystać do złego i w przeszłości nieraz tak właśnie ją wykorzystywała, więc niewykluczone, że znów to zrobi. Ale wiem też, że ja osobiście nie mam się przy niej czego obawiać.

– Laksha! – wołam na powitanie i wślizguję się pod jej parasol. – Uściskałabym cię, ale jestem zupełnie przemoczona, a ty jeszcze nie.

– Uściskaj mnie i tak. Nauczyłam się cenić ten zwyczaj, a nie widziałyśmy się tak długo.

Głupio mi, że moczę jej ubrania, które są sto razy elegantsze niż cokolwiek, co kiedyś miałam na sobie. Od ramion po kostki otulona jest piękną czerwono-żółtą materią, która ułożona



jest jakoś niezwykle dramatycznie i sprawia wrażenie bardzo skromnej i głęboko zmysłowej zarazem. Między jej obojczykami spoczywa naszyjnik z rubinów, który służy jej zarówno jako przedmiot ogniskujący moc, jak i awaryjne schronienie dla ducha. Na czole między oczami ma rubinowe bindi.

– Świetnie wyglądasz – mówię, choć zauważam wokół jej oczu kilka zmarszczek, które świadczą o tym, że jednak się zestarzała.

Ona natomiast zauważa, że ja w ogóle się nie zmieniłam.

– Dziękuję. Ale nie aż tak dobrze jak ty. Co takiego wiedzą druidzi, czego ja nie wiem?

– Wiemy, jak zaparzyć odpowiednią herbatę. Co się stało z twoim złotym jabłkiem

Idunn?

Atticus zadał sobie wiele trudu, by je dla niej zdobyć. Miała wykorzystać jego nasiona, żeby zasadzić sobie własne drzewo i dzięki temu mieć dostęp do takiej samej wiecznej młodości jak bogowie nordyccy.

– Wyhodowałam aż dwa drzewa, ale wciąż nie owocowały. Mam nadzieję, że wkrótce zakwitną.

– Masz jeszcze dużo czasu.

– Wiem, ale to ciało nie jest już jednak tak wysportowane jak kiedyś. Jeśli jabłka szybko się nie pojawią, będę musiała znaleźć nowe. Ale to w końcu magiczne drzewa i pewnie dlatego tyle czasu zajmuje im zrodzenie owoców.

– Mogę ci zaparzyć „Młodości Czar”, jeśli chcesz – proponuję. – Twoje ciało wróci do sprawności dwudziestolatki i będziesz miała więcej czasu, żeby czekać na owoce.

– Umiesz to robić? Pan O’Sullivan cię nauczył?

– Tak. Będziesz musiała przeznaczyć na to trochę czasu, bo herbata ma efekty uboczne, ale nie jest to jakieś zabójczo trudne.

– Dobrze, porozmawiamy o tym później. Przyjechałaś tu przecież w sprawie ojca.

– Tak. Gdzie on jest?

– Nie wiem. Nie mogę wywróżyć jego położenia. Raksojudź, który go opętał, ma swoje zabezpieczenia.

Orlaith nie zmieściła się pod parasolem i otrząsa się z wody.

<Iść do środka? Pod dach?>.

To bardzo dobra propozycja. Głaszczę ją i przepraszam pospiesznie.

– Da się tu znaleźć jakieś suchsze miejsce, żeby pogadać? – pytam Lakshę.

– Oczywiście. Tu było po prostu łatwiej się spotkać. Znalazłaś świątynię bez problemu?

– No, raczej rzuca się w oczy.

– Dobrze. Idź za mną.

Laksha zaczyna oddalać się od świątyni i jestem trochę zawiedziona, że nie wejdziemy do środka. Nagle przypominam sobie, że przecież Atticus przyjdzie mnie tu szukać.

– Zaczekaj! – wołam. – Możemy zostawić wiadomość dla Atticusa? Dać mu jakoś znać, gdzie ma nas znaleźć?

Ogląda się przez ramię.

– Pan O’Sullivan też do nas dołączy?

– Tak. Nie wiem kiedy konkretnie, ale jestem pewna, że w końcu nas znajdzie.

– A zatem nie rozeszliście się w swoje strony?

– No... nie. Wcale tego nie chciałam. Nie wiem, czy pamiętasz, ale zabujałam się w nim po uszy, nawet zanim mi powiedziałaś, że jest druidem. Okazało się, że z wzajemnością.

– Rozumiem. – Deszcz pada dalej niezrażony naszymi głosami, gdy Laksha przetrawia tę informację; szum ziemskich spraw, spraw zupełnie niezależnych od ludzkich trosk. A potem: –

Nie możesz po prostu do niego zadzwonić? Albo puścić mu esemes?

– Jest teraz w jakiejś innej krainie.

– Z pewnością zadzwoni przecież do ciebie, gdy wróci?

Uśmiecham się i z żalem kręcę głową.

– Z Atticusem nie ma żadnej pewności.

– Trudno mi zagwarantować, że otrzyma wiadomość zostawioną dla niego w świątyni – mówi Laksha. – Nie ma innego sposobu, żeby się z nim skontaktować?

– No, nie wiem... A! Racja. Jest jeden. Poczekaj chwilę.

Spoglądam w dół i widzę, że stoimy na brukowanej uliczce, ale zaledwie kilka metrów dalej rozciąga się już flirtująca z murem świątyni trawa.

– Porozmawiam tylko z żywiołakiem i już możemy iść.

– Poczekam tu – mówi Laksha, a ja dziękuję jej skinieniem głowy i przechodzę na trawę.

Orlaith idzie za mną, znów się otrząsa.

<Co dzieje?> pyta.

*Porozmawiam jeszcze tylko z ziemią i wtedy będziemy mogły pójść w jakieś suche miejsce.*

<Dobry plan! Porozmawiać szybko?>.

*Postaram się.*

Nigdy jeszcze nie rozmawiałam z tym żywiołakiem i trochę się denerwuję, że muszę przedstawić mu się bez Atticusa. Ale wykorzystując moją łacińską przestrzeń myślową, przemawiam do niego poprzez sploty.

*//Powitanie / Harmonia / Wizyta nowego druida//*

Odpowiedź napęła mnie euforią, ale i wywołuje potrzebę introspekcji.

*//Groźna Druidka / Witaj / Harmonia / Bawić się dobrze na mojej ziemi//*

Wzdrygam się. Atticus mówił mi, że żywiołaki nadały mi przydomek Groźna Druidka, ale jednak co innego wiedzieć, a co innego samej to usłyszeć – a raczej w zasadzie poczuć. Żywiołaki nie posługują się oczywiście słowami, ale czuję, że obraz czy też koncept „druida” został w moim wypadku zmodyfikowany przez dodanie cechy groźności. Czy żywiołaki wiedzą o mnie coś, czego ja sama o sobie jeszcze nie wiem? Dlaczego nie jestem Miłą Druidką albo Łagodną Druidką o Pięknym Głosie?

*//Wkrótce przybędzie tu Druid // mówię, posługując się niezmodyfikowanym konceptem, który żywiołaki stosują w odniesieniu do Atticusa. //Muszę się z nim spotkać / Pytanie: Powiesz mi, jaka jest moja lokalizacja, gdy już się pojawi?//*

*//Tak//*

*//Wdzięczność / Harmonia / Pytanie: Jak powinnam cię nazywać?//*

*//Ja należę do rzeki zwanej przez ludzi Kaweri//*

Uśmiecham się na dźwięk tej nazwy. Oczywiście. Przecież Tańdzawur położony jest w delcie rzeki Kaweri.

*//Będę więc nazywać cię Kaweri / Harmonia//*

Gdy to już jest załatwione, Laksha prowadzi nas przez labirynt wąskich uliczek do skromnego domu znajdującego się jakieś pół mili od świątyni. Tańdzawur ma wiele drzew i kawałków niebrukowanej ziemi, a przed samym domem Lakshy znajduje się niewielki ogródek warzywny, który spokojnie może posłużyć jako punkt zaczepienia dla Kaweri.

Gdy jesteśmy już w środku, Laksha daje nam wszystkim ręczniki, a do tego jeszcze szlafrok dla mnie, bo chce wrzucić moje ubrania do suszarki. To mi się wydaje niepotrzebnym opóźnieniem.

– A nie wyruszamy natychmiast?

– Mamy czas, żeby się wysuszyć.

Daję jej więc moje ciuchy, wkładam szlafrok i wycieram Orlaith, tak że jest teraz tylko mokra, a nie ociekająca. Laksha parzy mi gorący masala čaj, a potem zabiera nas do pomieszczenia, które nazywa „warsztatem” – w domyśle „czarów”. Na podłodze widnieją jakieś koła: jedno chyba z soli, a drugie namalowane czymś, co może być zaschniętą krwią. Ostrożnie je wymijając, Laksha prowadzi nas do mahoniowego stołu pod najdalszą ścianą i zapala kilka świec. Na blacie leżą kawałki jakiegoś glinianego naczynia. Są zapisane sanskrytem i skomponowane tak, żeby tekst układał się w wersy. Orlaith przykłada pysk do krawędzi stołu i prychna kilka razy.

<Zły zapach> mówi i siada.

– To naczynie wykopano niedaleko stąd – mówi Laksha, wskazując mi blat. – Twój ojciec został zwabiony na wykopaliska na północ od miasta. Te napisy bardzo mnie martwią. Ostrzeżenie brzmi tak: „Niech to naczynie będzie zamknięte na zawsze. Ten, kto otworzy to więzienie, umrze, a na ziemię sprowadzi rakszasy”. A potem kilka słów pochwały Śiwy.

– I tyle? Nic o tym, kto lub co jest w środku?

Laksha wzrusza ramionami.

– Nie, ale możemy się domyślać. Jeśli to ktoś, kto ma władzę nad rakszasami, to albo jest to asura, czyli jeden z potężniejszych, walczących z dewami demonów, albo raksojudź. Asurowie mają raczej zwyczaj przyjmować własne fizyczne postaci, ale raksojudże muszą kogoś opętać. Twój ojciec jest opętany, więc najprawdopodobniej to raksojudź...

– Czekał. Ale dlaczego on musi kogoś opętać?

Laksha płoszy się lekko na to pytanie.

– Co wiesz o hinduskim cyklu narodzin i śmierci?

– No takie podstawowe rzeczy: ciało umiera, ale duch nie. Duch wraca w nowym ciele, za każdym razem starając się jak najlepiej postępować, żeby kiedyś wreszcie wrócić do źródła, tak?

– Otóż to. W każdym życiu ma się bardzo niewiele lub nawet w ogóle nie ma się żadnych wspomnień z poprzednich wcieleń. Te słowa natomiast sugerują, że ktokolwiek był tu uwięziony, stracił już dawno ciało, ale jego duch nie przeszedł dalej w cyklu, tylko został zamknięty w tym naczyniu. Prawdopodobnie próbował przedłużyć sobie tę określoną egzystencję poprzez opętywanie innych.

Wpatruję się w jej twarz w poszukiwaniu jakichś emocji. Nie znajduję żadnych.

– Przepraszam z góry, jeśli cię urażę, ale to mi dość przypomina to, co ty robisz.

– Wiem – odpowiada po chwili milczenia, a jej głos jest cichy i udręczony. – Jesteśmy bardzo podobni. W tym czymś widzę koniec ścieżki, którą o mały włos nie poszłam. I nie jestem pewna, czy ścieżka, którą wybrałam, jest dużo lepsza.

– No dobra, to jaka jest różnica między tobą a raksojudżem?

– Ja przejmuję tylko ciało. Nie chcę mieć nic do czynienia z duchem. Wypycham ducha i przejmuję jego mieszkanie... po prostu poryvam ciało. Raksojudź kontroluje zarówno ciało, jak i ducha.

– Czy nie to samo zrobiłaś ze mną?

– Nie. Z tobą dzieliłam się twoją głową. Zamieszkiwałam takie ścieżki i zakątki twojego mózgu, których nie używasz. Nie czytałam twoich myśli, jeśli nie chciałaś sama mi ich ukazać, i, z małymi wyjątkami, przejmowałam twoje ciało tylko wtedy, gdy mi na to zezwoliłaś. On natomiast wziął twojego ojca w niewolę. Wie to, co wie twój ojciec, pamięta to, co on pamięta. Z zewnątrz twój ojciec wygląda tak samo jak zawsze. Ale jego zachowanie wyda ci się zgoła inne.

– Co właściwie robi? Powiedziałaś, że wywołał zarazę.

– Tak. Dziś kończy się już drugi dzień zarazy. Liczba chorych rośnie. Szpitale są

przepełnione. Lekarze nie wiedzą, co robić, a ludzie czują, że choroba ma jakieś nienaturalne podłoże. Dziś po południu pod miastem spalono kobietę, bo była wiedźmą.

Nie uśmiecha się, gdy to mówi, choć czekam, aż to jednak zrobi. Gdy cisza trwa niepokojąco długo, podpowiadam jej:

– Żartujesz sobie, prawda?

– Mówię zupełnie poważnie.

– O bogowie. Rzeczywiście była czarownicą?

– Nie wydaje mi się. Była biedna i niezamężna, więc stanowiła łatwy cel. Nie bez powodu ubieram się jak zamożna mężatka.

– To okropne. Wierzyć mi się nie chce, że to się stało. W dzisiejszych czasach?

– Mnie nietrudno uwierzyć w fakty. Strach za nic ma postęp nowoczesności.

– W jaki konkretnie sposób on rozsiewa tę zarazę?

– Czy wiesz, co to jest rakszas?

– Tak mniej więcej. Jakiś demon, tak?

– Nie demon w judeochrześcijańskim sensie. To wyjątkowo podły człowiek, który odrodził się w postaci przeklętego półzycia. Rakszasy są zmiennokształtnymi i potrafią przemieniać się we wszystkie organizmy, w tym także w trujące opary. To mają, potęgą iluzji. Twój ojciec wzywa rakszasy i zamiast zżerać ludzi czy wyrwać im serca, czy cokolwiek tam mogłyby robić, nakazuje im wywoływać szybko postępującą chorobę, która zupełnie dezorientuje lekarzy. W ciągu dwóch dni zapadły na nią już setki osób. Te zarażone w pierwszej kolejności już nie żyją. Jutro sytuacja jeszcze się pogorszy i pojawi się w mediach międzynarodowych, bo setki zmieniają się w tysiące.

– Czyli co? Namierzamy go, potem ty wyciągasz tego raksojudża ze środka, a mojego ojca zostawiasz w spokoju?

– Och, dziecko, gdybyż to było takie proste, tobym w ogóle cię tu nie wzywała. Nie potrafię wyegzorcyzmować raksojudża bez zabicia twojego ojca. A gdybyśmy nawet uznały, że trzeba poświęcić twojego ojca dla wyższego dobra, czego wcale nie sugeruję, to raksojudż po prostu przeniósłby się do innego ciała, tak jak ja to robię. Tak jak i mnie, trudno go zabić. Albo trzeba go złapać i znów uwięzić albo zniszczyć na poziomie duchowym.

– A potrafisz zrobić którąś z tych rzeczy? Bo ja nie.

– Nie potrafię go złapać. Być może udałoby mi się go zniszczyć w sprzyjających okolicznościach. Będziemy potrzebować pomocy.

– Czyjej?

– By stawić czoło tak agresywnemu duchowi, potrzebujemy śakti, czyli boskiej broni.

Ogród sarkazmu podlewany jest niecierpliwością, a mój postanowił zakwitnąć właśnie w tej chwili.

– I gdzie się takową kupuje?

– Nie mam tu na myśli miecza czy włóczni. Mówię o dewi. O bogini. Mówię o Durdze.

– Nie bardzo wiem, jak miałabym ci w tym pomóc. Nie mam jej e-maila i nie widziałam jej jakoś na Twitterze.

– Skontaktowaniem się z nią sama się zajmę. Już zresztą zaczęłam. – Ale nim mam czas spytać, co ma na myśli, ciągnie niezrażona: – Miałam nadzieję, że ty natomiast będziesz wiedziała, jak odnaleźć twojego ojca.

Przychodzi mi do głowy, żeby poprosić Orlaith o odstawienie myku z wytropieniem ojca przez obwąchanie zbitego naczynia, ale wilczarze podczas pogoni z zasady kierują się wzrokiem, nie węchem, a zresztą po tak obfitej ulewie żaden pies nie zdołałby pewnie niczego wywęszyć.

– Czy ktoś próbował dzwonić do niego na komórkę?

– Już próbowałam tego rozwiązania. Mam swoje znajomości w policji. Ale jego komórka nie ma sygnału. Czy nie mogłabyś poprosić żywołaka o pomoc?

– Niestety nic z tego. Dla żywołaków ludzie są po prostu częścią ekosystemu, istotami bez tożsamości. Co innego druidzi, bo ci są spleceni z ziemią. Kaweri nie będzie potrafiła odróżnić mojego ojca od jakiegokolwiek innego człowieka w okolicy.

– A przez wywrócenie?

– Mogę spróbować. Nie jestem w tym najlepsza. Atticus jakoś nie skupiał się na tym za bardzo podczas szkoleń i naprawdę wątpię, żeby udało mi się go wywróżyć, skoro przecież tobie się to nie udało.

– Rozumiem. Czy w takim razie będziesz potrafiła chociaż wyleczyć chorych?

– Być może. Czy to może pomóc w znalezieniu ojca?

– Bardzo możliwe. Jeśli zaczniesz wyganiać jego rakszasy, ojciec może sam zechcieć cię znaleźć.

– Wyganiać?

– Czy nie wyraziłam się dość jasno? Ta choroba nie ma podłoża wirusowego czy bakteryjnego, ale jest bezpośrednim wynikiem wniknięcia rakszasów w ofiary. Ponieważ przyczyna zarazy jest nadnaturalna, medycyna jest wobec niej zupełnie bezradna. Leczą ty leczysz w sposób magiczny, więc być może skuteczniejszy.

– Czyli każdą z tych ofiar zamieszkał czy też opętał rakszas?

– Tak. To dlatego twój ojciec wciąż jest nieco ograniczony.

– Ale przecież powiedziałaś, że są już setki ofiar.

– Tak. I codziennie wzywa więcej rakszasów. Rośnie w siłę z każdym dniem.

– Bogowie. Przecież wszyscy ci ludzie... Jak długo zajmie ci jeszcze przywołanie Durgi?

– Poszczę i składam ofiary, ale to oczywiście od niej zależy, kiedy się pojawi. Pewna jednak jestem, że przyjdzie. Ten raksojudź niszczy dharwę, więc dewi będzie chciała przywrócić równowagę.

– Pojawi się w środku Tańdzawuru na lwie, z wszystkimi tymi dodatkowymi rękoma i w ogóle?

– Domyślam się, że wolałaby objawić się nam z dala od większości populacji.

Powinnyśmy spróbować zwabić twojego ojca w jakieś wiejskie okolice.

– Dobra. Możemy już iść? Zaprowadź mnie do jakiegoś chorego na obrzeżach miasta. Nie mogę tak nic nie robić. Nie zniosę tego.

– Tak, możemy iść. – Laksha kiwa głową. Klepie się po tkaninie upiętej na biodrach i gdy zauważa, że patrzę na nią zaskoczona, uśmiecha się lekko zażenowana. – Noże. To pewnie nerwowe, ale zawsze sprawdzam przed wyjściem, czy są na miejscu. Choć oczywiście wiem, że muszą tam być. Muszę zabrać jeszcze kilka rzeczy.

Bierze parę kadzideł, słoiczków z maściami oraz dwa miniaturowe gongi z tłuczkami. Wszystko to znika pod jej sari. Zaczynam podejrzewać, że ma tam jakieś kieszonkowe wymiary.

Moje ubrania nie są jeszcze zupełnie suche, ale przynajmniej nie ociekam już wodą. Trzęsę się z zimna i naprawdę nie chce mi się wychodzić z powrotem na zimny deszcz ani tym bardziej pożegnać ze szlafrokiem, który stanowił tylko krótkie interludium ciepła i wygody. Laksha daje mi dodatkową parasolkę i wychodzimy z powrotem na ulewę, a Orlaith drepcze przy nas.

Laksha prowadzi nas w milczeniu. Woda bębni o parasole i chlupie nam pod nogami, gdy podążamy krętymi uliczkami miasta. Potem idziemy błotnistymi drogami na obrzeżach pól ryżowych, aż docieramy do chałup, które usiłują udawać, że są schronieniami dla mieszkających w nich biedaków, ale raczej w pełni realizują koncepcję rudery, a nie domu. Ludzie, którzy się tu

gnieźdzą, pracują zbyt ciężko na zbyt mało.

Laksha puka do jednej z ruder i drzwi uchyla zmęczona kobieta o zmartwionej twarzy, błogosławiąc nas aromatem kadzideł, który deszcz natychmiast jednak zmywa w błoto. Z ciemności za nią wydobywają się jęki bólu i tylko nikły płomień świecy łagodzi mrok. Oczy kobiety rozszerzają się na widok Lakshy, potem jednak kłania się, składa ręce razem i z jej ust płynie ku nam potok muzykalnej piany języka, którego nie znam. Laksha odpowiada, daje mi szybki znak ręką, a potem kobieta otwiera szerzej drzwi i schodzi nam z drogi, zapraszając do środka.

Skromny pokój przechodzi płynnie w kuchnię na tylnej ścianie rudery. Zniszczona kanapa, która była kiedyś pomarańczowa, kuli się pod ścianą na lewo, jakby miała nadzieję, że jej nie zauważymy. Dwoje drzwi na prawo od nas pewnie prowadzi do jakiejś małej sypialni i jeszcze mniejszej łazienki. Jęki dochodzą zza jednych z nich.

Proszę Orlaith, żeby zaczekała na podłodze przy kanapie, i wchodzimy za kobietą do sypialni. Na posłaniu wije się i miota nastoletni chłopiec. Czoło ma mokre od potu, a oddech ciężki. Kadzidło walczy ze smrodem choroby, a deszcz bębni o dach.

Laksha kładzie dłoń na czole chłopca, a on drży pod jej dotykiem. Laksha trzyma tak dłoń kilka sekund, potem przesuwa na jego nagą pierś i kładzie na sercu. Kiwa głową i patrzy na zalane deszczem okna.

– Dobrze, że pada. To moczy ducha tak, jakby zmoczyło mojego. A hałas go denerwuje. Musimy zwiększyć ilość wody i hałasu.

– Rozumiem, że hałas może być denerwujący, ale jak ma się do tego wszystkiego deszcz, który leje przecież na zewnątrz? – pytam.

– Rakszas w ciele tego chłopca to twór z powietrza, a ściślej mówiąc, z eteru. W wodzie tonie. Musimy go zapakować do wanny.

Odwraca się i po tamilsku mówi do kobiety – domyślam się, że to matka chłopca – wyjaśniając jej, co musimy zrobić. Razem podnosimy biedaka z łóżka i zanosimy do łazienki. Ma na sobie tylko krótkie spodnie i ostrożnie wkładamy go w nich do wanny. Jest tak nieprzytomny, że zupełnie nie potrafi nam pomóc.

Laksha przykłada przy wannie i odkręca wodę. Chłopiec odskakuje, zaczyna się miotać i pojękiwać, ale nie otwiera oczu. My z matką pochylamy się nad nim, ale czuję, że moja bezradność jest pewnie tylko ułamkiem tego, co musi odczuwać ta kobieta.

Gdy wanna napełnia się powoli wodą, Laksha zaczyna wyciągać z sari swoje skarby. Prosi matkę o zapalenie kadzideł i kładzie małe gongi oraz pałki przy wannie. Jej głos zaczyna się z niej wylewać strumieniem śpiewu, gdy zdejmuje przykrywkę ze słóiczka ze słodko pachnącą maścią – zapach jest słodki, ale tak mocny i lepki, że aż zanoszę się kaszlem. Laksha zanurza palec w maści. Woda już zakrywa brzuch chłopca, a Laksha pisze mu coś maścią na czole i nie przerywa śpiewu. To wywołuje nową falę konwulsji u chłopca i cichy okrzyk paniki u matki. Laksha marszczy brwi, jakby nie była zadowolona. Być może oczekiwała jakiejś innej reakcji ze strony chłopca. Bez względu na to dalej śpiewa, a potem podnosi jeden z małych gongów i gestem nakazuje matce zrobić to samo. Zaczynają walić w nie jak szalone, robiąc taki hałas, że aż zęby bolą.

I o to właśnie chodzi. Hałas, zapachy, coraz więcej wody – to ma zmusić rakszasa do opuszczenia ciała chłopca. Tylko że ten rakszas jest akurat dość silny i wcale nie chce odpuścić. Ale huk gongów i głośne śpiewanie nie pozostają zupełnie bez skutku: chłopiec drży, siada, otwiera oczy. Gałki ma wyrócone jakoś tak, że widzimy same białka. Z jego gardła wyrывa się chaotyczny ryk i nie jest to z pewnością objaw nastoletniego buntu. Jego ręce, nagle zadziwiająco silne, chwytają brzegi wanny i próbuje wstać. Laksha wciska go siłą do wody i posyła mi to

spojrzenie, którym daje do zrozumienia, że ja mam się tym zająć. Ona ma gong i musi się skupić na śpiewaniu. Nie da rady robić wszystkiego naraz.

<Granuaile okej? Bardzo głośno>.

*Nic mi nie jest. Zostań tam bez względu na to, co będziesz słyszała.*

<Dobrze>.

Odkładam Scáthmhaide'a na ziemię i spoglądam kątem oka na matkę. Widzę, że płacze. Wcale jej się nie dziwię. I wtedy przypominam sobie, że z moim ojcem jest pewnie o wiele gorzej niż z tym chłopcem. Jeśli nie potrafimy poradzić sobie z tym rakszasem, jak możemy w ogóle się łudzić, że uda nam się z raksojudżem?

Samo utrzymanie chłopca w wannie jest o wiele trudniejsze, niż przypuszczałam. Walczy ze mną, uderza mnie, ochlapuje. Woda dochodzi mu już do piersi i wcale mu się to nie podoba. Laksha przerywa śpiew i wyjaśnia, dlaczego nagle jest taki ożywiony, mimo że jeszcze przed chwilą ledwo zapał.

– Rakszas atakował jego ćakrę serca i powoli odrywał go od życia. Wypędziłyśmy go teraz do głowy. W tej chwili jest tu, w szóstej ćakrze – mówi, wskazując bindi znajdujące się troszkę nad miejscem między jego brwiami.

Nie możemy przecież zanurzyć chłopca razem z głową. Na pewno wkurzyłyśmy rakszasa, ale nie aż tak, żeby go całkiem wygnać.

– Zobacz, czy nie dasz rady sama go już teraz uzdrowić – mówi Laksha, ale nie jestem pewna, jak bym się miała do tego zabrać. W ogóle niewiele dotąd zajmowałam się uzdrawianiem innych, a tu jeszcze jestem odcięta od ziemi. Zalecenie symptomów choroby i tak przecież nie pomoże na opętanie. Cokolwiek bym uleczyła teraz, rakszas natychmiast znów to zniszczy, gdy tylko przestanę leczyć, a bez źródła energii nastąpi to dość szybko. Mam jeszcze mały zapas w srebrnej końcówce Scáthmhaide'a i wykorzystuję go, żeby jakoś ulżyć chłopcu. Jego oddech się uspokaja, ale to by było na tyle. Rakszas bynajmniej nie opuszcza ciała. Potrzebujemy czegoś, co poradzi sobie z samym opętaniem, i uświadamiam sobie, że to coś wisi mi przecież na szyi. Zimne żelazo jest antytezą magii i mimo że Laksha nazywa to mają, jest to jednak jakaś magia i jej odmiana nie ma większego znaczenia.

Zdejmuję naszyjnik i owijam sobie złoty łańcuszek wokół pięści, a potem przyciskam amulet z zimnego żelaza do czoła chłopca i trzymam mocno. Reakcja jest natychmiastowa i przerażająca.

Jego ryk przechodzi w pisk, a dłonie zaciskają się na moim nadgarstku, próbują mnie odepchnąć, ale osłabione ciało chłopca nie ma już wiele siły. Jego matka zupełnie wariuje z niepokoju i zaczyna wrzeszczeć za moimi plecami. Z ust, nosa i uszu chorego ulatuje smolisty dym i zbija się w chmurę nad jego głową. Laksha na to właśnie czekała.

– Tak! Opuszcza go! Gdy tylko cały wypłynie z ciała, ciśnij żelazem w sam środek chmury!

Mój amulet nie jest zrobiony z jakiejś zabójczej ilości żelaza. Mogę mimo niego rzucać zaklęcia, choć wymaga to dodatkowej energii. Próbowałam rzucać zaklęcia bez amuletu i jest to o wiele skuteczniejsze. Żelazo bez wątplenia utrudnia wszelkie magiczne działania, a w połączeniu z hałasem, zapachami i wodą wystarczyło, by wygnać rakszasa z ciała.

Chmura smolistych oparów przesłizguje się nade mną w stronę matki, która blokuje wyjście, hałasując, ile się tylko da. A gdy dym przestaje już wylatywać z chłopca i jego ciało opada bezwładnie do wody, Laksha nakazuje mi szybko wstać. Zrywam się na równe nogi i ciskam zimnym żelazem w chmurę, która zwija się jak meduza albo może bardziej jak pająk wrzucony do wody. Zaciska swoje smugi dymu na mojej pięści. Nagle rzuca się na podłogę tuż przy toalecie, na prawo ode mnie, i ucieleśnia się w człowiekopodobną, czarną postać. Potem

pojawia się twarz – żywy koszmar z zakrwawionymi oczami i obscenicznym jęzorem zwisającym z rozdziawionej paszczy pełnej ostrych kłów. To prawdziwa postać rakszasa – niczym szpetny portret Doriana Graya – na chwilę pozbawiony przez zimne żelazo swojej zwykłej zdolności do przemieniania się i wywoływania iluzji.

Instynktownie próbuję się odsunąć, ale w tak małym pomieszczeniu nie mam nawet gdzie, bo zaraz za mną stoi wanna. Rakszas rzuca się na moją twarz, ale między nami błyska stal i zagłębia się w jego ciało, które jest teraz zupełnie prawdziwe i namacalne. Ostrze rozcina je i na podłogę tryska krew. Demon chwyta się za gardło i obraca swoje obrzydliwe oczy na lewo ode mnie, a Laksha natychmiast wbija nóż w jedno z nich. Rakszas zatacza się do tyłu, potyka o toaletę, siada na niej i z głośnym charkotem zdycha w takiej siedzącej pozycji – kolejny obrazek, który mogę spokojnie zapakować do teczki RZECZY, KTÓRYCH W ŻYCIU BYM NIE ZOBACZYŁA, GDYBYM NADAL BYŁA BARMANKĄ.

Chłopiec odzyskuje przytomność i woła matkę. Kobieta rzuca się do niego z ulgą i własnym ciałem zasłania mu okropny widok. Spoglądamy po sobie z Lakshą i bez słowa wiem, że musimy teraz usunąć stąd ciało. Zakładam naszyjnik z powrotem, ale wiem, że będę musiała zostawić tu na chwilę kij. Gdy wchodzimy do głównego pokoju, ciągnąc ciało, przychodzi mi na myśl, że pewnie łamiemy jakieś tabu – być może właśnie skazałyśmy się na bycie nietykalnymi. Nie znam się na kastach, nawet nie wiem, czy ten system jeszcze jest w ogóle przestrzegany, pytam więc o to Lakshę.

– Czy możemy tak zajmować się zmarłym? No wiesz, nie brukamy się jakoś w opinii tych ludzi?

– Myślę, że przymkną na to oko – odpowiada Laksha i wskazuje mi ruchem głowy matkę chłopca. – Nikt poza nią nie widział. I bardzo dobrze. Widok prawdziwego rakszasa wywołałby panikę i ściągnął uwagę władz.

Widząc, że kierujemy się w stronę drzwi, Orlaith wstaje i schodzi nam z drogi.

*Dobry piesek* – mówię jej, a na głos zadaję Lakshy nieprzyjemnie pilne pytanie:

– Co my z nim zrobimy? Wciąż pada.

– Bogom dzięki. Przynajmniej wszyscy siedzą w domach.

– Nie ma tu przecież gdzie go pogrzebać.

– Tak naprawdę powinien zostać spalony gdzieś daleko stąd, ale to niewykonalne.

Musimy przynajmniej znaleźć takie miejsce, gdzie nikt nie będzie próbował niczego zasadzić.

Tym miejscem jest dość zarośnięta ścieżka między domami, rodzaj zaułka, który przemienił się teraz w błotniste koryto. Kontaktuję się z Kaweri i proszę ją o pomoc w pochowaniu ciała rakszasa, uprzedzając ją przy okazji, że możemy robić takie rzeczy całą noc, żeby pomóc ludziom. Kaweri rozsuwa przed nami błoto o wiele szybciej, niż ja bym potrafiła to zrobić, a my wrzucamy ciało demona do tak powstałego grobu. Błoto zalewa trupa i problem zostaje rozwiązany. Żadnych świadków.

Orlaith, która wyszła za nami z domu, jest zupełnie zszokowana tym tempem, wręcz po psiemu oburzona.

<Tak szybko! Zakopać kości tak po prostu?>

*Twoje łapy też dość szybko zakopują* – zapewniam ją na pocieszenie.

– Jeden z głowy – mówi Laksha. – Teraz, gdy już wiemy, co działa, z następnym może pójdzie trochę szybciej. To powinno wywołać zainteresowanie twojego ojca. A przy okazji ratujemy przecież ludzi. To dobra karma.

Niewyraźny uśmiech na jej ustach każe mi przypuszczać, że to ostatnie jest dla niej być może najważniejsze. Trudno mi ją winić za to, że chce dobra innych, ale wolałabym, żeby istniał jakiś szybszy sposób na namierzenie mojego ojca.



– Czym ogniskowałaś magię, kiedy próbowałaś wywróżyć jego lokalizację? – pytam.  
– Fragmentami naczynia, w którym zamknięty był raksojudź. Przedmiot, którego ostatnio dotykał.

– No tak, ale ono nie należało tak naprawdę do ojca, bardziej do raksojudża. Może jakiś inny przedmiot byłby bardziej skuteczny, jakiś taki, który był bliżej z nim powiązany?

– Może – zgadza się Laksha. – Masz coś takiego przy sobie?

– Nie, ale może mogłabym zdobyć. Daj mi się nad tym zastanowić.

Laksha cofa się jeszcze do chałupy, żeby zabrać z niej przedmioty, które chyba należy nazwać przenośnym zestawem egzorcystki, wziąć mój kij i pożegnać się pospiesznie z rodziną.

Przykucam przy mojej zmokłej psinie, drapię ją za uszami i staram się wymyślić coś, co mogłoby mieć na sobie silniejszy odcisk mojego ojca niż potrzaskane kawałki tamtego glinianego naczynia.

Kiedy byłam mała, wysyłał mi różne błyskotki oraz kartki urodzinowe i świąteczne z najróżniejszych miejsc na świecie, a ja zabierałam je do swojego pokoju, otwierałam paczki w samotności i płakałam nad nimi, bo zawsze był taki kochany i słodki, mimo odległości, jaka nas dzieliła. Dla mnie było to nieskończenie lepsze od chłodu mojego ojczyma, który niby był przecież tuż obok. Tata wysyłał te kartki, nawet gdy już byłam dorosła, nigdy o mnie nie zapominał, zawsze upewniał się, że wiem, że o mnie myśli i mnie kocha. Mimo odległości.

Wciąż miałam jeszcze w naszej chacie kilka takich upominków od niego, choć ostatni dostałam ponad dwanaście lat temu. Oczywiście przestały przychodzić, gdy upozorowałam śmierć, żeby zniknąć i w tajemnicy kontynuować naukę. Czy którykolwiek z tych drobiazgów będzie miał jeszcze dość mocny ślad taty, żeby Laksha mogła go po nim znaleźć, skoro minęło tyle czasu i opętało go teraz coś, co ma własne magiczne zabezpieczenia? Bardzo chciałam, żeby odpowiedź brzmiała „tak”, ale rozsądek podpowiadał mi, że szanse są bardzo marne. Pomysł Lakshy, żeby po prostu zabijać kolejne rakszasy, aż zwabimy tym raksojudża, pewnie lepiej się sprawdzi. I da mi coś do roboty, żeby się tak nie zamartwiać na śmierć.

Kiedy wraca Laksha ze Scáthmhaide'em, od razu pyta, czy coś wymyśliłam.

– Nie – mówię, kręcąc głową. – Chodźmy dalej się bawić w egzorcystki.

## Rozdział 5



Przez te wszystkie wieki nauczyłem się jednego – nieodzownym następstwem miłości jest niepokój. Tych dwóch rzeczy nie da się nijak rozdzielić i nie mam tu na myśli niepokoju w sensie ciągłego wyłamywania sobie palców czy innych zewnętrznych oznak, ale tę cichą panikę, która już cię nigdy nie opuszcza, a czasami wybucha takim płomieniem, że aż cię dusi i nie widzisz już nic zza nagłej zasłony łez – panikę, że ktoś, kogo kochasz nad wszystko, może cierpieć, zginąć lub zostać ci odebrany na zawsze.

Wciąż niepokoję się o Granuaile.

Co nie znaczy, że nie mam zaufania do jej zdolności. Granuaile naprawdę potrafi poradzić sobie niemal ze wszystkim. Lecz Laksha Kulasekaran to właśnie jedna z tych niewielu rzeczy, które mogą ją wziąć z zaskoczenia. Wiem, że Granuaile jest przekonana, iż Laksha nigdy by jej nie skrzywdziła. Miałem podobne złudzenia co do Leifa Helgarsona, póki mnie nie zdradził.

Co do zasady Leif i Laksha są tacy sami – muszą zerować na ludziach, żeby zapewnić sobie przetrwanie. Są drapieżnikami i nie powinniśmy nigdy o tym zapominać.

Gdy tylko przenieśliśmy się do bananowego zagajnika pod Tańdzawurem, Oberon od razu, bez większego zastanowienia, wydał swój ostry osąd:

<Coś mi tu śmierdzi! To pewnie to bezmięsne powietrze? Nie podoba mi się to!>.

*Ej, no nie przesadzaj, nie jest aż tak źle.*

Mnie tam się zdawało, że powietrze jest dość czyste, pewnie dzięki porządnej nocnej ulewie. Ziemia była jeszcze miękka i ze wzgórza widać było stojącą niżej wodę. Poranne słońce już odbijało się od jej powierzchni i migotało mi w oczach.

<Masz mnie za piesteryka, co?>.

*Może troszkę. Musimy teraz znaleźć Granuaile i Orlaith i bezmięsne powietrze nie znajduje się zbyt wysoko na mojej liście zagrożeń. Świątynia jest kilka mil stąd, więc chodźmy już i trzymajmy się razem, dobrze?*

<Dobra> zgodził się Oberon, sadząc susy tuż przy mnie, gdy zbiegałem ze wzgórza. <Ale jak myślisz, daleko stąd do najbliższej kiełbaski? Tak tylko pytam, żeby oszacować ogrom niebezpieczeństwa>.

*Pewnie musiałbyś biec wiele mil.*

<I wiele mil od żru mnie dzieli... hej! To z filmu Tarantina, nie?>.

*Z którego?*

<*Grindhouse: Death Proof!* To ta didżejka rozmawiała z Motylem i powiedziała: „Lecz woła trzeźwy świat nadziei. I wiele mil od żru mnie dzieli”>.

*Ha! Nie, Oberonie, ten fragment brzmi: I wiele mil od snu mnie dzieli, a poza tym to cytat z wiersza Roberta Frosta.*

<Z czego wnioskuję, że Robert Frost nie pisał dla psów. „I wiele mil od żru mnie dzieli” brzmi o niebo lepiej>.

Świątynia Bryhadiśwary została wzniesiona w 1010 roku przez władcę z dynastii Cola i przyjąłem, że od tego czasu raczej się nie przesunęła. Ale kiedy przywitałem się z Kaweri, tylko żeby dać jej znać, że wpadłem w odwiedzin, od razu podała mi szczegółowe namiary na Granuaile i obiecała, że mnie do niej zaprowadzi. Wizyta w świątyni nie była więc w ogóle potrzebna.

Odetchnąłem z ulgą na wieść, że Granuaile żyje. Znaleźliśmy je na południe od miasta,

w okolicy rolniczej. Szły powoli wzdłuż pola ryżu. Oberon i Orlaith przywitani się i od razu zaczęli się bawić.

– Dziękuję, że przyjechałeś – powiedziała Granuaile i przytuliła mnie lekko.

Myślę, że gdybyśmy byli sami, oboje okazalibyśmy sobie więcej uczuć. W każdym razie wiem, że ja bym okazał. Laksha władała naprawdę przerażającą magią, która bynajmniej nie ograniczała jej możliwości do (i tak dość już przerażającego) zmieniania sobie ciała, a Granuaile nie miała przed czarami ochrony równie dobrej jak ja, więc w mojej głowie szalało stado myśli czarnych jak koboldy w kopalni. Miałem ochotę uściskać Granuaile mocno i powiedzieć jej, jak strasznie się cieszę, że ją widzę, ale skinąłem tylko głową Lakshy, na co odpowiedziała takim samym gestem, a potem odpowiedziałem Granuaile takim tonem, jakbym wcale się o nią nie zamartwiał:

– Nie ma sprawy. Wyglądasz na wykończoną. Co się stało?

– Pracowałyśmy całą noc. Wyganiałyśmy demony, mając nadzieję, że to wywabi mojego ojca z kryjówek. Na razie jednak nie wywabiło, a my jesteśmy zupełnie wycieńczone. Postanowiłyśmy zrobić przerwę i wrócić do pracy, gdy trochę odpoczniemy.

– Dobry plan. Opowiedz mi wszystko po drodze.

Szliśmy, a psy hasały za nami, wydając radosne warknięcia i podgryzając się czule.

Granuaile zrelacjonowała mi wydarzenia ostatniej nocy i wyjaśniła opracowany przez nie proces egzorcyzmowania demonów. Musiałem jednak dopytać o pewien jego aspekt.

– Wytłumacz mi to jeszcze raz: dlaczego woda na nie działa?

– Rakszasy są z eteru. Ich moce toną w wodzie.

Coś mi to przypominało.

– Ale żeby to zadziało, trzeba by je całkiem zanurzyć w wodzie czy wystarczy na przykład wzięcie prysznicą?

Granuaile spojrzała na Lakshę pytająco, a wiedźma odpowiedziała:

– Rakszasy atakują ciekłość serca, więc ofiarę trzeba zanurzyć i to najlepiej aż po szyję.

– A nie wystarczy kazać wszystkim zrobić sobie kąpiel?

– Nie. Rakszas przesunąłby się tylko do głowy i poczekał, aż ofiara wyjdzie z wanny.

A nawet to bardziej dla wygody niż z konieczności. Otoczenie go wodą odcina go od dostępu do eteru, ale nie zabija. Podobnie jak wtedy, gdy was odciąć od ziemi.

– Aha, rozumiem – powiedziała Granuaile.

Oboje zgodnie pokiwaliliśmy głowami. Takie porównanie unaoczniało nam to dość dobrze.

– Innymi słowy, woda nie wpływała na nie, gdy już się przesunęły do głowy ofiary? – upewniłem się. – Dalej miały dostęp do eteru i tylko hałas, zapachy, śpiewy i zimne żelazo je wyganiało?

– Otóż to – potwierdziła Laksha. – Ale i to z trudem.

– Rozumiem. Czyli to nie wystarczy, gdy znajdziecie ojca Granuaile. Żeby pokonać kogoś, kto potrafi wzywać rakszasy i narzucać im metodę atakowania ofiar, z pewnością będziecie potrzebowały czegoś więcej niż to, co dotąd robiłyście. Czy raksojudź jest też w ogóle istotą z eteru?

– Tak. Nawet bardziej niż rakszasy, bo nie potrafi wcale przyjmować własnej fizycznej postaci, choć robią to rakszasy, które wzywa. Raksojudź zmuszony jest zawsze opętać cudze ciało.

– Teoretycznie więc magia wody może mu zrobić krzywdę?

– Co kombinujesz? – spytała Granuaile. – Chcesz poprosić o pomoc Manannána Mac

Lira?

– Poniekąd. Być może. Laksho, załóżmy, że znalazłbym broń zrobioną z lodu, która się

nie topi i jest ostra jak stal. Jest zrobiona z wody i spleciona magią wody. Czy myślisz, że taka broń mogłaby zadziałać na raksojudża, gdybyśmy, powiedzmy, wbili ją w odpowiednią ćakrę?

Brwi wiedźmy uniosły się aż na czoło.

– Taka broń naprawdę istnieje?

– Tak. Pięć sztuk. Może więcej.

– Nigdy nie wspominałeś, że Manannán ma coś takiego – wtrąciła się Granuaile.

– Bo nie ma. Gaja pozwala mu pobierać energię z wody, ale jego magia wciąż uzależniona jest od ziemi – wyjaśniłem jej, a do Lakshy powiedziałem: – Muszę się upewnić co do jeszcze jednej rzeczy: w wypadku raksojudża... pytam, bo znasz się na nich z pewnością o wiele lepiej niż ja... to byłoby coś więcej niż dźgnięcie zwykłym sopłem lodu, tak? Albo czymkolwiek innym splecionym za pomocą ziemi? Bo tak jak każdy druid może wykombinować coś z lodu o dowolnym kształcie, ale nie potrafię sprawić, że będzie to zawsze ostre i nigdy się nie stopi. To by wymagało innego rodzaju magii.

– Tak, chyba tak – stwierdziła Laksha. – Jeśli naprawdę miałbyś dostęp do broni zrodzonej z magii wody, pewnie wystarczyłoby zadać ciosy w ćakry czwartą i szóstą, czyli w ćakry serca i trzeciego oka. To by go zmusiło do opuszczenia ciała.

Granuaile uniosła dłonie.

– Nie bardzo mi się podoba plan, który ma polegać na tym, że dźgamy mojego ojca w głowę i serce.

– Nie, nie – zapewniła ją Laksha, a na jej ustach zagościł tak rzadki u niej uśmiech. – Chodziłoby tylko o przecięcie węzłów, o zatkanie ćakr magią wody, tak żeby raksojudż nie mógł utrzymać się w ciele. Wystarczyłoby naciąć skórę. Musielibyśmy zobaczyć jego krew, być może pozostałaby mu po tym blizna, ale nic nieuleczalnego. A dodatkowa korzyść byłaby taka, że przynajmniej nic nie mogłoby już go później opętać.

– A potem co? – spytała Granuaile. – Znaczący, po tym, jak węzły zostałyby przecięte?

– Raksojudż byłby zmuszony opuścić twojego ojca i próbowałby opętać kogoś innego, ale na to mu nie pozwolę. Będę z nim walczyć w eterze i zwyciężę.

Było to dziwnie optymistyczne stwierdzenie, ale to Granuaile zadała pytanie, które przyszło mi do głowy.

– Skąd wiesz, że zwyciężysz?

– Robiłam już takie rzeczy. On nigdy nie musiał walczyć poza ciałem, ale ja tak.

Jakoś nie wydawało mi się, żeby to stanowiło gwarancję zwycięstwa, ale zamilczałem. Ukryłem też radość z tego, że Laksha właśnie zdradziła mi sekret, jak ją pokonać, jeśli kiedyś stanie się to konieczne. Teraz już wiedziałem, że i ona jest istotą z eteru.

Granuaile postanowiła nie komentować nijak oświadczenia Lakshy i zwróciła się do mnie:

– To niby skąd weźmiemy te pięć lodowych noży?

– Obawiam się, że uda się zdobyć najwyżej jeden. Musiałabyś skoczyć w Himalaje. Tam spytaj yeti, czy ci da.

Oberon przerwał zabawę z Orlaith, żeby wtrącić:

<To brzmi jak jakiś teleturniej! SPYTAJ YETI! Moje pierwsze pytanie brzmi: czy potrafisz rozmrażać steki czy tylko je zamrażasz?>.

– Mówisz poważnie? – zdumiała się Granuaile. – Przecież sam się przyznałeś, że Wielka Stopa to była tylko twoja ściema.

– Tak, Sasquatch nie żyje, jeśli w ogóle to był on. Ale yeti chodzą po tym świecie od około tysiąca dwustu lat. I mówią po staroirlandzku.

– Co takiego? Jakim cudem?

– Ale nie możecie nikomu pisać o tym ani słowa. – Uniosłem palec. – Musicie mi obie przysiąc, że dotrzymacie tajemnicy.

– Zaczekaj – powstrzymała mnie Granuaile. – Nim cokolwiek powiesz... Czy aby nie złożyłeś komuś podobnej obietnicy?

– O kurna. No, tak, tak, złożyłem. Ale on chyba nie miałby nic przeciwko zrobieniu wyjątku w tej sytuacji. Upewnię się. To nie powinno długo potrwać. Zaczekacie tu?

– Zaczekamy w moim domu – odezwała się Laksha. – Jesteśmy zmęczone i musimy coś zjeść.

<Lepiej powiedzcie Orlaith, że nie ma szans na mięsko na śniadanie>.

– Gdy wrócisz, poproś Kaweri, żeby wskazała ci drogę do domu Lakshy – powiedziała Granuaile. – I pospiesz się. Jeśli mam iść w Himalaje, żeby pokonać to paskudztwo, to wolałabym jak najszybciej wyruszyć.

– Będę się spieszył – obiecałem jej i razem z Oberonem pobiegliśmy z powrotem do bananowego gaju, skąd przenieśliśmy się do Tír na nÓg i wylądowaliśmy przy drzewie rosnącym tuż obok posiadłości Manannána Mac Lira. Mieliliśmy farta, bo Manannán akurat wracał do domu ze swojej zagrody z wieprzami. Na nasz widok na jego twarz opadła ciężka zasłona niepokoju.

– Witaj, Siodhachanie. Mam nadzieję, że nie sprowadza cię tu żadne nieszczęście.

– Witaj, Manannanie Mac Lirze. Musimy porozmawiać na osobności. Czy mógłbyś zasłonić nas przed oczami i uszami innych?

Niepokój na jego twarzy tylko się pogłębił, ale bóg natychmiast wypowiedział zaklęcie, które spowilo nas mgłą, by ukryć nas przed tymi, którzy potrafią czytać z ruchu warg, a do tego zamknęło nas w niewielkiej dźwiękoszczelnej bańce. Wiedział dobrze, że w jego posiadłości aż się roi od faerii, które delikatnie mówiąc, nie grzeszyły dyskrecją (a mówiąc wprost: były po prostu szpiegami).

– Chciałem cię prosić o zwolnienie z przysięgi. Muszę opowiedzieć Granuaile prawdziwą historię yeti.

Słuchał w milczeniu, gdy wyjaśniałem mu, dlaczego Granuaile potrzebuje lodowego noża yeti, a potem pozwolił mi zdradzić ten sekret jej i Lakshy, ale tylko pod warunkiem że złożą one podobne obietnice zachowania tajemnicy.

– Mam też coś, co ci się przyda. Chodź ze mną.

Zaprowadził nas za zagrodę z wieprzami, gdzie miał rzeźnię. Po drodze wytłumaczył mi, jak najszybciej dotrzeć do yeti. Potem zapakował w szary papier kilka kilo cudownego bekonu młodości i podał mi tę paczkę.

– Będą na to czekać.

Oberonowi natomiast dał kość szynkową z mnóstwem mięsa i jeszcze dorzucił drugą dla Orlaith. Mój pies tak się tym podekscytował, że z trudem panował nad sobą.

<Ale ją zaskoczę! Żadnych sojowych kotletów dla Orlaith! Mowy nie ma!>.

Kiedy, pożegnawszy się z Manannánem, przenosiliśmy się z powrotem do Indii, wsłuchałem się w swoją paranoję i zatrzymałem na chwilę przy drzewie, żeby zobaczyć, czy aby nikt nas nie śledzi. Nie minęła minuta, a przede mną pojawiła się latająca pixie o żółtych skrzydełkach i z rozpędu rąbnęła w moją pierś. Odbiła się od niej, a na jej twarzy zobaczyłem panikę, która zniknęła natychmiast, razem z nieszczęsną faerią, gdy rozsypała się ona w popiół zniszczona moją żelazną aurą.

– Cholera. Chciałem ją przedtem przesłuchać.

<Jak dla mnie tak jest nawet lepiej. Będę mógł szybciej podarować Orlaith tę szynkę. No, chodźmy już!>.

Uśmiechnąłem się do mojego psa.

*Dobra, chodźmy.*

Kaweri poprowadziła nas do skromnego domu w mieście. Przed budynkiem znajdował się ogródek warzywny. Robiłem, co mogłem, żeby w biegu uciszyć kłębiące się w głowie niepokoje. Był to piękny poranek i jak słusznie zauważył Oberon, szkoda by było nie doceniać tego, jak nam dobrze.

<Słuchaj, Atticusie, mamy zarcie, mamy słońce, mamy siebie i zaraz będziemy z naszymi pięknymi paniami, które nawet nas lubią. Mam nadzieję, że mnie słuchasz. Bo to ważne>.

*Masz rację, Oberonie. To ważne.*

<Moim zdaniem życie jest jak kość szynkowa, znaczy, jeśli je dobrze przeżyjesz. Cieszysz się nią, a potem ją zakopujesz, gdy już skończysz. Jeśli się nią nie nacieszysz, to kość się zupełnie zmarnuje, a zakopać i tak będzie trzeba, więc już lepiej się tym wszystkim nacieszyć, ile się da>.

*To prawda.*

Gdy zapukałem, otworzyła nam Laksha. Zaprosiła nas do środka.

<Szepnąłbyś Bystrej Dziewczynie, żeby powiedziała Orlaith, że przyniosłem jej jedzenie?>.

Trzymał w pysku obie kości, tak że mięso zwisało mu po bokach.

Przekazałem oczywiście wiadomość, a Orlaith podeszła od razu, wymachując ogonem i szcękając na powitanie. Otworzyła pysk i chwyciła kość z lewej strony Oberona. Wypuścił ją, a Orlaith rzuciła kość na podłogę i polizała go z wdzięczności po pysku. Tak się tym przejął, że aż mu wypadła i jego kość. Zaszczekał radośnie.

<Atticusie! Ona mnie pocałowała! Widziałeś to? Ona mnie kocha!>.

*No, widziałem, chłopie, ale nie wiem, czy możesz od razu z tego wnioskować, że...*

<O wielki Oberonie, Panie Wszelkich Mięsiw! Jam jest kielbasą o poranku i kością nocną porą! Jam jest nosicielem wołowiny i głosicielem słodkich kolacyj! Mój ci jest kurczak i sos na wieki, mniamen!>.

*Oberonie, odnoszę wrażenie, że twoje ego wymknęło się nieco spod kontroli.*

<Nie darz nienawiścią Pana Mięsiw, Atticusie. Darz go stekiem, sosem i słowem pochwały>.

Psy uwały się na podłodze obok siebie, zupełnie blokując drzwi, i wgrzyły się w kości, radośnie wymachując ogonami, które objęły się o siebie nawzajem. Pozostawiłem je skupione na tym mięsnym pojedynku i poszedłem do kuchni, gdzie Laksha i Granuaile już siedziały przy okrągłym stole. Laksha wyjaśniła, że na śniadanie są owoce. Pośrodku płaskiego, okrągłego talerza migotały trzy świece, które pachniały wanilią i przyprawami, a wokół stały miseczki pełne plasterów melonów i bananów oraz rozmaitych jagód. Przy każdej leżały szczypczyki do nabierania. Dzbanuszek ze śmietanką – pewnie symbolizujący owoc krowy – czekał cierpliwie, aż polejemy nią wybraną mieszankę owoców. Wybrałem jeżyny i melona, podziękowałem Lakshy za gościnność i kazałem im przysiąc, że nikomu nie zdradzą tajemnicy yeti. Gdy to zrobiły, zacząłem opowiadać:

– Postaram się nie rozwlekać zbytnio tej opowieści, bo jednak najważniejsze, żebyśmy teraz nie tracili czasu. Granuaile, wiesz pewnie, że Manannán Mac Lir już w przeszłości nawiązywał pewne stosunki handlowe z nordyckim panteonem. Pamiętasz może tę mapę dziewięciu krain, którą ci pokazywałem, a którą dostał od pewnego Álfara?

Skinęła głową, ale nic nie powiedziała, bo usta miała pełne truskawek i śmietany.

– Dobrze. Sęk w tym, że tysiąc dwieście lat temu, kiedy jeszcze wędrowałem po świecie i splatałem go z Tír na nÓg, Manannán utrzymywał z Jötunheimem nie tylko stosunki handlowe, ale i seksualne.

Granuaile aż jęknęła z pełną buzią.  
– Zdradzał Fand?!  
– Tak. I nadal to robi. I Fand odpowiada mu tym samym. Miała kiedyś między innymi dość słynny romans z Cu Chúlainnem.  
Granuaile unosi palec, przetyka i mówi:  
– Mają taki otwarty związek?  
– Nie do końca. Próbują trzymać swoje miłości w sekrecie, póki tylko się da, a zarazem odkryć, co kombinuje to drugie. Przez co oboje nabrali niezłej wprawy w ukrywaniu różnych różności i namierzaniu ich.  
– Aha. Ale jednak Fand nigdy nie dowiedziała się o tamtym romansie z Jötunheimem, tak?  
– Tak. I Manannán wolałby, żeby tak to pozostało.  
– Czekał, bo do mnie tu dopiero dociera, co ty sugerujesz. Czy ty mi mówisz, że Manannán Mac Lir zrobił to z mroźną olbrzymką?  
– Tak. I ktoś pewnie powiedział „grrr”. – Wzdrygnąłem się na wspomnienie koszmarnego obrazka, który miałem nieszczęście widzieć kiedyś w Jötunheimie. – A olbrzymka zaszła w ciążę.  
Granuaile zamarła z łyżeczką jagód w połowie drogi do ust.  
– Nie mów!  
– Mówię. Musiała uciec z Jötunheimu, bo mroźne olbrzymy zabiłyby wszystko, co nie było mroźnym olbrzymem. Nie mogła też schronić się w Tír na nÓg, bo Fand przecież w końcu by ją odkryła. Olbrzymka urodziła więc w Himalajach, czyli z dala od ziem nordyckich i irlandzkich, a reszty już się pewnie sama możesz domyślić.  
– Nie mogę w to uwierzyć. Mówisz, że yeti to tak naprawdę faerie?  
– Są faeriami w tym sensie, że mają dar magiczny, i są hybrydami człowieka z czymś innym, ale nie są bezradne w obliczu żelaza. I pozostałe faerie nie wiedzą w ogóle o ich istnieniu. Olbrzymka urodziła pięcioraczkę. Przyszły na ten świat z białym futrem i jasną, niebieską skórą. Kiedy podrosły, okazało się, że ze śniegu i lodu mogą zrobić, co im się tylko zamarzy.  
– A co się stało z olbrzymką?  
– Z początku mieszkała w Himalajach razem z yeti. Manannán odwiedzał ją, gdy tylko mógł, a poza tym miał też zaufanego spośród faerii, który odwiedzał ją, gdy bóg nie mógł sam się stawić. Potem okazało się jednak, że ten zaufany nie był aż taki zaufany. Gdy tylko yeti dorosły, mroźna olbrzymka chciała opuścić Himalaje. Powrót do Jötunheimu nie wchodził w grę, ale zaufany, który już wtedy był w niej zadurzony, zwrócił jej uwagę, że na ziemi istnieje więcej zimnych miejsc. Uciekła więc z nim do Manitoby, gdzieś w okolicy północnych brzegów jeziora Winnipeg. Wykorzystali nić, którą właśnie tam podłączyłem.  
– Skąd o tym wszystkim wiesz?  
– Bo pojawili się przede mną, ledwie skończyłem splatać nić! Faeria przeniósł ją z Himalajów do najnowszego zakątka Nowego Świata. Jako że to właśnie Manannán wyznaczył mi zadanie splatania nici, zgłosiłem mu to natychmiast.  
– O bogowie, boska komedia! I co on na to? Co zrobił?  
– Pozwolił im odejść. Było dość jasne, że nie planowali nic mówić Fand, a czuł, że olbrzymka zasługuje na tyle szczęścia, ile zdoła znaleźć. Przy okazji jednak wyjaśnił mi, co to za jedni, opowiedział o yeti i kazał złożyć obietnicę milczenia w tej sprawie. Podejrzewam też, że ci kochankowie rzeczywiście osiedli na północy i też mieli potomstwo. Tylko trochę straszniejsze niż yeti. Zgadniesz? Masz jedną szansę.  
Otworzyła szerzej oczy.

– Nie?! Nie wendigo?

– Owszem.

Granuaile w końcu przypomniała sobie, że właściwie to właśnie je, ale była już teraz zbyt przejęta, by do tego wrócić. Łyżeczkę pełną jagód upuściła z powrotem do miski.

– Jasna cholera! A co się stało z yeti?

– Wciąż są w Himalajach. Manannán utrzymuje je w stanie wiecznej młodości poprzez regularne dostawy swoich wyśmienitych produktów wieprzowych. I właśnie należy im się kolejna porcja. Dostarczysz im bekon i tym zwrócisz na siebie ich uwagę.

– Wciąż jest ich pięć?

– Tak. Przede wszystkim są rodzeństwem, więc nawet o tym nie myślą, ale i tak nie mogą się rozmnażać. Są jak muły. Na szczęście to, że jest ich tak mało, działa na ich korzyść. Wszyscy naukowcy zgodnie twierdzą, że w Himalajach nie może istnieć rozmnażająca się populacja yeti, i mają zupełną rację. Co nie znaczy, że nie ma tam yeti.

– I ani Fand, ani mroźne olbrzymy nie mają o tym pojęcia?

– Na pewno słyszeli o yeti, ale pewnie uznali je za legendy i nie, nic nie wiedzą o ich pochodzeniu.

– A tymczasem yeti mówią po staroirlandzku.

– Manannán je tego nauczył. Kiedy były małe, matka mówiła do nich po staronordycku, ale potem rozmawiały już tylko z Manannánem, a minęło całkiem sporo czasu.

Granuaile przyłożyła dłonie do głowy, a potem wydała cichy dźwięk, jakby jej ta głowa wybuchła.

– Puff! To się w głowie nie mieści! – Pochyliła się w moją stronę, skrzyżowała ręce przed sobą na blacie. – Znasz więcej takich tajemnic?

– Tak. Ale jak ci je zdradzę, to już nie będą tajemnicami.

– Nie bądź taki, podziel się ładnie.

– W przeciwieństwie do większości amerykańskich obywateli wyrobiłem sobie odporność na szantaż emocjonalny kryjący się za takimi sloganami.

Uśmiechnęła się.

– Niech ci będzie. Zostawimy sobie te tajemnice na później. A teraz chciałabym wiedzieć, dlaczego nie wybierasz się ze mną w te Himalaje. Bo wnioskuję z twoich słów, że się nie wybierasz.

– Hmm. Pamiętasz tamtego staruszka z wyspy?

– Jasne. Miałam właśnie o niego zapytać. Wszystko z nim okej?

– Tak. To druid i może mi naprawić tatuaże.

– Druid, mówisz? Robi się ciekawie. Nie chciałeś, żebym go wcześniej poznała.

– I nadal nie chcę. W ciągu pięciu minut wdałby się w bójkę z tobą.

– Niby skąd to wiesz?

Dotąd nie zdradziłem jej tajemnicy jego tożsamości, ale uznałem, że dłuższe ukrywanie tego już nic nie da.

– Bo to mój archdruid.

– Serio?!

– No. Kłótniwy jak nikt. Nazywa się Owen Kennedy. Obiecuję, że was później z sobą poznam. Rzecz w tym, że czuję się za niego odpowiedzialny, a poza tym bez zdolności do przemieniania się jestem jak bez ręki. Pomyślałem, że mógłby mi to naprawić, bo ty jesteś teraz na to zbyt zajęta, a przy okazji mógłbym go nieco ucywilizować, nim się poznacie. Co o tym myślisz?

– Hmm. – Granuaile odchyliła się do tyłu w zamyśleniu. – W sumie chyba plan jest



dobry, bo pewnie nie dałbyś rady zrobić nic więcej, niż już i tak robię. Ale nie bardzo wiem, jak mam znaleźć te yeti.

– Weź bekon. Wyczują zapach. I rozglądaj się w magicznym spektrum. Ukrywają wszystko, nawet siebie, za śniegiem i lodem, ale to tylko magia, więc ją przejrzysz. Koniecznie pamiętaj pozdrowić ich od tatusia. – Przekazałem jej wszystkie instrukcje, które dostałem od Manannána, i życzyłem powodzenia. – Kiedy skończę, wrócę do naszej chaty.

– Okej. Będę tam zostawiać wiadomości, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Równocześnie spojrzeliśmy na Lakshę, która milczała przez cały ten czas i nie tknęła też zupełnie jedzenia.

– Kiedy was nie będzie, zrobię, co w mojej mocy, żeby zminimalizować straty – odezwała się teraz. – I może uda mi się namierzyć twojego ojca. Dam ci klucze do tego domu i będę tu zostawiała wiadomości, gdy będę wychodzić.

– Dziękuję – powiedziała Granuaile, a jej wzrok przesunął się na pustą przestrzeń przed Lakshą. – Nie jesz? Czy to element wzywania Durgi?

– Tak. Post, rytuały i modlitwa pomogą przyciągnąć jej uwagę.

Gdy już zapadła decyzja, niewiele było do powiedzenia. Oberon nie chciał opuszczać Orlaith, a i mnie nie uśmiechało się zostawienie Granuaile, ale przynajmniej miałem poczucie, że nie jest tak źle z intencjami Lakshy, jak podejrzewałem przedtem, a Owen naprawdę potrzebował teraz pasterza. Nie było mnie niecałe dwie godziny, ale jednak i tak było to o wiele dłużej, niż mu obiecałem. Miałem tylko nadzieję, że nie wyczerpałem tym samym studni dobrej woli u Sama i Tya. W końcu wcisnąłem im pod opiekę faceta, który mógłby dostać antypokojową Nagrodę Nobla.

Rozstaliśmy się z Granuaile pełni niepokoju, ale i nadziei, że uda nam się stawić czoło nadchodzącym wyzwaniom.

Niestety moje obawy co do archdruida okazały się niebezpieczne. Gdy tylko przeniosłem się z porannego Tańdzawuru do wieczornego Flagstaffu, usłyszałem warknięcia, ryki i oklaski dochodzące z lasu za domem Sama Obrista. Wrzuciłem noktowizję i pobiegłem za hałasem.

Grupa mężczyzn i kobiet stała w sporym kręgu. Zagrzewali do walki dwie istoty znajdujące się w środku. Jedną z nich był wilkołak, a drugą Owen w swojej niedźwiedziej postaci. Obaj cali we krwi.

Wśród widowni stał też Sam Obrist i uznałem, że mam przed sobą pewnie całą Watahę z Flagstaffu. Pojęcia nie miałem, co takiego zrobił albo powiedział Owen, że ściągnął na siebie ich gniew, ale nie mogłem przecież dopuścić do tego, by go rozszarpali bez próby wyjaśnienia sytuacji.

*Oberonie, musimy ich rozdzielić. Nie możemy pozwolić, by zabili niedźwiedzia.*

*<Jestem po stronie misia? A to prawdziwa nowość>.*

*Niedźwiedź to Owen. Wpadnij tam ze mną i wyglądaj groźnie. Spróbuj odstraszyć wilki, ale staraj się nie dać wciągnąć w zbyt poważną walkę.*

Zacząłem biec w stronę kręgu, pobierając moc ziemi, by przeskoczyć ponad widzami i wylądować w środku.

*<Szczerze mówiąc, nie kumam, czego ty ode mnie chcesz. Mam się dać wciągnąć w wesołą walkę czy jak?>.*

*Nie, no... w ogóle się nie angażuj. Tylko warcz.*

*<Okej>.*

Wykorzystując część energii, przeskoczyłem ponad tłumem i wylądowałem przy niedźwiedziu, który krążył, żeby mieć wilkołaka przed sobą, gdy tymczasem wilkołak próbował

usilnie wziąć go z flanki i wskoczyć mu na grzbiet. Kilku widzów chciało krzyknąć ostrzegawczo, ale nie zdążyło. Kopnąłem wilka w tylną lewą nogę na tyle mocno, że upadł i wyleciał spoza zasięgu niedźwiedzi pazurów.

– Koniec! Koniec walki! – wydarłem się, choć wywołało to ryki i protesty ze wszystkich stron, nawet ze strony niedźwiedzia. Oberon przepchał się przez tłum i stanął przy moim boku, warcząc groźnie, gdy wilk wstał i obnażył zęby.

– Cholera! Ty, przestań! – krzyknął Sam, ale wilk, którym pewnie musiał być Ty, mąż Sama, albo naprawdę nie usłyszał, albo tylko udawał, że nie słyszy. Spiał się, żeby na mnie skoczyć, i to wystarczyło Oberonowi. Takiego zagrożenia nie był w stanie ścierpieć i rzucił się na wilka, który już był w powietrzu. Starli się w skoku i razem upadli na ziemię. Złapałem wilka od tyłu, chwyciłem rękami pod przednie nogi i przytuliłem.

Przytulanie nie należy zwykle do mojego repertuaru sztuk walki. Tym razem jednak chodziło mi o to, żeby dotknąć go w kark moimi srebrnymi charmsami. Zawył z bólu i odskoczył od Oberona, osiągnąłem więc pożądany efekt. Zacisnąłem ręce na jego piersi, wstałem, odrywając go zupełnie od Oberona i nakazując mojemu psu go puścić, a potem siłą postawiłem wierzgającą zwierzę przed jego alfą. Tam go puściłem, popychając go może nie tak znowu lekko w odpowiednim kierunku. Ogólny wydzźwięk hałasu wokół przeszedł z zagrzewającego do rozgniewanego, gdy wilkołaki poczuły smród srebra palącego futro i zobaczyły znak na karku wilkołaka. Najeżyło się całkiem sporo sierści wokół mnie i hałas robił się dość nieznośny, ale Sam powstrzymał Tya od kolejnego ataku na mnie, co oznaczało, że walka zakończona. Cieszyć się zwycięstwem mogłem może jakieś dwie sekundy – akurat zdążyłem spytać Oberona, czy nic mu nie jest, i usłyszeć od niego, że nic – nim mój archdruid poinformował mnie, że znowu jak zwykle wszystko spieprzyłem.

– Tak to ma już zawsze wyglądać, Siodhachan?! – ryknął po staroirlandzku i zrzędlawie. Przemienił się już z powrotem w człowieka i stał teraz z rękoma na biodrach, nagi i krwawiący z rozlicznych zadrapań. – Za każdym razem, gdy będę chciał się trochę rozerwać, będziesz mi się tu zjawiał nieproszony i psuł całą zabawę?

– Zabawę? – spytałem, wskazując wilkołaka. – Przecież on próbował cię zabić!

– Skądże znowu. To była przyjacielska rozgrywka, póki wszystkiego nie schrzaniłeś. Obaj jesteśmy dość wytrzymali i dobrze się leczymy. Zgodziliśmy się też nie tykać gardeł, kręgosłupów i jaj. I udało nam się to ustalić bez ciebie w roli tłumacza. Śmiem twierdzić, że jesteś nam winien przeprosiny.

Mogłem się niby klócić, że chciałem przecież ratować jego zrzędlawy tyłek i że naprawdę nie było czasu na grzeczne zapytania, czy przypadkiem nie znajduje się w niebezpieczeństwie, a szybka reakcja mająca na celu zapewnienie mu bezpieczeństwa była najrozsądniejszym wyjściem w tej akurat sytuacji, ale uznałem, że nie wypadnie to wszystko najlepiej i że lepiej nie drążyć tematu. Najlepsze wyjście to przyznać, że zawałem sprawę, i prosić o wybaczenie.

– Przepraszam – powiedziałem do Sama. – Źle zrozumiałem sytuację. Byłem pewien, że to pojedynek na życie i śmierć, a nie przyjacielska walka.

– Jesteśmy watahą, Atticusie – odparł alfa. – Gdyby to była walka na śmierć i życie, Owen musiałby stanąć przeciwko całej watasze, a nie tylko jednemu z nas.

– Oczywiście. Raz jeszcze przepraszam. Zadziałalem, zanim rozeznałem się w sytuacji. Powiedz, jeśli mogę wam to jakoś wynagrodzić.

W lesie zapadła cisza. Wszyscy wpatrywali się w Sama, ciekawi jego reakcji.

– Przeprosiny przyjęte. – Niemal widać było, jak napięcie znika z ramion członków watahy. – Nie naciąłeś skóry, a Tyowi nic nie będzie. Pozwalaj Owenowi wpadać do nas czasami na zabawę, a będziemy kwita. Tak trudno dziś o dobrego przeciwnika.

– Nie ma sprawy. Zresztą on naprawdę może robić, co chce. Muszę go tylko nauczyć języka i wtedy będzie sobie sam radził. Czy macie już wszystko, co trzeba wysłać Halowi Haukowi?

– Tak, już wszystko załatwione i wysłane. Możecie odebrać jego dokumenty za jakieś siedem, najwyżej dziesięć dni.

– Dziękuję. To w takim razie będziemy się już zbierać.

Odwróciłem się do Owena i spytałem, gdzie są jego ubrania.

– Gdzieś tu się walają, wciąż czekając na twoje przeprosiny.

– Już przeprosiłem.

– Nie mnie.

Nikt mnie nie potrafił tak doprowadzać do szału jak on. Sięgając do moich topniejących w zawrotnym tempie zapasów cierpliwości, powtórzyłem przeprosiny po staroirlandzku i powiedziałem, że naprawdę już czas na nas. Ociągał się jak mógł, ale w końcu się ubrał. Jego zadrapania już się zamykały. Przeskoczyliśmy we francuskie Pireneje, gdzie Owen miał mi pomóc odzyskać możliwość korzystania ze zmiennokształtności.

## Rozdział 6



Siodhachan twierdzi, że w dzisiejszym świecie Kennedy to świetne nazwisko. Że jakiś Kennedy był nie tak dawno prezydentem jakichś tam Stanów Zjednoczonych, co – jak rozumiem – ma oznaczać, że był cholernie ważny. Powiniennem być dumny, że ktoś o moim nazwisku był taką szychą.

– Oczywiście John Kennedy był katolikiem – dodaje – a to katolicy właśnie wyniszczyli druidów w Irlandii.

– Ugryź mnie w cyc, dobrze? – ripostuję.

Ale potem Siodhachan mówi, że cały ten JFK okazał się naprawdę niezły jak na przywódcę. Że wszyscy bracia Kennedy tacy byli, choć długo to może nie trwało.

– Jak to długo to nie trwało? – pytam.

– Johna zastrzelili. Jego brata też. I nigdy jakoś nie złapano tych drani, którzy to zrobili.

– No teraz to już ciskasz mi kamieniami w jaja – mówię.

– To nowe życie musi być dla ciebie jak ciągle kopanie w łeb – odpowiada.

Tak bardzo znowu się nie myli. Jest raczej jak kubeł zimnej wody co kilka sekund. Samochody i budynki, i co ci ludzie noszą na stopach? No i ta cholerna hydraulika!

Siodhachan pokazał mi ten cud nowoczesności dopiero po tym, jak mnie zabrał do lasu i kazał wypić tę swoją po trzykroć przeklętą herbatkę. W życiu bym nie przypuszczał, że sranie może być takim luksusem, a nie ryzykowaniem co dzień, że coś cię ugryzie w dupę. A kiedy żem go spytał, czemu od razu mi nie pozwolił użyć toalety przy tej herbacie, powiedział, że wszyscy wiedzą, że niedźwiedzie srają w lesie, a potem rechotał, kurna, jakby to było w ogóle śmieszne. Nie wiem, co miała do tego moja postać niedźwiedzia, ale powiedziałem mu, że niedźwiedzie kopią tyłki w lesie i że sam się o tym przekona, jak sobie będzie dalej robił ze mnie jaja.

– Powinieneś to wszystko spisywać – mówi. – Pomoże ci to szybciej się nauczyć języka i przetworzyć wszystkie dane.

– Druidzi nie muszą sobie niczego zapisywać – odpowiadam mu.

– Tak? I jak na tym wyszliśmy? – napada na mnie. – Rzymianie po prostu zmiotli nas z powierzchni ziemi i nigdy nikt nie poznał naszej wersji wydarzeń. Większość moich czasów, a w każdym razie mojej młodości, przepadła bezpowrotnie tylko dlatego, że nikt tego nie opisał. Wszystko, co wie o nas świat, pochodzi z jakichś żalonych wykopalisk. Kilka kamieni z paroma znaczkami pisma ogamicznego, które miały wyznaczać granice ziem, to raczej mało, żeby opowiedzieć, jak się rzeczy naprawdę miały. Ale o Juliuszu Cezarze to wie cały świat. Tak zresztą jak i o wszystkich kolejnych cesarzach. Stało się tak właśnie dlatego, że spisali wszystko i to przetrwało. Jeśli chcemy, żeby świat się o nas dowiedział, musimy pisać. I zrobimy to. Spiszemy razem naszą historię.

Ma trochę racji. Większość spraw zupełnie pieprzy, ale jednak zdarza mu się powiedzieć coś do rzeczy. Jeśli na przykład przymknąć oko na wstydlive skutki uboczne, to ta jego herbata bardziej mi pomogła niż tydzień seksu w jaskini. Mam znów mięśnie i ciemne włosy. I zniknął ten ból w kłykciach, zupełnie tak jak mi to obiecał. A chronienie się przed faeriami poprzez wplecenie w aurę zimnego żelaza – to naprawdę sprytny pomysł. W sumie, kiedy widzę, czego dokonał, to jestem z niego dumny. Ale też zrobił parę rzeczy tak głupich, że gdyby nie to, że pozostali druidzi i tak już nie żyją, tobym ich musiał pozabijać co do jednego, żeby mnie nie winili za jego wybryki.

Podobno ten język się nazywa „angielski”. W moich czasach takiego nie było. Jakaś zupa, nie język – wszystkiego po trochu z całej Europy. Mam się go niby uczyć ze współczesnym akcentem irlandzkim, a słowa mam wymawiać według brytyjskich reguł.

– Amerykanie przyjęli mnóstwo zupełnie nonsensownych zasad przez jednego takiego typka, który się nazywał Noah Webster – mówi Siodhachan. – A poza tym Amerykanie nie przeklinają tyle co ty, więc jak będziesz miał irlandzki akcent, to jakoś to lepiej będzie wypadło.

– I co? Może jeszcze mam załatwić sobie takiego irlandzkiego wilczarza jak ty?

– Pies to zawsze dobry wybór. Znam dobrą farmę z wilczarzami.

– Wal się w jaja, synek. Jak sobie człowiek kupi psa, to zaraz wszyscy chcą go głaskać.

Raczej kupię sobie, kurna, małpę i niech obrzuca ludzi łajnem, to się będą przynajmniej trzymać z dala.

No dobra, tego akurat nie powiedziałem. W życiu nie widziałem małpy i nawet nie wiedziałem, co zacz, póki kilka dni temu jedna taka nie cisnęła we mnie gównem. Teraz, kiedy przypominam sobie tę rozmowę i ją zapisuję, żałuję, że wcześniej nie wiedziałem o istnieniu tych stworzeń, bobym miał bystrzejszą ripostę.

Zamiast tego powiedziałem Siodhachanowi, że jeszcze nie jestem gotowy na żadne zwierzę. Mam tyle do nauczenia się, że nie nadawałbym się na przyjaciela żadnego zwierzaka, a zresztą nigdy nie byłem najlepszy w tego typu sprawach. Może jestem trochę konfliktowy. Siodhachan upiera się, że to angielskie słowo najlepiej opisuje mój charakter. Czy też usposobienie. Czy jakieś inne cholernie długie słowo na to samo. Angielski ma mnóstwo takich słów.

Poza tym ma jeszcze mnóstwo dziwacznych słów na bóle, na przykład w kłykciach, ale w zasadzie to wszelkiego rodzaju. Siodhachan mnie ostrzegł, że muszę uważać na zdrowie i leczyć się z każdej infekcji, jaka pojawi się w mojej krwi. Mówi, że jestem nieszczepiony i że nie mam przeciwciał czy też odporności na współczesne choroby; że padnę trupem w ciągu kilku dni, jeśli nie będę się uważnie obserwował i zwalczał każdej infekcji w zarodku. Wszystkie te długie słowa wymagają jeszcze dłuższych wyjaśnień i w końcu tracę cierpliwość i mówię mu, żeby się zamknął, gdy zaczyna mi opowiadać o współczesnych lekach, co je ludzie biorą, choć te specyfiki mają ponoć więcej skutków ubocznych niż choroby, które niby leczą.

– Wystarczyło powiedzieć: „Uważaj na zdrowie, tu jest mnóstwo paskudnych chorób” – mówię.

Siodhachan zabrał mnie do jakiegoś miejsca w Galii – która teraz nazywa się ponoć Francja – żebym mu naprawił tatuaże. Mówi, że jad mantykory jest paskudny, i nie kłamie. Jego skóra jest w strasznym stanie, mimo że już miał całkiem sporo czasu, żeby się uzdrowić. W życiu nie widziałem takiej rany.

– To najsilniejsza trucizna, z jaką kiedykolwiek miałem do czynienia – twierdzi. – I chyba nawet nie dostałem pełnej dawki, bo wyciągnąłem kolec, nim skończył pompować we mnie toksyny.

– Gdzieś ty się w ogóle natknął na tę mantykorę? – pytam. – Bo myśmy o nich słyszeli tylko od druidów z kontynentu. To oni nas uczyli, jak je poskramiać. Mówili, że to jakieś potwory ze Wschodu. Ale żadna nigdy się nie pojawiła w Irlandii.

A on na to:

– Nie uwierzysz, ale to było w Tír na nÓg, w domu Midhira. Mantykora była tam przykuta łańcuchem i tylko na mnie czekała. Umieścił ją tam ktoś spośród Tuatha Dé Danann. I domyślałam się, że to ta sama osoba owiązała Midhira żelaznymi łańcuchami i poderżnęła mu gardło, żeby się wykrwawił taki oderwany od ziemi.

– Bogowie niejedyni, synek, toż to straszna śmierć. Kto by zrobił coś takiego?

– Tego właśnie nie wiem. Ktoś mnie tu wpuszcza w maliny, ale pojęcia nie mam kto. Ten ktoś nie tylko zamordował Midhira w Brí Léith, ale i spiskował przeciwko mnie z faeriami, całą masą wampirów i mrocznych elfów oraz z rzymskimi bogami. A pewnie i kilka razy podpowiedział Lokiemu, gdzie mnie znaleźć, i wysłał za nami te Fir Darrigi. I to nie tylko mnie udaje mu się zwodzić, ale i wszystkich pozostałych Tuatha Dé Danann. No chyba że wszyscy oni są przeciwko mnie, ale w to nie chce mi się wierzyć.

– Coś ty robił przez te dwa tysiące lat, żeby aż tak komuś podpaść? – pytam.

– Głównie to się ukrywałem. Przydałaby mi się twoja pomoc. Gdybyś tak spojrział na ten bałagan z nowej perspektywy. Być może rozgryzłbyś tę zagadkę. A poza tym nawet może lepiej, żebyś spędził teraz jakiś czas w Tír na nÓg, to sobie odpoczniesz od tych szoków nowoczesności.

Chwilę mi zajęło, nim wyglówkowałem, jak mam nazywać Siodhachana w tym nowym języku, ale w końcu na to wpadłem: specjalista od wciskania kitu. On jest z tych, co to zawsze ci wmówią, że niezwykle dobrze na tym wyjdiesz, kup teraz, zapłać potem, tylko że za ten kit, który dostajesz od ręki, to potem do końca życia płacisz łzami i rwaniem włosów z głowy. Od razu wiedziałem, że cała ta gadanina o spędzaniu czasu w Tír na nÓg ma na celu tylko jego dobro. Na pewno nie moje w każdym razie.

– I co ja takiego mam niby zrobić twoim zdaniem, synek? Pójść do Tuatha Dé Danann i pytać każdego po kolei, czy marzy im się wyprucie ci flaków?

– Może mógłbyś być ociupinkę subtelniejszy.

– Co zacz? Nie wiem, co znaczy „subtelniejszy”.

– No, wiem, że nie wiesz. Może czas, żebyś się dowiedział. Tego w każdym razie na pewno nikt by się po tobie nie spodziewał.

– Nie mam dość wiedzy, żeby podejmować racjonalne decyzje. To tak, jakbyś kazał mi zamówić picie na podstawie tego, co mi mówią sutki, zamiast mi wprost powiedzieć, co tu dają do chłania. Może powiedz mi, kogo dotąd zabiłeś i dlaczego. I w jaki sposób próbowano zabić ciebie. Nie śpiesz się. Czasu mamy w bród. A przy okazji nauczysz mnie lepiej tego nowego języka.

Czekał nas co najmniej tydzień pracy. Większość tego polegała na bezpośrednim kontaktowaniu się z Gają, a to można robić jedną przestrzenią myślową, drugą wykorzystując na rozmowę.

Opowieść, którą mi zaserwował – a zarzeka się, że wkrótce ją spisze – zajęła większość tego czasu. O tym, jak zabił Aenghusa Óga, potem spieprzył sprawę z nordyckimi bogami, choć niby teraz mają jakiś tam niepewny sojusz przeciwko Hel i Lokiemu, a i nawet niby Rzymianie i Grecy im mają pomagać. O tym, jak po cichu finansuje wojnę z wampirami. I jak musi się co jakiś czas użerać z mrocznymi elfami, które ktoś z kolei wysyła na niego.

– A, racja – mówi gdzieś pod koniec, jakby o mało o tym nie zapomniał. – Powinienem też ci pewnie powiedzieć, że Morrigan nie żyje.

Przerywam więc tatuowanie na chwilę, którą wykorzystuję na to, żeby go porządnie skłąć. Ale muszę przyznać, że przez całe to paplanie tydzień minął nam nie wiadomo kiedy i nim Siodhachan skończył swoją opowieść, zostało nam już zaledwie pół godziny roboty na jego ramieniu.

– Już wiem, jaka jest ogólna zasada – mówię mu, przemyślawszy jego opowieść. – Póki siedziałeś w ukryciu, to nikt nie ginął.

– No, przez chwilę wszyscy myśleli, że nie żyję.

– Przez dwa tysiące lat, nim zabiłeś Aenghusa Óga, jakoś wcale tak nie myśleli, a jednak wszyscy sobie nadal spokojnie żyli. Dopiero jak wylazłeś nie wiadomo po co i zacząłeś zamachiwać mieczem...

– Chwila. Widzisz, nie użyłeś tego czasownika poprawnie... – wtrąca mi się.

Czasami to naprawdę trzeba na niego warknąć, żeby się chłopak skupił.

– A przestań ty się mnie czepiać o słowa i słuchaj, co do ciebie mówię! – syczę i zamyka dziób, ale już z tą obrażoną miną, jaką zawsze robi, kiedy mu walę prawdę prosto z mostu. – Słuchaj, wiesz dobrze, że jestem pierwszy do rozwiązywania problemów poprzez kopnięcie w jaja kogo trzeba, ale najważniejsza zasada, o której ty zupełnie zapominasz, to nie kopać w swoje własne! Jak chcesz się nauczyć, jak to się robi, to się ucz od tego, kto ci przysporzył wszystkich tych kłopotów. Mówiłeś, że kto to taki?

– Nie mówiłem. Nie wiem kto to.

– No i o to, kurna, właśnie mi chodzi, synek. Mamy tu do czynienia z podstępny kopaczem jaj. I z niego właśnie bierz przykład.

– Próbuje, Owen – mówi. – Ty jesteś elementem mojego podstępu, bo jeszcze nie zdradziłeś Tuatha Dé Danann, po której stronie jesteś. Ani nawet jak się nazywasz. Będzie im zależało na twojej przychylności.

Odchrząkuję i pluję w bok.

– Teraz to już wygadujesz zupełne bzdury, synek.

– Taka jest prawda. Przez całe wieki byłem jedynym druidem w całej wsi. Wszyscy wiedzą, że Granuaile jest po mojej stronie. Ale póki im nie zdradzisz, kim byłeś, nim się dostałeś na wyspę, będziesz dla nich jedną wielką niewiadomą.

– I tak będę trzymał gębę na kłódkę. Tuatha Dé Danann nie można ufać, a ja jestem zupełnie niezorientowany w sytuacji. Ale w każdym razie głowę daję, że dobrze wiedzą, kim jestem.

– Nie byłbym tego taki pewien – mówi. – Skąd by mieli wiedzieć?

– Bo jesteś zbyt znany, synek. Jakim cudem mieliby nie wiedzieć?

– Nie byłem wcale tak znany, kiedy Morrigan zapakowała cię na tę wyspę. Byłem tylko jednym druidem z wielu i nie zrobiłem jeszcze niczego, co by mogło zwrócić ich uwagę. A Morrigan nie należała do gadatliwych. Nawet Goibhniu powiedziała tylko, że wsadziła kogoś na wyspę, ale wcale nie zdradziła mu kto to taki. Nie miał skąd się dowiedzieć czegokolwiek o tobie.

– No, ale teraz już coś wie, nie?

– No. Że jesteś brzydki jak noc.

Uderzam go w ramię, które wciąż jest obolałe po tatuowaniu, więc się wzdryga.

– O zakład idę, że już robi śledztwo w tej sprawie.

– Odkąd Morrigan zapakowała cię na wyspę, minęło ponad dwa tysiące lat. To Goibhniu ma raczej przekichane ze swoim śledztwem.

– Ty mi nawet nie mów o kichaniu! – Otrząsam się na samo wspomnienie tamtego dnia. – Co to był wtedy, kurna, za ziąb.

– Nie, nie mam na myśli prawdziwego kichania. Przekichane ma inne znaczenie, ale mniejsza z tym. Opowiedz mi, co właściwie robiłeś, jak cię Morrigan zabrała na wyspę.

– Mówiłem twojej matce, że jej zupa smakuje jak solone łajno.

– Aha, czyli domyślałam się, że nie chcesz o tym mówić.

– Dobrze się domyślasz. To mówisz, że czego w ogóle mogą chcieć ode mnie Tuatha Dé Danann?

– Przede wszystkim twojej przychylności. Jeśli modlisz się do jednych, a nie do drugich, to ty decydujesz, komu dajesz większą moc. Mogą mieć jednak inne pomysły, których nigdy mi nie zdradzili, albo mogą ci powiedzieć rzeczy, które w mojej obecności by raczej przemilczeli.

Znów mi się od tego chce splunąć.

– Naprawdę ci się zdaje, że będą mi nagle zdradzać wszystkie swoje sekrety tylko dlatego, że przez jakiś czas nie chodziłem po ziemi? Byłbym przecież ostatnim głupcem, gdybym traktował, cokolwiek powiedzą, jak coś więcej niż tyżprawdy. No i mogą mi przecież próbować wmówić całą masę rzeczy jedynie po to, żeby zobaczyć, czy dotrą w ten sposób do twoich uszu.

– Masz rację. Ale w każdym razie wszystko, co zrobią, da nam nieco więcej informacji, niż mamy, bo nie mamy właściwie żadnych.

– Co ty ciągle z tym „my”, Siodhachan? Jakie „my”? Mamy teraz nosić jedne gacie czy jak? Ty sobie po mnie niczego nie obiecuj, synek. Jestem ci wdzięczny za to, żeś mnie tu ściągnął i pomógł zacząć nowe życie, ale nie będę przecież twoim chłopcem na posyłki.

Siodhachan prycha z wściekłości i znów jest jak dawniej.

Potem jednak zbiera się w sobie i udaje mu się zapanować nad głosem na tyle, że jego słowa wypadają spokojnie, a może nawet wyrażają jaki taki szacunek:

– Nie traktuję cię jak chłopca na posyłki. I tak musisz przecież udać się na dwór i powitać Brighid. Zrobiłbyś jej afront, gdybyś tego nie uczynił. Proszę cię tylko, żebyś miał świadomość, iż ktoś już nas z Granuaile traktuje jako osobniki do odstrzału, a i ciebie może tak zacząć traktować. Jeśli wpadniesz przypadkiem na coś, co może nam pomóc przetrwać, będę wdzięczny, jeśli mi o tym powiesz.

– Dobra, Siodhachan. Tak mi tu słodzisz, że zaraz się zacznę bać, że jednak chcesz mi się dobrać do gaci.

– Bogowie niejedyni, skończyłeś już?

Trudno mu już teraz ukryć wściekłość.

Kłuję go jeszcze raz kolcem z atramentem i zielone światło Gai gaśnie. Jego sploty znów są całe, a skóra wraca do normy – nie bez odrobiny jej pomocy.

– Ano. Skończyłem. Możesz się teraz przemienić w tę swoją wydrę i dać zeżreć orłowi, jeśli taką masz ochotę.

I wyobrażacie sobie, że nawet mi nie podziękował za pomoc?



## Rozdział 7



Oberon był taki cierpliwy podczas reperowania moich tatuaży, że uznałem, iż musimy najpierw ruszyć na polowanie, a dopiero potem myśleć o innych rzeczach. Owen nie miał nic przeciwko temu, ale postanowił uczestniczyć w łowach tylko pośrednio, to jest w postaci ptaka. Świtało już, gdy przemieniłem się w wilczarza, a on w kanię rudą i odleciał w poszukiwaniu zwierzyny. Po kilku minutach zapiszczał na wschód od nas i pobiegliśmy zobaczyć, co znalazł. Było to niewielkie stado saren.

Gdy udało nam się upolować jelenia, przemieniliśmy się z powrotem w ludzi i zaczekaliśmy, aż Oberon się naje. Ani Owen, ani ja nie przepadaliliśmy za jedzeniem w naszych zwierzęcych postaciach. Żeby zabić czas, Owen ćwiczył ze mną swój angielski. Teraz już całkiem niezłe rozumiał, co do niego mówię, ale samo mówienie sprawiało mu oczywiście większą trudność. Za to świetnie sobie radził z akcentem, więc gdy tylko osiągnie płynność, ujdzie w tłumie.

Ubieraliśmy się już z powrotem w miejscu, gdzie mnie tatuował, kiedy nas zupełnie zaskoczono.

<Atticusie, ktoś nadchodzi. Tam, wśród drzew>.

Odruchowo przykucnąłem, a Owen zrobił to samo, choć oczywiście nie wiedział nawet, co mnie zaniepokoiło. Wpatrywaliśmy się w ścianę drzew, gdy jakieś czterdzieści metrów od nas wyłoniła się zza olchy niska, drobna kobieta w bogato zdobionym czerwono-białym kimonie. Zauważywszy, że już ją widzimy, pokłoniła się. Schyliłem głowę w grzecznej odpowiedzi, ale nie spuściłem z niej wzroku. Już pomijając to, że była wizualnym non sequitur – taki strój nie zdziwiłby mnie w Kioto, ale tu, w Pirenejach? – było w niej coś dziwnego. Oberon nagle zawarczał i zaczął agresywnie szczekać.

*Oberonie, co jest grane?*

<Ta pani to nie pani, Atticusie!>.

*Okej, dzięki. Już mnie o niej ostrzegłeś i ostrzegłeś ją przed nami. A teraz ucisz się, proszę, żebyśmy mogli usłyszeć, jeśli przemówi.*

Miała wąską twarz, wysokie kości policzkowe i duże, blisko osadzone oczy. Wzrok wbiła w Oberona i cała się trzęsła, jak przerażone zwierzę. Czarne włosy miała upięte na czubku głowy żadowymi spinkami, które zlewały mi się w oczach, bo tak daleko stała i tak się trzęsła.

*Oberonie, musisz się wycofać, tak żeby to widziała. Zejdź jej powoli z oczu.*

<Ale dlaczego?>.

*Wydaje mi się, że chce z nami porozmawiać i nie robi tego, póki tu jesteś, a naprawdę chciałbym się dowiedzieć, co ma do powiedzenia.*

<Nie ufaj jej, Atticusie>.

*Już nie ufam.*

<No dobra>.

Oberon odwrócił się i odszedł na tyle daleko, że zupełnie zniknął za krzakami, choć pewnie w rzeczywistości był nadal zaledwie jakieś trzydzieści metrów od nas. Wstałem i pokłoniłem się nieznanomej, a ona odpowiedziała skinieniem głowy, ale nie ruszyła się z miejsca przez całą minutę. Wzrok miała wbity w krzaki za mną, w których zniknął Oberon. Być może chciała się upewnić, że pies nie wróci. Stopniowo przestała się trząść, uspokoiła się i wyprostowała, a Owen wstał i stanął przy mnie.

– A to, kurna, co za jedna, Siodhachan? – szepnął. – W życiu nie widziałem takiej baby.  
– I pewnie więcej nie zobaczysz. To prawdziwa rzadkość. Tylko patrz. Chyba jesteśmy bezpieczni.

Mogłem niby na wszelki wypadek spojrzeć jeszcze na nią w magicznym spektrum, ale chyba nie było takiej potrzeby. Byłem prawie pewien, że już i tak wiem, kim jest. Owen nie wiedział i usłyszałem, jak wymawia słowa splotu dającego magiczny wzrok. Podejrzywałem jednak, że to nie da mu wiele więcej nad to, co powiedział Oberon: że ta pani w ogóle nie jest panią.

Uznawszy w końcu, że może bezpiecznie podejść bliżej, nieznajoma przeszła jakieś dziesięć, potem dwadzieścia metrów w naszą stronę, po czym znów przystanęła. Znów się nam pokłoniła i wreszcie przemówiła po japońsku cichym, eterycznym głosem. Owen, wściekły, że nic nie rozumie, szepnął tylko:

– Kurna mać.

– Przepraszam was, szanowni panowie, lecz czy możemy chwilę porozmawiać? – spytała kobieta.

– Wielce ucieszy mnie rozmowa z panią. Ten tu nazywa się Siodhachan Ó Suileabháin.

Usłyszawszy moje imię, Owen spojrział na mnie pytająco, ale niestety nie było czasu na żadne wyjaśnienia.

– Zatem jesteś, panie, tym, kogo szukam – odrzekła kobieta. – Ta niegodna zwie się Fujiwara-no-Kuni. Wiele nas łączy.

– Doprawdy?

– Oboje jesteśmy istotami splecionymi. Służymy większym od nas. I nie zawsze pokazujemy światu nasze prawdziwe oblicze.

Uśmiechnąłem się do niej.

– Ja służę Gai, a ty komu, pani?

– Ja jestem służącą promiennej, niebieskiej Inari, która pragnie porozmawiać z tobą o rzeczach wielkiej wagi, jeśli nie będzie to sprzeczne z twoją wolą.

– Ten tu jest zaszczycony i wdzięczny za zaproszenie. Gdzie mam szukać audyencji?

– Znajdziesz Inari w Fushimi Inari-taisha pod Kioto. Znasz to miejsce?

– Tak.

Kuni wyciągnęła z włosów jedną z żadowych spinek, wykonała nią jakiś wdzięczny zawijas w powietrzu, po czym rzuciła mi ją ostrożnie. Chwyciłem spinkę, ale trzymałem ją z dala od ciała.

– Połóż to u stóp dowolnego pomnika kitsune przy świątyni i zawołaj mnie po imieniu – powiedziała. – Pomników jest na tej górze bardzo dużo. Przybędę i zaprowadzę cię do Inari.

– Rozumiem i złożę jej wizytę już niedługo. Mogę jeszcze tylko spytać, skąd wiedziałaś, gdzie mnie znaleźć?

– Możesz. Pozwolono mi odpowiedzieć na to pytanie, lecz odpowiedź muszę rozpocząć od pytania. Czy pamiętasz sen, który miałeś o wedyckim bogu Ganeśi?

– Tak, bardzo dobrze – odpowiedziałem. Kazał mi wtedy zostawić Hel w spokoju i nie tak znowu subtelnie zagroził poważnymi konsekwencjami na wypadek, gdybym zignorował jego nakaz.

– Polecono mi przekazać ci, że w tymże śnie Ganeśa wspomniał, iż reprezentuje pewne inne osoby. Ta, której służę, wspaniała Inari, jest jedną z tych osób. Inna spośród nich jest wszechwiedząca. I to ona potrafi znaleźć cię mimo twojej żelaznej ochrony. Moja pani pragnie porozmawiać z tobą o sprawach poruszonych wtedy przez Ganeśę.

– Rozumiem. Dziękuję za kłopot, który zadałaś sobie, by tu przybyć. Życzę tobie i twojej

pani harmonii, Fujiwara-no-Kuni.

– Zdrowia i szczęścia, Siodhachanie Ó Suileabháin. Ta przeprasza, że nie rozmawiała z twoim towarzyszem. Przyjmijcie, proszę, ten mały podarunek w dowód mojego szacunku dla was obu.

Pokłoniła nam się ostatni raz, a potem nagle zniknęła w odmętach kimona, które opadło na ziemię. Spośród szat wyskoczył biały lis o pięciu ogonach. Błysnęło nam jego futro i już po chwili zniknął w lesie, na pamiątkę zostawiając nam swoje kimono.

– Lis o pięciu ogonach! – wykrzyknął Owen. – A na co mu pięć ogonów? Ma też pięć odbytów?

– Nie. Znaczy, w sumie to nie wiem. Ojoj, bogowie, no, mam nadzieję, że nie. Nigdy o tym jakoś nie myślałem. Ale to nieważne! To była kitsune, posłanniczka japońskich bogów Shinto. Pięć ogonów ma symbolizować jej względną moc. Pięć nie jest najmocniejszą liczbą, ale też nie jest liczbą słabą.

Mentalnie dałem Oberonowi znać, że może już wrócić.

– Czego chciała?

– Zostałem wezwany na spotkanie z boginią Inari. Znaczy, niby zostałem zaproszony, ale to jedno z tych zaproszeń, których raczej się nie odrzuca. Nie chciałbyś może spędzić znów trochę czasu z wilkołakami?

Owen wzruszył ramionami.

– Jasne. Świetnie się z nimi bawię, póki cię nie ma w pobliżu.

Puściłem mimo uszu ten przycinek i powiedziałem:

– Dobrze, w takim razie wracajmy do Arizony i przedstawię cię Watasze z Tempe. Ich alfa, Hal Hauk, zajmuje się moimi sprawami prawnymi. Jeśli będziesz chciał, może się też zająć twoimi. Jest w kontakcie z watahami na całym świecie.

– Wychodzi więc na to, że w dzisiejszych czasach światem rządzą wilkołaki.

– Nie, nie do końca. Niespecjalnie ich interesuje rządy czymkolwiek. Bardziej chodzi im o terytorium. Ale lubię z nimi załatwiać prawne sprawy, bo zwykle są ludzcy i w większości mają ludzkie priorytety. A gdy czegoś od nich chcę, w zamian żądają tylko pieniędzy. Tymczasem gdy człowiek się zadaje z wiedźmami albo wampirami, zaraz chcą jakiejś przysługi.

– Chyba nie myślisz, że będę się zadawał z wiedźmami albo wampirami!

– Nie, nie myślę. Chodź. Weźmy to kimono, a potem wprowadzę cię w niuans koszmaru, jakim jest silnik o spalaniu wewnętrznym.

– Mów do rzeczy, cholerny bachorze.

– Ta szata nazywa się kimono. Kitsune zostawiła ją dla ciebie.

– Dla mnie? A co ja mam z nią niby zrobić?

– Wyobrażam sobie, że nada się na piękny prezent.

Jedwab zdobiony był zawijasami o ciemnych odcieniach czerwieni od szkarłatu po burgund, a na krawędziach obszyty był białym materiałem z szarymi zarysami źdźbeł trawy.

– Że co niby? Chcesz, żebym ci je dał, kurna? Odwal się, synek, dobra? Jest ładniejsze niż trzy pary cycków, więc je sobie zatrzymam.

Ponieważ nie dało się przenieść bezpośrednio do Phoenix (co swego czasu, gdy ukrywałem się jeszcze przed faeriami, było dla mnie wielką zaletą tej okolicy), przeskoczyliśmy do Flagstaffu, a tam wynająłem samochód i nim pojechaliśmy do Doliny Słońca. Dzięki temu miałem okazję, by wprowadzić mojego archdruida w tajniki takich współczesnych materiałów, jak plastik, guma i asfalt.

Owen zamierzał złożyć wizytę Tuatha Dé Danann, gdy tylko będzie miał wszystkie dokumenty. Powiedziałem mu, żeby potem dotarł jakoś do Sama i Tya i stamtąd do mnie

zadzwoił. Gdy podrzucałem go do Hala, na Mill Avenue, żałowałem, że nie mogę zostać z nimi na lunch, ale Inari już czekała, zawróciłem więc i pojechałem w tym samym kierunku, z którego przyjechaliśmy.

Mimo opóźnienia i tak stawilem się na spotkanie w Japonii w niecałe sześć godzin po otrzymaniu zaproszenia. Nie splotłem tu nigdy zbyt wielu miejsc, ale jednym z nich była właśnie góra Inari w Kioto. Miałem szczęście mieszkać w tym kraju podczas pierwszych lat siogunatu Tokugawów i pomyślałem sobie wtedy, że warto by mieć oko na zamek Nijo, z tą fascynującą słowiczą podłogą. Splot założyłem tuż przy wierzchołku góry Inari, bo już wtedy było dla mnie jasne, że w Japonii wkrótce będzie cienko z przestrzenią, a doliny zostaną zupełnie zabudowane. Jedyne bezpieczne miejsca na sploty znajdowały się więc wysoko w górach.

Zresztą część góry Inari też już była zabudowana, ale przynajmniej świątyniami shintoistycznymi i buddyjskimi, a nie domami mieszkalnymi, dzięki czemu zostawiono w spokoju drzewa, jeśli nie liczyć wycięcia tych, które stały akurat na wąskich ścieżkach. Największą i najsłynniejszą spośród tych świątyń była Fushimi Inari, o setkach cynobrowych torii prowadzących wiernych wzdłuż zbocza. Przejście po ścieżce wyznaczonej przez te bramy może zająć dobrą godzinę. Gdy przenieśliśmy się na górę z Oberonem, wylądowaliśmy jednak od razu blisko szczytu. W Arizonie było jeszcze późne popołudnie, ale tu, w Kioto, już świtało, a przez gałęzie drzew przeblyskiwały pierwsze promyki słońca. Szliśmy chwilę lasem, aż dotarliśmy do jednej ze ścieżek prowadzących do świątyni. Gdy łączyła się ona z kolejną ścieżką, na skrzyżowaniu ujrzeliśmy dwa posągi kitsune. Często wykuwano je w szarym kamieniu, a lisy przedstawiano z takimi atrybutami, jak klucz do spichlerza, zwój lub piłka w pysku. Ten, którego wybrałem, trzymał zwój, co miało symbolicznie przypominać o roli kitsune jako posłanników. Stał na kilku piedestałach – kamiennych blokach ułożonych niczym warstwy tortu weselnego – przez co był tak wysoko, że musieliśmy zadzierać głowy, żeby na niego patrzeć. Ponieważ Oberon przegapił moją rozmowę z kitsune, teraz nie bardzo wiedział, co robimy, poza tym że zamierzamy odwiedzić jakąś świątynię. Kiedy zobaczył kitsune, nastawił uszu z zainteresowaniem.

<Atticusie, czy to ma być pomnik psa?>.

*Nie, to kitsune. Lis.*

<O. A to w jego pysku to kiełbasa?>.

*Nie. To zwój.*

<Zwój? Dobra, właśnie straciłem dla niego resztki szacunku. Każdy psowaty wie, że do pyska bierze się tylko jedzenie albo zabawki>.

*Co ty powiesz? A nie pamiętasz już, jak przynosiłeś mi gazetę?*

<No, tak, ale to było w innym kraju, a poza tym nie chciałem mi zrobić śniadania, póki ci jej nie przyniosłem>.

*Niewykluczone, że ten kitsune też dostanie jakiś smakołyk za dostarczenie zwoju. O tym jakoś nie pomyślałeś.*

<Nie. Ale jeśli tak się sprawy mają, to rzeźbiarz podjął beznadziejną decyzję.

Otrzymywanie smakołyka, to by był dopiero temat godny świątyni>.

Musiałem go czymś zająć, bo chciałem się skupić na wzywaniu kitsune, więc powiedziałem:

*Zastanów się nad tym poważnie, bo twoja odpowiedź w dosłownym słowa znaczeniu trafi na cokoły. Gdyby istniała świątynia Oberona Wilczarza Irlandzkiego i miałbyś zostać w niej uwieczniony z jednym smakołykiem w pysku, to co byś wybrał?*

<Tylko jednym? To... tego... oj>.

*Nie spiesz się.*

Oberon aż się zachwiał, porażony potęgą pytania.

<Ojej. To bardzo poważna sprawa, Atticusie. Może ja sobie lepiej pójde tam i położę się, żeby to przemyśleć>.

*Idź, idź. Zaczekam na ciebie.*

Mając Oberona z głowy, wyciągnąłem z kieszeni żadową spinkę i położyłem u stóp pomnika. Nie odrywając opuszki palca od spinki, przemówiłem:

– Fujiwara-no-Kuni, to ja, Siodhachan Ó Suileabháin. Zgodnie z obietnicą przybyłem na spotkanie z Inari. Czekam na ciebie u stóp tego pomnika.

Przez kilka sekund nie spuszczałem wzroku z kamiennego lisa, potem puściłem spinkę, odwróciłem się i usiadłem, plecami opierając się o piedestał. Pojęcia nie miałem, jak długo będę musiał czekać. Być może wcale nie tak krótko. Biorąc pod uwagę, że z Fujiwarą-no-Kuni widziałem się w Pirenejach zaledwie sześć godzin temu, było czystą głupotą oczekiwać, że już będzie na mnie czekała w Japonii. Chyba że, jak wielu boskich posłanników, miała jakąś metodę na szybkie podróżowanie.

Okazało się, że owszem. Jakies dwadzieścia minut później zobaczyłem, jak idzie ścieżką w górę. Tym razem miała na sobie białe kimono z wzorem w kwiaty wiśni. Tak jak przedtem zatrzymała się w bezpiecznej odległości, żeby nie zbliżyć się do Oberona.

<Atticusie! To ta sama pani, co to nie jest panią!>. Mój pies się zdenerwował i zerwał na równe nogi, bo swoim pojawieniem się wyrwała go z medytacji na temat smakołyków.

*Wiem. Ale nie ma złych intencji. Nie warcz, nie szczekaj i nie ruszaj się z miejsca, dobra? Nie chcemy być niegrzeczni.*

<Okej>.

Kitsune pokłoniła mi się nisko, nim przemówiła w te słowa:

– Witaj w Japonii, szanowny druidzie. Ta zabierze cię do Inari. Idź, proszę, za mną. To niedaleko stąd.

– Prowadź, proszę. Arigato gozaimasu.

Podziękowałem jej i ruszyliśmy za szarą kokardą jej obi w dół zbocza, opuściliśmy teren Fushimi Inari i weszliśmy głębiej w osiedle otaczające świątynię. Znajdowały się tu skromne domki z patiami lub ogrodami, które otaczały bambusowe płoty, małe samochody zaś parkowano w garażach pod pierwszym piętrem. Po drodze Oberon zrelacjonował mi, do czego doszedł.

<Atticusie, na twoje pytanie nie da się odpowiedzieć>.

*Nie?*

<Nie. To sprawa zen>.

*A kto cię w ogóle nauczył czegokolwiek o zen?*

<Bystra Dziewczyna oczywiście. Mówi, że czasem jestem zen. A to, co ty mi tu dałeś, to się nazywa koan>.

*Niby wiem, co to jest koan, ale jakoś nie kumam, o czym mówisz.*

<Sam pomyśl, Atticusie. Jaki dźwięk wydaje smakołyk, gdy się smaczy?>.

*Aaa. No tak. Masz rację, Oberonie, to bardzo zen.*

Fujiwara-no-Kuni skręciła w prawo i znów poszliśmy pod górę, a potem zatrzymaliśmy się przed interesującym budynkiem, który w ogóle nie wyglądał jak dom, bardziej jak mur wokół czegoś. Z pochyłego chodnika wyrastały kamienne fundamenty, które tworzyły płaską podłogę w środku. Nad nią mury pokryte były cienkimi deskami, wyżłobionymi i poplamionymi przez deszcze. Szare dachówki tworzyły dość wąski dach, niczym grubsza ściana, bo w środku budowla była otwarta – widać było rosnące wewnątrz drzewa. Kitsune pokłoniła nam się i uniosła prawą dłoń, by wskazać nam budynek.

– To Ōhashi-ke Teien, prywatny ogród Ōhashi-sana. Moja pani czeka na was w środku.

Wejdźcie, proszę.

Znów się pokłoniła i zaczęła wycofywać, a ja skłoniłem głowę w geście podziękowania. Znak przy drzwiach świadczył o tym, że trafiliśmy do jakiejś atrakcji turystycznej, którą zbudowano na początku dwudziestego wieku. My zjawiliśmy się tu znacznie wcześniej niż typowi turyści. Poza nami i świergolącymi porannie ptakami cała ulica jeszcze spała.

*Wchodzimy cicho i ostrożnie, Oberonie. Miej uszy i oczy szeroko otwarte.*

<Spodziewasz się zasadzki?>.

*Ja? Zawsze i wszędzie. To dlatego, że lubię być potem mile zaskoczony pokojowym powitaniem.*

Tym razem czekało nas wyjątkowo pokojowe zaskoczenie. W ogrodzie Ōhashi-sana stało dwanaście kamiennych latarni w różnym stylu. Każda ustawiona była między starannie przyciętymi krzakami, drzewami i pnącymi się po murach kwitnącymi latoroślami. Dwie fontanny suikinkutsu szumiały przyjemnie, a dwie ścieżki z kamiennymi stopniami wiły się po ogrodzie, zbiegając się przy dużym, okrągłym kamieniu. W jednym kącie ogrodu kryła się mała świątynia, a w drugim jeszcze mniejszy budynek w stylu herbaciarni – właściwie ledwie schronienie dla tych, którzy chcieliby cieszyć się ogrodem podczas niesprzyjającej aury. Okna miał z cienkich bambusów i białego papieru.

Po drugiej stronie ogrodu stała piękna kobieta w czerwonej yukacie przepasanej białym obi. O tej porze roku było już trochę zimno na yukatę, która jest raczej letnim strojem, ale kobieta wyraźnie się tym nie przejmowała. Skłoniła mi się, rozłożyła wachlarz tuż przed swoją twarzą i wskazała mi herbaciarnię.

<Atticusie, ta pani też nie jest panią>.

*Wiem, chłopie. Wszystko jest okej.*

Inari czekała na mnie w środku herbaciarni. Klęczała na tatami. Choć czasami ucieleśniała się jako mężczyzna, tym razem wybrała swoją olśniewającą kobietą postać w lawendowym kimonie w granatowy kwiecisty wzór. Poprosiłem Oberona, żeby zaczekał na zewnątrz, i wszedłszy, usiadłem na macie naprzeciwko Inari. Powitała mnie z uśmiechem i podziękowała za poświęcenie jej czasu. Wymieniliśmy nakazane obyczajem uprzejmości. Jako bogini ryżu nie bawiła się w żadne tam częstowanie herbatą, tylko od razu zaproponowała sake i to nie byle jaką – czystą odmianę tego trunku zwaną Genshu sake, coś między osiemnaście a dwadzieścia procent alkoholu.

Zaczęła od tego, że rzuciła jej się w oczy, iż spędziliśmy z Granuaile jakiś czas w Japonii, by się leczyć. Było to zaledwie kilka tygodni temu. Mieszkaliśmy wtedy w Tokio, w ryokanie – tradycyjnej japońskiej gospodzie – i chętnie pławiliśmy się w gorącym onsenie.

– Czy udało wam się wtedy wypocząć? – spytała.

– Tak, bardzo. Dziękuję.

Gdy już każde z nas upiło po łyku sake i powiedziało coś miłego drugiemu, mogliśmy wreszcie przejść do meritum. Bogini zamarła z jedną dłonią na czarce, a drugą trzymając ją od spodu. Ze swojego rodzimego japońskiego przeszła na angielski.

– Ó Suileabháin-san, doszły nas słuchy o twoich kłopotach z Olimpijczykami i gratulujemy ci rozwiązania tego problemu.

Pięknie to ujęła. Z pomocą Pana i Fauna Artemida i Diana polowały na nas po całej Europie, cudem uszedłem z życiem (stąd właśnie potrzeba leczenia się w kraju Inari), a tymczasem ona wspomina o tym tak, jakbym ładnie sobie poradził z jakimś sudoku z niedzielnej gazety. Pojęcia też nie miałem, co za „my”. Chyba że to pluralis maiestaticus.

– Problem nie jest tak do końca rozwiązany – przyznałem. – Diana wciąż pragnie mnie zniszczyć. Ale resztę Olimpijczyków mogę zaliczać teraz do swoich luźnych sojuszników.

– Dowiedzieliśmy się o tym z wielką ulgą. To bardzo fortunny znak. Ale to nie koniec pracy.

Uznałem, że jednak muszę poprosić o uściślenie tego zaimka, bo inaczej będę się nad tym głowił przez resztę rozmowy.

– Przepraszam, ale nie rozumiem. Jakie „my”?

– My wszyscy – odparła, co oczywiście niczego mi nie wyjaśniło. – Poprzeczka się niestety podniosła. Nasz wróg staje się coraz sprytniejszy.

– Czy naszym wrogiem jest ktoś z Tír na nÓg?

– Mówię o nordyckim bogu. O Lokim. Rekrutuje mroczne figury z kilku panteonów naraz, i ty musisz więc przejść do szybszej rekrutacji. Jesteś wolny, gdy tymczasem większość panteonów nie może działać, póki dane działanie nie wchodzi w ich zakres. Innymi słowy, w wypadku zagrożeń spoza ich systemu wierzeń ich jedyną bronią nie jest akcja, lecz zaledwie reakcja. Rozumiesz?

– Nie – przyznałem.

– Jeśli chłopiec w Bangalore prosi Ganeśę o wstawienie się za nim, nie mam prawa się wtrącać, tak jak Szango nie może odpowiadać na modlitwy dziewczynki z Osaki, która zwraca się z nimi do mnie. Toteż choć zdajemy sobie sprawę z tego, że Loki knuje przeciwko nam, jesteśmy w zasadzie bezsilni, póki bezpośrednio nie zagrozi naszym domenom. Bez ludzkiego czynnika, to znaczy ludzkich próśb, nie możemy podjąć niemal żadnego działania. A tymczasem większość ludzi w ogóle nie wie, co się dzieje.

– Ale mimo to możesz się ze mną spotkać?

Inari uśmiechnęła się skromnie.

– Mam prawo napić się sake i porozmawiać, z kim chcę.

– Dlaczego więc nie napijesz się z jakimś swoim wiernym?

Jej uśmiech zrobił się szerszy.

– Wierz mi, że już to uczyniłam.

– Aha. To gdzie jest teraz ten twój bohater czy bohaterka?

Jej wzrok przesunął się na bramy ogrodu.

– Blisko. Bronią tego miejsca. Nie zauważyłbyś, nawet gdyby tu weszli.

To stwierdzenie oczywiście nie mogło ująć uwagi siedzącego na zewnątrz herbaciarni Oberona.

<Czy to znaczy, że ona ma wojowników ninja, Atticusie? Ma? Ma?>.

*Ciii. Muszę się skupić.*

– Dobrze – powiedziałem. – Kogo więc werbuje Loki?

– Rozmawia z niemal wszystkimi mrocznymi siłami. Nim zadziała bezpośrednio, męczy nas zarazami. A jeśli nie uda mu się bezpośrednio wywołać choroby, robi to pośrednio. Jestem stróżem dobrego zdrowia i dostatku, toteż w Japonii to ja jestem jego celem. Usunięcie mnie pozwoli mu szybciej roznosić choroby i wywołać panikę. To będzie tylko wstęp do potężniejszych manewrów.

Granuaile i Laksha właśnie walczyły przeciw z roznoszącymi zarazę rakszasami w Indiach i ten zbieg okoliczności był bardzo niepokojący, bo być może wcale nie był zbiegiem okoliczności. Czy i tam Loki miał swoje wpływy? Przypomniało mi się od razu, że gdy uciekaliśmy przed Artemidą i Dianą, Loki ukazał nam się w Polsce pod postacią niebieskoskórego demona wedyjskiego. Dlaczego miałby wybrać akurat taką postać, gdyby nie miał jej świeżo w pamięci? A jeśli miał ją świeżo w pamięci, to co on robił ostatnio w Indiach?

– Chyba rozumiem, o czym mówisz – stwierdziłem. – Mimo to nie jestem pewien, czego ode mnie oczekujesz.

Inari otworzyła usta, żeby mi odpowiedzieć, ale jej słowa zagłuszyły groźne krzyki i szcęk stali. Zaraz potem usłyszeliśmy jakieś ryki i huk, od którego zatrzęsała się drewniana podłoga. Zerwałem się z maty i wypadłem z naszego małego schronienia, obnażając Fragaracha, pewien, że ujrzę coś wielkiego i agresywnego.

<Atticusie, co to było?>.

*Pewnie ta zasadzka, której tak się zawsze spodziewam.*

Cztery wielkie, czerwone na gębach oni – rogate, brodate demony z kłami – przedarły się przez ściany ogrodu, wymachując najeżonymi kolcami, żelaznymi maczugami. Pędziły w naszą stronę z wyraźnym zamiarem rozbicia na miazgę drobnych istotek pijących sobie błogo sake. Za nimi biegło dwóch odzianych w czern szermierzy. Pewnie byli to ci wyznawcy Inari, z którymi zamieniła słowo. Popędziłem w kierunku tylnej ściany ogrodu, a Oberon odruchowo pomknął za mną, ale zamiast skupić się na oni, nie mógł oderwać wzroku od obrońców Inari.

<Ja cię kręcę, Atticusie, to chyba ninja! Widzisz? Widzisz?>.

*To nie są prawdziwi ninja, Oberonie.*

<A niech mnie! Znów mnie zrobiliście w jajo, panowie ninjowie>.

*Skup się na tych czerwonych wielgusach.*

Rzuciłem na mojego psa kamuflaż. Miałem wielką nadzieję, że w ogóle nie będą go atakować. Próbowałem także skupić się przede wszystkim na oni, a nie na przedstawieniu, jakie odstawiała Inari. Gdy ja zasuwalem pod mur, żeby dać sobie jak najwięcej czasu i miejsca do walki, ona rzuciła krótki rozkaz – trochę taki, jakimi posługują się treserzy zwierząt – a potem z kataną w dłoni wyskoczyła przez dach herbaciarni w jakimś takim skoku, który wyglądał, jakby nie kosztował jej żadnego wysiłku. Następnie zawisła w powietrzu na dużo dłużej niż sekundę – aż zdążyło mi przemknąć przez myśl, że może w tym miejscu nie działa grawitacja czy co. Było to jednak chwilowe rozwiązanie, bo zaraz potem zupełnie znikąd pojawił się pod nią wielki biały lis o dziewięciu ogonach, który porwał ją z taką prędkością, że zamigotał mi w oczach wir jedwabiu i futra, który chyba jeszcze bardziej niż mnie zdumiał oni.

Przypomniałem sobie o kobiecie, która zaprosiła mnie do herbaciarni, spojrzałem w miejsce, gdzie stała, i oczywiście jej yukata leżała już pusta na ziemi. To ona była latającym lisem.

Oni zaczęły wymachiwać rękami, żeby trafić maczugami w Inari, co bardzo spowolniło ich atak na moją osobę. Dzięki temu dwóch strażników Inari zdążyło ich dogonić i aż dwóm przeciąć ścięgna pod kolanami. Cięcia wykonali bardzo podobne, ale potwory upadły zgoła odmiennie. Jeden runął tak, że nie uczynił krzywdy nikomu poza sobą – nadział się na jedną z kamiennych latarenek. Ale drugi przewrócił się do tyłu i swoim ciężarem zgniótł jednego ze strażników Inari. Pozostałe dwa oni skupiły się na rozpaczliwych próbach złapania Inari, a mnie ignorowały tak kompletnie, że przez chwilę czułem prawdziwy egzystencjalny zawrót głowy, bo dotarło do mnie, że naprawdę tym razem to nie ja jestem celem ataku. Oni uważały mnie za coś zupełnie nieważnego i nieszkodliwego, wypadło więc, żeby tego pożałowały.

*Wycofaj się* – nakazałem Oberonowi i po cichutku pomknąłem na pierwszego oni, który wyginał szyję jak mógł, by nadążyć za lotem Inari. Oni miały na biodrach prawdziwe starodawne przepaski i wyraźnie przeoczyły całe dziesięciolecia reklam proszków do prania, które zdradzają przecież wielką tajemnicę utrzymywania bielizny w stanie bezplamowym. Były to dzikie hulkopodobne, brutalne olbrzymy, co nie znaczy, że odporne na prędkość i stal. Mój atak nie spełniał wymogów fair play, ale też zabójcy tego nie oczekują od nikogo, jako że sami mają je gdzieś. Ten oni nawet nie zauważył, że nadciągam, tak więc miecz, który wbił się w jego mostek i dotarł aż do serca, stanowił dla niego nie lada zaskoczenie. Zadrzał spazmatycznie, upuścił maczugę i upadł do przodu. Nie miałem już czasu wyrwać miecza, więc tylko przefikołkowałem



na prawo i dałem mu nań runąć. Pozbawiony w ten sposób broni spojrzałem w górę i stwierdziłem, że moja zasadzka na jednego oni zwróciła niestety uwagę drugiego. Jego kolczasta maczuga już opadała na mnie, a wycelowana była w moją głowę. Zdażyłem tylko wyciągnąć ręce z nadzieją, że nie zmienię się zaraz w krwawą papkę.

Coś jednak uderzyło go w pierś, już gdy się zamachiwał, a siła uderzenia sprawiła, że jego ramię poleciało mocno do przodu. Maczuga wylądowała tuż przy moim lewym ramieniu, a jeden z kolców mi je rozciął. Przeturlałem się na bok, podniosłem i wykonałem mały trik parkurowy, wykorzystując ciało zabitego oni jako punkt odbicia. W ten sposób znalazłem się za jego cielskiem, które zasłaniało mnie teraz nieco przed tym drugim, nadal żywym oni. Obróciłem się, żeby sprawdzić jego pozycję, gdy usłyszałem głos Oberona:

<Atticus? Nic ci nie jest?>.

*Nic. To ty go walnąłeś?*

<No. To byłem ja>.

*Dzięki, chłopie, ale teraz się schowaj i daj Inari go wykończyć.*

Bogini krążyła wokół, jakby przygotowywała się do bombardowania.

<Ajajaj!>.

Szare maźnięcie w powietrzu tuż przy piersi oni świadczyło o tym, że Oberon wycofał się pospiesznie, tymczasem Inari spłynęła z grzbietu swojego lisa z wysoko uniesionym mieczem, który natychmiast zatopiła w szyi oni. Trysnęła krew olbrzyma i zupełnie zniszczyła piękny jedwab szaty Inari, a przy okazji zdradziła pozycję Oberona.

<Fuuuu! Teraz śmierdzą jak dupa w płynie!>.

Ryk rozpaczy za mną oznaczał koniec ostatniego oni, któremu czarny wojownik podciął ścięgno kolanowe. Strażnik Inari dobił go, gdy olbrzym był unieruchomiony na ziemi. Otarłszy krew z głowni, wojownik skrył miecz w pochwie i podbiegł do Inari, przed którą padł na kolana, a następnie na twarz. Z jego ust popłynął strumień przeprosin, a za nimi błaganie, by odebrała mu natychmiast życie za to, że nie zdołał jej ochronić.

– Wstań – nakazała, posłusznie wstał więc, ale nie odważył się podnieść wzroku. –

Którym jesteś?

– To niegodny Tsukino Hideki.

– Na zewnątrz nikt nie przeżył?

– Tylko ja, o Promienna. Zabiliśmy tam jeszcze dwa oni.

– Dobrze się spisałeś, Tsukino-san. Wróć na stanowisko.

– Hai.

Znów się pokłonił, po czym niewiarygodnie cicho wymknął się z ogrodu przez zniszczony mur. Lis o dziewięciu ogonach zajął pozycję na lewo od Inari, siadając na okrągłym kamieniu mniej więcej w tej samej pozycji co posągi znajdujące się przed świątynią bogini.

*Oberonie, siądź po mojej lewej, proszę, i żeby cię przypadkiem nie podkusiło zadzierać z tym lisem. To nie jest zwykły kitsune. To tenko, lis tysiącletni.*

<Nie bój lisa. Nic mu nie zrobię. Latające lisy są jeszcze bardziej niefair od latających wiewiórek>.

Zdjąłem z niego kamuflaż. Tenko obserwował czujnie, jak Oberon zajmuje miejsce obok mnie. Futro biednego psiaka całe było we krwi.

– Sam widzisz, Ó Suileabháin-san – odezwała się Inari. – Znam te oni. Od stuleci mieszkają na zboczach mojej góry, trzymają się z dala od ludzi i nikomu nie robią krzywdy. Same z siebie nigdy by mnie tu nie zaatakowały. To Loki podszeptuje ciemności coraz to nowe pomysły. Nie możemy jednak działać przeciwko niemu w oparciu o szept.

– A ja mogę?

- Tak. Czas, byś zaczął.
  - Jak działać?
  - Jak uznasz za stosowne. Kilka lat temu Ganeśa nawoływał cię do roztropności i ograniczania działań. Już nie ma jednak takiej potrzeby.
  - Nie? Co się takiego zmieniło?
  - Olimpijczycy są już po naszej stronie. Gdybyś zadziałał wcześniej, nigdy by się do nas nie przyłączyli.
  - Czy to znaczy, że nie mogliście sami ich zwerbować?
  - Nie. Jak zawsze niezbędny był tu czynnik ludzki. Do większości działań potrzebujemy modlitwy o wstawiennictwo.
  - Wybacz, Inari, ale to jakiś absurd. Z tego, co mi zdradziliście dotąd, stanowicie konsorcjum współpracujących bogów. Jednym z was jest Ganeśa, ale wiem, że jest was więcej. Co najmniej jeden z waszych współpracowników jest wszechwiedzący i może znaleźć mnie, gdziekolwiek jestem, bez względu na zimne żelazo w mojej aurze.
  - Zgadza się.
  - A zatem możecie spokojnie działać razem bez ludzkiego udziału.
  - Nie.
  - Ale przecież Loki na pewno nie działa na prośbę żadnego człowieka. Ani Lucyfer, ani Iblis, ani jakiegokolwiek inne wredne bóstwo.
  - To prawda, ale to nie podważa tego, co powiedziałam. Moce ciemności z zasady funkcjonują inaczej niż my. Z założenia powstały jako istoty wolne, które sięgają chaos i działają we własnym interesie. Ale ludzie wierzą, że bóstwa takie jak ja są inne. Wierzą, że trzymamy się zasad, taka więc jest prawda. Ich wiara jest murem, którego nie możemy przeskoczyć. Zwykle jesteśmy w ogóle ograniczeni do niesienia pomocy tylko naszym wyznawcom. Tym razem jednak doszło do współpracy, ale i to tylko dzięki pewnej ludzkiej istocie, która wierzy w nas wszystkich. Znasz ją zresztą.
  - Kto to taki?
- Inari przechyliła lekko głowę i spytała:
- Pamiętasz może Rebekeę Dane?

## Rozdział 8



Wspomnienie ciepła nic nie pomaga w walce z zimnem. Tylko odwraca moją uwagę od tego, co muszę zrobić, żeby nie zamrznąć. Gdyby Atticus nie nauczył mnie, jak podnosić temperaturę ciała – gdybym nie umiała tego zrobić teraz i u siebie, i u Orlaith – dawno byśmy tu zamrzły na śmierć.

Kiedy docieramy do jaskini, yeti w niej nie ma. Choć szłyśmy ściśle według wskazówek, które dał mi Atticus, samą jaskinię musiałam namierzyć, posługując się magicznym wzrokiem, bo yeti zarzuciły na wejście zasłonę ze śniegu. Gołym okiem widać tylko górę pokrytą białym puchem, ale szkło faeryczne ukazuje magię wokół wejścia – wysoką na jakieś dziesięć stóp i jeszcze szerszą. Wchodzimy z Orlaith do środka i naszym oczom nie ukazuje się zwykła jama, ale raczej wewnętrzny pałac, niewyciosany ludzką ręką, tylko pewnie stworzony przez himalajskiego żywiołaka zgodnie z instrukcjami wydanymi przez Manannána Mac Lira. Gdy włączam noktowizję, z mroku wyłania się kamienny stół pod lewą ścianą, a na nim trzy świece i zapalki. Zapalam je wszystkie, a jedną biorę z sobą, gdy wkraczam w głąb jaskini, wciąż wołając po staroirlandzku:

– Hop! Hop? Jest ktoś w domu? Przyniosłam wam bekon!

Przypuszczam, że nie ma na tym świecie wielu bardziej przyjaznych słów powitania.

Przedpokój przechodzi w długi, prostokątny hol z kamiennymi blatami po obu stronach. Na nich stoi mnóstwo dodatkowych świec, zapalam je więc, gdy idę wzdłuż lewej ściany. Tuż przy wejściu, w zagłębieniu w ziemi, znajduje się prostokątne palenisko otoczone murkiem z kamienia. Nad nim zamontowany jest rożen, a obok leżą najróżniejsze żeliwne kraty, pogrzebacze i szczypce do grillowania. Idę o zakład, że to wszystkie narzędzia wykute przez Goibhniu, choć Manannán pewnie nigdy mu nie powiedział, komu będą służyły.

Na blacie przede mną, przy palenisku, leży pięć kamiennych talerzy, a każdy mocno przyprószony śniegiem. Jest też patera i kilka dużych mis czekających na wypełnienie jedzeniem. Widzę wielkie trzyzębne widelce, ale żadnych noży.

Idę dalej wzdłuż holu i zapalam kolejne świece. W końcu docieram do pięknego dębowego siedmiobocznego stołu, zdobionego splotami zdrowia i harmonii. To z pewnością robota Creidhne'a. Wysokie krzesła także są z dębu. Nie mają podłokietników, ale są przeznaczone dla osób bardzo wysokich i szerokich. Pośrodku stołu leży coś w rodzaju marmurowej planszy do szachów, ale zamiast sześćdziesięciu czterech bierok jest ich czterdzieści dziewięć. To fidchell, stara irlandzka wersja szachów, a bierki to przepiękne miniaturowe rzeźby z lodu. Część z nich jest z przezroczystego, część z matowego lodu, przeplatanego w środku cienkimi wstążkami, a część jest niebieska od szronu, który dodaje im głębi i odbija światło w zupełnie niesamowity sposób.

O wiele większe, równie piękne rzeźby stoją na długim stole pod ścianą. Pięcioro spośród Tuatha Dé Danann, wysokich na co najmniej dwie stopy i rzeźbionych bardzo starannie, gapi się na mnie – hmm – lodowatym spojrzeniem. Od lewej rozpoznaję Flidais, Manannána Mac Lira, Brighid, Morrigan i Dagdę. Interesujący wybór z całego panteonu: polowanie, morze, ogień i twórczość, Szafarka Śmierci i bóg płodności. Zwłaszcza uwzględnienie Dagdy w tym wyborze jest dość ciekawe, biorąc pod uwagę, że dokonała go grupa jakoby bezpłodnych istot. Przychodzi mi do głowy, że być może yeti modlą się o płodność w innym sensie – na przykład płodność zwierząt, na które polują. Zastanawiam się odruchowo, czy te rzeźby są splecione magią wody

i nie topią się tak jak lodowe noże, czy też są ze zwykłego lodu. Uśmiecham się na myśl, która pojawia się w mojej głowie: ile by się dostało za nietopniejącą rzeźbę Dagdy, która wyszła spod ręki mistrza yeti, gdyby się ją próbowało sprzedać w jednym z nowojorskich domów aukcyjnych? Pewnie najtrudniej by było z potwierdzeniem tożsamości artysty.

Zastanawiam się też, dlaczego matka yeti nie nauczyła ich czcić Azów. A może nauczyła? To w takim razie kiedy przeszli na wiarę irlandzką?

Wysoki łuk prowadzi do jakichś pomieszczeń jeszcze głębiej, ale waham się, czy powinnam tam zaglądać.

– Dajesz radę coś wywęszyć, Orlaith? – pytam.

<Pachnie staro>.

– Starymi ludźmi?

<Nie. Stare zapachy. Zwietrzałe. Zapachy są stare>.

– Hmm.

Ta informacja bynajmniej mnie nie cieszy, ale też niestety pasuje do tej grubej powłoki śniegu, którą widzę wszędzie w pomieszczeniu; kupki białego kurzu naniesionego tu przez przeciągi. To znaczy, że musi tu być jakaś wentylacja.

Ze Scáthmhaide'em wysuniętym ostrożnie do przodu przechodzę pod łukiem i nie wpadam jakoś w żadną pułapkę, tylko odkrywam korytarz, który prowadzi na lewo, a potem zawija się zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Na prawo widzę drzwi zamknięte deską, zaklinowaną w uchwycie na ścianie obok. Sprawdzam, jak to wygląda w magicznym spektrum, i nie widzę żadnych splotów, które świadczyłyby o zastawionej pułapce. Co nie znaczy jeszcze, że nie może tu być zwykłej pułapki. Kij znów się przydaje. Jego końcem podważam deskę i odblokowuję drzwi. Uchylają się odrobinę, ale nie otwierają na oścież, a ze środka nie wyskakuje na mnie nic niebezpiecznego.

– A tu coś czujesz? – pytam Orlaith.

<Martwe drewno>.

Jej nos się nie myli. Gdy zaglądam do środka, okazuje się, że to pomieszczenie do przechowywania drewna na opał – pełne dębiny, brzeziny i jałowca. Skąd yeti zdołały tyle tego tu przyciągnąć, skoro znajdujemy się zdecydowanie powyżej linii drzew? Całe sterty drewna czekają, aż ktoś je wrzuci do paleniska. A gdzie jest jedzenie? Przechodzę przez składzik drewna i znajduję odpowiedź w następnym pomieszczeniu.

Ta izba jest większa niż jadalnia, przez którą przeszłam. Niewykluczone, że to największa na świecie lodówka. Na hakach zwisają dziki, jaki i piźmowce. Haki zrobione są z lodu i wyglądają jak zamrożone, wyrastające z sufitu ogony skorpionów. Ta rzeźnia – o tyle dziwna, że nie widzę w niej żadnych ostrych narzędzi – świadczy o minionej aktywności, ale nie ma w niej żadnych śladów niedawnego używania. Dziura w podłodze – pewnie na odpadki – nie mówi mi nic poza tym, że powinnam patrzeć pod nogi.

Przyglądam się jeszcze raz wszystkiemu w magicznym spektrum, żeby sprawdzić, czy nie przeoczyłam czegoś ważnego, ale nie widzę nic poza imponującą ilością zapasów. Nie ma tu już innych drzwi, wycofujemy się więc przez składzik drewna z powrotem na korytarz. Proszę Orlaith, żeby dała mi znać, jeśli coś usłyszy lub wywęszy, ale chyba jesteśmy tu same. Choć nadal martwię się, czy nie natknę się na jakąś pułapkę, to samych yeti raczej chyba po prostu nie ma w domu. Wciąż mam jednak nadzieję, że może zwyczajnie znajdę gdzieś lodowy nóż i będę sobie go mogła po cichu pożyczyć.

W korytarzu znajdujemy pięć sypialni i szóste pomieszczenie, które spełnia funkcję łazienki. Nie ma oczywiście żadnej zaawansowanej hydrauliki – po prostu dziura w środku himalajskiej góry. Ale sypialnie zdradzają mi nieco więcej o yeti. Są to proste pomieszczenia

wykute w skale, ale już meble – łóżko, stół i krzesło – są wyrzeźbione z lodu. Na każdym łóżku leżą sterty futer, a dodatkowe jeszcze na krzesle. Sam styl mebli jest różnorodny. Cztery yeti próbowały prześcignąć się w misternych wzorach z lodu, ale jedno z nich widać bardziej sobie ceni prostotę albo może nie chce rywalizować z rodzeństwem, bo wszystko zrobiło z najczystszej, najbardziej przezroczystego lodu, jaki w życiu widziałam.

W każdym pokoju znajdują się też trzy prostokątne bloki lodu przyłączone do ścian jak płótna. Ktoś wyrzeźbił je – czy też splótł – zupełnie niesamowicie, tak że zależnie od tego, jak się na nie patrzy, ukazują coraz to nowe niespodzianki. Wyjątek stanowią obrazy yeti zen. W jego pokoju jeden lodowy obraz przedstawia zupełnie jasnoniebieski szron; drugi jest z jasnego lodu z matowym białym kółkiem lekko na prawo i mniejszym niebieskim kółkiem w środku tego większego; a ostatni to tylko biała przestrzeń z jednym poziomym paskiem przecinającym całość mniej więcej w jednej trzeciej od góry.

Pośród tego wspianego domostwa stworzonego z kamienia, wody, żelaza i drewna zauważam jedną rzecz, która jest tu zupełnie nie na miejscu – iPada leżącego na środku stołu w sypialni yeti zen. To dość stary model, ale jednak szary plastik i silikonowy prostokąt składają się na artefakt naszego świata i naszych czasów; na anachronizm w miejscu, gdzie poza tym technologia nie wykracza raczej poza epokę żelaza. Nie wiem czemu, ale jego obecność wydaje mi się niebezpieczna. Jest jak guz gotowy rozrosnąć się i zniszczyć wszelkie życie. To oczywiście zupełnie nierozsądne odczucie, bo jedynym życiem tutaj jesteśmy ja i moja suka, a jeden iPad raczej sam nie zmieni się w Skynet, szczególnie bez WiFi ani nawet źródła prądu.

Dotykam iPada i bez specjalnego zaskoczenia stwierdzam, że padła mu bateria. Z pewnością nie ma tu sposobu, żeby ją znów załadować. Co zobaczyły yeti, nim rozładował się tablet? Czy to jakoś wyjaśnia ich nieobecność? Pewnie raczej z czystej ciekawości zabrały go jakimś himalaistą i jego obecność tu nie ma większego znaczenia.

– Którąkolwiek yeti tu mieszka, jest pokojowo nastawione do świata – mówię do Orlaith.  
– Mam nadzieję, że to je pierwsze spotkanie. Jeśli w ogóle je spotkamy. Wielka szkoda, że ich dom jest pusty.

<Nie jest! Pełen jedzenia!>.

– I tajemnic. Dokąd poszły sobie yeti i kiedy wrócą?

<Jeść najpierw. Zagrzać się. Potem myśleć>.

– Rozsądna hierarchia potrzeb.

<Hierarchia? Co to? JEDZENIE, Granuaile>.

Uśmiecham się do mojej psiny. Koncepcji hierarchii nie da się tak łatwo przełożyć na obrazy czy emocje bez zamartwiania się przy okazji, gdzie się ma miejsce w tej hierarchii. To słowo jest dla niej zupełnie pozbawione znaczenia.

– Tak, pewnie lepiej będzie, jak wrzucimy coś na ząb, skoro i tak musimy czekać.

<Czekać długo?>.

– Mam nadzieję, że nie. – Prawdę powiedziawszy, już panikuję, że nigdy nie znajdę yeti.

– Czy zapachy tutaj są nowsze?

<Nie. Wciąż stare>.

Problem z oceną wydaną przez Orlaith jest taki, że tak jak Oberon ma ona okropne trudności z rozumieniem czasu i liczb. „Stare” może oznaczać dla niej lata albo dni. W sumie nie ma to aż takiego znaczenia, bo tak naprawdę chciałabym wiedzieć tylko, kiedy lub nawet czy w ogóle yeti wrócą, ale jednak czułabym się lepiej, gdybym miała jakieś pojęcie, kiedy tu ostatnio były. Odkładam broń i bekon na stół, rozbieram się – drżąc mimo podniesionej magicznie temperatury ciała – i przeplatam się w postać czarnego jaguara.

Kicham jak zwykle, a potem zaczynam rejestrować coś jakby zapach małpy i kobiety,

spadzi, mroźnych kwiatów opadających na stare, nienawiści i kości frustracji, przeżutych i wyrzuconych, co nie znaczy, że zapomnianych. Czuję zapach futer i olejków do ich garbowania, a potem słaby zapach dymu i popiołu z paleniska zgaszonego kilka dni temu. Nad tym wszystkim unosi się aromat pieczonego mięsa i tłuszczu.

Wychodzę z pokoju zen i wracam przez korytarz do głównego holu. Chcę dobrze obwąchać palenisko i spróbować oszacować, kiedy ostatnio było używane. Orlaith idzie za mną, wymachując ogonem.

<Polować teraz?>.

Odpowiadam jej mentalnie, nadal pod postacią jaguara. W zasadzie nie wiem nawet, czy to brzmi wtedy w jej głowie jakoś inaczej.

<Nie, tylko chcę się rozejrzeć. Kiedy skończę, zjemy coś z zamrażarki>.

<Dobra!>.

Nie jestem ekspertem, ale szacuję, że to palenisko było używane zaledwie kilka dni temu, wcale nie aż tak dawno. Orlaith pewnie uważa, że słowo „stare” odnosi się do wszystkiego, co zdarzyło się przed ostatnią drzemką. Skoro jednak yeti były tu kilka dni temu, być może nie ma ich teraz, bo wyprawiły się na polowanie czy... bo ja wiem, może na narty? Albo może miały akurat smak na warzywka do mięsa i wybrały się w jakąś dolinę po brokuły?

<Dość już tego węszenia. Staniesz tu na straży? Dasz mi znać, jeśli cokolwiek usłyszysz lub wywęszysz?>.

<Dokąd ty będziesz idła?>.

<Przemienię się z powrotem w człowieka, a potem rozpalę ogień, to zjemy sobie coś, gdy będziemy czekać na yeti>.

<Dobry plan>.

<Tak przypuszczałam, że ci się spodoba>.

Przemieniona i znów ubrana idę po drewno i rozpałkę do składu, a potem za pomocą świecy rozpalam ogień. Obszerna dziura w suficie nad paleniskiem – której oczywiście w ogóle nie zauważyłam, gdy skupiałam się na potencjalnych zagrożeniach czających się w korytarzu – służy tu za komin i nie mam wątpliwości, że jej wyjście jest dobrze schowane na szczycie góry.

W zamrażarce wybieram mięso piźmowca i bogom dziękuję, że Atticus nie widzi, jak je próbuję nadziać na rożen. Podczas mojej nauki nieraz przyrządzaliśmy sobie posiłki nad ogniskiem, ale nigdy nie używaliśmy prawdziwego rożna. Nie jest to wcale takie łatwe, jak by się wydawało, i uzmysławiam sobie, że na filmach jakoś nigdy nie pokazują, jak się nadziewa surowe mięso na rożen. Zawsze są te ujęcia, kiedy ktoś już odwalił całą brudną robotę i mięso jest prawie gotowe do jedzenia. Orlaith wyczuwa, że jestem lekko załamana swoją ślamazarnością, i jest taka kochana, że próbuje mnie po swojemu pocieszyć.

<Dobrze siebie radzisz, Granuaile> mówi. <Ja w ogóle tego nie umiem>.

Na marginesie: pieczenie mrożonego zwierzęcia na rożnie w mroźnej jaskini yeti, gdy samemu się o mało nie zamarza, zajmuje strasznie dużo czasu. I to czasu, którego nie mam w nadmiarze, bo przecież gdy ja tu siedzę, mój ojciec nadal jest opętany, a w Tańdzawurze giną ludzie.

W każdym razie mam przynajmniej kiedy przemyśleć sobie, co tu widziałam. Z tego, co mówił Atticus, yeti siedzą tu od wieków. A bekon oznacza, że będą tu siedzieć jeszcze wiele następnych. Ale co robią dla rozrywki? Poza rzeźbieniem w lodzie i graniem w fidchell, jakim cudem udaje im się tu nie oszaleć – zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że są przecież rodzeństwem... W pomieszczeniach, które widziałam, nie natknęłam się na żadne słowo pisane. Żadne gry karciane. Żadnych *Osadników z Catanu*. Może większość czasu spędzają poza jaskinią, bawiąc się w śniegu, ożywiając bałwany i rzucając się z nimi śnieżkami. Prawdę

powiedziawszy, to by mogło być całkiem zabawne. Gdybym miała taki śnieżny talent jak one, zrobiłabym sobie wielkiego berserkera ze śniegu i nazwała go Snowdor. Miałby Zimne Ostrze Harrowing, Szronową Zbroję Wiecznej Zimy i – bogowie drodzy, nie powinnam była pozwolić, by Atticus wciągnął mnie w granie na PlayStation i zabijanie przez kilka godzin cyfrowych potworów, bo to nieubłagane siadło mi na wyobraźni.

Zmuszam się do oderwania od pięknej wizji niezniszczalnego Snowdora mordującego swoich lodowych wrogów, ale jednak potrzebuję czegoś, co by nie pozwoliło mi się zamartwiać, że to opóźnienie zmniejsza szansę mojego ojca na przeżycie, skupiam się więc z Orlaith na odmianie czasowników „iść/chodzić” i pochodnych. Zauważyłam, że sprawiają jej taką trudność, iż często po prostu pomija je w zdaniu. W końcu dochodzimy do przełomowego momentu, gdy nastawia uszu i oświadcza:

<Ktoś nadchodzi!>.

Klaszczę zachwycona i chwale ją:

– Moja mądra psina! Świetny przedrostek i poprawna odmiana!

<Nie, to nie być ćwiczenie. Ktoś nadchodzi. Naprawdę. Teraz>.

– Oj! Może lepiej schowajmy się za stołem, na wypadek gdyby ten ktoś nie lubił nieproszonych gości.

Czuję się zupełnie jak Złotowłosa przyłapana przez trzy misie na jedzeniu owsianki. Może powinnam uaktualnić tę starą opowieść i nadać jej nowy tytuł: *Rudowłosa i pięć yeti*.

Chwytam Scáthmhaide’a i pędzę za stół, bo to jedyna osłona, jaką mam tu, w holu, a przecież nie wiem, czy yeti nie rzucą czymś lub nie strzelą, nim zaczniemy rozmawiać. Z tą myślą zaczynam pierwsza mówić – w sumie to się drę – po staroirlandzku, żeby nie były zbyt zaskoczone moją obecnością.

– Witajcie w domu! Przysłała mnie Manannán Mac Lir! Przyniosłam wam bekon! Jestem Granuaile MacTiernan, druidka Gai! Wejdźcie, proszę, i ogrzejcie się! Rozpaliłam ogień!

<Nie chodź teraz. Albo chodź cicho> donosi mi Orlaith.

Powtarzam moje przyjazne powitanie i mam wielką nadzieję, że słyhać je na tyle dobrze, że jest zrozumiałe. Jesteśmy dość daleko od wejścia, które znajduje się na ukos od nas, między mną a nimi jest więc kąt, który wykracza poza zakres mojego wzroku. I tak jednak wiem, kiedy się w nim znajdują, bo jasne światło z zewnątrz znika na chwilę, jakby zasłoniło je coś dużego.

Do pokoju wpada chmura śniegu, część z niego syczy i topi się od ognia na palenisku, a potem, zza stołu, widzę kawałek masy śniegowej, która ostrożnie wysuwa się zza rogu. Śnieżny półksiężyc zagląda za stół.

– Witajcie! – wołam i znów powtarzam, że jestem druidką wysłaną do nich przez ich ojca, Manannána Mac Lira. Wyciągam opakowany w papier bekon i ostrożnie rzucam go na blat.

Postać, która wyszła z łuku bramy wejściowej i pojawiła się przed moimi oczami, jest jak żywcem wyjęta z mojego marzenia o Snowdorze. To niemal bezkształtny goliat z białego pyłu, niby człekopodobny, ale jakoś dziwnie pozbawiony wszelkich cech, poza tą jedną, że ma prawie dwa i pół metra wzrostu. Stoi, jakby czekał, czy zaatakuję, a gdy widzi, że nie mam takiego zamiaru, jego głowa przechyla się nieco, żeby spojrzeć na ogień płonący w palenisku.

– A... racja, przepraszam za bałagan – mówię. – Nie wiedziałyśmy, kiedy wrócicie, a byliśmy takie głodne i zziębnięte. Oczywiście oddam wam drewno i mięso, które zużyłyśmy.

Głowa znów obraca się w moją stronę i zaczyna się transformacja. Postać niby się nie porusza, ale opada z niej ta biała masa, płatki śniegu ulatują jak łupież na wietrze, znikają, pozostawiając za sobą tylko yeti w jego prawdziwej postaci. Yeti nie jest wcale takie wielkie ani nawet wysokie, ale jednak widać, że jest potomkiem olbrzymki. Posługuję się tu formą nijaką przymiotników, bo nie potrafię ustalić, czy patrzę na samca czy samicę. Najpierw wydaje mi się,

że to samiec, bo z policzków od dołu zwisa mu dłuższe białe futro. Trudno je chyba nazywać brodą, skoro cała twarz porośnięta jest włosami o mniej więcej tej samej gęstości i grubości co reszta ciała. Może powinnam to raczej określić mianem grzywy. Więc, powiedzmy, grzywa jest zebrana w starannie plecione warkocze, ozdobione małymi koralikami z lodu, po części być może ze względów praktycznych: żeby włosy nie wpadały mu do nosa i ust, ale po części na pewno jest to decyzja estetyczna, dzięki której twarz i szyja pobłyskują niebieskim światłem. Nad policzkami widzę jasnoniebieską skórę wokół głęboko osadzonych, ciemnych oczu. Brwi są pokryte białym futrem, tak zresztą jak czoło i wszystko inne z wyjątkiem ust, wnętrza dłoni i końcówek palców, które też są jasnoniebieskie. Nie ma pazurów, ale w prawej ręce trzyma imponujący nóż – pewnie to właśnie ten lodowy nóż, po który tu przyszedłam.

Nóż kształtem przypomina nieco kurki Gurkhów z Nepalu. Wygląda na ciężki i jest za duży, żeby nazywać go zwykłym nożem. Zasługuje na epitet „cholernie duży” albo może nawet „olbrzymi, kurwa”. I może to tylko złudzenie wywołane płomieniem w palenisku, ale zdaje mi się, że jego ostrze lśni od środka. Jest przezroczyste, niebieskie wzdłuż tnącej krawędzi, matowe na płaskiej części, ale po tępej stronie jest czyste i dymi się jakąś niepokojącą czerwienią. Odnotowuję sobie, że yeti trzymał ten nóż zupełnie skryty w śniegu, póki nie zobaczył, że nie zamierzam jednak atakować.

Nadal mi chyba nie ufa. Nie uśmiecha się i nie mówi „czołem” ani „witaj”, ani „fajnie, że zaczęłaś już gotować kolację”. Za to bardzo niskim głosem rzuca po staroirlandzku następujące żądanie:

– Udowodnij, że jesteś druidem.

Nie widzi większości moich tatuaży, bo mam na sobie płaszcz, pokazuję mu jednak grzbiet prawej dłoni, żeby zobaczył triskelion i krąg odpowiadający za leczenie.

– To tylko atrament. Niczego nie dowodzi. Zostań tam, gdzie jesteś, ale wezwij kawałek tej ściany do swojej ręki. – Wskazuje mi ścianę za sobą, czyli tę naprzeciwko mnie.

Kiwam głową, żeby wiedział, że przyjąłam jego prośbę do wiadomości, lecz unoszę dłoń, prosząc, żeby poczekał.

– Dobrze, ale będę musiała zdjąć do tego but.

Mam trochę energii w metalowych splotach Scáthmhaide’a, wcale jednak nie chcę, żeby o tym wiedział, a poza tym chodzi przecież o to, żeby mu udowodnić, że jestem druidem i jestem spleciona z ziemią. Mimo podniesionej magicznie temperatury ciała, gdy tylko dotykam lodowatej kamiennej posadzki, moje palce u stóp zwijają się w panice, jakby krzyczały: POWALIŁO CIĘ? TU JEST ZA ZIMNO! Mimo to pobieram trochę mocy od żywiołaka Himalajów, skupiam się na garści kamienia w ścianie naprzeciwko i zaczynam odplatanie. Dziwnie jest wypowiadać słowa zaklęcia przy kimś, kto je rozumie, a nie jest Atticusem, ale oczywiście to nie staroirlandzki sprawia, że jestem druidką – to moje połączenie z Gają.

Na ścianie pojawia się linia w kształcie koła, a potem splatam kamień ze skórą mojej dłoni, żeby przeleciał przez całą salę. Prosty test na rozplatanie i splatanie, ale mało który użytkownik magii potrafi go wykonać – z wyjątkiem druidów. Pokazuję yeti kawałek granitu wielkości piłeczki baseballowej, a on szczyrzy do mnie zębami w uśmiechu. Są dość ostre, ale jednak nie opisałabym ich jako zabójcze żyłki czy zdradzieckie kły ani nic w tym stylu. Odplatam granit od dłoni i odkładam na stół.

– Wystarczy? – pytam. – Bo wołałabym włożyć z powrotem but, nim stopa całkiem mi odmarznie.

– Tak, wystarczy. Witaj w naszych skromnych progach, druidko. Dziękujemy, że odbyłaś tak daleką podróż. Jestem Skúfr Jötunson, trzeci pod względem starszeństwa.

Tym imieniem zupełnie mnie jakoś zaskakuje, ale przecież to ma sens, żeby yeti nosiły



staronordyckie imiona, a nie staroirlandzkie, skoro ich matka była olbrzymką mrozu. Tylko zamiast nadać mu nazwisko po ojcu lub po matce, olbrzymka nazwała swoje dziecko po prostu synem olbrzyma.

– Dziękuję za tak serdeczne powitanie. Pewnie już słyszeliście, jak przedtem krzyczałam, ale nazywam się Granuaile MacTiernan. A to mój pies Orlaith.

Orlaith zaczyna na to wymachiwać ogonem i mówi:

<Cześć, Miła Włochata Osobo>.

*Tak, wydaje się miły, nie? Ale cię nie słyszy.*

<Nie mieć magii?>.

*Posługuje się magią, ale inną od mojej.*

Skúfr macha na resztę, żeby też weszli.

– No chodźcie. To druidka przysłana przez ojca. Przywitajcie się.

Wchodzą jedno za drugim, a śnieg opada z nich, ukazując ich prawdziwe rysy. Większość z nich ma podobne lodowe koraliki jak Skúfr, ale każde nieco inne.

Pierwszy, który wchodzi, jest równie wysoki jak Skúfr. Przez ramię ma przerzuconego piźmowca, co potwierdza moje przypuszczenie, że wybrali się na polowanie.

– Jestem Erlendr Jötunson, najstarszy. Witaj. – Ma na grzywie znacznie więcej lodowych koralików, tak dużo, że uderzają o siebie nawzajem. – Przepraszę was na chwilę i schowam to, co złowiliśmy.

Przechodzi obok Skúfra w stronę zamrażarki i widzę, że jego lodowy nóż ma ten sam niepokojąco czerwony blask.

Trzecia yeti przedstawia się jako Hildr Jötunsdotter, druga pod względem starszeństwa. Nic w jej głosie ani fizjologii nie świadczy, moim zdaniem, o tym, że jest rodzaju żeńskiego. Jeśli nawet u yeti zwisa – lub nie – coś między nogami, to nie da się tego zobaczyć, bo wszystko kryje zasłona białego futra, a Hildr nie ma większych piersi niż jej bracia. Ozdoby na jej grzywie plasują się pod względem liczby gdzieś między Erlendrowymi a Skúfrowymi, wysuwam więc hipotezę, że liczba i złożoność warkoczyków może zależeć nie tyle od prywatnych upodobań, ile od wieku.

Czwarty yeti, czwarty zarazem pod względem starszeństwa, potwierdza w zasadzie tę hipotezę. Ma tylko po dwa warkoczyki po każdej stronie twarzy i przedstawia się jako Ísólfur Jötunson.

Ostatnia jest najmniejsza i najmłodsza, a po obu stronach ust ma tylko po jednym warkoczyku. Uosobienie prostoty. Idę o zakład, że to jest właśnie yeti zen.

– Jestem Oddrún Jötunsdotter – mówi. Jest o całą głowę niższa od rodzeństwa, ale i tak góruje nade mną dość przerażająco. – Witaj. Napijesz się czegoś?

– O tak, bardzo chętnie – przyznaję, bo nagle dociera do mnie, jak bardzo jestem spragniona. Przyniosłam z sobą manierkę, ale woda w środku jest już teraz zamrożona na kość.

– Wolisz miód czy wodę? – pyta Oddrún.

Proszę o miód dla siebie i wodę dla Orlaith. Oddrún nakazuje Ísólfrowi zająć się psiną, a sama przechodzi przez komnatę w moją stronę i zatrzymuje się przy blacie, na którym leżą kamienne naczynia. Odkłada swój lodowy nóż przy talerzach, przykuca i odsuwa panel kamienia, odkrywając przede mną ukryty kredens, który być może sama bym zauważyła, gdybym się uważniej przyjrzała. Wyciąga ze środka baryłeczkę miodu i róg do picia, po czym zamyka kamienną szafkę. Gdy zajęta jest nalewaniem miodu, odruchowo skupiam wzrok na Ísólfrze, który odłożył nóż na blat i wystawił prawą dłoń, wierzchem w dół, w stronę wejścia do jaskini. Na moich oczach nad jego dłoń nadlatuje lejek śniegu i wije się nad nią jak odwrócone tornado. Wciąga coraz więcej śniegu z zewnątrz, a na dole wiru śnieg zbija się w twardego lodu, który

przyjmuje kształt prawie przezroczystej misy zdobionej od środka zawijasami ze śniegu. Reszta śniegu łąduje w misie, a Ísólfr macha nad nią i śnieg się topi.

– Twój pies powinien to wypić, nim znów zamarznie – radzi.

Wychodzimy zza stołu, a on stawia misę przed Orlaith, gdy tymczasem Oddrún podaje mi róg pełen miodu. Jest niewiarygodnie pyszny, pytam więc, skąd go mają.

Hildr uśmiecha się i odpowiada:

– Ojciec kupuje go od Goibhniu i nam przysyła.

Orlaith chłepcze wodę, a yeti zapraszają mnie do stołu. Erlendr wraca właśnie, gdy siadam, ale wtedy przypominam sobie, że przecież miałam pilnować pieczeni.

– Przejmę szykowanie posiłku – mówi najstarszy yeti, zabierając ze stołu paczkę z bekonem. – Dziękuję, że nam to przyniosłaś. Zaraz wracam.

Znów znika, a pozostałe yeti siadają ze mną do stołu, nalawszy sobie też trochę miodu Goibhniu do rogów. Orlaith kładzie się przy moim krześle, a mnie się aż w głowie kręci na myśl o tym, jak dziwne i wspaniałe stało się moje życie. Właśnie piję miód z yeti w Himalajach. I yeti są niezwykle gościnnymi gospodarzami.

Ale niespecjalnie rozmownymi. Wszyscy czworo wpatrują się we mnie wyczekująco, choć nie wiem, czego się spodziewają.

Po chwili okazuje się, że to przez Erlendra. Widocznie nie chciały, żeby przegapił cokolwiek z naszej rozmowy, bo gdy tylko wraca z naręczem drewna, Hildr zagaja rozmowę:

– Nigdy nie widzieliśmy żadnego druida, z wyjątkiem naszego ojca. Gdy nie może przybyć sam, zawsze wysyła jakąś faerię, a nie odwiedził nas od ponad stu lat. Czy twoja obecność tutaj oznacza, że tajemnica naszego istnienia została odkryta w Tír na nÓg?

– Nie, nadal prawie nikt o was nie wie – wyjaśniam. – Dopuszczono mnie do tej tajemnicy tylko w ramach wyjątku. Muszę przyznać, że przybyłam tu z nadzieją, że mi pomożecie.

Yeti patrzą po sobie, a potem przemawia Oddrún:

– I nam przydałaby się pomoc. Być może możemy się wymienić. Czego ci trzeba?

– Lodowego noża.

Skúfr prycha.

– I to wszystko?

Wyrzuca dłoń przed siebie, w stronę wyjścia z jaskini, tak jak zrobił to przed chwilą Ísólfr, gdy wyczarowywał misę dla Orlaith, i w ciągu kilku sekund wzywa śnieg i układa go w nóż z ząbkami, mniej więcej taki, jaki podaje się do steku. Kładzie go na stole, rączką w moją stronę.

– Zrobione.

– Nie, nie to mam na myśli. Potrzebuję takiego noża jak wasze. Takiego, który nigdy się nie topi.

Odchylają się do tyłu jak jeden mąż, znaczy jeden yeti, a Erlendr, który poprawiał piźmowca na rożnie, obraca głowę i wpatruje się we mnie. Czuję, że naruszyłam jakieś tabu.

Mijają sekundy, a ja milczę, bo się boję, że cokolwiek powiem, może tylko pogorszyć sprawę. W końcu odzywa się Oddrún:

– Ona nie wie, o czym mówi.

– To raczej jasne – przytakuje Erlendr i unosi swój nóż. – Myślała, że to lodowy nóż.

Wszystkie yeti prychają zgodnie, przez co czuję się zupełną ignorantką.

– Przepraszam. Jaka jest właściwa nazwa na waszą broń?

– Każda sztuka ma własną nazwę – odpowiada Hildr, wyciągając swój nóż – ale ogólnie rzecz biorąc, to wirujące ostrza, a nie byle lodowe noże.

– Wirujące ostrza. Rozumiem.

Pojęcia nie mam, dlaczego to miałyby być lepsza nazwa na nóż z lodu niż „lodowy nóż”, ale przecież nie mnie to krytykować.

– Bracia i siostry – odzywa się Ísólfir. – Być może nie jest to wcale zbyt duża prośba, jeśli weźmiemy pod uwagę, o co chcemy ją prosić w zamian.

Erlendr wstaje od paleniska, podchodzi i spogląda na nas z góry.

– Za szybko, by o tym myśleć, bracie. Najpierw musimy spytać, dlaczego ona uważa, że potrzebuje wirującego ostrza.

– Tak – przytakuje mu Hildir. – Nie wytwarzamy ich przecież dla innych.

Biorę spory łyk miodu, żeby dodać sobie odwagi, a potem wyjaśniam im, że mój ojciec został opętany przez ducha powietrza i żeby go uwolnić, potrzebuję broni, która byłaby stworzona z magii wody.

– Magia ziemi, którą władam, tu nie wystarczy. Mój archdruoid poradził mi, żebym porozmawiała z wami, a Manannán Mac Lir się z nim zgodził i to on wysłał mnie tu z dostawą bekonu dla was, żebym się spotkała z wami.

Nie zaszkodzi wspomnieć o ich ojcu. A przynajmniej mam nadzieję, że nie zaszkodzi. Bo kiedy już to powiedziałam, przychodzi mi teraz do głowy, że yeti mogą być na niego ociupinkę obrażone za to, że nie wpadł do nich z wizytą od stu lat.

– Ojciec wie o jej problemie i wie o naszym – mówi Oddrún, zadzierając głowę, żeby spojrzeć na Erlendra. – I nam ją tu przysłał. To chyba nasza odpowiedź.

Erlendr i pozostałe yeti zgodnie kiwają głowami. Rzuca się w oczy, że nie są to istoty skłonne do długich dyskusji.

– Zaproponujmy więc wymianę – decyduje Erlendr i wszyscy patrzą na mnie wyczekująco, gdy Oddrún wyjaśnia mi, o co im chodzi.

– Stworzymy dla ciebie wirujące ostrze, odpowiednie do twojego rozmiaru i o nazwie, jakiej sobie zażyczysz, jako przysługę wyświadczoną za pomocą magii wody, w zamian za przysługę magii ziemi. Potrafimy przesunąć to, co leży na górach, ale nie same góry.

– Ale o co wy mnie prosicie? Chcecie, żebym przesunęła Himalaje? Tego nie potrafię.

– Nie. Mówię tu o takim ruchu, który już nam zademonstrowałaś. Nasza jaskinia nie jest oczywiście naturalnym tworem. Stworzył ją dla nas ojciec. Przemówił do ziemi i wyjaśnił jej, że potrzebuje takiego a takiego pomieszczenia, a jaskinia się pojawiła, taka, o jaką poprosił. Chcemy, żebyś zrobiła to samo.

– A. Przydałaby się wam jeszcze jedna sypialnia? To na pewno mogłabym załatwić.

Wystarczy, że pogadam z żywiołakiem i po godzinie sypialnia będzie gotowa. Ufff.

– Nie. Nie sypialnia. Coś znacznie większego. To, czego nam trzeba, może ci się wydać dziwne czy zbędne, ale zapewniam cię, że to nas uratuje przed szaleństwem. Widzisz, boimy się czasem, że tu zwariujemy z nudów.

Pozostałe yeti kiwają głowami, żeby potwierdzić, że rzeczywiście są znudzone.

– Wyobrażam sobie.

– To dobrze. Bo nieraz już powtarzaliśmy to faeriom przysłanym przez ojca. Poprzez tych pośredników prosiliśmy go, żeby nas odwiedził albo, jeśli nie może, chociaż dał nam coś nowego, co moglibyśmy robić w śniegu i lodzie, bo przecież nie możemy sami zadawać się z ludźmi. Jedna z faerii wróciła z czymś, co się ponoć nazywa iPad. Wiesz może, co to iPady?

– Tak – mówię, ale gestem daję jej znak, żeby kontynuowała opowieść.

– Ten iPad miał w sobie różne obrazy. Obrazy, które się poruszały i wydawały dźwięki.

– Jakies filmiki – podpowiadam.

– Tak. Nagrane obrazy gry zwanej hokejem. Ludzie grają w nią w zimnym klimacie.

Dwie drużyny jeżdżą na łyżwach i uderzają w krążek, próbując wbić go do bramki.

– Tak, znam tę grę. Trochę brutalna.

– Właśnie! – ryczy Skúfr, waląc pięściami w stół, czym nieco mnie zaskakuje. – Brutalna gra na lodzie! To coś w sam raz dla nas!

– Tylko że potrzebujemy miejsca, gdzie moglibyśmy w nią grać – dodaje Hildir.

Szczęka mi opada, gdy dociera do mnie, czego ode mnie żądają.

– Przepraszam? Mam wam wybudować lodowisko?

– Tak – potwierdza Ísólfr. – Wewnątrz góry. Pod nami. Faerie tego nie potrafią. Tylko druidzi. A ty jesteś druidką.

– Dobra, chwila, musimy sobie coś wyjaśnić. Ja też tego nie potrafię. Tylko żywiołak umiałby zrobić coś takiego.

Oddrún wzrusza ramionami na takie zbędne szczegóły techniczne.

– Osiągniesz cel, jak tam będziesz sobie chciała. Wiemy, że dasz radę. Proponujemy ci wirujące ostrze w zamian za lodowisko do hokeja w sercu tej góry.

– Bogowie niejedyni. Kiedy ja nawet nie wiem, jak duże powinno być pole do hokeja.

– My wiemy – odpowiadają chórem, a Oddrún dodaje: – Jedna z faerii ojca nauczyła nas wszystkich zasad gry.

– A co z kijami, ochraniaczami, bramkami i resztą?

Erlendr uśmiecha się do mnie i wycofuje, tak że teraz stoi naprzeciwko drzwi.

– O tym już pomyśleliśmy. Nasz hokej będzie hokejem na lodzie w najczystszej formie.

Rozkłada obie ręce na boki i nagle zupełnie mi go zasłania mała burza śniegowa, która wpada w tej samej chwili z dworu. Gdy magiczna śnieżycy znika, Erlendr jest już odziany w ochraniacze ze śniegu, ma kask, kij i łyżwy z lodu. Bardzo rozsądne wyjście, bo i tak pewnie nie byłoby łatwo znaleźć sprzęt hokejowy w ich rozmiarach.

– Dobrze, jeśli tylko żywiołak się zgodzi, tak zrobimy. Lodowisko do hokeja za wirujące ostrze.

To wywołuje zębate uśmiechy i toasty za zdrowie i za hokeja. Erlendr oświadcza, że piźmowiec jest już przynajmniej częściowo gotowy, i swoim wirującym ostrzem odcina kilka soczystych kawałków. Jest tylko pięć talerzy, a teraz, licząc z psem, jest nas siedmioro, ale za pozwoleniem yeti odpłatom ze ściany dwa nowe talerze dla Orlaith i dla siebie. Wypytyują mnie o National Hockey League i o to, które drużyny są najlepsze. Wypadam na zupełną ignorantkę, bo wiem naprawdę niewiele o tym sporcie i udaje mi się wydobyć z zakamarków pamięci tylko kilka nazw drużyn.

Toronto Maple Leafs nie robią na nich wrażenia.

– Kto by się bał liści? – pyta Skúfr i zapewniam go, że rzeczywiście nikt. Przynajmniej nikt, kogo znam. Atticus zawsze nabija się z tej drużyny, gdy tylko nadarzy się okazja, ale prawdę powiedziawszy, może to bardziej wynikać z tego, że kojarzy mu się ona z jakimś nieprzyjemnym epizodem z lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku, kiedy to mieszkał w Toronto pod imieniem Nigel. Nigdy mi nie powiedział, co właściwie się tam zdarzyło. Muszę pamiętać, by go o to spytać.

– Wam pewnie bardziej spodobałaby się drużyna Colorado Avalanche – mówię do yeti.

Chrzążą na to i kiwają głowami.

– Piękna nazwa! Warta tego sportu.

Najedliśmy się już wszyscy i Oddrún mówi, że zacznie pracować nad moim ostrzem, gdy ja będę budować lodowisko. Wciąż siedząc przy stole, wzywa śnieg, który kondensuje się nad jej prawą ręką w zarys noża. Potem, gdy ostrze unosi się tak w powietrzu, Oddrún zadaje mi różne pytania. Czy chcę, żeby ostrze miało taki kształt jak ich noże, czy może jakiś inny? Jaki ma być

duży? Czy ostrze ma mieć ząbki, czy nie? Decyduję się na styl szturmowy, bez ząbków. Rączkę robi cienką i żłobioną, żebym mogła owinąć ją skórą. Na górnej, tępej krawędzi ostrza widzę przezroczystą rurkę z lodu, trochę jak taki termometr, w którym nie ma rtęci. Oddrún podaje mi nóż, żebym zobaczyła, czy wygodnie się go trzyma, choć przecież nie ma jeszcze skórzanej rączki. Wydaje mi się ciut za lekki i mówię jej o tym.

– To świetnie. Zaraz zrobi się cięższy. Możesz teraz zacząć swoją pracę. Mam już wszystko, czego mi trzeba.

Oddrún odbiera mi nóż i każe mu zawisnąć nad prawą ręką, ale tym razem czubek ostrza jest zwrócony wprost ku niej. Unosi lewą rękę, przesuwa ją nad ostrzem z lewa na prawo i nóż zaczyna wirować zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Jeszcze raz przesuwa rękę i nóż przyspiesza, a za trzecim razem wiruje już tak szybko, że rozmywa mi się w oczach.

– Co robisz? – pytam.

– Wirowanie rozpoczęte – odpowiada Erlendr. – Teraz każdy z nas będzie po kolei je podtrzymywał. Chodź z nami.

On i pozostałe yeti idą w stronę drzwi i nawet się nie obracają, z czego wnioskuję, że sprawa ostrza jest zamknięta. Nie do końca rozumiem, co ma na myśli, mówiąc wirowanie – czuję, że czegoś tu nie chwytam – ale nie chcę być niegrzeczna i męczyć ich pytaniami, skoro najwyraźniej pozostałe cztery yeti są gotowe do drogi.

– Pokażemy ci, gdzie masz zbudować lodowisko – mówi Erlendr. – Chcemy, żeby to było osobne pomieszczenie, niepołączone bezpośrednio z domem.

Oglądam się niepewnie na Oddrún, ale wstaję od stołu, a Orlaith zajmuje jej miejsce przy moim boku. Zabieram po drodze Scáthmhaide'a i yeti prowadzą mnie z boku w dół „wolną metodą”, bo szybko odkrywają, że nie potrafię jeździć na nartach. Ich „wolna metoda” jest moim zdaniem całkiem wygodna. Idziemy jedno za drugim: Erlendr i Hildir z przodu, a Ísólfur i Skúfurr z mną, yeti zaś wyczarowują w śniegu mocne stopnie, które znikają w ścianie góry, gdy tylko po nich przechodzimy. Nie zostaje po nas żaden ślad.

Widząc, z jakim mistrzostwem czarują w śniegu, po prostu muszę je spytać:

– Jakim cudem ludziom w ogóle udało się was kiedykolwiek zauważyć?

Hildir parska śmiechem i mówi:

– Czasami celowo zostawialiśmy im jakiś odcisk albo dawaliśmy zobaczyć jedno z nas. To z nudy. Ale już tego nie robimy, bo przyszli potem na nas polować i musieliśmy ich wszystkich zjeść. Głupio nam było, że giną dla naszej rozrywki.

– Poza tym nie smakowali nam za bardzo – dodaje Skúfurr. – A przy okazji odstraszała nas wszystkie smaczne zwierzęta.

Staram się nie zadrzeć na te słowa, ale nie udaje mi się, bo jest okropnie zimno, a teraz zrobiło mi się jakoś jeszcze zimniej, gdy uświadomiłam sobie, że jestem zupełnie sama z czterema istotami, które posmakowały już ludzkiego mięsa. Myśliwi, którzy chcieli upolować yeti, sami zostali przez nie upolowani, a potem pewnie powieszani na hakach w zamrażarce i upieczeni powoli na rożnie nad tym samym paleniskiem, z którego właśnie jadłam, i... o bogowie, może lepiej już myśleć o hokeju.

Schodzimy jakieś czterysta metrów poniżej jaskini yeti i potem jeszcze trochę na zachód. Jeśli wejdziemy tu w głąb góry, pewnie rzeczywiście lodowisko wypadnie tuż pod ich mieszkaniem. Nie wiem, dlaczego wybrały akurat to miejsce, ale tak jak wejście do ich jaskini znajduje się ono na zupełnie otwartej przestrzeni, całkowicie zakrytej śniegiem, przez co nieatrakcyjnej dla himalaistów, którzy wolą nagie skały, żeby mieć się o co zaczepić.

Ja też potrzebowałabym nagiej skały. Nie dam rady skontaktować się z Himalają przez cały ten śnieg. Wyjaśniam im to, a Erlendr oczyszcza mi kawałek ziemi z białego puchu.

Zdejmuję prawy but, znów wystawiając nogę na ziab. Himalaja zapewnia mnie, że chętnie mi pomoże, ale prosi przy okazji o pomoc w walce o zachowanie trzech zagrożonych przez kłusowników gatunków: piżmowca, tygrysa i niedźwiedzia himalajskiego. Mam teraz wyrzuty sumienia, bo przecież dopiero co zjedliśmy jednego piżmowca. Przekazuję jej prośbę yeti, które obiecują przestać polować na piżmowce i odtąd robić, co w ich mocy, by chronić także tygrysy i niedźwiedzie przed kłusownikami.

Podają mi wymiary i opisują, jak ma wyglądać lodowisko, a ja przekazuję te informacje Himalai poprzez obrazy w mojej głowie. Nie jestem do końca pewna, jak to ma wyglądać, robota więc idzie nam nieco dłużej niż wtedy, gdy Atticus poprosił Kolorado o wybudowanie drogi czy Sonorę o przechowanie jego najcenniejszych księzek. W końcu jednak ziemia zaczyna się przesuwać i przed nami powstaje – niczym pępek w skale – tunel, który staje się coraz głębszy. Ruszamy w głąb ziemi i szybko się orientujemy, że przydałoby się jakieś światło. Hildir i Skúfr biegną z powrotem do jaskini „szybką metodą”, żeby wziąć stamtąd świece i zapalki, a wróciwszy, rozstawiają je w odstępach, żebyśmy nie potykali się po ciemku. Wpadam na pomysł, że można by zrobić małe wnęki na świece, a yeti są nim zachwycone.

Dużo później, w połowie wielkiego ziewnięcia, uzmysławiam sobie, że już dawno minęła pora pójścia spać, ale z drugiej strony nie wiem, jak miałabym zasnąć, gdy licha wie, co się dzieje teraz w Tańdzawurze.

Tworzymy coś więcej niż zwykle lodowisko. Wokół jest tor, są boksy, ławki dla graczy oraz dla widowni, bo yeti upierają się, że pewnego dnia będą mieć nawet widownię. Rozplanowujemy oświetlenie i wentylację. Yeti nadal będą korzystać ze świeczek, ale wzmocnią ich blask lusterkami, które odbijają więcej światła na środek pola. Nieefektywne, ale efektowne. Szyby wentylacyjne prowadzące na zewnątrz zapewniają przepływ powietrza oraz źródło śniegu i lodu dla yeti. Orlaith wybiera sobie wygodne miejsce na widowni i zwiija się w kłębek na drzemkę.

Yeti, zadowolone z efektu, w niespełna dziesięć minut wzywają śnieg i przemieniają go w lód na polu hokejowym. Modyfikują strukturę lodu, tak żeby szronowe błękity ułożyły się w odpowiednie hokejowe koła i linie. Nim Skúfr zabiera się do bramek, kijów i reszty sprzętu, biegnie do jaskini po Oddrún. Gdy przyłącza się do nas, wygląda na wykończoną, ale rozpromienia się na widok lodowiska. Wychodzą razem na środek tafli i aż podskakują z radości. Potem wyczarowują sobie łyżwy na nogach i od razu lądują na tyłkach. Śmieją się wesoło.

– Och, to puch! – mówi Hildir i przez chwilę zupełnie nie rozumiem, co ma na myśli.

– Najczystszy puch świata! – dodaje Ísólf.

Dopiero wtedy załamuję. Puch, czyli śnieg, czyli coś wspaniałego. Odnosić osiągnięcie: nauczyłam się trochę slangu yeti.

– Wiecie, co nasza matka Freydís by na to powiedziała? – pyta Oddrún, uśmiechając się do kamiennego sufitu.

– Powiedziałyby: „Grrr!” – odpowiada Skúfr i znów wybuchają śmiechem.

Żal mi przerywać te ich wybuchy radości, ale przecież czas mnie goni.

– Jeśli jesteście zadowoleni z lodowiska – wołam do nich z ławki rezerwowych – to może mogłabym już wziąć swoje wirujące ostrze i sobie pójść?

Pięć zdumionych głów unosi się znad tafli lodowiska, by spojrzeć na mnie krytycznie.

– Wirujące ostrze nie jest jeszcze gotowe – wyjaśnia mi Erlendr i choć nie dodaje „ty idiotko”, ton jego głosu mówi sam za siebie. – Oddrún dopiero co zakończyła swoją część roboty, a teraz moja kolej.

– Nie rozumiem.

– To widać. Wracajmy do jaskini.

Erlendr zostawia rodzeństwo na lodowisku, każe swoim łyżwom zniknąć i podchodzi do mnie po lodzie. Wołam Orraith i idziemy za nim z powrotem do Zamczyska Yeti. Na dworze jest ciemno, ale wrzucam noktowizję. W jaskini znów płonie ogień i piecze się nad nim o wiele większe zwierzę. Mięso jest prawie gotowe do jedzenia. Jak długo nas nie było?

Na dębowym stole leży wirujące ostrze – na oko jest już przygotowane, więc mówię do Erlendra:

- Jeszcze tylko owinę sobie rączkę skórą i wystarczy.
  - Roztopi się, gdy tylko wyjdiesz z gór. Nie jest gotowe.
  - To kiedy będzie?
  - Gdy każde z nas nad nim popracuje. To zajmie cztery dni.
  - Jeszcze cztery dni?
  - Nie rozumiem, czemu się tym tak martwisz. Przecież powiedzieliśmy ci, że to niezwykle cenna rzecz. Takich rzeczy nie da się zrobić szybko.
  - Wytłumacz mi, co robicie.
- Erlendr kładzie swoje wirujące ostrze na stole przy mnie.
- Poza rozmiarem i kształtem jakie widzisz różnice między tymi nożami? – pyta.
  - Ta czerwona poświata. Mój jej nie ma.
  - Właśnie. Wiesz, co to takiego? – Kręcę głową, więc dodaje: – To właśnie energia, dzięki której lód nie topi się w cieplejszym klimacie, ostrze nie tępi się i nie pęka. Ta energia zużywa się i trzeba ją uzupełniać.
  - W jaki sposób?
  - Poprzez dostarczanie jej krwi swoich ofiar oczywiście.
  - Co?!
  - Kiedy dźgasz coś wirującym ostrzem, nie nacinasz tylko organów i tkanek. Czubek noża pobiera energię twojej ofiary przez krew, która jest wodą życia. Wywołuje magiczny wir w obrębie ciała i wypompuje energię.
  - Chcesz powiedzieć, że to kradnie ich ducha?
  - Nie całego, ale tak, ułamek. Ducha w płynie. Teraz tworzymy właśnie ten wir i zapewniamy tymczasowe źródło energii. To dlatego Oddrún była taka zmęczona, gdy dołączyła do nas tam, na dole. Każde z nas udziela wirującemu ostrzu odrobinę swojej magii. Gdy zabijesz swoją pierwszą ofiarę, ta magia wróci do nas. Póki tego nie zrobisz, będziemy wycieńczeni.
  - O bogowie niejedyni. Nie miałam świadomości... Nie wiem, czy chcę taką broń.
- Erlendr wzdycha wyraźnie poirytowany.
- To chcesz mieć magiczne ostrze, które może uratować twojego ojca, czy nie?
  - Tak, ale... czy to go nie zabije? Czy to nie ukradnie mu ducha?
  - Kiedy opowiadałaś nam, dlaczego potrzebne ci wirujące ostrze, powiedziałaś, że musisz tylko naciąć jego skórę, żeby zalać čakry magią wody. To sprytny plan i naszym zdaniem powinien się powieść. Po prostu nie dźgaj go nim.
  - A jeśli przypadkiem zadrasnę się w palec?
  - Nie rób tego.
  - Jasna cholera.
  - Gdybyś nie była druidką, w ogóle nie byłoby mowy o podarowaniu ci ostrza. Wiemy jednak, że ty będziesz używała go odpowiedzialnie.
  - A co się dzieje, gdy kończy się w ostrzu energia?
- Najstarszy z yeti wzrusza ramionami.
- Wtedy nóż jest wart tyle co zwykły sopel lodu. Stopi się, gdy tylko zostanie wystawiony na temperaturę wyższą niż temperatura zamarzania wody. Jeśli chcesz, możesz uratować nim

ojca, potem zabić jakieś bardzo małe zwierzątko i zostawić nóż na słońcu. Jedna ofiara wystarczy, byśmy odzyskali energię, a potem bardzo szybko zużyje się duch tego zwierzęcia i ostrze ulegnie zniszczeniu.

– Ojej. Czyli póki czegoś nie zabiję, odzieram was z energii?

– Nie jakoś permanentnie. Przepajamy ostrze magią mrozu, którą odziedziczyliśmy po matce. Energia ta nie zniknie i nie wyczerpie się, ponieważ potencjalnie szron istnieje wszędzie tam, gdzie jest woda w powietrzu. Jest tylko podtrzymywany przez naszą wolę. Ale póki nie zabijesz ostrzem swojej pierwszej ofiary, nasza moc będzie zmniejszona.

– A mogę wam tak po prostu oddać ostrze i wyjęlibyście z niego energię, nie zabijając niczego?

– Nie. Ta magia nie przychodzi za darmo.

Oczywiście, że nie. Żadna magia nie przychodzi za darmo. I pytanie nie brzmi nawet, czy cię na nią stać, jedynie, czy na pewno chcesz zapłacić taką cenę. Kiedy pobieram energię ziemi, żywiołak, który mi ją przekazuje, zabiera ją innym formom życia w ekosystemie. Moja prędkość, siła czy zdolność leczenia pojawia się kosztem zdrowia wszystkich roślin i zwierząt. Łatwiej znieść tę myśl o tyle, że koszt ten rozkłada się na bardzo wiele organizmów, tak że nic nie ulega zniszczeniu, a one w naturalny sposób powoli odbudowują energię. W tym układzie o wzajemnej ochronie moim zadaniem jest chronić ziemię przed drapieżną magią, ale trudno mi postrzegać te wirujące ostrza jako cokolwiek innego niż właśnie drapieżników.

Nie boję się odbierać życia, ale niszczenie ducha, czy to małego, czy dużego, i konsumowanie go dla moich własnych celów to gorzka pigułka do przełknięcia. Dokonywanie takich wyborów musi cię jakoś brukać od wewnątrz. To dlatego przecież wybrałam ścieżkę druidzką, nie poszłam zaś tą, którą wskazywało mi czarnoksiężstwo Lakshy, a z której rozpaczliwie próbuje ona teraz uciec. I gdy tak stoję przed wpatrującym się we mnie Erlendrem, przychodzi mi na myśl, że być może yeti też czują się zbrukane, choć nie w pełni to sobie uświadamiają. Być może ich poszukiwanie piękna w sztuce lodowych rzeźb ma na celu zneutralizować brzydotę ostrzy. Albo może nic takiego nie czują, tylko przypisują im własną rozpacz.

– Zmieniłam zdanie, Erlendrze. Nie chcę wirującego ostrza. Zapomnijmy o tym.

Lodowe koraliki wplecione w jego grzywę brzdękają cicho, gdy kręci głową.

– Teraz już nie możemy przerwać. Ostrze musi zostać ukończone i użyte, bo inaczej Oddrún będzie już zawsze wycieńczona. Widzisz, że ta rurka jest lekko niebieska. To jej energia.

Przyglądam się uważniej przezroczystej części noża i widzę, że część jest rzeczywiście wypełniona czymś niebieskim, odrobinę ciemniejszym niż błękit samego ostrza. Wcześniej tego nie zauważyłam.

– Dobrze. Skończcie więc nóż, ale sami go użyjcie. Nie chcę mieć z tym nic do czynienia.

Garbię się pod ciężarem zmęczenia. Cała ta wyprawa była stratą czasu. Nie dam rady uratować ojca. To dziwne, jak gorzko smakuje poczucie własnej głupoty. Erlendr nie porusza się, nic nie mówi. Słysząc tylko syk i trzaski ognia w palenisku. Po moim lewym policzku przemyka łza, a Orlaith natychmiast wpycha łeb pod moją rękę. Dopiero wtedy uzmysławiam sobie, że musiałam jej jakoś przekazać moją rozpacz.

<Granuaile smutna? Nie trzeba. Kocham cię>.

Przyklękam, odkładam Scáthmhaide'a na podłogę, zarzucam Orlaith ramiona na szyję i przytulam ją mocno.

*Też cię kocham, słodka psino.*

Erlendr kiwa się niepewnie, a jego grzywa pobrzękuje koralikami niczym dzwoneczki wietrzne.



– Pewnie jesteś zmęczona – mówi. – Może odpocznij i porozmawiamy o tym potem. Możesz zdrzemnąć się w moim pokoju. Futra są ciepłe i będziesz tam miała spokój.

To prawda, jestem bardzo zmęczona. Może nawet podpadam już pod kategorię „zmordowana”. Nawet nie wiem, jaki dziś dzień mamy. Nie spałam, odkąd wbiegliśmy do Ouray i odebrałam telefon od Lakshy. Chcę jak najszybciej wrócić do Tańdżawuru, ale jeśli teraz się zdrzemnę, lepiej sobie poradzę z tym koszmarem, jaki mnie tam czeka.

– Dobra – mówię, bo już nie stać mnie na nic bardziej elokwentnego. – Prowadź.

Zaprasza mnie do pierwszej sypialni, życzy mi mocnego snu i zamyka za mną ciężkie kamienne odrzwia. Zakopuję się z Orlaith pod futrami i wtulona w moją psinę zamartwiam się o ojca, aż sen zabiera mi moje troski.

## Rozdział 9



Ten cały Hal Hauk jest kimś więcej, niżby się mogło na pierwszy rzut oka wydawać. Znaczy poza tym, że jest wilkołakiem. A może właśnie w tym rzecz. Wystarcza mi kilka sekund i już wiem, że jest starszym i twardszym psem niż Sam Obrist czy Ty Pollard, ale dobrze to ukrywa. Z pozoru jest niezwykle grzeczny i wyluzowany, ale pod tym garniturem i serdecznymi uściskami dłoni kryją się ostre kły. Intuicja mówi mi, że wolałby raczej unikać walki, jeśli tylko się da, ale jeśli już się nie da, zgniecie cię na krwawą miazgę. Takie właśnie typy podziwiam.

Siodhachan przedstawia nas sobie, a potem odjeżdża tym okropnym rozklekotanym samochodem, który wcześniej wynajął. Jedzie do kraju, w którym kobiety noszą kolorowe szaty i zmieniają się w lisy o pięciu ogonach. Lecz co było najpierw: kobieta czy lis? W każdym razie nazywa je kitsune, co pewnie oznacza, że to nie są ludzie. Nie rozumiem do końca, co ja właściwie takiego widziałem. Muszę się dowiedzieć więcej o tym kraju.

Hal prowadzi mnie do swojego obszernego biura, które znajduje się na pierwszym piętrze budynku przy Mill Avenue. Ma tu balkon, z którego widać podwórko z czerwonej cegły. Pośrodku ktoś wybudował kamienny krąg, a w nim szemrze woda. Cały czas spada jej więcej, ale poziom wody w kręgu się jakoś nie podnosi. Jak to możliwe? Czy wilkołaki władają magią wody?

Drzwi do biura są prawie całe ze szkła, a na nich pływają czarne litery: Magnusson & Hauk, radcy prawni. Siodhachan wyjaśnił mi, że ten cały Magnusson był tu alfą, nim zginął w Asgardzie zabity przez złotego dzika nordyckich bogów. Jeśli był jeszcze twardszy niż Hal, to szkoda, że go nigdy nie poznałem.

Na ścianach biura wiszą podobizny wilków, ale jakieś takie wyidealizowane i zupełnie niepodobne do prawdziwych. To się podobno nazywa obrazy. Są też rzeźby z brązu. Za wielkim blokiem drewna siedzi kobieta o nienaturalnie bladej twarzy i ustach koloru róży. Pojęcia nie mam po co. Kiedy potem pytam o to Siodhachana, mówi, że pewnie chodzi mi o kogoś, kto się nazywa recepcjonistka. W każdym razie kobieta uśmiecha się do Hala i mówi:

– Dzień dobry, panie Hauk.

A on odpowiada jej jakimś burknięciem i idziemy korytarzem w lewo, aż wchodzimy do pokoju pełnego półek z książkami. Hal siada za równie wielkim blokiem drewna i mówi, żebym usiadł po drugiej stronie. Pokazuje mi prawo jazdy, świadectwo urodzenia i paszport. Z tego, co rozumiem, nigdy nie będę używał tych rzeczy do celów, do których niby są – nigdy nie będę prowadził samochodu ani odprawiał się na lotniskach w obcych krajach. Ale dla współczesnych są one dowodem, że urodziłem się w tym kraju czterdzieści trzy lata temu, więc mam prawo w nim pracować, korzystać z międzynarodowego systemu bankowego i płacić podatki do grobowej deski. Hal przedstawia mi też fikcyjną historię mojej pracy, której mam się nauczyć na pamięć.

– Czyli biorę to do banku i oni mi dają pieniądze?

– Nie. Pieniądze są tam wpłacane w zamian za pracę, którą wykonasz. Od ciebie zależy, jaka to będzie praca. Jeśli Atticus chce cię przez jakiś czas utrzymywać, to się na to gódź. Stać go na to. Może jesteś głodny? Zjedzmy jakiś lunch, a ja mu to dopiszę do rachunku.

Wybucham śmiechem.

– Już mi się, chłopie, podobaś.

Zabiera mnie do pubu, który się nazywa Rúla Búla. Twierdzi, że to irlandzka knajpa. Nie

żeby podważał jego słowa, tyle że za moich czasów Irlandczycy nie mieli, kurna, pubów, tylko ogniska. Ale miejsce jest w porządku. Meble są z drewna i pachnie whisky. A ludzie, którzy tu pracują, chętnie nalewają ci do pełna. Hal poleca mi jakąś konkretną odmianę tego trunku, więc ją zamawiam razem z potrawką z jagnięciny. Próbował mnie namówić na jakoby słynne fish'n'chips, ale to potrawa, która wymaga czegoś, co się nazywa „smażenie”, a tego nie rozumiem. Potrawka to rozumiem. Cieszę się, że ludzie nadal ją jedzą.

– To jakie masz plany? – pyta.

– Na razie muszę obserwować, uczyć się i próbować przystosować – mówię.

Oczywiście, kiedy rozmawialiśmy, wcale jeszcze mi tak sprawnie nie szło z angielskim. Opisuję to tak, że wypadam na mądrzejszego, niż byłem w tamtej chwili. Ale jakkolwiek to wtedy ująłem, Hal zrozumiał.

– Gdzie zamierzasz to robić? – pyta. – Domyślam się, że przez jakiś czas jesteś zdany na siebie. To dokąd pójdziesz po lunchu?

Wzruszam ramionami.

– Muszę udać się do Tír na nÓg i przywitać z Tuatha Dé Danann. A gdy już tam będę, dobrze by było, jakbym wyglówkował, kto mi się próbuje dobrać do mojego ucznia.

– Znaczą: do Atticusa, czy masz jakiegoś innego ucznia?

– Ano, do Siodhachana. Wiem niby, że jest już pełnym druidem i to z doświadczeniem dłuższym niż całe moje życie, ale dla mnie cały czas jest tylko uczniem.

– Dobrać się w sensie metaforycznym?

– Ano. Choć może i dosłownym, jak się tak nad tym zastanowić. Jeśli Tuatha Dé Danann dużo się nie zmienili od starych czasów, to głównie pewnie chleją i się pocą razem pod kocami. Pewnie niczego mi się więc nie uda dowiedzieć, gdy już tam będę.

– Czyli nie masz żyłki detektywistycznej, co?

– Co to znaczy „detektywistycznej”?

Jego brwi podnoszą się wysoko, a usta rozdziawiają w wielkim uśmiechu, który zapowiada coś ciekawego.

– Detektyw to ktoś, kto przygląda się miejscu przestępstwa i analizuje sytuację, aż w końcu dochodzi do tego, kto je popełnił. Jeśli mu się to uda, oskarża tego kogoś i udowadnia, że jest winny i zasłużył na karę. Moim zadaniem jest wtedy bronić oskarżonego i udowadniać, że jest niewinny, albo przynajmniej podać jego winę w wątpliwość.

– Musiałbyś mi wyjaśnić całkiem sporo słów z tej definicji – mówię, a on znów się uśmiecha i spędza resztę lunchu na wprowadzaniu mnie w podstawy prawa karnego. A potem mówi: – Chrzańć to, dość już pracy na dziś, co ty na to, żeby wpaść teraz do mnie, to ci pokażę najślynniejszego detektywa świata.

– Mieszka u ciebie?

– Nie, to postać z opowieści. Myślę, że ci się spodoba.

Nie ma powodu, żeby mu odmówił, bo złożenie wizyty Tuatha Dé Danann jest wprawdzie konieczne, ale nie takie znowu pilne. Hal płaci za nasze jedzenie jakimś prostokątem z plastiku, który nazywa się karta kredytowa, i mówi, że też muszę sobie taki sprawić, a potem idzie do swojego samochodu – małego srebrnego pudełka, nisko nad ziemią i w ogóle o wiele przyjemniejszego niż wszystkie te graty, które wynajmuje Siodhachan. Lakier samochodu pasuje pod kolor jego krawata i przypomina mi się, że Siodhachan rzeczywiście mówił coś o tym, iż przywódcy watah często noszą srebro ze względów symbolicznych. Sam Obrist nie nosił, ale może miał akurat dzień bez srebra czy coś.

Wsiadamy, zapinamy pasy, a Hal przyciska jakiś guzik przy kierownicy i mówi:

– Dzwon do biura.

Myślę w panice, czy aby nie powiedział tego do mnie, ale w samochodzie rozlega się jakiś dźwięk, coś stuka, a potem kobiecy głos mówi:

– Magnusson & Hauk, słucham.

Próbuję ukryć zdumienie i od niechcienia rozglądam się po pojeździe, żeby ustalić, gdzie się schowała ta kobieta. Tu naprawdę nie ma miejsca na nikogo poza nami dwoma.

– Nicole, tu Hal. Bądź tak miła i wyczyść mi kalendarz do końca dnia. Zaprosz też watahę do mnie. Chciałbym, żeby poznali Owena Kennedy’ego.

– Oczywiście, panie Hauk – odpowiada kobieta.

Gdzie ona jest? Za konsolą? Siodhachan mi powiedział, że z przodu samochodu, pod maską, jest silnik i że to on daje samochodowi jego moc poruszania się, ale teraz tak jakby stamtąd dochodzi głos tej kobiety. I w dodatku dociera do mnie, że to głos tej o różanych ustach z biura Hala.

– Dziękuję. – Słysząc jakiś sygnał, a potem Hal obraca się w moją stronę z uśmiechem, bez trudu włączając samochód. – Nic się nie martw. Ona też należy do watahy.

Tym się jakoś nie martwię. Martwi mnie moja ignorancja. Utknąłem w bagnie, gdy wszyscy są już na suchym lądzie i tańczą przy dudach. Utknąć w bagnie ignorancji nie jest miło.

Dom Hala stoi na granitowo-piaskowym wzgórzu, które okoliczni nazywają Camelback Mountain. To wielka budowla z basenem w ogrodzie. Hal przemawia do domu, oprowadzając mnie po nim, i zapalają się światła, choć na zewnątrz nie jest jeszcze ciemno, a potem włącza się jakaś dziwna muzyka. W życiu nie słyszałem takich instrumentów. W kuchni daje mi zimne piwo, a potem prowadzi mnie do pomieszczenia z sofami i dużym ekranem telewizyjnym.

– Już takie widziałeś? – pyta i zdejmuje płaszcz, ale zostawia koszulę i srebrny krawat. Mówię, że tak, mieli takie, tylko mniejsze, w piwiarni we Flagstaffie. – To dobrze. Teraz pokażę ci faceta, który wie, jak używać swojego umysłu i sporej wiedzy, żeby wydedukować, co się wokół niego dzieje. Może ci się wydać dość druidzki. Być może.

Przemawia do powietrza, muzyka wyłącza się posłusznie, za to włącza się telewizor. Zupełnie jakby tworzył sploty, ale bez pomocy ziemi, nie wykorzystując żadnych praw druidów. Magia tych ludzi jest dla mnie kompletnie niepojęta.

Siodhachan próbował mi to już tłumaczyć. Kazał mi po trzy razy powtórzyć takie słowa, jak „elektryczność” i „technologia”. Powiedział, że da się spokojnie posługiwać tą technologiczną magią bez zrozumienia zasad jej działania i że większość ludzi tak właśnie funkcjonuje. Sam ten pomysł – że możesz posługiwać się magią bez jej rozumienia – jest diametralnie sprzeczny ze wszystkim, w co wierzą druidzi. Nie da się być druidem, nie mając pojęcia o druidzkiej magii. Sama próba byłaby już zbyt niebezpieczna. Zaczynam sobie myśleć, że wiele z tego, co w imię wygody robią dziś ludzie, też może być niebezpieczne. Żadna magia nie przychodzi za darmo.

Hal wyjaśnia mi, że film nosi tytuł *Sherlock* i że kilka lat temu zrobili go Brytyjczycy. To jakieś plemię z wyspy tuż obok Irlandii. Podobno wzrosło w siłę wkrótce po moich czasach. Jakaś twierdza rzymska, zwana Londinium, rozrosła się w wielkie miasto zwane Londynem i ten Sherlock Holmes właśnie tam rozwiązuje zagadki kryminalne. Tylko że nie do końca.

Film zaczyna się od wybuchów, ludzie padają na ziemię, a Hal wyjaśnia mi, jak współcześni prowadzą wojny: że mają karabiny i pojazdy, które przewożą broń jeszcze większego kalibru. No i w każdym razie ten weteran wojenny John Watson dołącza do Sherlocka, żeby pomóc mu rozwiązywać zagadki.

W pierwszym odcinku dużo jest też o telefonach – kolejny przykład współczesnej magii – i o wysyłaniu i dostawaniu informacji za ich pomocą. Wciąż proszę Hala, żeby zatrzymywał film i wyjaśniał mi, co widzę.

– Czy ja też muszę sobie kupić taki cholerny telefon?

Zastanawia się nad tym chwilę.

– Raczej pewnie na razie do niczego ci się nie przyda.

– I dobrze. Bo jakbyś powiedział, że tak, tobym ci tu chyba urodził krowę.

Ten Sherlock to bardzo bystry facet i Hal ma chyba rację – podchodzi do spraw bardzo po druidzku. W przeciwieństwie do Watsona i innych ludzi wokół nich Sherlock skupia się na tym, jak działają rzeczy i jak zachowują się ludzie.

– I co myślisz? – pyta Hal, gdy kończy się film, a ja odpowiadam pytaniem, bo chcę wiedzieć, czy jest takich więcej.

On mi na to, że tak, jest więcej, i włącza kolejny. Tym razem nie muszę już tak często przerywać oglądania, żeby pytać o szczegóły, ale za to przerywa nam stopniowe pojawianie się watahy Hala. Jej członkowie przychodzą o różnych porach zależnie od tego, kiedy kończą pracę i jak daleko mają do Camelback Mountain.

Pierwszy przychodzi uzdrowiciel, tylko że teraz nazywa się ich lekarzami, a jak się do nich człowiek zwraca, to ponoć trzeba mówić „doktorze”. To przystojny młodzian. Nazywa się dr Snorri Jodursson i od razu widać, że spędza za dużo czasu na układaniu sobie fryzury. Nie ma też obrączki – Siodhachan kazał mi zwracać na to uwagę – ale potem, gdy już znam więcej wilkołaków, widzę, że prawie żaden z nich jej nie ma. Wygląda na to, że z ludźmi dozwolone są tylko płytkie, nieformalne związki, żeby zachować tajemnicę watahy. A gdy tylko człowiek zaczyna się zbyt niebezpiecznie zbliżać do prawdy albo zauważa, że jego wilkołaka jakoś nigdy nie ma podczas pełni księżyca, już po związku. Jeśli potem ten człowiek zbyt uparcie drażni temat, dany wilkołak zostaje przeniesiony do nowej watahy – dostaje nową tożsamość, nową pracę, nowe zadanie. W ogóle watahy dość regularnie współpracują z sobą nawzajem. Wilkołak, który chce się związać z kimś na dłużej, musi więc znaleźć sobie kogoś w obrębie watahy albo przynajmniej jakąś inną magiczną istotę, która już i tak o nich wie i ma nawyk utrzymywania tajemnic.

Fryzura doktora Jodurssona świadczy jednak o tym, że nie szuka on długotrwałego związku. Jest zbyt dopracowana i zaczynam podejrzewać, iż należy on do współczesnego plemienia mężczyzn, o którym wspominał mi już Siodhachan. Plemię to nazywa się ponoć Dupki.

Okazuje się, że pan doktor też jest wielkim fanem Sherlocka. Jego ulubioną postacią jest kobieta, która pracuje w szpitalnej kostnicy. Ja natomiast nie mogę jej ścierpieć. Nie wiem, czy to więcej mówi o nim czy o mnie.

Po spotkaniu z tą lisią damą z Japonii Siodhachan uprzedził mnie, że będę teraz widział o wiele więcej odcieni ludzkiej skóry i rodzajów rysów niż w dawnych czasach. Mówił z pewnością taką nieśmiałością, jakby się spodziewał, że nie spodoba mi się sposób, w jaki Gaja stworzyła ludzi.

– Ale co? Coś z nimi nie tak? To więdźmy? Wynaturzenia?

– Nie, nie.

– No to o co ci chodzi?

– Yyy... widzisz... historia... – Potem urwał, pokręcił głową. – Nieważne. – Uśmiechnął się, jakby mu nagle ulżyło. – Idealnie.

Niech mnie koń w jaja kopnie, jeśli wiem, o co mu chodziło. Ale w każdym razie, gdy już pojawia się reszta watahy, w końcu mam okazję poznać bardzo różnych ludzi. Trzon grupy stanowią wilkołaki z Islandii i okolic, „mieszanina ze Skandynawii”, jak mówi o nich Hal, ale przez lata do watahy przyłączali się nowi członkowie z całego świata. Efiyah jest wysoką kobietą z jakiegoś miejsca, które się nazywa Côte d’Ivoire; Farid jest z Egiptu, gdzie jego brat Yusuf jest

alfą Watahy z Kairu; a Esteban to niski, żwawy człowieczek z Kolumbii. Muszę przyznać, że moje serce zaczyna bić szybciej na widok jednej z osób z najstarszej części watahy Hala, twardej kobiety o imieniu Greta, której splecione blond włosy opadają aż na talię. Gdy Hal przedstawia mnie jako archdruida Siodhachana, w jej oczach widzę gniew, a usta zaciskają się, jakby gryzła się w język, żeby nie powiedzieć czegoś niemiłego. Przecież to niemożliwe, żebym to ja wywoływał u niej taką reakcję, więc pewnie chodzi o Siodhachana.

W pierwszej chwili przychodzi mi do głowy, że może kiedyś złamał jej serce, ale potem przypominam sobie, że wspominał o niej w tej niekończącej się opowieści, gdy naprawiałem mu tatuaże. Greta uczestniczyła w bitwie pod Tony Cabin, gdzie poważne rany zadały jej Siostry Trzech Zórz, które porwały wtedy Hala i posłużyły się srebrną bronią, gdy wataha przybiegła go ratować. Tamtego dnia na jej oczach zginęło kilkoro członków jej watahy. A potem Siodhachan wyruszył z jej alfą Gunnarem Magnussonem do Asgardu i wrócił z jego ciałem. Ma powody, żeby go nienawidzić, a teraz zostałem jej właśnie przedstawiony jako facet, który go wszystkiego nauczył. Po prostu, kurna, pięknie.

Przypomina mi się rada Siodhachana, żebym może lepiej ukrywał przy Tuatha Dé Danann, po której jestem stronie. I tak sobie myślę, że tu także lepiej by było zdecydować się na podobną strategię. Nie mogę oczywiście wyprzeć się powiązań z moim uczniem, ale w każdym razie pewnie lepiej, żeby nie myśleli, że uważam go za świętego. Przerwywamy film i wyznaję, że mam chęć na jeszcze jedno piwo. Wszyscy zbierają się więc w kuchni, wokół wyspy z granitu, a ja opowiadam im kilka historyjek o tym, co i jak spieprzył Siodhachan, gdy jeszcze był moim uczniem. Muszę ich przy tym wciąż przeproszać za moje żalosne umiejętności językowe. Kiedy opowiadam im o tamtej kozie i rzymskiej skórzanej spódniczce ukradzonej jednemu Galowi, śmieją się tak, że niektórzy aż mają łzy w oczach, a Greta przewraca się na podłogę i tarza ze śmiechu, aż zupełnie nie ma już jak oddychać. Na pewno by jej wypadło piwo z ręki i zrobiłaby się draka, gdyby nie to, że była na tyle przytomna, że zdążyła je oddać Halowi, nim dostała pełnej głupawki.

To mnie pociesza. Mimo całego tego plastiku i innych nienaturalnych materiałów dzisiejszego świata pewne rzeczy się nie zmieniają. Opowieści o kozich shenaniganach wciąż są cholernie śmieszne.

Słońce zachodzi i nawet tego nie zauważam. Gdy w końcu się domyślam, że zaszło, czuję się z tym podle. W tych współczesnych budynkach nie czuć w ogóle upływu czasu. Farid pyta Hala, czy nie powinien czegoś ugotować na kolację. Hal mówi, jasne, Farid, zaskocz nas czymś smakowitym. Farid napada więc na lodówkę i werbuje sobie jeszcze Efiáh do pomocy. Farid jest szefem kuchni w jakiejś restauracji, która specjalizuje się w daniach chińsko-meksykańskich. Pojęcia nie mam, co by to miało znaczyć, a do tego kroją warzywa, których w życiu nie widziałem, ale gdy już jedzenie jest gotowe, smakuje dobrze. Pijemy jeszcze trochę, a wilki opowiadają mi, jak po raz pierwszy się przemieniły. Większość z nich przyznaje, że się zsikali lub zesrali, gdy ich ugryziono, a światło księżycy uważali z początku za przekleństwo, ale potem, z czasem, gdy znaleźli watahę, zaczęli traktować wilkołactwo jako błogosławieństwo.

Kiwam głową. Tak powinno być z mocą. Zawsze powinno się ją osiągać pewnym kosztem. To dlatego druidzi przechodzą Baolach Cruatan, dwanaście lat nauki i trzy miesiące splatania z ziemią.

Po kolacji już jesteśmy trochę zmęczeni zabawianiem się nawzajem rozmową i gotowi do innych rozrywek. Wracamy więc do salonu i rozsiadamy się gdzie popadnie. Farid przynosi szklaneczki whisky i brzdęk lodu o szkło cieszy ucho. Greta siada obok mnie i odpowiada na moje pytania cichym głosem, a ja zadaję jej kolejne tylko po to, by móc jej słuchać.

Śmiech wiruje po pokoju jak mój lód po szklance i choć dużo jest na dzisiejszym świecie

rzeczy, których nie rozumiem i które mnie martwią, muszę przyznać, że lubię wilkołaki. Są serdeczne i lojalne, a na dodatek potrafią docenić rozliczne zalety rekreacyjnych bójek.

Gdy kończy się drugi odcinek *Sherlocka*, wszyscy się jakoś rozłóżą – do kuchni po dolewkę, do łazienki albo na zewnątrz zapalić. Zostajemy sami z Gretą.

– Więc? – mówi.

– Więc.

– Wcale nie jesteś takim przemądrzałym dupkiem jak Atticus.

– Ha! Masz na myśli Siodhachana? To złodziej, ot co. W ciągu pięciu minut po tym, jak go spotkasz, kradnie ci całą cierpliwość. To, że w ogóle jeszcze żyje, świadczy jedynie o mojej wybitnie silnej woli. Niezliczoną ilość razy chciałem go zbić na kwaśne jabłko, ale zrobiłem to tylko w może jakichś dziesięciu procentach tych przypadków, he he.

W jej oczach widzę ogniki śmiechu, a usta, które były tak mocno zaciśnięte, gdy przedstawiono nas sobie kilka godzin temu, rozluźniają się i rozciągają w uśmiechu.

– Tak, to prawda, że jest złodziejem cierpliwości.

Spuszcza wzrok, a potem nagle marszczy brwi, jakby się nad czymś zastanawiała. Chwilę walczy z sobą. Czekam w milczeniu, aż w końcu jej brwi unoszą się i wzrusza ramionami, jakby chciała powiedzieć „A co mi tam?”. Przysuwa się bliżej do mnie, kładzie mi dłoń na ramieniu i szepcze do ucha:

– Powiedz, czy to prawda, że od ponad dwóch tysięcy lat nie uprawiałeś z nikim seksu?

Z mojego punktu widzenia wcale oczywiście nie trwało to aż tak długo, ale nie potrzebuję Siodhachana, żeby wiedzieć, że właśnie zrobiła pierwszy krok.

– W każdym razie na pewno tak się czuję – zapewniam ją.

## Rozdział 10



Budzę się w futrach i czuję okropne ciśnienie na pęcherz, więc biegnę do wychodka yeti. Przy okazji odkrywam, że jest to najzimniejszy sedes świata. I nie jest zaprojektowany z myślą o wilczarzach, obiecuję więc Orlaith, że wyjdziemy na dwór, gdy tylko skończę.

Kiedy wchodzę do głównej komnaty, Erlendr pilnuje kolejnego mięsiwa nad ogniem, a Hildir siedzi przy stole. Przed nią wiruje ostrze.

– Erlendr, jak długo spałam?

– Trochę ponad pół doby.

– O bogowie. Skończyłeś już swoje... yyy... wirowanie?

– Pracowałem przez noc, kiedy spałaś. Hildir właśnie zaczęła. Jeśli będziemy pracować bez przerwy dzień i noc, skończymy to nie w cztery, a w dwa dni.

– Rozumiem – mówię, starając się nie pokazać mu, czy uważam, że to dobre czy złe wieści. Nie jest to trudne, bo naprawdę nie wiem, co o tym myśleć. – Przepraszam, muszę wyprowadzić Orlaith.

Wymyśliłam, że mogłabym posłużyć się wirującym ostrzem, żeby uratować ojca, a potem zwrócić je yeti, żeby one zniszczyły je w taki sposób, jaki uznają za stosowny. Miło by było wierzyć, że dzięki temu nie będę za to wszystko odpowiedzialna. Lecz wiem, że odpowiedzialność spadła na mnie w chwili, gdy poprosiłam yeti, żeby wykonały ostrze. To, że teraz spróbuję umyć od tego ręce, nie zmienia faktu, że jakaś istota zostanie pozbawiona ducha – przeze mnie.

Z drugiej strony, muszę też myśleć o duchu mojego ojca. Co się z nim stanie, jeśli nie uwolnię go od raksojudża? Czy zostanie pożarty? A może umrze i pójdzie tam, gdzie wierzy, że pójdzie? Nawet nie wiem, w co wierzy mój ojciec, i choć to zupełnie nielogiczne, czuję się podle, że nie wiem o nim tak podstawowej rzeczy.

Na zewnątrz ziąb jest o wiele gorszy niż w jaskini. Stały ogień na palenisku ogrzał ją dość odczuwalnie, postanawiam więc, że lepiej będzie jednak podjąć decyzję w środku i nie zostawać dłużej na śniegu, gdzie mogę się rychło zmienić w smętne magnum.

Gdy tylko Orlaith robi swoje, wracamy do paleniska, żeby się rozgrzać i tęsknie wpatrywać w pieczone mięso.

– Już gotowe. Głodne? – pyta Erlendr.

– Tak.

– Siadajcie. Podam wam talerze.

Jest coś dziwnego w tym, że jest się obsługiwany przez yeti – znaczy nawet poza samym tym faktem. To raczej przedziwne połączenie ciepłego, domowego gestu z wirującym ostrzem stworzonym, by odbierać ofiarom ducha.

Erlendr kładzie jeden talerz przede mną, a drugi na podłodze przed Orlaith.

<Ha!> brzmi cały komentarz mojego psa, gdy rzuca się na śniadanie.

– Co chcesz dziś osiągnąć? – pyta Erlendr, siadając przy stole i zupełnie ignorując siostrę.

Mój wzrok przesuwają się na Hildir i broń wirującą przed nią tak szybko, że aż się zamazuje.

– Chciałabym uratować ojca – mówię.

– Ostrze nie będzie jeszcze dziś gotowe. Ale czy to oznacza, że zmieniłaś zdanie?

– Tak. Nie mam co próbować unikać odpowiedzialności za jego stworzenie. Równie



dobrze mogę uratować dzięki niemu ojca. Ale być może uda mi się potem zabić coś bardzo małego, żeby oddać wam waszą energię. Może komara.

– To chyba nie wystarczy. Ale mały gryzoń tak.

Skończywszy posiłek, Erlendr przeprosza mnie i idzie odpocząć, bo przecież całą noc pracował nad wirującym ostrzem. Dołączają do nas Ísólfr i Skúfr, a Hildir wciąż siedzi na swoim miejscu. Potem dzień staje się jeszcze dziwniejszy. Yeti uczą mnie, jak się gra w fidchell, a ja pokazuję im, na czym polegają kalambury. Potem w przypiływie nagłego olśnienia mówię:

– Opowiedzcie mi o śniegu.

Ich twarze się rozpromieniają. Wyciągają mnie na zewnątrz, z przejęciem opowiadają o pięknie, które odkryły – jak dzieci, które wyjaśniają dorosłym, co to motyle.

Mówią takie rzeczy jak:

– Śnieg to postać, do której aspiruje wszelka woda, ponieważ tylko jako śnieg woda osiąga spokój i wyjątkowość.

– Para jest odległa, a woda przecina ziemię, ale śnieg jest jak koc, który nas chroni.

Tworzą kłęby i wiry śniegu, które na chwilę przyjmują kształty zwierząt i roślin, by natychmiast rozsypać się w puch. Ísólfr prowadzi mnie na wysoki klif, gdzie skomponował lodową poezję. Skúfr chyba zbyt jej nie ceni, ale gdy stwierdzam, że mi się podoba, trochę jakby zmienia zdanie. Ísólfr wyrył pięć krótkich wierszy w niebieskim lodzie, na którym nie może osiąść śnieg. Napisał je po staroirlandzku, a każda litera lśni w słabym świetle słonecznym. W dodatku niezwykle starannie odmierzył odległości między literami, co wznosi tę kaligrafię na jeszcze wyższe poziomy estetyki. Zapamiętuję jeden, żeby go potem przetłumaczyć i w ten sposób zachować dla potomności:

*Góra, dom, oszronione zesłanie.*

*Pokrywa yeti tajemnicą śniegu.*

*Niech ludzie szepczą, niech myślą,  
niech nigdy nie odkryją ukrytego.*

*Grrr.*

Ísólfr mało nie pęka z dumy, gdy mu mówię, że jego wiersze są piękne, a Skúfr zaraz się robi zazdrosny.

– To ja wyrzeźbiłem posąg Brighid – chwali się, zapewniam go więc natychmiast, że to wspaniałe dzieło sztuki. – Ulepić ci bałwana? – pyta.

Nim mam czas odpowiedzieć, że śniegu już zaczyna wylaniać się postać. Nie taki bałwanek jak z pianek cukrowych, tylko prawdziwie ludzka postać, z nogami, biodrami i w ogóle wszystkim.

– Ale odlot! – zachwycam się. – A dałbyś radę zrobić tak, żeby trzymał wielki dwuręczny miecz i miał na sobie płaszcz z długim futrem przy kołnierzu?

– Oczywiście – odpowiada Skúfr zadowolony, że może się popisać.

Pokazuję mu, w jakiej pozycji powinna stać rzeźba, a yeti wykonuje ją w śniegu. Mój bałwan ma już też piękną grzywę, a nawet lok opadający na jedno oko, brwi i cienką, niebieską brodę ze szronu.

– Mógłbyś napisać jeszcze coś na ziemi lodowymi literami, ale po angielsku? – proszę.

– Jeśli mi zrobisz zarys liter.

Piszę więc u stóp bałwana, a potem odsuwam się i Skúfr zmienia moje bazgroły w błękitny lód. Wypełnia też ślady po moich rękach i dłoniach, tak że wokół zostaje tylko nienaruszony śnieg.

– Idealnie! Ale super! – Już dawno padła mi bateria w komórce, więc nie mam jak uwiecznić tego obrazu. – Gdybym tak miała aparat... Tak bardzo chciałabym mieć z nim zdjęcie.

– Czy to ktoś, kogo znasz? – pyta Ísólfr.

– Nie, to postać z jednej z moich ulubionych opowieści. Przystojny fikcyjny facet.

A pewna ruda dziewczyna mówi mu kilka razy to, co tu napisałam.

– A co tu jest napisane?

– „Nic nie wiesz, Johnie Snow”.

Pod koniec dnia, gdy nadchodzi czas, by Ísólfr przejął pracę nad wirującym ostrzem, Skúfr prosi mnie, żebym nadała bronii nazwę.

– Każde wirujące ostrze jest wyjątkowe i ma swoją tożsamość. Kiedy zaczynam ostatnią fazę pracy, muszę już mieć dla niego imię.

Korci mnie, żeby nadać mu jakąś lekceważącą nazwę, która stępiłaby trochę jego okropną naturę. Jeśli nazwę je Usul, to będę mogła je poprosić, żeby mi opowiedziało o swoim świecie i obiecać mu, że jego wodna forma zawsze będzie należała do mojej siczy. Albo mogę nazwać go Yoda, żeby połączyć go z jasną stroną mocy. Tylko że Yoda w życiu nie chciałby mieć do czynienia z ostrzem, które lśni na czerwono.

– Fuilteach – wrywa mi się, choć zupełnie nie wiem, skąd mi się to w ogóle wzięło w umyśle, gdy przecież byłam pewna, że podążam właśnie bezpieczną, choć może durną ścieżką. We współczesnym irlandzkim znaczy to „żądny krwi”.

– A zatem będzie zwać się Fuilteach – mówi Skúfr i życzy mi dobrego snu.

Tym razem nocuję w pokoju Ísólfra, bo on i tak spędzi noc na pracy nad ostrzem.

Udało mi się cały dzień zajmować innymi rzeczami i prawie zupełnie nie myśleć o Indiach, ale gdy wtulam się w Orlaith, wracają zmartwienia. Dobrych kilka godzin nie mogę zasnąć, a potem i tak nie udaje mi się przespać całej nocy. Gdy wstaję, Ísólfr wciąż pracuje i wygląda na bardzo zmęczonego. W głównej sali nie ma jeszcze nikogo poza nim, więc dorzucam drewna do ognia i wychodzę na chwilę na dwór z Orlaith.

Kiedy wracam, Skúfr jest już na nogach, a Ísólfr skończył pracę. Ledwo udaje mu się wstać, taki jest wykończony. Skúfr podaje mu rękę, żeby nie upadł.

– Idź spać, bracie.

Ísólfr ma siłę tylko mruknąć coś pod nosem i machnąć nam niemrawo palcami na pożegnanie.

Gdy Ísólfr wychodzi i Skúfr siada do stołu, patrzę na Fuilteacha. Przezroczysta rurka z lodu na górnej krawędzi ostrza jest już niemal zupełnie pełna jasnoniebieskiej energii.

– Czy to się jakoś nazywa? – pytam, wskazując rurkę.

Mam cichą nadzieję, że chociaż nadali temu jakąś miłą, neutralną nazwę. Nie wiem, może „miernik energii”?

– To Komnata Dusz – odpowiada Skúfr, a ja wzdrygam się mimowolnie.

– Oczywiście. Słuchaj, zniknę teraz na chwilę, ale wrócę wieczorem. Miłego wirowania.

Wychodzimy z Orlaith, zanim wstanie kolejne yeti i opóźni nasze wyjście. Żeby dotrzeć do linii drzew, skąd mogę się przenieść, przez godzinę brniemy przez śnieg. Chcę wziąć gorący prysznic i odnowić znajomość z warzywami, więc przenosimy się z powrotem do naszej chaty w Kolorado, gdzie zmierzch zaczyna coraz poważniej rozsiewać ciemność, a modrosójki szczebioczą o tym, jak to by z pewnością zjadły wszystkie te robaki, gdyby tylko nie były aż tak zmęczone, ale na pewno zjedzą je wszystkie jutro, jeszcze zobaczycie.

Atticus nadal nie wrócił, zresztą nawet nie miałam nadziei, że wróci. Podłączam telefon do ładowarki i włączam go, żeby sprawdzić, jaki mamy dzień. Jest dwudziesty piąty października. Owen pewnie jeszcze nie skończył tatuaży Atticusa, ale za kilka dni powinny już być raczej gotowe. Piszę szybko list do Atticusa, z datą i godziną, żeby dać mu znać, że jak na ludożercze olbrzymy yeti są dość miłe. A potem, żeby miał się nad czym głowić, dodaję jeszcze,

że wynalezienie hokeja mogło być ważniejsze, niż ktokolwiek dotąd przypuszczał.

Kończymy też z Orlaith naszą przerwana wycieczkę do miasta, bo idziemy do sklepu ze skórami. Kupuję trochę rzemienia i kilka kawałków skóry, żeby zrobić pochwę na Fuilteach. Na samym czubku będę musiała umieścić kamień, żeby się przypadkiem nie drasnąć przez skórę, boby mnie to kosztowało utratę ducha.

Po powrocie do chaty przemieniam się w jaguara i biegamy chwilę z Orlaith po lesie. Starannie chowam pazury i podgryzam ją delikatnie, gdy chce się przepychać i tarmosić. Po prysznicu, sałatce i szybkiej drzemce pakuję się na powrotną wycieczkę w Himalaje, upewniając się, że mam wszystkie noże do rzucania, bo gdy tylko opuszczę yeti, z pewnością wpakuję się w jakieś kłopoty.

W drodze w góry zastanawiam się nawet przez chwilę, czy nie poprosić jednego z Tuatha Dé Danann o pomoc przy namierzeniu ojca, ale boję się, ile by mnie taka pomoc kosztowała. Cena wirującego ostrza i tak już jest za wysoka. Atticus zawsze źle wychodzi na zawieraniu jakichkolwiek układów z bogami i chciałabym unikać tego, jeśli tylko się da. Mam też trochę nadzieję, że Laksha coś wykombinowała.

Skúifr prawie skończył, a pozostałe yeti siedzą przy stole pogrążone w grze w fidchell.

Oddrún wita mnie pierwsza i pyta o to, co pewnie wszystkich ich interesuje:

– Jak się nazywa ostrze? Skúifr nie może przerywać, więc nie mógł nam powiedzieć.

Gdy zdradzam im nazwę, wyrażają ogólną aprobatę.

– Chciałbym, żeby to było jasne – odzywa się Ísólfir – że nasze drzwi stoją dla ciebie zawsze otworem. Wpadaj z wizytą, kiedy zechcesz. I mamy dla ciebie prezent.

– To był mój pomysł! – dodaje Hildir.

Błyska zębami w uśmiechu i schyla się po coś. Podnosi skrzynię z lodu, stawia przede mną. Skrzynia jest piękna sama w sobie, lśni cudownie, ale w środku kryje się na dodatek skórzana pochwa rozmiaru Fuilteacha.

– Och! Oszczędziliście mi dodatkowej pracy! Bardzo dziękuję!

Pasami skóry, które z sobą wzięłam, przywiązuję pochwę do lewego uda, a gdy tylko kończę, Skúifr pojękuje, wzdycha i w końcu pozwala ostrzu przestać wirować.

– Skończone. – Spuszcza głowę, a ostrze opada na stół. – Fuilteach jest twój.

Komnata Dusz jest już zupełnie niebieska. Resztą skóry owijam nagą ręką, a potem ostrożnie wsuwam nóż do pochwy, dziękując yeti za ich gościnność i pomoc. Zapewniają mnie, że moja wizyta była dla nich czystym puchem i życzą mi powodzenia w ratowaniu ojca. Ściskam je wszystkie serdecznie, bo zamierzam zrobić sobie T-shirt z napisem TULIŁAM YETI i nie chcę, żeby kłamał. Ale po wszystkich tych pożegnaniach pędzimy z Orlaith w dół z boczka tak szybko, jak tylko się da.

Tańdźawur bardzo się zmienił podczas mojej nieobecności. Teraz wszędzie pełno policji, a może to są oddziały żołnierzy. W każdym razie wszyscy noszą maski mające ochronić ich przed zarazą. Podejrzewam, że wprowadzono już godzinę policyjną, rutynowe przeszukiwania i inne środki mające na celu zwiększenie kontroli rządu nad sytuacją i wprowadzenie kwarantanny. Gdyby pomór wywołany był tradycyjnym wirusem, już dawno pewnie objąłby zasięgiem obszary większe niż jedno miasto, ale jako że jego źródłem są rakszasy, ogranicza się nadal do tej samej okolicy. I oczywiście rakszasy za nic mają współczesną medycynę. Nawet boję się myśleć, ile osób zginęło, gdy mnie nie było.

Ściągam z siebie rozliczne warstwy ubrań niezbędnych w Himalajach, ale zupełnie niepotrzebnych tutaj, a potem rzucam kamuflaż na Orlaith i wykorzystuję splot wyryty na Scáthmhaidzie, żeby włączyć pełną niewidzialność. Trzymam rękę na psie, żeby go jakoś prowadzić, i przemykam się w kierunku domu Lakshy. Tylko że on został już spalony. Śmierdzi

nieładzko, nawet jak dla ludzkiego nosa, i nad pogorzeliakiem wciąż unosi się dym. Czy to mój ojciec ją zaatakował? Czy nasłał na nią rakszasy? Czy też może jacyś sąsiedzi uznali, że jest wiedźmą i trzeba ją spalić?

– O bogowie – jęczę i wyciągam komórkę, bo nie dopuszczam do siebie myśli, że Laksha była w środku. Od razu włącza się poczta głosowa. – Laksho, wróciłam i szukam cię. Mam nadzieję, że nic ci nie jest. Proszę, zadzwoń albo mnie znajdź – nagrywam się.

Jeśli nawet jej ciało znajduje się w zgliszczach, nie uda mi się go znaleźć bez ściągania na siebie uwagi ludzi.

<Co teraz?> pyta Orlaith.

Nie wiem, co teraz, ale uczepiam się pierwszego lepszego pomysłu, którego realizacja będzie wymagała zniknięcia z tej okolicy.

*Chodźmy na południe, tam, gdzie ostatnio ją widziałyśmy. Wydaje mi się, że przyjaźniła się z tamtymi ludźmi. Może gdzieś tam jest.*

Wychodzimy z miasta. Pola nie wyglądają niby inaczej niż przedtem, ale jednak czuć od nich jakieś takie zaniedbanie, jakby wiedziały, że w umysłach tych, którzy o nie dotąd dbali, już leżą odłogiem. Powietrze wokół mnie niemal drży od zaburzeń unoszących się w atmosferze. Słońce zachodzi, gdy wciąż biegnę przy Orlaith. Wrzucam noktowizję.

Lakshy nigdzie nie widać w pobliżu dwóch domów, które odwiedzałyśmy jako ostatnie, a Orlaith twierdzi, że nie czuje jej zapachu albo że jest „bardzo stary”. Ale przy pierwszym domu, gdzie dźgnęłyśmy rakszasa w oko i zakopałyśmy go w zaułku, zebrała się grupka ludzi. Mówią ściszonymi, pełnymi niepokoju głosami. Zbliżam się i widzę, że matka chłopca, którego uratowałyśmy, płacze i ociera łzy z policzków, gdy mówi. Potem zamiera nagle i podąża za mną wzrokiem, ale zaraz uspokaja się i wraca do swojej opowieści, choć jej ton sugeruje teraz, że jest bardzo zmęczona i chciałaby już skryć się w domu. Ścisła znajomych i macha im na pożegnanie, a ja prowadzę Orlaith w stronę drzwi jej domu, ostrożnie wymijając tłum. Przemykamy pod ścianą przez nikogo niezauważone i czekamy, aż drzwi się otworzą. Sąsiedzi odchodzą jeden po drugim, a gdy kobieta odwraca się, żeby otworzyć drzwi, mówi nagle wyraźnym angielskim z lekkim akcentem:

– Wejdz za mną do środka, Granuaile.

– Laksha?

– Wejdz.

Przekręca gałkę w drzwiach i otwiera je na oścież, tak że mogę z łatwością wślizgnąć się za nią. Orlaith drecze tuż za mną, a Laksha zamyka drzwi, gdy tylko słyszy jej łapy na podłodze. Zrzucam niewidzialność i kamuflaż, po czym przyglądam się bacznie kobiecie.

– To ty? Tam, w środku?

– Tak – mówi Laksha i wyciąga zza sari swój rubinowy naszyjnik. – Opętałam tę kobietę tylko tymczasowo. Potrzebuję nowego ciała. Selai Chamkanni została okrzyknięta wiedźmą, a jej dom spalono, gdy była w środku.

– Ale kto to zrobił?

– Ta kobieta – odpowiada, wskazując na siebie i potem, ze złością, na drzwi. – A pomogli jej ci mili ludzie, którzy właśnie sobie poszli. I jeszcze kilkoro innych.

– Dlaczego?

– Chłopiec, którego uratowałyśmy, został zaatakowany przez nowego rakszasa jeszcze tej nocy, gdy wyruszyłaś w Himalaje. Tym razem jednak demon nie został na długo. Wślizgnął się szparą pod drzwiami w postaci mgły, ukazał się kobiecie, a potem na jej oczach zabił jej syna. Widzę to w jej pamięci. Zrozpaczona matka zrzuciła winę za zabójstwo na mnie. Ubzdurało jej się, że to ja naslałam rakszasa.

– Ale to...

– ...bez sensu. Wiem. Rozpacz popycha nas do okropnych czynów. Ona i jej przyjaciele zupełnie mnie zaskoczyli. Otoczyli dom i podłożyli ogień. Nie dało się uciec tak, żeby ciało Selai na zawsze już nie nosiło na sobie piętna czarownicy, więc cisnęłam na tę kobietę mój naszyjnik, zostawiłam ciało Selai i przejęłam umysł tej kobiety. Nie jest to przyjacielskie mieszkanie oparte na współpracy, takie, jakie miałam u ciebie. Wolalabym znaleźć bardziej przyjazną powłokę. Ale obawiam się, że nie będzie na to czasu.

– Wiesz, gdzie jest mój ojciec?

– Nie, ale wiem, kto wie. Udało ci się zdobyć lodowy miecz yeti?

Nawet nie tracę czasu na wyjaśnianie jej, że nie tak się nazywa. Wyciągam tylko Fuilteacha z pochwy i jej pokazuję. Podchodzi bliżej, a jej oczy zmieniają się, gdy włącza swoją wersję magicznego wzroku. Nie widzi splotów w taki sposób, w jaki mogą to zrobić druidzi, ale cokolwiek widzi, rozumie. Jej oczy znów patrzą przytomnie, ale są pełne grozy.

– To niezwykle niebezpieczna broń. Czy yeti uprzedziły cię, co się stanie, gdy draśniesz kogoś czubkiem?

– Tak. Nie posłużę się nim w przypadku ojca.

– Dobrze. Jesteś więc gotowa czy musisz jeszcze odpocząć?

– Jestem gotowa.

Znów kryjemy się odpowiednimi splotami przed ludzkim wzrokiem i wmykamy za Lakshą z domu. Prowadzi nas na wschód, aż docieramy do ulicy Nanjikottai, która biegnie z północy na południe. Idziemy nią na południe aż do przystanku autobusowego, gdzie Laksha wydaje wściekły syk.

– Przegapiłyśmy ostatni – marudzi, wpatrując się w rozkład. – Musimy iść piechotą.

– Jak daleko?

– Tylko kilka mil. Mamy zresztą czas. Na południe stąd znajduje się placówka sił powietrznych Tańdzawuru i rządowe liceum. A gdy przejdziemy przez wieś Nanjikottai, dalej przez jakiś czas będą się ciągnęły pola. Udało mi się ustalić, że rakszasy przybywają z południa, więc twój ojciec musi je wzywać gdzieś stamtąd.

– Kim jest ta osoba, która wie, gdzie jest mój ojciec?

– To dewi. Durga.

Mrugam zdziwiona.

– Rozmawiałaś z nią ostatnio?

Laksha kręci głową.

– Jeszcze nie. Ale myślę, że już niedługo porozmawiam. Raksojudź zwrócił jej uwagę, a moje modły, które go dotyczyły, także już dotarły do jej uszu. Czuję, że obserwuje nas życzliwie i łaskawie.

Stwierzeń tego typu nie da się nijak sensownie skomentować, więc gryzę się w język. Zresztą być może ona ma rację. Choć bogowie rzadko decydują się zstępować na ziemię, rzeczywiście dość często obserwują nas, jeśli robimy coś ciekawego. Tylko że poza nielicznymi wyjątkami wśród Tuatha Dé Danann raczej bym nie określiła tej obserwacji jako życzliwej i łaskawej. Może jednak Durga właśnie taka jest, kto ją wie.

Moja wiedza na temat hinduskiego panteonu ogranicza się do mglistego pojęcia, że Durga to wielka obrończyni ludzkości. W starych indyjskich opowieściach nie boi się wykorzystywać swoich rozlicznych broni, a rakszasy zawsze morduje w dużych ilościach i z uprzejmym uśmiechem, jakby mówiła: „Sorki, ale żyjecie w tym wcieleniu zupełnie nie tak, jak powinniście, więc pozwólcie, że wam pomogę przejść do następnego”. Uśmiecha się, bo przywraca równowagę, nigdy nie działając ze złości czy złośliwości. I, jak już wskazała Laksha, całe to

zamieszanie z raksojudżem zdecydowanie podpada pod kategorię problemów, którymi powinna się zajmować Durga.

Idziemy w pełnym napięciu milczeniu – nie tylko ze stresu i niepokoju, ale też dlatego, że owady i zwierzęta w okolicy chyba wyczuwają, że coś się dzieje, bo wokół panuje upiorna cisza. Odgłosy naszych kroków w tej ciemności brzmią dość przerażająco. Co jakiś czas mija nas oślepiający samochód, którego ryk wydaje się zupełnie ogłuszający.

<Coś tu jest nie tak> stwierdza Orlaith.

*Tak, też to czuję. Być może zaraz będziemy walczyć. Oni mogą mieć broń. Nie atakuj. Umiejętnie walcz. Staraj się tylko obstawiać mi tyły i ostrzegać mnie, gdy ktoś się będzie do mnie zakradał.*

<Dobra>.

Laksha odchodzi od drogi i idzie na południowy zachód, prosto przez świeżo skoszone pole. Nierówna ziemia i rżysko czekają na zaoranie i zasianie oziminy. Przechodzimy przez całe pole i stajemy na miedzy przed następnym. Widać stąd samotny dom jakieś dwieście metrów przed nami. Otaczają go pola, tak jakby cała ta ziemia należała do jego mieszkańca. Nocą z drogi nie widać pewnie Lakshy, choć też prawdę powiedziawszy, żaden kierowca nie będzie się rozglądał na boki, zamiast wpatrywać się w drogę przed sobą, gdy jedzie ciemną nocą.

Laksha zatrzymuje się i wyciąga z sari rubinowy naszyjnik, po czym przyciska go do szyi.

– Walka z tą kobietą jest bardzo męcząca. – Nie zauważyłam żadnych przejawów walki, ale nie wątpię, że ta kobieta rzeczywiście próbuje za wszelką cenę wyrzucić z siebie Lakshę. – Gdy już opuszczę jej głowę, nie wrócę. Skryję się w rubinie. Gdybyś była tak miła i zdjęła z niej naszyjnik, a potem zaniósła go do szpitala, gdzie znajdę inną osobę w stanie śpiączki, która zechciałaby mnie gościć w swoim ciele, byłabym ci dozgonnie wdzięczna.

– Nie ma sprawy. Co teraz?

– Teraz musimy dać Durdze znać, że jesteśmy gotowe, i mieć nadzieję, że i ona jest gotowa.

– Wybacz, że spytam, ale skąd właściwie wiesz, że masz bezpośrednie połączenie z boginią?

– To dobre pytanie. Durga, w przeciwieństwie do innych dewi, jest zupełnie niezależna od męskich bóstw. Nie jest niczyją żoną czy kochanką i nie jest boginią domowego ogniska. Jest samodzielną wojowniczką. I dlatego chętnie wysłuchuje takich jak ona sama, kobiet... hmm... nietradycyjnych. Takich jak ja.

Laksha przyklęka na miedzy i rysuje wokół siebie koło. Wyciąga z sari niewielką świeczkę i zapala ją. Domyślam się, że teraz zaintonuje jakąś pieśń czy coś, ale nim ma czas zacząć, Orlaith wzdyga się przy mnie i moją głowę wypełnia jej głos.

<Hej! Wielki kot! Za nami!>.

Obracam się natychmiast, zasłaniając się odruchowo kijem. Oto stoję oko w oko z olbrzymim lwem. Jest zaledwie jakieś dwa metry od nas. Choć jestem niewidzialna, wpatruje się prosto we mnie. Tak zresztą jak i bogini, która na nim siedzi.

*Nie ruszaj się* – nakazuje Orlaith. – *Wszystko w porządku.*

W sztuce Durga przedstawiana jest z różną liczbą rąk, ale dziś w nocy ukazuje nam się z ośmioma. W sześciu z nich znajduje się broń: trójząb Śiwy, sudarśana ćakra Wisznu, piorun Indry, włócznia Agniego, maczuga Kubery i miecz Jamy. Jedną z pustych rąk unosi w powitalnym geście, który podkreśla lekkim skinieniem głowy.

– Laksho, myślę, że ona już jest gotowa – mówię.

Laksha odwraca się natychmiast, choć wciąż jest jeszcze na kolanach, i wylewa z siebie

potok słów, które są pewnie pochwałą i podziękowaniami. Durga wyczekuje, aż Laksha zrobi przerwę dla nabrania oddechu, a gdy dewi przemawia, słyszę jej słowa jednocześnie w obcym języku i po angielsku. Jej głos jest spokojnym kontraltem, ciepłym i pocieszającym jak gorąca herbata z miodem.

– Druidko, wiédźmo, jesteście bliżej złego, niż wam się wydaje. Raksojudź znajduje się w tym budynku – mówi, wskazując trójzębem gospodarstwo, na które patrzyłyśmy przed chwilą. – I ma z sobą rakszasy. Wie, że tu jestem, i już wydaje rozkazy do ataku. Spójrście, właśnie nadciągają.

Z domu wypływają ciemne kształty, formują szyk bojowy. A więc nie będzie to chaotyczny napad tłumu, tylko w pełni skoordynowany atak. Wypływa ich o wiele więcej, niż powinno się tam zmieścić. W ciągu kilku sekund między mną a tatą stoi cała armia demonów. Nigdy jeszcze nie brałam udziału w tak wielkiej bitwie.

Zaciskam palce na Scáthmhaidzie i podkręcam sobie zarówno siłę, jak i prędkość.

– Jestem gotowa – mówię.

Lew Durgi wydaje dziki ryk i skacze w sam środek armii wroga.

## Rozdział 11



W 2010 roku sprzedałem księgarnię i sklep ziołowy Trzecie Oko Rebece Dane za absurdalnie niską kwotę w wysokości jednego dolara i siedemdziesięciu dwóch centów, przekazując jej w dość ładnym stylu niezłe już rozkręcony biznes, a do tego jeszcze pierwsze wydanie *Żdźbeł trawy*, żeby mogła je sobie sprzedać na jakiejś aukcji i mieć z tego parę groszy. To, że właśnie Rebecca była odpowiedzialna za stworzenie międzypanteonowego konsorcjum, które poniekąd ratowało mi życie, zupełnie mnie wyrwało ze skarpetek. Znaczący wyrwałoby, gdyby nie to, że nie mam zwyczaju nosić takowych. Bogini twardo nie chciała mi powiedzieć nic poza tym i muszę przyznać, że stanowiło to dla mnie nie lada sprawdzian cierpliwości. Jak wielu ludzi, nie lubię, kiedy się mną manipuluje i to w dodatku tak słabo, że widzę sznurki, za które pociąga lalkarz. Całą naszą rozmowę z boginią można by podsumować następująco: „Zrób coś z Lokim. Bo Rebecca Dane”. I nawet nie raczyła mi wyjaśnić, co aż tak zaniepokoiło bogów, że postanowili jednak trochę mnie popchnąć do działania.

– Przyszłość to ścieżka o wielu rozwidleniach – powiedziała jeszcze bogini. – I tylko ty możesz wybrać, w którą stronę pójdziesz.

– To wiem. Ale nie wiem, co mnie czeka na końcu tych ścieżek.

– Zwycięstwo lub śmierć. Wybierz dobrze.

<Naprawdę uważasz, że jest tu się nad czym zastanawiać?>

*Ona ma na myśli, że mam wybrać dobrą ścieżkę, Oberonie, bo te ścieżki nie będą ładnie oznaczone „Zwycięstwo” albo „Śmierć”.*

<Nigdy nie występuj przeciwko druidowi, jeśli ŚMIERĆ jest w rozgrywce! Ha!>.

*Pamiętasz może, że Sycylijczyk, który to powiedział, zmarł zaraz potem?*

<A, racja. Wycofuję więc kiepsko dobraną aluzję popkulturową>.

– Dziękuję, że zaprosiłaś mnie na rozmowę, dostojna Inari – powiedziałem, składając dłonie i kłaniając się jej. – Była wielce pouczająca. Wezmę teraz swój miecz i odejdę już.

Nie odpowiedziała, tylko skinęła głową, spokojna i nieruchoma, jakby pozowała do portretu ze swoją kitsune.

Przewrócenie oni na plecy nie było łatwe i mało sobie nie zerwałem przy tym mięśnia. Fragarach, gdy już udało się go wyciągnąć z bebechów olbrzyma, cały był w najróżniejszych płynach i zdecydowanie nadawał się do czyszczenia, żeby nie powiedzieć: odbebeszenia. W rzece Uncompahgre płynącej opodal naszej chaty powinien przynajmniej rozpocząć się ten proces.

– Żegnaj – powiedziałem, znów się kłaniając.

Nie otrzymałem żadnej odpowiedzi.

Wyszliśmy z Oberonem przez zniszczone drzwi, gdzie na warcie nadal stał Tsukino Hideki. Na środku dość dużej ulicy, w kałuży krwi, leżały ciała dwóch oni i czterech strażników bogini. Rzuciłem Tsukino-sanowi zaniepokojone spojrzenie, a on pokłonił mi się.

– Nie martw się. Inari nie dopuści, by ktokolwiek to zobaczył. Nim ludzie wyjdą na ulicę, wszystko będzie schowane, a wszelkie zniszczenia naprawione.

Pocieszeni tą obietnicą pobiegliśmy z Oberonem z powrotem na szczyt góry Inari, skąd przenieśliśmy się do chaty w Kolorado.

Na kuchennym stole znalazłem list od Granuaile. Był z dwudziestego piątego października, a więc sprzed kilku dni, ale w każdym razie nie wspominała nic o ojcu ani nie



prosiła o pomoc, przyjąłem więc, że u yeti wszystko potoczyło się po jej myśli i nie muszę się o nią martwić.

<Atticusie, ja się dosłownie lepię. Czy mógłbym się wykapać?>.

– Jasne. Już leję wodę.

<Ale nie powiesz nigdy Orlaith, że poprosiłem o kąpiel, co? To takie niepsie>.

– Niepsie? Nie jestem pewien, czy w ogóle istnieje taki przymiotnik, Oberonie.

<Teraz już tak. I musisz mi też przy okazji obiecać, że nigdy słowem nie wspomnisz przy niej o moim uzależnieniu od pudlic>.

– O twoim uzależnieniu od pudlic?

Oberon spuścił głowę i ogon.

<Taka jest prawda, Atticusie. Jestem pudlicarzem>.

– Nawet nie ma czegoś takiego!

<Jest, jest. A pierwszy krok do zerwania z tym nałogiem to przyznać, że się ma z tym problem. A ja mam. Z pudlicami>.

– Oberonie, skąd ty wytrzasnąłeś tę bzdurę? Nie masz żadnego problemu.

<O, widzisz? Proszę bardzo! Jeszcze mnie usprawiedliwiasz, Atticusie! Obaj musimy z tym zerwać. Powinniśmy chodzić na odpowiednie spotkania>.

– Własnym uszom nie wierzę. Powiedz mi, skąd ty to wytrzasnąłeś.

<Ludzie w kryminałach zawsze są wysyłani przez sędziego na spotkania grup wsparcia.

Więc muszą przecież istnieć AP, Anonimowi Pudlicarze>.

– Dobra, słuchaj, obiecuję nigdy nie wspomnieć Orlaith o twoim uzależnieniu. Już? Przeszło ci? Nigdy więcej żadnych pudlic?

<Słowo psa!>.

– Świetnie. Nie jesteś już więc pudlicarzem i nie musimy chodzić na żadne spotkania, a twoja tajemnica nigdy nie wyjdzie na jaw. – Odkręciłem kran i zatkałem korkiem wannę. – I nie powiem jej też o tym, że poprosiłeś o kąpiel.

Oberon wskoczył do wody, a ja zacząłem szukać mydła w płynie. Żeby pozbyć się jakoś tej zaschniętej krwi z jego futra, trzeba go będzie mocno wyszorować.

<Opowiesz mi tym razem o ninja? Bo przecież prawie jednego widzieliśmy, nie?>.

– Bardzo bym chciał, Oberonie, ale nigdy nie znałem żadnego ninja, a w dodatku mają zwyczaj trzymać swoje historie w tajemnicy.

<Ale ty znasz całe mnóstwo tajemnic>.

– Tak, tylko akurat nie te.

Kiedyś nawet chciałem opowiedzieć Oberonowi o pewnym samuraju, którego poznałem w szesnastym wieku, nim jeszcze do władzy doszedł ród Tokugawa, ale rozmyśliłem się, bo ten typek, którego znałem, źle skończył, a Oberon miał to do siebie, że zawsze strasznie się przejmował moimi opowieściami. Mogłem jednak opowiedzieć mu o innym wojowniku, który żył i umarł z honorem.

– Co powiesz na opowieść o prawdziwym samurajskim mistrzu miecza? Niewykluczone, że był to w ogóle największy mistrz miecza w historii.

<Brzmi świetnie! Jak się nazywał?>.

– Miyamoto Musashi. Albo, jeśli wolisz zachodnią kolejność: Musashi Miyamoto.

W Japonii zwykle podaje się najpierw nazwisko, potem imię.

<Serio? A jak ja mam na nazwisko, Atticusie?>.

– Hmm. Możesz mieć moje, jeśli chcesz.

<No nie wiem, czy to przystoi. Nie jesteśmy spokrewnieni. Czy ja naprawdę nigdy nie miałem nazwiska?>.

– Nie, nic mi o tym nie wiadomo.  
<Czy to znaczy, że mogę sobie jakieś wymyślić?>.

– Jasne.  
<W takim razie niech będzie Sirius!>.

– Czyli odtąd, kiedy cię przedstawiam, mam mówić ludziom, że jesteś Oberon Sirius?  
<Nie, masz to robić po japońsku, czyli jestem Sirius Oberon. Ale mogą mi mówić:

Oberon>.

Zdusiłem śmiech.

– Rozumiem.

Wyłączyłem wodę i wbiłem się namydlonymi rękoma w sierść Oberona. Musiałem jakoś go zająć, nim skończę szorowanie, bo inaczej gotów był się w każdej chwili otrząsnąć i zalać mnie od stóp do głów.

– Miyamoto napisał *Księgę pięciu kręgów* – zacząłem. – I nim spytasz: nie, to nie były pierścienie, tylko kręgi, więc nie istniał jakiś jeden, by wszystkimi nimi rządzić. Był to po prostu zbiór rad dla szermierzy i rozmyślania dotyczące strategii, duchowości i życia. Ludzie czytają ten tekst po dziś dzień. Miyamoto jest uważany za autorytet, bo pokonał co najmniej sześćdziesięciu ludzi w pojedynkach i jeszcze więcej na wojnie. Pełne przygód życie wojownika rozpoczął, gdy miał zaledwie trzynaście lat, a zmarł w spokoju jako staruszek.

<Jak to: zmarł w spokoju?>.

– Samurajowie mieli zwyczaj równoważyć swoje gwałtowne życie sztuką i medytacją. Miyamoto zajmował się malowaniem, kaligrafią, a nawet architekturą. Radził innym nigdy nie skupiać się jedynie na mieczu, ponieważ w życiu chodzi o coś więcej niż tylko o to, jak je zakończyć. Życie samuraja miało w sobie pewien fatalizm i nierzadko kładli oni duży nacisk na dobrą śmierć.

<Na dobrą śmierć? Nie kumam. Jeśli już umarłeś, to niby skąd masz wiedzieć, że w dobry sposób?>.

– Dobra śmierć oznaczała raczej właściwie dobre życie, bo samurajowie nie liczyli na żadne nagrody w życiu pośmiertnym. Bez względu na to, czy byli shintoistami czy buddystami, wiedzieli, że będą musieli zapłacić słoną cenę za zabijanie. Z tego wyciągali wniosek, że muszą przeżyć swoje życie tak pięknie, jak tylko się da, żeby zrównoważyć tę brzydotę. Pragnęli umierać z honorem. Żyli zgodnie z niepisanyym zbiorem zasad etycznych zwanym busidō.

<Jakie to były zasady?>.

– Cenili sobie oczywiście odwagę, ale również takie cnoty, jak lojalność, uczciwość oraz dobroć.

<Też byli wegetarianami jak ludzie w Indiach?>.

– Nie.

<To okej. Bo bycie mięsożernym samo w sobie jest cnotą>.

– Ale Miyamoto Musashi nie był typowym samurajem. Przez lata był rōninem, czyli nie miał pana. Przez większość życia nikomu nie służył, a skupiał się na dążeniu do doskonałości w strategii i sztuce walki mieczem. Opracował nawet własny styl walki, zwany niten'ichi-ryū, który opierał się na walce dwoma mieczami. Miyamoto był tak dobry w tym, co robił, że na zawsze zmienił sztukę walki.

<Czyli tak jak ty!>.

– Że co słucham?

Przypisywano mi różne zasługi, ale w życiu nie wpływ na sztuki walki. Zaskoczony przestałem go szorować.

<No wiesz, on wymyślił coś nowego i nikt go nie mógł pokonać. Ty wymyśliłeś amulet

i też nikt cię nie może pokonać>.

– A... hmm... Tylko że ja nie jestem wcale niepokonany.

<Chłopie, uważaj, bo mam gilgotki!>.

– Nie, Oberonie, nie...

Za późno. Otrząsnął się i zalał całą łazienkę paskudną, krwawą, śmierdzącą psem wodą z mydlinami. Przy czym mnie chyba najbardziej.

– Wrrr!

<Przepraszam. Myślałem, że już skończyłeś>.

## Rozdział 12



Budzi mnie warkot silnika samochodowego. Jakiś sąsiad zaczyna pracę o wschodzie słońca. Sąsiad Grety – gwoli wyjaśnienia. Jej dom znajduje się po północnej stronie góry Camelback w miasteczku Paradise Valley. Hałas budzi i ją. Porusza się przy moim boku i zarzuca nogę na moje udo, spoglądając na mnie zaspanym wzrokiem. Uśmiecha się leniwie. Żadne z nas nic nie mówi. Chyba oboje zastanawiamy się, skąd się tu w ogóle wzięliśmy i co teraz. A może tylko ja się nad tym zastanawiam.

Znaczy, wiem, skąd się tu wziąłem – Greta zaprosiła mnie do łóżka. Ale nie wiem, dlaczego to zrobiła. Nie jestem wcale takim przystojniaczkiem jak Siodhachan. A jeśli wziąć pod uwagę, co ona o nim myśli, dziwne, że w ogóle chce mieć do czynienia ze mną, jego archdruidem.

Nim zrobię kolejny krok na tej emocjonalnej ścieżce – a nie jest ona nigdy łatwa, bo z każdej strony czają się kolczaste krzewy zwątpienia w siebie i innych uczuć, na które nie mam ochoty – postanawiam przyjąć tę noc jako dar, którym była, i być zań wdzięczny. Greta wyjaśni mi wszystko, jeśli będzie chciała.

Przeciągam się i ziewam, a potem ona robi to samo, przy czym okazuje się, że jest cholernie dobra w przeciąganiu się.

– Masz tu to fantastyczne urządzenie zwane toaletą? – pytam.

Kiedy przyszliśmy wczoraj w nocy, nie widziałem właściwie jej domu. Zajęci byliśmy sobą i nic innego nas nie obchodziło.

– Nie jest może specjalnie fantastyczna – odpowiada. – Ale tak, mam toaletę w łazience.

– Jak dla mnie każda toaleta jest fantastyczna – stwierdzam. – Nie doceniasz tego, co masz.

– Owszem, doceniam. Też już byłam na świecie w czasach przedtoaletowych.

– Naprawdę? – Szczęka mi opada, a ona uśmiecha się zadowolona, że mnie zaskoczyła. – Jak długo żyją wilkołaki?

– Jeśli ktoś nam nie skróci życia, to coś między czterysta a pięćset lat. I nie wyglądamy na swój wiek mniej więcej aż do ostatniej pięćdziesiątki.

Przechyla głowę i robi zadowoloną minę. Pewnie myśli, że ją teraz spytam, ile ma lat, ale nie zamierzam wpaść w tę pułapkę. Chyba po raz pierwszy w życiu zauważam na czas okazję do powiedzenia czegoś miłego i nie chcę jej przegapić.

– Podoba mi się, jak wyglądasz, bez względu na twój wiek – mówię, a ona mruczy rozkosznie, gdy wychodzę z łóżka w poszukiwaniu łazienki.

Odpowiednie słowo na określenie jej domu to chyba „bajerancki” albo może „wypasiony”. Cały jest w kolorach ziemi, wszystkie meble są z naturalnego drewna, jeśli nie liczyć kilku poduszek. Podłogi też są drewniane. Jest tu o wiele więcej pokoi, niżby potrzebowała. Kiedy wracam do sypialni, już jej nie ma, ale zaraz pojawia się za moimi plecami.

– Byłam w innej łazience – wyjaśnia.

– To ile ich masz?

– Cztery.

– I mieszkasz tu całkiem sama?

– Tak. Ale wataha często wpada na noc i wtedy mam miejsce dla wszystkich. Poza tym mój dom jest używany, gdy mamy odwiedzających spoza miasta.

– Czym ty się tak właściwie zajmujesz?

Wzrusza ramionami.

– Wieloma rzeczami. Zależy, czego akurat potrzebuje wataha.

– Ale podobno w dzisiejszych czasach wszyscy muszą mieć jakąś pracę. To kim ty jesteś? Jeden kącik jej ust drży lekko.

– Nie zajmuję żadnego konkretnego stanowiska. Można by chyba powiedzieć, że jestem pracownikiem ochrony.

– I to mówisz ludziom, gdy cię pytają?

– Nie. Ludziom mówię, że pracuję dla rządu. Często muszę wyjeżdżać, wszystko muszę trzymać w ścisłej tajemnicy i ze względów bezpieczeństwa nic więcej nie mogę im powiedzieć.

– I wierzą ci?

– Jeśli nie, to już mnie więcej nie widzą. Wśród tych, którzy znają się na wilkach, jestem czasem nazywana gammą. Jestem trzecia w watasze, za Halem i Estebanem.

– O. Czy to znaczy, że gdybyś chciała, gdzieś indziej mogłabyś być alfą?

– Być może. Ale nie chcę. Jestem zadowolona z tego, co mam. Wiele korzyści, żadnej odpowiedzialności.

– Rozumiem. To co takiego ochraniaasz?

– Granice naszego terytorium. Jeśli ktoś zagraża naszym granicom... jakiś wampir, wiedźma, ktokolwiek... do moich obowiązków należy dać im znać, żeby się uspokoili.

– Brzmi niebezpiecznie.

– Czasami takie jest. Ale zazwyczaj to czyste nudziarstwo. Dla watahy załatwiam sprawy karne, zdobywam dowody tożsamości i odfajkowuję mnóstwo gównianych robót, które jakoś dziwnie zwykle są związane z twoim uczniem.

– A, on to jest jak strute niemowlę, co? Nic tylko trzeba po nim sprzątać.

– Dobra analogia – zgadza się i uśmiecha do mnie. – Ale nie mówmy o nim. Jesteś głodny?

– Ano. Nie nauczyłabyś mnie, jak się gotuje w tych nowoczesnych kuchniach?

Widziałem niby, jak to robił wczoraj Farid, ale niewiele z tego rozumiałem. W moich czasach wszystko się robiło nad otwartym ogniem.

– Jasne. To dopiero będzie zabawa.

Uczy mnie, jak zrobić kawę, a potem wprowadza w tajniki przygotowania czegoś, co się nazywa tost francuski. Posypuje go sproszkowanym cukrem i polewa jakimś syropem, a gdy biorę pierwszego gryza, muszę przyznać, że to najpyszniejsze śniadanie, jakie kiedykolwiek jadłem. Jakoś nie wyobrażam sobie, żeby Galowie za moich czasów robili coś takiego, ale współcześni Francuzi są widać już zupełnie innym plemieniem. Wszystkie te przemyslenia zachowują jednak dla siebie.

– I co teraz zamierzasz? – pyta Greta z ustami pełnymi tosta.

– Muszę udać się na dwór faerii i powiedzieć Tuatha Dé Danann, że znów chodzę po tej ziemi. To grzecznościowy gest, który nabiera znaczenia tylko wtedy, kiedy go nie wykonasz.

– Aha, czyli wracasz jeszcze dziś wieczór?

– To może zająć trochę dłużej – przyznaję. – Pewnie dostanę kilka zaproszeń na różne kolacje. Będą chcieli się dowiedzieć, po czyjej stronie stoję, i wymyślić, jak im się mogą przydać w ich gierkach o władzę.

– Jak ja to znam. Wilkołaki też nic tylko myślą o takich rzeczach.

– Najzabawniejsze jest to, że w moich czasach to chyba w ogóle o mnie nawet nie wiedzieli. Druidzi byli wtedy wszędzie. Ale teraz, gdy jestem jednym z trojga, nagle stałem się strasznie ważny. Nie podwiozłabyś mnie gdzieś do jakichś drzew? Siodhachan mówi, że tu nie ma żadnych nici z Tír na nÓg, a ja nie potrafię pleść własnych. Kazał mi jechać do jakiegoś

miejsca, które się nazywa Payson. Albo w każdym razie w pobliże tego miejsca. To się podobno nazywa Mogollon Rim.

Greta kiwa głową i mówi:

– Dobra. To jakieś półtorej godziny stąd. Ale zrobię to tylko pod jednym warunkiem.

– Mianowicie?

Pochyla się, jej błękitne oczy patrzą na mnie intensywnie, a głos przechodzi w szept.

– Pobiegnijmy razem po lesie jako wilk i niedźwiedź.

Mrugam zaskoczony tak łatwą do spełnienia prośbą.

– Z przyjemnością.

– Świetnie. Jakie są twoje inne postacie? – pyta, odchylając się z powrotem i przyglądając mojej prawej ręce, na której mam sploty odpowiadające za zmiennokształtność. Same wzory dają mniej więcej pojęcie o moich zwierzęcych postaciach, ale nie zawsze zdradzają konkrety.

– Moja kopytna postać to baran. Potem niedźwiedź, kania ruda jako postać skrzydlata, a w morzu jestem... to nieważne. Na palcach jednej ręki mogę policzyć, ile razy się przemieniałem w tę morską postać. Nie przepadam za nią.

– Dlaczego? Czym jesteś w morzu?

– Po angielsku to się chyba nazywa walrus, czyli mors.

Oczy mało nie wychodzą jej na wierzch, zakrywa usta dłonią, żeby nie wypluć tosta.

Z trudem przełyka ostatni kęs, krztusząc się i dusząc. Potem uderza płaską dłonią w stół i mówi:

– Jesteś morsem?! No oczywiście. Po prostu pięknie. *Goo goo ga joob!* Ha! No pięknie!

– *Goo goo ga co?* Co to znaczy?

– W samochodzie puszcze ci Beatlesów, to zrozumiesz. Choć, misiu. Czas pozmywać.

– Chwila. Jaki znowu „misiu”?

– To lepsze słowo na niedźwiedzia. Ludzie wolą przytulać misie niż niedźwiedzie.

W drodze do Payson opowiada mi trochę o sobie. Już wczoraj powiedziała mi, że ugryzł i wciągnął ją do watahy Gunnar Magnusson, ich poprzedni alfa, ale dopiero teraz zdradza więcej szczegółów.

Mieszkała w gospodarstwie niedaleko Rejkjawi. Podczas pełni księżyca napadła na nich banda mężczyzn, którzy przyjechali z Norwegii. Zabili jej ojca i brata. Greta schowała się w oborze, ale wiedziała, że w końcu przecież ją znajdą. Gunnar i Hal, którzy właśnie polowali w świetle księżyca, usłyszeli odgłosy walki i dotarli na miejsce, nim Greta została znaleziona. Norwegom rozszarpali gardła, ale nie byli pewni, co zrobić z Gretą. Na Islandii miało teoretycznie nie być wilków, więc ich obecność musiała pozostać tajemnicą. Dlatego mieli dość ograniczony wybór: albo zabić Gretę, albo zrobić z niej wilkołaka. Gunnar ugryzł ją, a potem zostali z Halem do świtu, aż mogli przemienić się w ludzi i wyjaśnić jej, co się stało. Hal pozostał w wilczej postaci, a Gunnar przemienił się w człowieka i wytłumaczył Grecie, że może wybrać śmierć albo watahę. Przyznał, że życie z watahą może nie należeć do spokojnych, ale zapewnił, że nigdy już nie otrze się o śmierć tak jak tamtej nocy.

Gunnar i Hal byli jej jak ojciec i brat. Gunnar przez wieki spełniał swoją obietnicę – nigdy już nie otarła się o śmierć. To jest dopóki pewnej nocy polskie wiedźmy mało nie zabiły jej na łące pod Tony Cabin. Tamtej nocy Aenghus Óg otworzył wrota piekieł. Greta obwinia za to Siodhachana. Tak zresztą jak i za śmierć członków watahy, którzy nie przeżyli tamtej bitwy, i za śmierć Gunnara w Asgardzie. Niby Siodhachan mi już o tym wspominał, ale z perspektywy Greta wygląda to zupełnie inaczej. Jej zdaniem Siodhachan wyrządził im wielką krzywdę i ona nie może pojąć, dlaczego Hal w ogóle się z nim jeszcze zadaje.

Przejeżdżamy koło drogowskazu z napisem SYCAMORE CREEK, gdy z jej oczu wymykają się łzy.

– Myślę o tych wszystkich watahach, które nigdy nie natknęły się na Atticusa O’Sullivaną. Które wciąż mają swoje alfy. Które nie musiały patrzeć, jak członkowie ich watahy giną zabici srebrem. – Pociąga nosem, odrywa jedną rękę od kierownicy i szybko ociera policzek. – I zastanawiam się, dlaczego akurat moja wataha musiała tyle wycierpieć. – Kręci głową. – Przepraszam. Nie chciałam ci się tak żalić.

– Żal mi się, kochana, ile chcesz. Przynajmniej do tego się nadaję. Niestety nie znam jednak odpowiedzi na twoje pytania.

– Nie, nie potrzebuję odpowiedzi. Wystarczyło, że sobie popłakałam. Dzięki.

– Nie ma za co.

Mija minuta bez słów. Koła samochodu pożerają kolejną milę, a ja uświadamiam sobie, że nie jestem pewnie dla niej nikim więcej jak ćwiczeniem, by zachować zdrowie psychiczne. Ale to mi nie przeszkadza. Dość się nacierpiała. Jeśli mogę dać jej choć pozór równowagi i nic więcej, to już i tak wykonałem pracę Gai.

Potem Greta wciąż łamiącym się głosem mówi:

– Tęsknię za nimi.

– Tak. Naszym obowiązkiem jest pamiętać zmarłych. I pozwolić im odejść.

Placze w milczeniu, jeśli nie liczyć cichego pociągania nosem, a potem nagle wrywa jej się jęk paniki:

– Cholera! Przecież wszyscy, których znałeś, dawno już nie żyją. Owenie, tak bardzo cię przepraszam.

– E, nie przejmuj się. Tak, wszyscy poza Siodhachanem i Tuatha Dé Danann, ale i tak już przeżyłem większość tych, których znałem, a z resztą nie dogadywałem się jakoś nadzwyczajnie. Ale pamiętam ich wszystkich.

– W co druidzi wierzą, jeśli chodzi o śmierć?

– Nie rozumiem, co masz na myśli. Śmierć to śmierć. Zdarza się.

– No tak, ale co się dzieje po śmierci?

– A skąd ja mam, kurna, wiedzieć? Przecież jeszcze nie umarłem.

Wybuchą śmiechem i mówi:

– Nie no, ale mam na myśli, czy wierzysz w życie pośmiertne? W raj?

– A, tak. Gdy Tuatha Dé Danann zgodzili się oddać ten świat Milezjanom, stworzyli dziewięć krain. Największa spośród nich to Tír na nÓg, ale jest jeszcze Mag Mell, Emhain Ablach i kilka innych. Ale przecież nie wiem, dokąd ja trafię ani dokąd idą inni, ani co się stanie, gdy już tam będę.

Greta dojeżdża aż do Mogollon Rim, południowego krańca płaskowyżu Kolorado i zarazem terytorium innego żywiołaka. Skręca w lewo przy drogowskazie WOODS CANYON LAKE.

– To już Rim – mówi. Droga jeszcze przez chwilę jest asfaltowa, ale potem, gdy wjeżdża głębiej, w boczną prowadzącą do jeziora, przechodzi w piaszczystą. – Większość ludzi zatrzymuje się tu, żeby posiedzieć nad jeziorem, więc jeśli pojedziemy dalej, nie zobaczymy już żywej duszy. To dobre miejsce do pobiegania.

Ma rację. W większości rosną tu sosny żółte, a od czasu do czasu jakiś jałowiec. Poza tym trochę szałwii i coś, co Greta nazywa manzanitą. Zatrzymuje samochód i wysiadamy. Zatrzymujemy drzwi i cieszę uszy ciszą. Żadnego przemysłowego szumu. Witam się z żywiołakiem, który pokazuje mi też, że wystarczy krótka przebieżka i dotrę do kilku splecionych drzew.

– Odejdźmy trochę od drogi, nim się przemienimy – mówi Greta.

Biegniemy między drzewami tak długo, aż nie widzimy już samochodu i drogi. Mogę

nawet udawać, że znów jest jak kiedyś.

– Widziałeś kiedyś przemianę wilkołaka? – pyta Greta.

– Ano. Tego chłopca z Flagstaffu, Tya Pollarda.

– A, znam Tya! – Rozpromienia się. – To mąż Sama. Miły facet i dobrze jest go mieć po swojej stronie. W każdym razie dobrze, że już widziałeś przemianę, to nie będziesz przerażony. – Zdejmuje bluzkę i dodaje: – Bo to nie jest miły widok.

– Hmm. Ten widok jest całkiem miły...

– Ha! Przestań. Wiesz, mój wilk bardzo ma ochotę pobawić się z twoim misiem. A kiedy mówię „pobawić się”, mam na myśli walkę. Co ty na to?

Uśmiecham się.

– Bardzo chętnie. To właśnie robiłem z Tyem.

– Ale gardło i kręgosłup są nietykalne.

– Dobra – zgadzam się na te zasady, a że ona wciąż się rozbiera, robię to samo.

– Mój wilk będzie nieźle wpieniony. Przemiana za dnia i nie podczas pełni księżyca jest bolesna. Znaczącej bardziej niż zwykle.

– Rozumiem.

– To pogadamy potem.

Uśmiecha się i puszcza do mnie oko, a potem już naga zaczyna drzeć, bo rozpoczyna się transformacja. Kości pękają i przesuwiają się pod jej skórą, jakby miały ją rozpruć. Greta opada na cztery łapy. Najgorsze pewnie są kolana, które strzelają głośno i wyginają się w odwrotną stronę na tylnych łapach. Aż mi trochę głupio, gdy tylko wypowiadam słowa zaklęcia i splatam swojego ducha z postacią niedźwiedzia. Gaja sprawia, że jest to proces szybki i bezbolesny. Jesteśmy jej istotami, a nasze ciała należą do niej i może nadawać im taki kształt, jaki zechce.

Wilk Grety jest mocny i wściekły, tak jak zapowiedziała. Warczy cicho i od razu się na mnie rzuca. Staje na tylnych nogach i przyjmuje jej atak na pierś, a potem turlamy się, drapiąc i wbijając kły. Gryzie mnie mocno w lewą pierś prawie pod pachą, ale mnie udaje się za to drasnąć ją pazurami w żebra po lewej. Zadaje mi kilka powierzchownych ran, ale jej pazury nie są takie jak moje. Odpadamy od siebie. Ona warczy, ryczy, ale potem jej agresja znika i Greta chce się bawić w inny sposób. Rozstawia przednie łapy, pochyla łeb, a podnosi ogon, którym nawet merda. Szczeka raz i nagle znika między drzewami. Rzucam się w pogoń i zaskakuję Gretę szybkością na prostej, ale jednak nie jestem tak zwinny jak ona. Za każdym razem, gdy zmienia kierunek, gubi mnie bez trudu. Biegamy przez dziesięć minut pełną prędkością, a potem Greta wyprowadza mnie na łąkę, gdzie płoszą stadko łosi, które drzemały w słońcu. Greta jednak nie ma ochoty na nie polować. Odwraca się w moją stronę z wywieszonym jęzorem, szczęśliwa, a potem znów zaczyna krążyć wokół mnie i warczeć. Znów chce walczyć.

Nasza druga szarpanina trwa znacznie dłużej niż pierwsza i jesteśmy po niej nieźle pokiereszowani. Nie mamy widowni, nikogo, kto by nas powstrzymał, więc robi się trochę dziko. Zadaje jej dużo ciosów, ale i ona mi ich nie szczędzi. W końcu odpadamy od siebie cali zakrwawieni. Oboje próbujemy robić takie miny, jakbyśmy mieli jeszcze siłę na dalszą walkę, ale prawda jest taka, że przydałaby się nam przerwa. Sapiemy ciężko i oddychanie sprawia nam taką trudność, że nie tracimy już tchu na jakiegokolwiek wokalizację, a to niechybny znak, że naprawdę się wykończyliśmy. Podchodzi z podniesionym ogonem i nastawionymi uszami, już bez agresji, i siada przede mną. Unosi zakrwawiony pysk, żeby na mnie spojrzeć. Też siadam, a potem stwierdzam, że co mi tam i rozkładam się na ziemi, prawą stroną do dołu, żeby móc pobierać więcej energii na leczenie. Greta pada przy mnie na swojej prawej stronie, więc leżymy tak na łące i patrzymy na siebie.

Boli mnie w takich miejscach, że nawet nie wiedziałem, że je mam. Nie wiem, skąd



Siodhachan wytrzasnął ten swój splot na blokowanie bólu, ale choć zdążył mnie już go nauczyć, nie rzucam go teraz. Greta nie ma żadnego takiego zaklęcia. To by nie było sprawiedliwe.

Nasze oddechy zwalniają, a powieki stają się ciężkie. Widzę, jak jej drżą kilkakrotnie, nim zupełnie zakrywają jej oczy. Zaraz potem moje robią to samo.

Budzi mnie chrzęst i strzelanie w kościach. To Greta przemienia się z powrotem w człowieka. Sądząc po pozycji słońca, spaliśmy tu kilka godzin. Gdy też przybieram ludzką postać, od razu czuję się znacznie lepiej.

– Dziękuję – mówi Greta. – Potrzebna mi była porządna walka.

Brak mi zdolności wyrażania emocji innych niż złość i zniecierpliwienie. Naprawdę dość często je odczuwam, tylko jakoś nie umiem ich komunikować.

Udaje mi się tylko wydukać:

– Mnie też.

Jej wzrok prześlizguje się po moim ciele.

– Szybko zdrowiejesz.

– To cenna właściwość. Ty też.

– Gotowy na powrót?

Wracamy po nasze ubrania – to całkiem spory spacer. Ona dużo mówi, a ja pomrukuję w odpowiednich miejscach i próbuję wymyślić, co powinienem powiedzieć. Nie jestem pewien, czy ona chce mnie w ogóle jeszcze widzieć. Wciąż wydaje mi się, że ten czas spędzony razem może bardziej wypływać z jej przeszłości niż jakiegoś zainteresowania moją osobą. Tempo, w jakim wyrzuca z siebie słowa, być może świadczy o tym, że i ona jest zdenerwowana, ale jeśli tak, to czym właściwie? Czy to znak, że mnie lubi i chce mi więcej o sobie opowiedzieć, czy wręcz odwrotnie – rozpaczliwa próba zagadania mnie, żebym przypadkiem nie zaproponował czegoś poważniejszego?

W końcu gdy docieramy do ubrań, przestaje mówić, ale nie przyszło mi jeszcze do głowy, co takiego miałbym powiedzieć. Musi być po mnie widać to przerażenie, bo gdy już jesteśmy ubrani, Greta przypatruje mi się chwilę, a potem uśmiecha się uspokajająco.

– Dzięki, że tak cierpliwie słuchałeś mojej paplaniny – mówi. – Dobry w tym jesteś.

Nigdy w życiu nikt mi jeszcze nie zarzucił, że jestem dobrym słuchaczem. To pewnie tylko rezultat mojej słabej znajomości tego języka. Albo znak, że skok w czasie bardzo mnie jednak zmienił.

Greta klepie się po udach.

– Świetnie się bawiłam.

– No... tak, ja też. – Choć zupełnie się tego nie spodziewałem.

– Wiem, że musisz już iść, ale jak będziesz miał kiedyś ochotę, to zapraszam. –

Podchodzi bliżej, aż jej nos niemal dotyka mojego. Światło tańczy w jej niebieskich oczach. – Wiesz. Jakbyś akurat był wolny. I miał ochotę.

– Będę miał. – Kiwam głową, z ulgą przyjmując to zaproszenie. – Lubię cię.

Bogowie niejedyni, i ja niby pochodzę z rodziny bardów! Gdyby mój wuj usłyszał to łajno, jakie mi się powiedziało, toby mi jaja obciął, boby uznał, że już mi nie będą potrzebne.

– To dobrze. I tak to zostawmy.

Całuje mnie szybko w usta, a potem rusza w stronę samochodu, zostawiając mnie otumanionego. Już prawie znika mi z zasięgu wzroku, gdy znów jestem w stanie cokolwiek wykrztusić.

– Równowaga i błogosławieństwa niech będą z tobą! – wołam za nią.

Nie odpowiada, ale jestem pewien, że mnie słyszała.

Potrząsam głową, próbując jakoś oprzytomnieć. Ja sam muszę koniecznie odzyskać

równowagę. Mam sporo zaległości do nadrobienia.

Pierwsze zadanie na liście to wizyta w Tír na nÓg, bo tam przynajmniej mogę się porozumiewać po staroirlandzku i nie brzmi to tak, jakby mi ktoś rąbnął młotem w czaszkę.

Żywiołak radzi mi pójść w stronę jeziora Woods Canyon, gdzie Siodhachan splótł jakieś drzewo. Spędził zresztą kilkaset lat na splataniu świata z Tír na nÓg. Było to ponoć w czasach, gdy królowie zmuszali swoich ludzi do zapracowywania się na śmierć, a księży wykorzystywali do tego, by wmawiać tymże ludziom, że taki jest plan Boga i nie im go kwestionować. W każdym razie Siodhachan miał przynajmniej coś do roboty i nie laź Aenghusowi Ógowi w oczy, a do tego zapewnił sobie drogę ucieczki, na wypadek gdyby ktoś się na niego uwziął. Gdybym miał wymienić jedną rzecz, którą dobrze wykonał przez te lata, to byłby właśnie ten projekt.

Tak sobie myślę, że muszę przecież zacząć szkolić więcej druidów – to moja misja. Ale i tak minie sporo czasu, nim będzie nas znacząco dużo. Tymczasem w każdym razie nasza zdolność przemieszczania się po całym świecie, a nie tylko po Europie, sprawi, że nawet taka garstka zdoła więcej zdziałać.

Gdy docieram wreszcie do odpowiedniego drzewa, przenoszę się od razu na skraj dworu faerii. Tu jest noc i nie ma nikogo poza kilkoma strażnikami. Jeden z nich – latająca faeria ubrana w jakieś srebrno-zielone łaszki – z miejsca się na mnie drze, że mam powiedzieć, w jakiej przybywam sprawie. Moja cierpliwość znika w jednej chwili.

– Sam mi lepiej powiedz, co tu robisz – warczę na niego.

– Wykonuję swój obowiązek. Wszak strzegę dworu.

Obnaża miecz i otwiera usta, by znów mnie wypytywać, ale mu przerywam:

– Przed czym, jeśli wolno spytać? Boisz się, że ktoś spuści gatki i podleje ci trawę? Tu nie ma czego strzec, synek. To łąka!

– Ktoś mógłby wždy założyć tu jakiś szalbierski splot. A bywa, iż posłannicy z innych wszak krain przybywają w nader nieoczekiwanych porach. Mów zatem, kim jesteś.

– Jestem człowiekiem, który zachodzi w głowę, kto cię nauczył gadać od rzeczy. Co to za bzdury, synek, o jakichś szalbierskich splotach? Faerie były kiedyś ludem dumnym z tego, że mówią jasno, a ubierają się rozsądnie. A ty co? Spójrz na siebie!

Podsuwa mi miecz pod sam nos.

– Mów waść, po co przybywasz, albo znikaj!

– Przybywam spotkać się z Brighid, Pierwszą wśród Faerii. Jestem druidem Gai, który zniknął ze świata dawno temu, ale wrócił.

Natychmiast kuli się w panice.

– Druidem? Ale nie Żelaznym?

Ta fizyczna reakcja na samą myśl o Siodhachanie mówi mi bardzo wiele. Mój uczeń się nie myli. Nie cieszy się tu popularnością. Choć wcale mi się nie podoba ten plan, lepiej chyba będzie wziąć sobie do serca jego radę i udawać, że w ogóle go nie znam.

– Nie, synek, żelazo właśnie mi się skończyło – kpię. – Mieszanie żelaza z druidyzmem to równie dobry pomysł jak pływanie z niebieskimi ludźmi z cieśniny Minch. Zamiast pleść androny, może byłbyś łaskaw powiedzieć Brighid, że tu jestem, albo przynajmniej przekazać tę informację komuś, kto jej powie?

– Potrzebuję do tego twego imienia.

– Eoghan Ó Cinnéide.

– Czekaj waść u stóp jej tronu. Audiencja rozpocznie się, gdy pani nasza będzie gotowa.

Mieczem wskazuje mi żelazny fotel na małym kopcu.

– Dobra.

Jestem gotowy na długie czekanie. Do świtu jeszcze wiele godzin, a Brighid pewnie tak znowu wcześniej nie wstaje. Siadam pod tronem ze skrzyżowanymi nogami i zdejmuję koszulę, żeby dobrze było widać moje tatuaże. Ktoś może mi się przyglądać w ciemności, a one nie zdradzą niczego poza tym, że nie kłamię, gdy mówię, że jestem druidem.

Mija niecała godzina, nim z nieba spada na żelazny tron pomarańczowa kula ognia. Zupełnie mnie zaskakuje. Roztrzaskuje się od siły uderzenia, a ja przefikołkowuję do tyłu, jak najdalej od żaru. Gdy podnoszę wzrok, na tronie już siedzi Brighid, a wokół niej płonie krąg ognia. Ubrana jest prosto, w niebieską tunikę przepasaną w talii, a na szyi ma złoty torques.

– Podobno zwiesz się Eoghan Ó Cinnéide – mówi.

– Tak.

– Widzę, że jesteś spleciony z ziemią, więc jesteś tym, za kogo się podajesz. Mój syn Goibhniu mówi, że spędziłeś dwa millenia na jednej z Wysp Czasu.

– Tak.

– Mówi też, że umieściła cię tam Morrigan, a wyciągnął Siodhachan Ó Suileabháin.

Powiesz mi dlaczego?

– Została mi powierzona wiadomość od Morrigan, którą miałem przekazać na wypadek jej śmierci. Powiedziała Siodhachanowi, gdzie mnie znaleźć, bo wiedziała, że on wyciągnie mnie do normalnego strumienia czasu.

– Zatem mamy wiele do omówienia.

– Ano, Brighid, mamy.

## Rozdział 13



Być może bogowie spędzają więcej czasu na omawianiu różnych spraw, gdy przebywają w swoich krainach. Bo odnoszę wrażenie, że jak już zstępują na ziemię, to zawsze mają listę pilnych rzeczy do odfajkowania i nie tracą ani chwili. Nie jest łatwo przejść z pasywnej obserwacji w tryb walki w ciągu zaledwie kilku sekund bez rozmowy na temat celów, strategii czy taktyki. Pędzę zająć pozycję po lewej stronie bogini, a Laksha równie niezdarnie zajmuje pozycję po jej prawej.

Gdy Durga i jej lew docierają do pierwszego szeregu rakszasów, uzmysławiam sobie, jakie jest prawdziwe znaczenie *śakti* – boskiej broni. Demony padają jak muchy, lew trątuje je bez litości, a Durga wymachuje bronią tak sprawnie, że część demonów wylatuje wysoko w powietrze i spada na inne, przygniatając je dość skutecznie, gdy bogini maluje powietrze i ziemię ich krwią i wnętrznościami.

Przez sekundę czuję się wręcz zbędna. Przecież Durga z pewnością zdoła sama zająć się tym bałaganem. Tylko że rakszasy wylewają się z domu równie szybko, jak ona je zabija. Słyszę jakiś wzmagający się ryk za mną, obracam się i widzę, że od miasta nadciąga druga armia. Raksojudź przywołał wszystkie rakszasy, żeby go broniły. To z pewnością ulga dla miasta, ale też większy problem dla nas.

Kątem oka rejestruję, że Laksha rozkłada ręce przed sobą i pada twarzą na ziemię. Nic jej jeszcze nie uderzyło, domyślam się więc, że postanowiła opuścić ciało tej kobiety i chce walczyć w eterze, od rakszasa do rakszasa, aż dotrze tak do mojego ojca. Mam nadzieję, że ta kobieta wykaże się przynajmniej dostatecznym rozsądkiem, by leżeć nieruchomo i udawać martwą, bo w przeciwnym razie raczej nie będzie mogła się długo cieszyć dopiero co odzyskanym ciałem.

Nim jednak Laksha będzie mogła walczyć z raksojudźem w eterze, muszę go zmusić do opuszczenia ciała mojego ojca.

*Wchodzimy do środka, Orlaith. Trzymaj się tuż za mną.*

<Trzymam się>.

Rakszasy wszystkie suną na Durgę, jakby nawet nie zauważyły mojej obecności na polu. Nie wiem, czy potrafią przejrzeć moją niewidzialność tak jak dewi, ale czuję, że nawet im do głowy nie przyjdzie jakoś się teraz specjalnie rozglądać. Wymijam je szerokim łukiem, licząc na to, że uda mi się wemknąć do domu niezauważenie i zrobić to, co muszę zrobić, nim raksojudź w ogóle się zorientuje, że ma tu jeszcze innego wroga poza Durgą.

Jestem dobre sto metrów od domu, gdy nagle bitwa przechodzi zupełną przemianę. Z drzwi zaczynają się wylewać i ucieleśniać na podwórzu zupełnie inne demony – mają niebieską skórę, rozliczne ramiona i aż promienieją mocą. Przystaję, żeby ocenić sytuację, i uświadamiam sobie, że wyglądają zupełnie jak Loki, gdy próbował zaatakować Atticusa na polu cebuli pod Jasłem. Domyślam się, że to pewnie nie rakszasy, tylko potężniejsze demony zwane asurami. Zupełnie inaczej się zachowują – bardziej jak mistrzowie walki, gdy tymczasem rakszasy mają takie pojęcie o sztuce walki jak zjarany ranczer uzbrojony w łyżeczkę.

A w samym środku tej falangi kroczy mój ojciec. Jego oczy lśnią błękitem, a z lekka nieprzytomny wyraz twarzy typowy dla naukowców wykrzywił się w dziką podłość. Nie widziałam go oczywiście od bardzo dawna, ale i tak serce mi się ścisza, gdy widzę, jak się postarzał. Jest już zupełnie siwy i łysieje na czubku głowy. Wyraźnie zarysowana szczeka zniknęła pod obwisłą skórą. Mówię sobie, że mogę łyknąć wiek; to jego mina doprowadza mnie

do rozpacz. Dociera do mnie, że nigdy jeszcze nie widziałam, żeby się gniewał albo w ogóle spojrzął na mnie z miną wyrażającą coś gorszego niż ewentualnie obojętność.

Teraz jednak wpatruje się w Durgę z taką podłością, która każdemu kazałaby albo uciekać, albo natychmiast opróżnić cały magazynek, celując w jego pierś. I to mnie przeraża. Wydaje z siebie jakiś niepojęty ryk i na ten znak asurowie rzucają się do przodu z długimi mieczami w dłoniach. Błysk stali i ten niebieski tłum – wygląda to jak spieniona fala, która zaraz zatopi Durgę. Zalewa ją i jej lwa, zupełnie zakrywając czarne rakszasy, a nad ich głowami pojawiają się kipiące chmury, choć jeszcze kilka minut temu niebo było zupełnie czyste. Armia rakszasów za mną zbliża się i wyciągam Fuilteacha z pochwy, znów biegnąc skrajem pola bitwy, ale teraz już przynajmniej jasno widzę swój cel. Nim do niego dotrę, będę musiała pozbyć się całkiem sporej liczby demonów przede mną, ale wszystko jeszcze jest możliwe, a wszelkie problemy do rozwiązania – kiedy nagle się to niestety zmienia.

Zamachuję się Scáthmhaide'em, który trzymam w lewej ręce. Celuję w szyję, zgniatając tchawicę kolejnym niespodziewającym się niczego rakszasom. Innym podcinam gardła Fuilteachem, kręcąc się przy każdym kroku, żeby uderzać z większą siłą. Czarna krew tryska niczym olej, a ciała padają z rykiem na ziemię. Z początku jest to całkiem łatwa robota – zabójczy taniec przez szeregi wroga równie wyszkolonego w walce jak kukły do ćwiczeń, ale po chwili te demony, które znajdują się bliżej ojca, orientują się jednak, że naciera na nie coś, co nie jest Durgą, obracają się więc w moją stronę, wymachując bronią w powietrzu, żeby się pozbyć niewidzialnego przeciwnika. Ojciec niczego nie zauważa. Wzrok ma wbity w kipiący tumult wokół bogini.

Teraz potrzebuję już dwóch rąk na kiju, żeby odpiierać ataki rakszasów, a ojca strzegą dodatkowo trzej asurowie, więc chowam Fuilteacha z powrotem do pochwy i prę naprzód z samym kijem. Odbijam ostrza, wbijam demonom kij w brzuchy, żeby się pochyliły, i kończę ciosem w głowę lub szyję.

Orlaith obstawia moje tyły i chyba też likwiduje tam kilku przeciwników, sądząc po warczeniu i panicznych rykach, które raptownie przechodzą w charkot i ciszę za moimi plecami.

Szybko przekonuję się jednak, że samym kijem się nie przebiję przez asurów. Jako że każdy z nich ma cztery ręce, a w każdej miecz, są jak nieprzenikniona zasłona ze stali. I są o wiele lepiej zdyscyplinowani niż rakszasy. Stanowią aż za dobrą osłonę przed moją pojedynczą bronią. Żeby zrobić jakąś wyrwę w tej ścianie, ciskam w ich twarze małym nożem. Nawet nie celuję w nic konkretnego i wiem, że nie będzie to śmiertelny cios, ale przynajmniej wzdrygają się i ten ułamek sekundy wystarcza mi, żeby się zamachnąć Scáthmhaide'em na ich gardła. Czuję coś mokrego na ramieniu, spoglądam w dół i widzę, że coś mnie drasnęło. Nieważne. Napompowana adrenaliną i energią ziemi nie dbam o takie szczegóły, a między mną a tatą został już tylko jeden asura.

Demon ma niesamowity zasięg i teraz, gdy zobaczył, jak padają jego kompani, już naprawdę go wykorzystuje. Przykucam i zamachuję się Scáthmhaide'em na jego kostki, aż pękają z hukiem, a potem podnoszę się, gdy demon opada na ziemię. Leży tam mniej niż sekundę, gdy wbijam mu kij w nos i wciskam go aż po mózg – ciut może agresywniej, niżbym to normalnie zrobiła, ale to dlatego, że nie dawał mi dotrzeć do taty. Jakiś cichy głos w głowie stawia pytanie, czy to przypadkiem nie moje zachowanie podczas walki zyskało mi u żywiołaków przydomek Groźnej Druidki, ale nie mam czasu zastanawiać się nad odpowiedzią.

Tata – czy też raksojudź – w końcu orientuje się, że nadciąga jakieś zagrożenie, i obraca się w moją stronę. Nie wiem, gdzie mu się podziały źrenice. Jego oczodoły wyglądają jak niebieskie lampki na choinkę. Nie mogę się jednak nad tym dłużej zastanawiać, bo stracę jedyną szansę. Wściekłe okrzyki rakszasów z miasta są coraz głośniejsze.

Wyszarpuję Fuilteacha z pochwy, łapię go ostrzem w dół – chwyt lepszy do cięcia niż do dźgania – i rzucam się naprzód, nim to coś, co opętało mojego ojca, ma czas się zorientować, co się dzieje, a ja zacząć mieć wątpliwości, czy to, co robię, jest aby bezpieczne. Przeciagam ostrzem po jego piersi, rozcinając mu koszulę, a skóra pod nią zakwita krwią. I tyle tylko uda mi się zrobić w sprawie ratowania ojca, bo nie zdołam już nigdy wykonać drugiego nacięcia – tego, którym miałam zalać ćakrę głowy.

Z perspektywy czasu widzę te kolejne ruchy jak na szachownicy, choć nie jestem pewna, czy rozumiem stojące za nimi motywy. Plaga rakszasów ściąga na ziemię Durgę; obecność Durgi wywołuje z kryjówki raksojudża i asurów. Wezwanie chmur zapewnia zasłonę przed satelitami, tak żeby ludzie nie zauważyli przypadkiem, że demony i bogowie wciąż ścierają się w bitwach na tym świecie. A potem, gdy fali niebieskich demonów udaje się przedrzeć przez obronę Durgi i zranić jej lwa – o czym świadczy jego ryk bólu – dewi nie zabija już wroga z taką cierpliwością i łagodnością jak dotąd.

Ryk lwa rozbrzmiewa niemal w tej samej chwili co ryk raksojudża po tym, jak go drasnęłam. Jestem tak przejęta tym, że mi się to udało, i tak bardzo chcę go zaciąć w brew, że tracę czujność i pozwalam mu zadać sobie cios w skroń rozszalałym ramieniem, które jest o wiele silniejsze, niż powinno. Zataczam się do tyłu. Widzę mroczki przed oczami. Potykam się o Orlaith i walę mocno o ziemię, a moje okno okazji zatrzaskuje okiennice już na zawsze. Z poziomu ziemi widzę, jak Durga wyskakuje wysoko i zawisa w powietrzu. Siedem rąk kieruje w dół, jedną w górę – w tej dzierży piorun Indry. Na jej czole otwiera się trzecie oko, a wraz z nim nadciąga zniszczenie.

Błyskawice zasypują asurów otaczających lwa Durgi, odpychają ich, zwęgłają ich skórę, a potem jeden potężny piorun strzela w mojego ojca. Nie niszczy go, nawet nie powala na ziemię, ale spala jego ubranie, zupełnie nie parząc skóry. Otoczony niebieskim ogniem tata wygląda blado, mizernie, chudo. Wykrzykuje coś głębokim, zachrypniętym, nieswoim głosem.

Zrywam się z ziemi i wycofuję, bo czuję, że pode mną dzieje się coś niedobrego, a od ojca bucha nieznośny żar. Instykt każe odbiec mi na dobre pięćdziesiąt metrów. Po drodze chwytam w garść sierść Orlaith i zmuszam ją w ten sposób, by biegła ze mną. Dopiero wtedy przypominam sobie, że przecież mam zadanie do wykonania. Tylko że dewi nadal przelewa w każde uderzenie tyle mocy, że nie mam jak wrócić do ojca i drasnąć jego drugiej ćakry; równie dobrze mogłabym włożyć głowę do nagrzanego do dwustu stopni piekarnika.

<Co dzieje?> pyta Orlaith, ale nie ma czasu na wyjaśnienia.

*Trzymaj się blisko mnie* – mówię jej, a potem krzyczę do dewi:

– Zaczekaj, Durgo! Mogę oddzielić raksojudża od tego człowieka! Tylko daj mi jeszcze jedną szansę!

Czarnoksiężnik, który przejął mojego ojca, jest niezwykle potężny – nigdy nie przetrwałby takiego ataku bogini, gdyby nie miał ogromnej mocy. Chyba się jednak przeliczył. Już jest dla mnie jasne, że cokolwiek próbował osiągnąć, ściągając Durgę na ziemię, nie uda mu się. Arogancja i złośliwość na twarzy mojego ojca znikają powoli, a w jego oczach blednie błękitny blask, gdy ciało trzęsie się pod siłą ataku.

– Przestań, proszę! Mam rozwiązanie! – błagam.

Ale dewi nie przestaje okładać go piorunami. Błyskawice roztrzaskują się wokół niego, a jego ruchy stają się coraz bardziej chaotyczne i mimowolne. Zrzucam niewidzialność i wołam:

– Tato! – Płaczę. – Słyszysz mnie? To ja, Granuaile!

Jego głowa obraca się w moim kierunku, niebieskie światło znika, oczy stają się znów brązowe i przez ułamek sekundy widzę w nich zdumienie, zamyślenie i łagodność. Wyciąga rękę w moją stronę, jakby poznał swoją córkę. I wtedy energia dewi pokonuje raksojudża, a mój

ojciec wybucha mięsem i kośćmi, zmienia się w czerwoną mgłę, która znika zupełnie, pozostawiając po sobie tylko popiół i smugę dymu.

## Rozdział 14



Kiedy wjeżdżałem do Tempe po raz drugi w ciągu zaledwie kilku dni, trochę pocieszała mnie myśl, że tym razem mogę tu zostać na kilka godzin. Nawet nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo tęskniłem za Mill Avenue. W zaułkach wciąż zamieszkiwali niedomyci wegetarianie sprzedający biżuterię z konopi i zawzięcie fałszujący rozmaite piosenki w nadziei, że zdobędą dość gotówki, by nabyć kolejną torbę zielonego złota czy też „zabójczo mniamną kanapeczkę”. W przyptywie naglej niefrasobliwości dołączyłem do wrzaskliwego duetu wykonującego starą piosenkę Toma Petty’ego, by dość głośno poinformować przechodniów, że bez względu na ich stan matrymonialny, ich warunki życiowe nie muszą wcale przypominać tych typowych dla uchodźców. Potem za to, że pozwolili mi sobie z nimi pośpiewać, dałem muzykantom czterdzieści dolców. Nie mogli uwierzyć w swoje szczęście.

– Dzięki, brachu! – wykrzyknął jeden z nich, ale jego „brachu” ciągnęło się tak długo, że przeszło w maniakałny rechot: – Chu-cha-cha! Łuuu!

A jego towarzysz dodał:

– Chłopie, ty jesteś zajefajny facet! Zajefajoski! Za taki szmal to sobie załatwimy najlepsze kanapeczki na świecie! – I odwrócił się przekazać tę dobrą nowinę dwojgu studentom, którzy szli właśnie z torbami ze sklepu obuwniczego. – Widzicie tego gościa z psem i mieczem? To jest spoko gościu! Serio mówię!

Studenci skulili się i zmyli pospiesznie.

Uznałem, że lepiej, bym i ja zniknął, nim radość moich świeżo pozyskanych fanów stanie się zbyt kłopotliwa. Uściskałem ich więc serdecznie, życzyłem harmonii i popędziłem do Ruli Buli na spotkanie z Halem.

<Atticusie, chyba jeszcze nigdy nie widziałem, żeby jacyś ludzie tak się przejmowali kanapkami. Gdzie dają aż takie dobre kanapeczki?>

*Nie wiem, chłopie, ale podejrzewam, że te kanapki to nic specjalnego. To raczej ci dwaj są wyjątkowi.*

<Cóż, podzielałam ich entuzjazm dla jedzenia i tak sobie myślę, że powinienem poczynić jakiś legendarny wkład w tym zakresie. Stanę się takim mistrzem jedzenia, jak Miyamoto Musashi mieczy, a ty żelaza>.

Opowiadając mu wczoraj tę historyjkę przy kąpieli, nie przewidziałem, że sprawy przyjmą taki obrót, ale w sumie to się jeszcze dało przeżyć.

*Chcesz się nauczyć gotować?*

<Nie, chcę, żebyś ty gotował, a ja cię będę pouczał co do smaku. Bo ty masz kciuki, a ja świetnie wyczulone zmysły. Razem opracujemy Jedzenie Siriusa i będę miał własną linię najlepszych mięs. Będą to między innymi: Potrójna Turbokielbasa z Dzika dosmaczona Trzema Przyprawami Oberona oraz Kielbaski po Oberońsku ze Palce Lizać, zwane też w skrócie Wieprzogedon w Sosie Niedźwiedzim>.

*Brzmi to jak ekscytująca odyseja po królestwie cholesterolu.*

<Pokażemy Abe Fromanowi, co to znaczy być Królem Kielbasy! I nawet nie próbuj mi wmawiać, że on nie istnieje>.

Z Halem spotkaliśmy się na patio, bo dzień był bardzo ładny, mimo że już mieliśmy koniec października. Dla zakamuflowanego Oberona było tu więcej miejsca pod stołem, który miał trochę wyższy blat i parasolkę zapewniającą cień w cieplejszych miesiącach. Zamówiliśmy



piwo z beczki i wspaniałe fish'n'chipsy, a do tego kilka kiełbasek dla psa. Hal był w dobrym nastroju.

– Ten twój archdruoid to niezła postać. Zabrałem go tu wczoraj na lunch, a potem do domu, żeby poznał watahę. Jakie on nam historie opowiadał! – Zachichotał. – Ta o tobie i kozie...

– O nie... Zupełnie już o tym zapomniałem. Dzięki, że mi przypomniałeś. – Miał taką minę, jakby zamierzał się jeszcze długo z tego śmiać, więc żeby uciąć temat, zapytałem: – Gdzie on się teraz podziewa?

– Pojęcia nie mam. Ale idę o zakład, że Greta ma.

– Niby dlaczego?

– Bo ode mnie wyszli już razem.

Nie bardzo wiedziałem, jak zareagować na takie wieści, bo Greta raczej za mną nie przepadała, postanowiłem więc pomyśleć o tym później i na razie nie komentować. Trochę jednak czułem się z tą informacją niepewnie, ale nie byłoby rozsądnie zdradzać się przed Halem z tą niepewnością. Zmieniłem więc zgrabnie temat.

– Pamiętasz Rebekę Dane? Tę dziewczynę, która prowadzi teraz mój stary sklep?

– Jasne, że tak.

– Chciałbym, żebyś przeprowadził pełne śledztwo w jej sprawie. Takie naprawdę szczegółowe. Interesuje mnie, czy da się wykryć jakiegokolwiek ślady magii w jej domu albo czy ma jakieś powiązania z okoliczną społecznością paranormalną. A może ma jakieś zdolności, których nie podejrzewaliśmy.

Pojawiło się nasze jedzenie, więc przerwaliśmy rozmowę. Kelnerka spytała, czy życzymy sobie coś jeszcze. Hal odczekał, aż znalazła się poza zasięgiem głosu, nim odpowiedział na moją prośbę.

– Rozumiem, że mówisz poważnie, ale nie rozumiem, skąd ci się to wzięło. Nic przecież nie wskazywało dotąd na to, żeby miała na boku jakieś magiczne hobby.

– Tak, wiem, taka była wtedy sytuacja. Ale mam powody przypuszczać, że zrobiono nas w konia.

Mój sen o Ganeśi pojawił się zaraz po sprzedaży sklepu, więc jeśli Inari się nie myliła, wskazując mi głównego podejrzanego, to Rebecca musiała już wtedy zrobić coś, co uruchomiło ten ciąg wydarzeń. Jeśli była to tylko modlitwa, to jak to możliwe, że ta jedna modlitwa Rebeki ściągnęła uwagę wszystkich bogów i pchnęła ich do działania, skoro większość innych jest i zawsze była ignorowana?

– Zobaczą się z nią zaraz po naszym spotkaniu, ale wolałbym, żebyście i tak sprawdzili ją na wszelki wypadek.

Zabębnił palcami o blat i skinął głową.

– Dobra. Co jeszcze?

Położyłem talerz z kiełbaskami i purée na krześle obok, żeby Oberon miał jak spałaszować je pod stołem.

– Muszę prosić cię o naruszenie kolejnych moich zapasów. Potrzebuję więcej pieniędzy na moją prywatną wojnę z wampirami. Całkiem niezłe nam idzie.

Hal odchrząknął, nim wziął widelec i zaatakował jedzenie.

– Tak, hmm, nie chcę cię tu niepokoić, ale powinienem chyba zwrócić ci jednak uwagę, że finansowanie wojen to dość droga zabawa, a twoje konta nie są bez dna.

– To prawda, ale mam ich więcej – powiedziałem, a Hal przestał żuć. – Nie wspominałem ci dotąd o nich, ale są większe niż te, których używam do bieżących wydatków.

Hal zdołał jakoś mimo pełnej buzi warknąć:

– Ale po co tyle zachomikowałeś?  
– Po to, żeby skutecznie uciekać przed Aenghusem Ógiem. I żeby pewnego dnia mógł wynająć małą armię wampirobójczych najemników.

– Ale jak tym wszystkim zarządzasz? Przecież to ci na pewno zajmuje mnóstwo czasu. Wiem, bo całkiem sporo muszę poświęcać na te twoje aktywa, o których mi powiedziałaś. Wzruszyłem ramionami i zanurzyłem frytkę w keczupie.

– Mam zaufaną osobę, która się tym zajmuje. Polubiłbyś go, Hal. Nazywa się Kodiak Black.

– Kodiak? Czy to zmiennokształtny? Ma coś wspólnego z niedźwiedziem?

– Tak, ale nie nazywaj go niedźwiedziakiem. Jakoś mu to działa na nerwy.

<Atticusie, ile ty jeszcze znasz wielkich niedźwiedzi, a może i niedźwiedzic, o których nie raczyłeś mi dotąd wspomnieć?>.

*Tylko Owena i Kodiaka, przysięgam.*

– Kurczę, słyszałem o tych miśkach – przyznał Hal. – Ale nigdy żadnego nie widziałem. Skąd go wytrzasnąłeś?

– Z Alaski, gdzie latem można znaleźć w rzekach wszystkie te pyszne łososie. Jak się pewnie domyślasz, ma słabość do świeżej ryby.

– Hmm. I tak normalnie mówi ludziom, że ma na imię Kodiak?

– A skąd. Przedstawia się jako Craig. Podam ci jego mejla, to do niego napiszesz.

– Dobra. A skoro już mowa o pisaniu i wampirach, mam coś dla ciebie.

Hal sięgnął do marynarki i z kieszeni na piersi wyciągnął jakąś kopertę. Podał mi ją, a gdy tylko ją wziąłem do ręki, jego twarz wykrzywiła się od wyrzutów sumienia, co wywołało moją wielką podejrzliwość. Za późno.

– Hal? Co to takiego?

Wbił wzrok w jedzenie.

– No, list – wymamrotał.

– Hal?

– Dostarczono ci pismo. Przykro mi.

– Co? Własnym uszom nie wierzę!

Koperta nie wyglądała na pismo sądowe, ale staranna kaligrafia była mi aż nadto znajoma. Rozerwałem ją i wyciągnąłem złożony na pół arkusik lawendowego papieru.

Szanowny Panie,

jeśli czyta Pan te słowa, oznacza to, że przeżył Pan ucieczkę przed Artemidą i Dianą, a zatem zupełnie słusznie przypominam Panu o naszej umowie. Choć Loki uciekł spod naszej kurateli po zaledwie dwóch dniach, zgodnie z naszym porozumieniem – według którego cały miesiąc nadzorowania Lokiego wart był całego roku odwampirzonej Polski – ma Pan teraz obowiązek dotrzymać ustalonych warunków i utrzymać Polskę w stanie odwampirzonym przez proporcjonalnie wyliczony względem naszej usługi okres. Jeśli się nie mylę w wyliczeniach, dwa dni przetrzymywania Lokiego odpowiadają około dwudziestu czterem dniom odwampirzonej Polski, a zatem rozumiem, że przeprowadzi Pan czystkę wśród wampirów w ustalonym przez nas terminie.

Z wyrazami szacunku,

Malina Sokołowska

Podniosłem wzrok znad listu i ujrzałem niepewną minę mojego prawnika.

– Co, do licha, Hal? Właśnie dostarczyłeś jednemu klientowi pismo od innego?

– No, ale przecież normalny listonosz by cię nie miał szans znaleźć. Poza tym to nie jest pismo stricte sądowe.

– Czy ty to czytałeś? Nigdy w życiu nie zgadzaliśmy się na proporcjonalne wyliczanie usług. Umowa była taka, że jeden miesiąc oznacza jeden rok. Nie dotrzymała swojej strony umowy, więc kontrakt jest nieważny.

– I to mam jej powiedzieć?

– No a co ty o tym myślisz?

– Wydaje mi się, że w tym wypadku proporcjonalne przeliczanie było niejako założone.

W innym razie mielibyście problemy z precyzyjnym określeniem pojęcia „miesiąc”. Gdyby trzymała go tylko przez trzydzieści dni, mógłbyś powiedzieć, że umowa jest nieważna, bo nie trzymała go przez trzydzieści jeden? I co by zyskała na przetrzymywaniu go dłużej niż jeden miesiąc, jeśli jej wysiłki nie byłyby proporcjonalnie nagrodzone? Powinieneś być przedzwonić do mnie, nim przystałeś na taką umowę.

– Stałem nago na środku pola cebuli, Hal, a dwie boginie łowów deptały mi po piętach. Nie miałem ani czasu, ani telefonu, żeby dzwonić do prawnika.

– Głowę daję, że Malina miała przy sobie komórkę. Wystarczyło ją poprosić.

– No weź, pomóż mi.

Westchnął.

– Wątpię, żeby udało nam się przekonać ją, że nic jej nie jesteś winien. Być może udałoby się zredukować ten czas. Duch umowy jest taki, że masz w jakiś sposób wyczyścić Polskę z wampirów, i rzuca się w oczy, że nie jest nigdzie powiedziane, jak udowodnisz, że to zrobiłeś. Być może udałoby mi się przekonać ją do okresu krótszego niż te dwadzieścia cztery dni albo być może zgodziłaby się na usunięcie określonej z góry liczby wampirów, co nie byłoby takie głupie, mój przyjacielu, bo co będzie, jeśli Malina ci sprosi wszystkie wampiry świata do Polski tuż przed tym, jak ty będziesz miał jej tę Polskę odwampirzyć? Tak czy siak, moim zdaniem tak całkiem się z tego nie wymigasz.

– No dobra. Zobacz, co da się z tym zrobić, i daj mi znać. – Położyłem na stole tyle pieniędzy, żeby starczyło na rachunek i jeszcze trochę zostało. – Mam nadzieję, że dogadacie się dość szybko z Kodiakiem. Powiem mu, że będziesz się z nim kontaktował. Póki co spieniężaj, co się da.

– Nie ma sprawy.

Uścisnęliśmy sobie dłonie, a Hal powiedział Oberonowi, żeby przypominał mi w przyszłości, że mam się nie pakować w żadne układy ani umowy.

<Powiedz mu, że przystałbym na to z miłą chęcią, ale pierw muszę porozmawiać ze swoim prawnikiem>.

*I tak trzymać.*

– A, Hal? – powiedziałem, wstając.

– Tak?

– Na twoim miejscu przeprowadziłbym gruntowną modernizację waszych systemów zabezpieczeń i odtąd zatrudniał tylko takich ludzi, którzy są w stu procentach odporni na korupcję. Leif Helgarson podsłuchuje wszystkie wasze rozmowy i nie zdziwiłbym się, gdyby miał też założonego jakiegoś sprytnego trojana w waszych komputerach.

– Co?! Kiedy się o tym dowiedziałeś?

– Zaraz po tym, jak zadzwoniłem do ciebie z Calais. Ludzie Leifa podsłuchali naszą rozmowę.

– I dopiero teraz mi o tym mówisz?! – Z wściekłości głos przeszedł mu w warczenie.

– Dopiero teraz sobie przypomniałem. Od tego całego gadania o wampirach. I wiesz, jaki jest Leif. Pewnie nadal ma dostęp do wszystkich tych ludzi, z którymi kiedykolwiek współpracowaliście.

Staronordycka łacina, jaka popłynęła z usta Hala, przebiła wszystko, co było mi dotąd dane słyszeć w tym języku.

– Przykro mi – wybąkałem i pomknąłem do drzwi, a Oberon pospiesznie za mną.

<On się chyba wkurzył, Atticusie> zauważył.

*Chyba tak.*

<Nie wsłuchiwałem się aż tak bardzo w waszą rozmowę. Powiedziałeś mu może, jakie to okropne, że ma w samochodzie cytrusowy odświeżacz powietrza?>.

*Nie, wściekł się na coś innego.*

Kiedy wróciłem na Mill Avenue, moich brachów już nie było. Z pewnością pochłaniali właśnie olbrzymie kanapeczki. Zaszedłem po drodze do sklepu z pamiątkami na Ash Avenue i sprawiłem sobie futbolówkę Sun Devils, którą nacisnąłem na głowę tak, żeby zakrywała mi dobrze oczy. Nie było to najlepsze przebranie świata, ale i tak miałem teraz o wiele krótsze włosy niż kiedyś, a poza tym podstawowym elementem, który pomaga nam kogoś rozpoznać, są zwykle oczy, więc przynajmniej trochę się w ten sposób zakamuflowałem. Przede wszystkim jednak Rebecca nie widziała mnie od ponad dwunastu lat, więc zupełnie nie powinna się mnie spodziewać. Będę dla niej tylko kolejnym studentem, który wpadł uzupełnić zapasy kaczmarek. Chyba że zdecyduję się ujawnić.

Sklep wyglądał niemal tak, jak go zostawiłem, z wyjątkiem nowej warstwy farby i imponującej liczby ulotek reklamujących okoliczne wydarzenia i usługi, które zasłaniały sporą część okna przy drzwiach. Sprawdziłem budynek w magicznym spektrum i nie zobaczyłem żadnych zabezpieczeń ani ochron.

*Poleżałbyś tu sobie i odpoczął, jak będę w środku?* – zaproponowałem Oberonowi.

<Jasne. Utnę sobie drzemkę>.

*Dobra, jak co, to krzycz.*

Zdjąłem Fragaracha, a Oberon ułożył się na nim, żeby mi go popilnować.

Gdy otworzyłem drzwi do mojego starego sklepu, zalała mnie mieszanina zapachów: herbaty, drzewa sandałowego, papieru i atramentu. Niski jęk bambusowego fletu łączył się wdzięcznie z cichym szumem wodospadu w rodzaj muzyki medytacyjnej, przy której ludzie lubią uprawiać jogę. Ogarnęła mnie przemożna nostalgia i zatęskniłem za tymi latami w sklepie, gdy mogłem cieszyć się pozorami spokoju i harmonii.

– Dzień dobry, witamy w Trzecim Oku! – zawołała Rebecca zza lady z herbatą.

Mruknąłem coś na odczepnego i nie spojrzałem jej w oczy. Zamiast tego skupiłem się na regale z książkami, dając jej jasno do zrozumienia, że chcę sobie w spokoju poszperać. Dzięki temu stałem teraz do niej plecami.

Książki na sprzedaż nadal dotyczyły głównie religii i filozofii, ale te zamknięte w gablotce były wyraźnie oznaczone jako BIAŁE KRUKI i PIERWSZE WYDANIA. Nigdy tak nie oznaczałem swoich, bo nie zależało mi specjalnie na tym, żeby ludzie mi grzebali w książkach o zaklęciach i wzywaniu duchów, ale Rebecca pewnie szybko zrozumiała, że da się nieźle zarobić na kolekcjonerach takich pozycji. Przebiegłem wzrokiem po grzbietach. Wciąż miała kilka książek, które jeszcze ja dla niej kupiłem, ale w większości były to nowsze tytuły. To mi przypomniało o mojej skrzyni z magicznymi tekstami, która nadal była pod ziemią, skryta w żelazie i kamieniu koło rzeki Salt.

Rebecca nie miała raczej warunków do skutecznego podchodzenia kogokolwiek. Na szyi i przegubach nadal nosiła takie ilości srebrnej biżuterii – symboli wszystkich chyba religii, o których słyszeli ludzie, oraz kilku takich, o których nie słyszeli – że każdemu jej krokowi towarzyszyło naprawdę imponujące grzechotanie.

– Mamy całkiem pokazną kolekcję białych kruków, jeśli jesteś zainteresowany –

zagadnęła, przystając przy moim prawym ramieniu i z dumą wpatrując się w grzbiety. – Szukasz może czegoś konkretnego?

– Nie macie pewnie żadnych pierwszych wydań magazynów pulpowych Edgara Rice’a Burroughsa?

– Obawiam się, że nie. Ale mamy pierwsze wydanie *The Number of the Beast* Heinleina, które jest niemalże listem miłosnym do Burroughsa.

– Serio? To by było dość niesamowite.

– Świetnie, to wyjmę je dla ciebie.

Między grzechoczącymi bransoletkami miała też jedną plastikową z rozlicznymi kluczami. Była jak chodzący i gadający dzwonek wietrzny.

Machnąłem od niechcenia na źródło tego hałasu i powiedziałem:

– Niezła kolekcja. Nie możesz się zdecydować, w którego boga wierzyć, co?

– Hmm. Już raczej podjęłam decyzję – odparła i zwróciłam uwagę, że mówi tak ze dwa razy szybciej niż większość ludzi. Być może był to skutek uboczny nadmiernej ilości kofeiny. – Zdecydowałam się wierzyć w nich wszystkich.

– Naprawdę? Czy to nie sprzeczność sama w sobie?

– Ludzie często wierzą w sprzeczności – stwierdziła. – A zresztą to naprawdę nie taka znowu sprzeczność, jak by się mogło wydawać. Religie są trochę jak ubrania. Jest ich dużo, jedne są bardziej modne, inne mniej, ale w sumie wszystkie mają na celu to samo: ukrywają twoją nagość.

– Religie ukrywają twoją nagość?

– W sensie duchowym. Większość z nas szuka boskości i większość z nas nie lubi być nago w miejscach publicznych.

Uśmiechnąłem się.

– Hmm, nie ma pewnie żadnych badań, które by potwierdziły taką hipotezę, ale i tak wydaje mi się, że może być bardzo bliska prawdy.

– Oczywiście. Co do zasady wszystkie religie są właściwie takie same, tak jak i ubrania są takie same. To dlatego, że rozumiemy, że w wierze kryje się pewna moc. Nawet ateści wierzą święcie w swoją prawość i to daje im tę samą moc.

– Wierzę, wierzę.

Rebecca posłała mi uśmiech.

– I w co jeszcze wierzysz?

Wyciągnęła z gabloty pierwsze wydanie Heinleina i podała mi je.

Zdjąłem futbolówkę i odpowiedziałem uśmiechem.

– Wierzę, Rebeko Dane, że jesteś najlepszym właścicielem, jaki mógł się trafić temu sklepowi. Jestem Atticus. Pamiętasz mnie?

Zaparło jej dech w piersiach, uniosła dłoń do szyi.

– O, bogowie moi! Pan O’Sullivan!

– Nie musimy być aż tak oficjalni.

– Przepraszam, ale byłam pewna, że nie żyjesz. Tak się cieszę, że nie miałam racji, bo zawsze chciałam podziękować ci za sklep i spytać, czemu to wszystko dla mnie zrobiłeś i... och! Czy ty go teraz chcesz z powrotem? Po to przyszedłeś?

– Nie, nie, sklep jest twój – uspokoiłem ją. – Ale chciałem pogadać. Możemy się napić herbaty?

– Jasne! Siadaj, zaraz wracam.

Rzuciła się w kierunku zakątka z herbaciarnią z tak głośnym grzechotaniem, że zwróciły się na nią oczy wszystkich klientów w sklepie. Każdy z nich uśmiechnął się rozbawiony. Było

ich tylko troje, ale dwoje natychmiast wybrało, co chce kupić, i zapłaciło. Rebecca zajęta była nastawianiem wody. Zaparzyła nam Irish Breakfast, czyli mieszankę, która nie skąpi kofeiny. Miałem przecucie, że nie potrzebuje już żadnych dopalaczy i że jeszcze jedna filiżanka herbaty może ją pchnąć na terytoria tych ludzi od czytania ostrzeżeń małym druczkiem, którzy na końcu reklam wyrzucają z siebie po trzysta słów na minutę, ale przynajmniej wszystko wskazywało na to, że nasza rozmowa będzie dość energiczna. Rozmawialiśmy chwilę o sklepie i jej planach otwarcia nowej filii w Tucsonie. Spytała mnie też, jakie stosuję specyfiki na skórę, bo wyglądałem jej zdaniem o wiele za dobrze po tych dwunastu latach.

– Nakładasz sobie błoto? Czy ogórki? Czy co? Bogowie moi, muszę zacząć robić to samo, cokolwiek robisz, bo wyglądasz fantastycznie – wyznała.

– Maski z guacamole co noc. Tajemnica tkwi w awokado.

– Poważnie?

– Nie, coś ty, żartuję. – Uśmiechnąłem się wesoło i stuknąłem w stół, żeby podkreślić zmianę tematu. – Muszę ci zadać pytanie, które może trochę dziwnie zabrzmieć. Może pamiętasz, czy zaraz po tym, jak zostawiłem ci sklep, nie modliłaś się przypadkiem za mnie do kilku bogów naraz?

Myślałem, że przewróci oczami i będzie się nad tym zastanawiać albo może zacznie indagować, dlaczego w ogóle pytam o takie rzeczy, ale ona odpowiedziała od razu:

– O tak, oczywiście. Zaraz po tym, jak Hal sprzedał mi sklep. Martwiłam się o ciebie.

– Wiem, że to pewnie nierealne, ale zdołałabyś może przypomnieć sobie, o co właściwie się modliłaś i do jakich bogów?

– Jasne, to żaden problem. – Być może kofeina nie tylko przyspieszała jej słowotok, ale i dostęp do pamięci. – Modliłam się kilka razy. Ścisłej: dziewięć. I była to modlitwa do dziewięciu bogów.

– Których?

– To magiczna liczba...

– ...dla Tuatha Dé Danann – dokończyłem razem z nią.

– Modliłam się o to, by cię zbawili i kierowali tobą według ich boskiej woli – powiedziała Rebecca.

– Dokładnie o to? Znaczy, no wiesz, o nic konkretniejszego? I tak w ogóle to wielkie dzięki.

– Nie ma za co. Jestem prawie pewna, że tylko o to. – To by miało sens, bo pozwalałoby bogom na współpracę, ale pozostawiało im sporą swobodę w podejmowaniu decyzji.

Przypomniawszy sobie o drugiej części pytania, Rebecca podjęła swoją opowieść: – Modliłam się wtedy do Jezusa, Ganeśi, Odyńa, Inari, Buddy, Guanyin, Szanga, Peruna i Brighid.

– Do Brighid? Zalewasz! – wymknęło mi się. – Znaczy, to bardzo interesujące.

Więcej niż interesujące. Implikacje dopiero docierały do mojej świadomości. I zupełnie wywracały mi świat do góry nogami. Jeśli Brighid była zamieszana w to wszystko, odkąd Rebecca pomodliła się do niej dwanaście lat temu, to Pierwsza wśród Faerii nigdy nie dała się zwieść mojej pozorowanej śmierci. Wręcz odwrotnie – to ona mnie zrobiła w konia. Znowu. Stała tam, na dworze faerii, i udawała wściekłość, mówiąc: „Powiedziano mi, że umarłeś dwanaście lat temu”. Ale jak się tak nad tym zastanowić, to nigdy nie powiedziała: „Myślałam, że umarłeś dwanaście lat temu”.

I to nie tylko Brighid pozwoliła mi się ludzić, że jestem sprytniejszy, niż naprawdę byłem. Perun czuwał nade mną osobiście, ale tak to wykombinował, że wydawało mi się, że to ja jemu wyświadczam przysługę. Kiedy go poznałem tuż przed naszym atakiem na Asgard, od razu dał mi fulguryt, który chronił mnie przed piorunami Thora. A gdy Kojot przybrał moją postać, żeby

dać mnie „zabić” grupce bogów piorunów, żebym mógł sobie w spokoju uczyć Granuaile, Szango radośnie dołączył do rzezi, wiedząc dobrze, że to wcale nie ja. Cholera.

Niegrzeczni bogowie zrobić nas w jajo, mój skarbie.

Widząc, że jestem bardziej niż oniemiały, Rebecca dodała:

– Och, widzę, że to cię zaskoczyło. Strasznie bym chciała wiedzieć, dlaczego pytasz i co się dzieje, ale nie chcę być niegrzeczna, a poza tym mam klienta.

I rzuciła się obsługiwać niewysokiego mężczyznę o zagubionym wyrazie twarzy, który zbliżył się do kasy z kilkoma książkami.

Gdy tak spoglądałem teraz na minione wydarzenia przez okulary nowych informacji, chyba najbardziej szokująca wydała mi się postawa Odyna. Kiedy – i dlaczego – zgodził się dbać o moje zbawienie i mną kierować? Bo, jeśli się nie mylę, musiał wiedzieć o tym jeszcze przed moim najazdem na Asgard, gdy wybraliśmy się tam z Leifem Helgarsonem i resztą. Potem stracił Thora, Heimdala, Ullra i Frejra, że już nie wspomnę o cennym Sleipnirze. I próbował mnie zabić. Być może nie wiedział z góry, kto zginie podczas tego starcia, ale nie ulega wątpliwości, że później się z tym pogodził. Dlaczego? Czego spodziewali się po mnie on i inni bogowie, co by sprawiało, że warto było poświęcić to wszystko?

Zakręciło mi się w głowie, gdy uzmysłowiłem sobie, że jestem zaledwie małym pionkiem na olbrzymiej szachownicy i że bogowie przedstawiają mnie, gdzie chcą, choć cały czas mi się dotąd zdawało, że mam jaką taką wolną wolę. Zaraz zgańnięm się jednak za takie roztkliwianie się nad sobą, bo oczywiście posługiwałem się wolną wolą – tylko że oni mieli wybitny talent do wpływania na moje decyzje i przewidywania ich. Ale gdyby tak pociągnąć tę szachową metaforę, to pojawiały się dwa pytania: Jacy bogowie grają przeciwko nam? Oraz: Ile nam jeszcze zostało do gry końcowej?

## Rozdział 15



Wiem, że czas dalej płynie mimo śmierci mojego ojca, ale trudno mi określić, ile go minęło, nim zaczęłam znów rejestrować cokolwiek poza szczątkami jego ciała. Może sekundy, może minuty. Przywołała mnie Orlaith.

<Granuaile? Woda na twojej twarzy>.

*Mój ojciec odszedł.*

<Wiem. Mój też. Ojców często nie ma>.

Chwytam się jej słów, rozpaczliwie usiłując znaleźć cokolwiek, co odwróci moje myśli od koszmaru, którego byłam świadkiem.

*Znałaś swojego ojca?*

<Tak. Ludzie nazywali go Seamus. Bawił się ze swoimi szczeniakami. Pewnego wieczoru ja poszła spać i myślała, że rano się znów bawimy. Ale jak się obudziłam, to go nie ma. Wszyscy smutni. Jak ty>.

*Tak, jestem bardzo smutna, Orlaith.*

<Jestem smutna z tobą. Ale też martwiąca się! Bo ludzie walczą. A ty się nie ruszasz od długiego czasu>.

To osusza moje łzy. Lew Durgi leży na prawo ode mnie. Wokół niego szerniałe ciała asurów. Żyje, ale jest ranny. Dewi za mną tańczy z wdziękiem ponad ciałami poległych wrogów i niszczy ostatnie rakszasy, które zupełnie straciły zapal do walki, teraz gdy raksojudź już nie zarządza ich działaniami. Broń Durgi błyska złowieszczo – a najbardziej chyba piorun Indry, który wciąż podpala nowe ofiary – i widzę, że już zaraz wymorduje wszystkie demony.

Spoglądam na Fuilteacha, wciąż zaciśniętego w mojej lewej dłoni. Komnata Dusz świeci niebiesko i tylko wzdłuż ostrej krawędzi widać cienki pasek krwi mojego ojca – to niemal wszystko, co mi po nim zostało. Cały ten czas, cały wysiłek – na nic. Gdyby teraz nawinął mi się jakiś rakszas, bez wahania pozbawiłabym go duszy czubkiem noża.

– Tylko spokojnie – mówię na głos, gdy uświadamiam sobie, jaka złość mnie zalewa.

Ostrożnie chowam wirujące ostrze do pochwy, a potem lewą rękę wykorzystuję do czegoś znacznie sensowniejszego – głaszczę nią Orlaith. Rozplatom jej kamuflaż, żeby było jej wygodniej. Teraz nie zagraża nam już żadne bezpośrednie niebezpieczeństwo. Oczy zachodzą mi mgłą, gdy obracam się, by spojrzeć na garstkę popiołu. To wszystko, co zostało po Donalu MacTiernanie.

– Tak mi przykro, tato – mówię i nim znów górę wezmą emocje, potrząsam głową i wyznaczam sobie zadanie. – Muszę zrozumieć, jak to się stało, że wszystko poszło aż tak źle, Orlaith. Pomożesz mi znaleźć Lakshę?

<Prościzna. Wciąż jest na ziemi>.

Orlaith prowadzi mnie przez pole trupów. Część z nich jest zwyczajnie upieczona piorunami. Daję radę przejść tylko jakieś trzydzieści metrów, powstrzymując się od wymiotów. Potem zwracam wszystko, co miałam w żołądku, i dopiero wtedy udaje mi się dać Orlaith znać, że możemy iść dalej.

Laksha – a raczej ciało kobiety, której imienia nawet nie znam, a której syna uratowałyśmy – wciąż leży na polu twarzą do dołu. Kiedy ją odwracam i sprawdzam puls, niczego nie czuję. Nie żyje, choć nie widać, dlaczego miałyby umrzeć. Może Laksha coś jej zrobiła, a może któryś z rakszasów, nim go zniszczyła Durga.



Mój wzrok zatrzymuje się na rubinowym naszyjniku, w którym Laksha już wcześniej się chroniła. Być może znów w nim zamieszkała.

– Laksho? Jesteś tam? Musimy porozmawiać. Już jest bezpiecznie.

Nie otrzymuję jednak żadnej odpowiedzi, żaden jedwabisty tamilski akcent nie rozbrzmiewa w moich uszach. Przychodzi mi na myśl, że jeśli Laksha była gdzieś w pobliżu mojego ojca, jeśli unosiła się w eterze przy jego głowie, w chwili gdy zaatakowała go Durga, to niewykluczone, że i ona zginęła. Powiedziała przecież, że jest istotą eteru, tak jak raksojudź, i że zabija ją to, co i jego. Zaciskając zęby, zdejmuję naszyjnik z ciała kobiety i wkładam go sobie do kieszeni. Mam wrażenie, że opuścili mnie wszyscy poza psem.

– Druidko – mówi jakiś głos.

Podnoszę wzrok i widzę, że przede mną stoi Durga. Chyba znów się na chwilę wyłączyłam. Durga nie ma już przy sobie żadnej broni. W jednej ręce trzyma muszlę, w drugiej kwiat lotosu. Pozostałe są puste, ale ułożone w symbolicznych pozach, które znam z obrazów, choć pojęcia nie mam, jakie mają znaczenie. Jej trzecie oko jest zamknięte, a te zwykle są kroplami spokoju.

– Wiem, że ten mężczyzna był twoim ojcem – przemawia do mnie dewi. – Nie było jednak żadnego ziemskiego sposobu na oddzielenie go od czarnoksiężnika. Poza zabiciem go.

Myślę sobie, że przecież ona się musi mylić, po prostu nie zna wszystkich faktów, więc protestuję:

– Mam nóż wykuty magią wody. Gdybym tylko zacięła go w odpowiednich miejscach przy áakrach, to...

Ale milknę, bo dewi kręci głową.

– Pobożne życzenie. To by go zirytowało i już to, co zrobiłaś, go rozsierdziło, ale nie działałoby wiele. Raksojudź splótł się ze swoją ofiarą tak mocno, że nie dało się go zabić, nie uśmiercając jego niewinnego gospodarza. Twój ojciec był jego ofiarą, a celem byłam ja.

– Dlaczego?

– Byliśmy bardzo starymi wrogami.

– Czyli Laksha skłamała mi na temat magii wody?

– Nie. Wiedźma myślała, że mówi prawdę. Gdybyśmy walczyły z jakimś innym duchem, nie tak potężnym, miałyby rację. Nóż by zadziałał.

Te słowa nie dają mi pocieszenia.

– Czy i ona nie żyje?

Nieznaczone poruszenie jednej z dłoni dewi każe mi spojrzeć na kieszeń, w której mam naszyjnik.

– Schowała się w rubinie. Osłabiona, ale żywa. – Nie mogę już dłużej dusić w sobie tego pytania, choć wiem, że jest dość bezczelne: – Dlaczego tak długo zwlekałaś? W Tańdzawurze zginęło tylu ludzi...

– Tak. Powstrzymywanie się od zabicia jednego niewinnego człowieka, twojego ojca, sprawiło, że ginęli inni. Bez względu na moje działanie lub jego brak ginęli niewinni. Chcesz mnie sądzić?

Spuszczam wzrok.

– Nie.

– Były inne ścieżki, którymi można było osiągnąć ten cel. Miałam nadzieję, że pójdziemy jedną z nich. Nie było nam dane.

– Jakie inne ścieżki?

– Nie zamęczaj się teraz tym, co mogło się zdarzyć. Możesz się zastanowić nad bronią, którą dziś z sobą miałam, i nad kształtami asurów, ale wyborów przeszłości nie da się zmienić.

Wiedz jedno: twój ojciec jest wolny. Raksojudź już mu nie zagraża. Twój ojciec zna już wszystkie odpowiedzi, których szukał całe życie. Pewnego dnia i ty je poznasz.

– Wie dlaczego?

– Tak, to także. Idź już, druidko. Muszę oczyścić to miejsce.

Niepewna, co powinnam zrobić, ale czując, że przydałby się jakiś gest wyrażający szacunek, składam dłonie i kłaniam się bogini.

– Życzę ci pokoju, Durgo – mówię.

Wypada to jakoś zupełnie nieodpowiednio, ale dewi przyjmuje taką formę pożegnania.

– Masz moje błogosławieństwo – odpowiada i nie są to tylko puste słowa, bo gdy biorę następny wdech, niepokój we mnie maleje znacząco.

*Chodźmy, Orlaith.*

<Okej. Gdzieś, gdzie ładnie pachnie?>.

*Tak, to dobry pomysł.*

Z ustami zaciśniętymi z rozpaczy i łzami ciekącymi po policzkach biegnę obok Orlaith najpierw drogą, a potem na północ, w stronę splecionego zagajnika bananowego. Gdy tylko zbiegamy z drogi, huk w powietrzu donosi nam o tym, że pole bitwy stanęło w czyszczących płomieniach. Nie zatrzymuję się, żeby spojrzeć na ogień, ale wyobrażam sobie, że wszystkie te dowody minionych wydarzeń, które nie spłonęły, zostaną wchłonięte przez niebiosa jak na końcu *Poszukiwaczy zaginionej Arki*.

Można chyba powiedzieć, że przywilejem druidów jest widzieć pracę bogów na ziemi i nie ryzykować, że nam się od tego stopią twarze. Nasze więzy z ziemią odróżniają nas od reszty ludzkości.

A jednak moja moc jest tak boleśnie ograniczona. Wszyscy jej pragniemy i bez wątpienia i tak otrzymałam jej więcej niż inni. Ale żaden dar Gai nie zdołał uratować mojego ojca i żadna broń stworzona przez Tuatha Dé Danann czy yeti nie zdołała przywrócić mu wolności. I tak, napiszę to, bo trzeba to napisać: nigdy nie miałam dostatecznej mocy, by sprawić, by kochał mnie bardziej niż swoją pracę.

Być może to tej mocy szukałam przez całe życie. Być może wielu z nas – gdyby dać nam szansę, by ktoś w naszym życiu pokochał nas bardziej – nie miałyby żadnych wątpliwości, kogo wskazać. Wszyscy jesteśmy bezbronni, samotni i przerażeni myślą, że ta ważna dla nas osoba nie bez powodu wstrzymuje się od uczucia. Wyznaczamy sobie cele, by nadać sobie wartość, i bywa, że bardzo długo nie zdajemy sobie sprawy z tego, że to miłość – lub może jej brak – podnosi nas, ale i rzuca na rozstaje dróg.

Teraz widzę, co się ze mną stało. Nim dowiedziałam się, kim jest Atticus, miałam możliwość zostania wiedźmą taką jak Laksha. Nauczyłaby mnie swojego fachu. Zaproponowała mi to, nim nawet zdołałam ją o to poprosić. Ale spytałam ją, jakie jeszcze rodzaje magii istnieją, a ona opowiedziała mi wtedy o druidach. I gdy zaczęła opowiadać o magii ziemi, od razu wiedziałam, że tego właśnie pragnę. Tajemnice ziemi – wszystko to, do czego zawsze próbował się dokopać mój ojciec – posiadę je. Pojmę je i wtedy będę mogła powiedzieć: „Widzisz, tato? Czyli jednak jestem warta tego, żebyś mnie zauważył?”. Zawsze byłam.

Ale to było tylko takie fantazjowanie. Zauważyłby mnie, tak, lecz tylko jako fascynujące nowe narzędzie do prowadzenia wykopków. Miłość potrafi przesuwać dźwignie mocy i często to robi, lecz nie ma takiej mocy, która by zdołała zmusić kogoś do miłości. To coś, co dajemy tylko z własnej woli, i tylko z własnej woli przyjmujemy lub odrzucamy. To od stopnia miłości zależy, czy więdniemy, czy rozkwitamy – i podejrzewam, że to dotyczy zarówno dawania, jak i otrzymywania.

Biegnę szybciej, licząc na to, że wysiłek wypchnie truciznę, która znów zbiera się

w mojej głowie. Wiem, jakie są etapy rozpacz, i wiem, że drugi – złość – próbuje teraz wziąć nade mną górę. Trudno mi było raczej pozostać na etapie wyparcia, skoro ojciec zginął na moich oczach, a jeszcze sama bogini potwierdziła, że odszedł. Boję się tego, do czego może popchnąć mnie złość – do czego już o mało mnie nie popchnęła – zwłaszcza że mam teraz za dużo mocy do dyspozycji. Tak, to przez miłość i nienawiść najłatwiej nami manipulować.

Sapiąc ciężko (nie pobieram mocy z ziemi, bo czuję, że muszę się zmęczyć), przypominam sobie, że choć mój ojciec odszedł, nie mogę się poddać. Kocha mnie Atticus, Orlaith i sama Gaja, a obdarzona taką miłością nie mam innego wyjścia, jak kwitnąć.

I jak mogę znieść myśl o czyjejs rozpacz, skoro jest w mojej mocy pomóc mu odzyskać jedność? Tak, jest przecież ktoś, komu mogę pomóc – to moc, którą władam. Moja matka od dwunastu lat żyje w przekonaniu, że nie żyję. Ale powody, dla których musieliśmy upozorować moją śmierć, już nie mają znaczenia, a ja nie mogę znieść myśli o tym, że miałyby rozpaczać choć sekundę dłużej. Pójdę do niej i powiem: „Mamo, wróciłam i kocham cię. Proszę, wybac mi, przytul mnie i zrób mi gorącej czekolady jak dawniej. Z piankami cukrowymi”. Z taką cholerną ilością pianek, że będą jak lawina, która kompletnie zakryje kubek pod górą puchatych, białych obłoków cukru.

W Indiach jest środek nocy, więc w Kansas jest koło południa. Przenosimy się z Orlaith do Tir na nÓg, a potem chwilę mi zajmuje obmyślenie, jak się przenieść do domu. Wellington znajduje się w dość płaskiej okolicy, pozbawionej lasów, i przez to nie ma tam za wiele nici. Uznaję, że najwygodniej będzie skoczyć w okolice granicy z Oklahomą, w północne pasmo wzgórz Osage, około czterdziestu mil od Wellingtonu. Przyda mi się jeszcze dodatkowa przebieżka. Tym razem jednak pozwolę ziemi sobie pomóc. I Orlaith też.

Większość przebieżki schodzi mi na przypominaniu sobie różnych wydarzeń z dzieciństwa, żebym mogła udowodnić matce, że jestem, kim jestem, bo pewnie w pierwszej chwili nie będzie potrafiła mi uwierzyć. Policja oczywiście nigdy nie zdołała odnaleźć mojego ciała, ale jednak matka musiała w końcu pogodzić się z myślą o mojej śmierci, skoro minęło tyle lat, odkąd zniknęłam.

Co jakiś czas sprawdzałam, co u niej, przez pośredników, a raz, gdzieś w połowie szkolenia, Atticus i ja wybraliśmy się do niej z wizytą, ale okazało się, że akurat nie było jej w kraju.

Co do mojego ojczyma, to z nim zamierzam mówić jak najmniej. Nadal go nie znoszę i marzę o tym, żeby zniszczyć jego biznes naftowy, jak sobie to już dawno zaplanowałam. Ale to może poczekać. Najpierw muszę się zobaczyć z mamą i powiedzieć jej o tacie. I o mnie.

Kiedy Wellington pojawia się na horyzoncie, jest późne popołudnie. Zwalniam do normalnego truchtu, bo teraz widać mnie już z okien. Po chwili namysłu postanawiam w mieście w ogóle wrzucić niewidzialność. Choć moi starzy znajomi raczej nie powinni mnie rozpoznać, ludzie na pewno zapamiętają wytatuowanego rudzielca z wielkim psem i dziwnym kijem w dłoni. Będą wypytywać, kogo popadnie, aż dojdą, kim jestem. Powrót do mamy to jedno, ale co innego powrót do świata, szczególnie pod względem komplikacji prawnych. Gdybym chciała znów funkcjonować jako Granuaile MacTiernan, z pewnością musiałabym odpowiedzieć na bardzo wiele urzędniczych pytań, a być może wpakowałabym się nawet w jakieś kłopoty. Lepiej, żeby świat miał mnie za Nessę Thornton.

Mama mieszka w gigantycznej posiadłości. To dzięki ojczymowi. Też tam mieszkałam przez rok, nim wyjechałam na studia. Dom jest otoczony murem, ma alarm i jeszcze typka, który stoi przy bramie. Tuż przy stróżówce czeka wózek golfowy, żeby strażnik mógł podjechać do domu i z powrotem, gdyby była taka potrzeba.

Postanawiam najpierw spróbować po prostu jakoś z nim zagadać, żeby mnie wpuścił,

a jeśli to nie zadziała, to wejdę tam po ninjowemu. Zrzucam niewidzialność i zdejmuję kamuflaż z Orlaith, ale ukrywam wirujące ostrze. Podchodzę do stróżówki, przygotowując się na trudną rozmowę.

Strażnik jest starszy i ugina się pod ciężarem zbyt wielu piw i skrzydełek pochłanianych podczas meczów. To nie powstrzymuje go jednak od zlustrowania mnie takim spojrzeniem, jakby szczytem szczęścia było dla mnie zostać jego dziewczyną. Orlaith zupełnie ignoruje, czym potwierdza, że jest skończonym idiotą.

– W czym mogę pomóc? – mówi, przeciągając samogłoski, a jego głos ocieka protekcjonalnością. Aż dziw, że nie dodał „panienko” na końcu zdania.

– Przyszłam z wizytą do pani Thatcher.

Przez chwilę nic nie mówi, tylko wciąga powietrze przez zęby, żeby pokazać mi, co on myśli o tym, że ktoś taki jak ja próbuje złożyć wizytę komuś takiemu jak pani Thatcher.

– Jesteś umówiona?

Nie wiem dlaczego, ale to pytanie zupełnie mnie zaskakuje. Oczywiście, że nie jestem. Nie umawiałam się z nikim na wizytę, odkąd zaczęłam szkolenie. Umówione wizyty to coś z innych czasów – z innego życia. Teraz, gdy już tu jestem, na myśl o tym, że miałabym jej wszystko wytłumaczyć, wpadam w panikę. Ludzie, którzy żyją w świecie umawianych wizyt, nie są gotowi na to, żeby ktoś im tłumaczył, że świat naprawdę czuje; że magia istnieje; albo że siłą ich wiary tworzą sobie prawdziwych bogów. Ludzkość omsknęła się w paradygmat nauki i sceptycyzmu już całe wieki temu i wyrwanie matki z niego byłoby dla niej przerażającym doświadczeniem. Nawet gdyby przyjęła do wiadomości, że jestem Granuaile – a nawet to nie jest przecież pewne – uznałaby mnie za wariatkę, gdybym jej powiedziała, że jestem druidką.

I co bym niby miała takiego zrobić, żeby jej to udowodnić? Przemienić się na jej oczach w jakieś zwierzę? Poprosić żywiołaka, żeby kazał wyrosnąć w jej ogródku nowej róży? Prędzej uznałaby to za jakąś mistyfikację albo sen, niż uwierzyła, że jestem naprawdę spleciona z ziemią. Ten konflikt rzuciłby cień na mój powrót do domu i zniweczył wszelkie szanse na powiedzenie tego, co powinnam jej powiedzieć.

Ten impuls, ta potrzeba zobaczenia jej nadal jest jednak czysta i da mi pewne poczucie harmonii. Ale to nie powinno być nic ponad to. Zobaczyć ją i zostać zobaczoną, to wszystko. Muszę pogodzić się z myślą, że książkowy powrót do matki nie wchodzi w grę. A w takim razie nie muszę wcale użerać się z tym grubym facetem i jego zasysaniem powietrza przez zęby. Istnieje lepsze, prostsze rozwiązanie. Nieidealne i nie takie, jakie sobie wymarzyłam, ale lepsze niż ryzyko związane z ujawnieniem prawdy.

Odwracam się na pięcie i bez słowa biegnę z powrotem w stronę miasta, zostawiając strażnika z jego protekcjonalnością i mizoginizmem.

W jednym z tych pozbawionych duszy wielkich hipermarketów znajduję czarną bluzę i rękawiczki, żeby zakryć tatuaże. Wybieram bukiet w białym wazonie – pomarańczowe, żółte i ciemnozielone liście z małymi, białymi niczym śnieg kwiatkami na górze.

Droga powrotna do posiadłości mamy zajmuje mi więcej czasu, bo nie da się szybko biec z bukietem. Gdy już docieram do muru, upewniam się, że nikt nas nie widzi, a potem rzucam kamuflaż na siebie i psa. Rozplątam trochę cementu z muru i wślizguję się do środka.

Posiadłość Thatcherów należy do tych droższych. Wielki, lekko opadający trawnik zdobi kilka dawno zasadzonych małych zagajników. W oddali widać biały dom, który stoi na jasnobrazowej równinie niczym porcja śmietany na karmelu. Niewykluczone, że w drodze do domu włączyłyśmy z Orlaith wykrywacz ruchu, ale póki nie zrzucę kamuflażu, kamery niczego nie zarejestrują, a strażnik nie będzie wszczynał alarmu, jeśli niczego nie zobaczy. Matka nie zdziwi się też, gdy nagle pojawię się pod drzwiami – wszelkie przesyłki zawsze przepuszczano

do środka bez zbędnych komentarzy.

Proszę Orlaith, żeby zaczekała na mnie na skraju niewielkiego zagajnika znajdującego się jakieś sto metrów od domu. Zostawiam z nią broń i obiecuję, że zaraz wrócę. Słońce wisi już nisko nad horyzontem, gdy zrzucam kamuflaż, podchodzę do drzwi i przyciskam dzwonek.

Matka otwiera drzwi i zapiera mi dech w piersiach na widok jej włosów. Są ufarbowane na rudo, pewnie znaczy to, że niedawno osiwiła. Jest niższa ode mnie, wręcz drobna. Wzrost mam po ojcu. Jest w dzinsach i lososiowym topie, na który narzuconą ma białą koszulę na guziki, rozpiętą u góry. Jej oczy – zielone jak moje – ogarniają mnie automatycznym spojrzeniem, po czym zatrzymują się na twarzy. Wtedy to jej zapiera dech w piersiach. Wciąż ma piegi i na ich widok w oczach stają mi łzy. W jej chyba też i cisza przeciąga się, gdy wpatrujemy się w siebie zszokowane. Dopiero po chwili przypominam sobie, że przecież nie miałam stanąć tu jako jej córka i że wypadłam z roli.

– Przesyłka dla pani Thatcher – mówię i podaję jej kwiaty.

– O, dziękuję – odpowiada i ociera policzek, nim przyjmuje wazon.

Jej palce dotykają lekko moich rękawiczek i teraz żałuję, że je włożyłam. Ten dotyk byłby taki cenny. Przytula wazon i śmieje się cicho z zażenowania.

– Bardzo przepraszam za moją zdziwioną minę – mówi. – Mam nadzieję, że mi pani wybaczy. Po prostu jest pani niezwykle podobna do mojej córki.

– Tak? Co za zabawny zbieg okoliczności – bąkam, pociągając nosem i przecierając oczy dłonią, żeby otrzeć łzy. To pewnie na długo nie pomoże, ale próbuję się jakoś wziąć w garść. – Pani z kolei tak bardzo przypomina mi moją mamę. Pewnie przez te rude włosy. – Macham palcem między nią a sobą, wskazując nasze głowy. – Bardzo dawno jej nie widziałam.

– O, biedna. Tak mi przykro. Wiem doskonale, jak się pani czuje. Ja także dawno nie widziałam córki. – Bierze głęboki wdech i przechyla głowę, przyglądając mi się uważnie. Jej dolna warga drży trochę, nim mama jest w stanie dokończyć: – Widzi pani, teraz byłaby już po trzydziestce, ale słowo daję, że wygląda pani tak jak ona, gdy widziałam ją po raz ostatni.

Ścisną mnie w gardle i z trudem wyduszam z siebie słowa, bojąc się, że w każdej chwili mogę stracić resztki panowania nad sobą:

– Czy nie przeszkadzałoby pani... Chodzi o to, że nie rozmawiałam z mamą już chyba całe wieki i teraz już pewnie nigdy nie będę miała takiej szansy, a zawsze chciałam jej coś powiedzieć. Czy mogłabym powiedzieć to pani? Mogłaby mi pani wyświadczyć taką przysługę?

– Oczywiście, kochanie, oczywiście, mów.

I stoi tam. Czeka. Trzyma kwiaty, ale zupełnie już o nich zapomniała.

Przez zasłonę łez udaje mi się wydukać:

– Tak bardzo za tobą tęsknię. I kocham cię. – Z mojego gardła wyrzywa się łkanie, ale ona też już płacze. Ostatnie słowa potrafię już tylko wyszeptać: – Żegnaj, mammo.

Coś się zmienia w jej twarzy. Być może nagle uświadamia sobie, że jestem kimś więcej niż tylko dziewczyną zadziwiająco podobną do córki, która jakoby od lat nie żyje. Wyciąga dłoń, zapomniany wazon wymyka jej się z rąk i roztrzaskuje na prog.

– Granuaile?

Niczego nie pragnę bardziej, jak dać się jej przytulić, ale nie mogę. To prowadziłoby do wielu pytań. Na które nie mogę odpowiedzieć. Nie, powiedziałam, co miałam powiedzieć, więc zduszam płacz, odsuwam się na trzy kroki, obracam i biegnę jak najdalej od domu. Biegnę, pochylając się, bo z trudem łapię oddech i nic nie widzę przez łzy. Płaczę okropnie – to łkam, to drżę z rozpaczy.

Drzwi się za mną zamykają, słyszę je już ledwo ledwo. Moja matka tak samo nie może wejść do mojego świata, jak ja wrócić do jej. Atticus ostrzegł mnie przed tym, gdy zaczynał

moje szkolenie. Mówił, że wejście na druidzką ścieżkę oznacza rezygnację z rodziny – porzucenie wszelką rodzinę, wy, którzy tu wchodzić – ale wtedy nie w pełni go rozumiałam. By osiągnąć swój cel wtedy, beztrudnie obiecałam okupić go bólem w odległej przyszłości, choć zupełnie nie przewidziałam, jak bardzo będzie bolało, gdy już przyjdzie czas spłacić dług. Myślałam, że to będzie jak tęsknota za domem, którą zwykle łagodzi nadzieja, że kiedyś do tego domu wrócisz – uczucie intensywne, ale jednak znośne dzięki temu, że wiesz, że kiedyś ten dzień nastąpi.

Dopiero teraz rozumiem nieodwracalność tej koszmarnej sytuacji. Choć mój świat jest wielki i pełen cudów, na zawsze już będzie światem bez moich rodziców. A najbardziej boli to, że sama wybrałam sobie ten los. To nie coś, co mi się przytrafiło. To ja sprawiłam, że tak się stało. Teraz tata nie żyje, a mama żyje z głową, w której nie ma miejsca na magię. Nie ma miejsca na mnie.

Gdy już jestem blisko zagajnika, wciąż rozedrgana i łkająca, Orlaith słyszy mnie na długo przedtem, zanim ja ją mogę usłyszeć, a jej głos wkrada się do mojej głowy, nim nawet zauważam jej smukłe ciało pędzące do mnie przez trawę.

<Granuaile znów smutna?>.

Podbiega do mnie z nastawionymi czujnie uszami, więc padam na kolana i zarzucam jej ręce na szyję, bucząc jak dziecko.

*Tak. Tęsknię za mamą.*

<Ale przecież twoja mama jest w domu. Tam>.

*Nie mogę z nią porozmawiać. Nie mogę powiedzieć jej prawdy.*

<Dlaczego?>.

*Między nami płynie potężna rzeka czasu i okoliczności. Nie wiem, jak tę rzekę bezpiecznie przekroczyć. To byłoby zbyt niebezpieczne. Dla nas obu.*

<Aha. Chyba rozumiem. Czas jest trudny. Myślę, że czas jest jedną z trudniejszych rzeczy na świecie. Oberon też ma problemy z czasem>.

*Przepraszam, że tak smęczę, Orlaith, ale muszę się wypłakać.*

<Okej, Granuaile. Zostanę przy tobie i poczekam. Szkoda, że nie miałaś czasu z matką. Ale możesz mieć cały czas ze mną>.

Tulę ją mocno i oplakuję utraconą matkę i ojca, aż słońce zupełnie zachodzi. Zmawia się z moim zmęczeniem i wiatrem wzdychającym wśród drzew, żeby uspić mnie snem bez snów, i obie odpływamy niewidoczne w wysokiej trawie.

## Rozdział 16



Brighid nie chce rozmawiać na dworze, gdzie wszyscy mogą nas słyszeć, więc prowadzi mnie do swojej prywatnej rezydencji i pomieszczenia, które nazywa Żelazną Komnatą. Piękna nazwa jak na taką klitkę. Ale mimo jej niewielkich rozmiarów w sali mieści się piękny okrągły stół, dwa stołki, beczka ciemnego piwa i dwa kufle. Ściany, drzwi, podłoga i nawet sufit szczelnie pokryte są czarnym żelazem.

– Splot zapewniający nam prywatność zawsze ktoś może jakoś rozpleść – wyjaśnia Brighid. – Ale z żelazem nie da się nic zrobić. Tu nikt nas nie podsłucha i możemy rozmawiać, jak długo będziemy chcieli. Poza tym tu, gdzie nikt mnie nie widzi, nie muszę być taka oficjalna. Napijesz się piwa?

– Bardzo chętnie.

Nalewa nam obojgu i stukamy się kufłami.

– *Sláinte*.

Smak jest niezmierny. Z pewnością to cudo uwarzył Goibhniu, nim więc przejdziemy do interesów, chwalebę jej boskie piwo.

– Opowiedz mi o Morrigan – mówi Brighid.

– Racja. Ponad dwa tysiące lat temu Morrigan zaproponowała mi pewną umowę. Miałem wtedy siedemdziesiąt dwa lata i dawno zeschnięte jaja. Nie ma nic gorszego, niż być starym, przygnębionym i obolałym. Nie polecam. Był dzień zimny jak cholera, ciemna zima, a ona nagle spadła prosto z nieba, naga i seksowna. Szlag mnie trafił, bo mi zasłoniła zachód słońca. Tak już źle ze mną było. „Możesz umrzeć teraz – powiedziała. – Albo mogę cię wsadzić na Wyspę Czasu i wtedy będziesz miał szansę na życie w odległej przyszłości”. Powiedziała chyba nawet: „w bardzo odległej przyszłości”. „A w tej przyszłości być może znów będziesz młody”. I że w zamian muszę tylko dostarczyć wiadomość. Oczywiście zgodziłem się, nie namyślając się wiele. I oto jestem.

– Co to za wiadomość?

– Nie miała zupełnie sensu, gdy Morrigan kazała mi się jej nauczyć na pamięć, bo nie miałem wtedy pojęcia o tych wszystkich innych panteonach, ale oto, co mam przekazać z ust Morrigan do twojego ucha: „Brighid, już nie żyję. Zginęłam albo z rąk Olimpijczyków, albo z rąk wedyjskich demonów. Nordom grozi wielkie niebezpieczeństwo. Widziałam straszne przyszłości i powtarzam ci po trzykroć: różnica między życiem a śmiercią kryje się w Svartálfarach. Przeciągnijcie ich na swoją stronę bez względu na cenę”.

Zapada milczenie i Brighid marszczy brwi.

– To wszystko?

– Ano.

– Opowiedz mi dokładnie, co jeszcze powiedziała i zrobiła.

– Nie ma tego za wiele. Otworzyła wrota za mną, powiedziała, że będę miał wielki dług u Siodhachana, a potem pchnęła mnie przez nie, nim zdążyłem jej powiedzieć, co o nim myślę.

– I Siodhachan nic o tym nie wie?

– Nie. Wiadomość była dla ciebie. Możesz mu powiedzieć lub nie, jak sobie chcesz. Ale opowiadał mi dość szczegółowo o wydarzeniach ostatnich lat i musiałem udawać zaskoczenie, gdy mi powiedział o śmierci Morrigan.

– Rozumiem. Wyświadczyłeś Tuatha Dé Danann wielką przysługę. Czego chcesz

w zamian, Eoghane Ó Cinnéide?

Tego się nie spodziewałem. Byłem przekonany, że przedłużenie mojego życia to już raczej wystarczająca zapłata, ale oczywiście głupio by było przegapić taką okazję.

– Mam pytanie – mówię. – I chciałbym, żebyś odpowiedziała na nie samą prawdę swoim potrójnym głosem. Masz moje słowo, że nikomu nie powtórzę twojej odpowiedzi.

Patrzy na mnie czujnie, ale decyduje się na skinięcie głową.

– Pytaj.

– Co wiesz o śmierci Midhira?

Brighid prostuje się na stolku raptownie, a jej oczy błyskają błękitem. Potrójnym głosem odpowiada:

– Nic. Nie wiedziałam nawet, że nie żyje ani że ktoś chce go zabić.

Gdy przemawia tym głosem, nie może kłamać. Mogę ją spokojnie wykreślić z listy podejrzanych.

– Nie żyje już od co najmniej dwóch tygodni, może dłużej. Wisi do góry nogami w swojej sypialni, powieszony na żelaznych łańcuchach i z poderżniętym gardłem.

Przekazuję jej część tego, co opowiedział mi Siodhachan, gdy poprawiałem mu tatuaż. Przyznaję się też do tego, że jestem jego archdruidem, bo uznaję, że mogę to bezpiecznie zrobić, skoro wiem już, że to nie ona na niego poluje. Gdy kończę, bogini wzdycha i stwierdza:

– Mam teraz wiele do przemyślenia i przebadania, ale będę musiała wszystko to utrzymać w tajemnicy, póki nie dowiem się więcej. Dlatego dziś rano stawisz się na dworze z oficjalnym powitaniem i nie wspomnisz nic o żadnej z tych spraw, a ja powitam cię i dam ci moje błogosławieństwo, żebyś mógł sobie robić, co tam masz w planach. A właściwie to co w nich masz, skoro już wypełniłeś swój obowiązek względem Morrigan i mnie?

– Chcę wrócić na ziemię i zacząć znów uczyć. Potrzebujemy więcej druidów.

Wygląda na zaskoczoną taką odpowiedzią, ale rozluźnia się i wzdycha zadowolona.

– Takie plany tym chętniej pobłogosławię. Pokrywają się idealnie z moimi pragnieniami.

– Wybacz śmiałość – odważam się powiedzieć – ale czy może mógłbym zjeść kolację razem z tobą i twoimi synami? Zupełnie nieoficjalną oczywiście.

– Wspaniały pomysł. Czuj się zaproszony.

– Doskonale.

Zostawia mnie pod opieką jednego ze sług, żebym poczekał do świtu. Udaje mi się przespać kilka godzin, nim czas znów iść na dwór i udawać, że rozmawiamy z sobą po raz pierwszy. Czuję na sobie setki oczu i wiem dobrze, że wszyscy oceniają mnie, kombinują i knują. I ja ich oceniam. Przed całym dworem Brighid zaprasza mnie na kolację, co natychmiast zyskuje mi przychylność innych. Manannán Mac Lir zaprasza mnie na następny wieczór i to zaproszenie też przyjmuję. Potem znów udaje mi się zdrzemnąć i dobrze, bo wolę wypocząć przed wieczorem. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że w tym czasie Brighid prowadzi dochodzenie w sprawie Midhira.

Na kolacji, podczas której zostaję poczęstowany wspaniałą whisky i jeszcze jakimiś mniej płynnymi rzeczami, ale nie pamiętam, czym konkretnie, pojawia się także Ogma. Zwracam o wiele większą uwagę na towarzystwo niż na jedzenie. On siedzi po mojej lewej, a po prawej Brighid. Naprzeciwko nas bracia Goibhniu, Creidhne i Luchta. Wszyscy są ciemnoocy i złośliwi, ale wydaje mi się, że jest to serdeczna złośliwość. Wygląda na to, że założyli się między sobą, o jaką broń poproszę, choć mnie to nawet do głowy nie przyszło. Ich rozczarowanie, gdy dowiadują się, że nie mam dla nich żadnego ambitnego projektu, jest tak wielkie, że aż mam wyrzuty sumienia.

– Chwila – mówi Goibhniu. – Wiem, jak to rozwiązać. Eoghane, kiedy walczysz, jaką



zwykle wybierasz broń?

– Cóż, najbardziej lubię walczyć po prostu pięściami – przyznaję. – Szczególnie teraz, gdy kłykcie przestały mnie wreszcie boleć.

Creidhne cieszy się jak dziecko.

– Właśnie! Kastety! To coś dla mnie, bracia! Ja wygrywam!

– O co tak właściwie chodzi? – pytam.

Przyznają się, że już się nie mogą doczekać, aż po ziemi będzie chodzić więcej druidów, bo dostarczają im jako rzemieślnikom zupełnie niesamowitych wyzwań.

– Tak się świetnie bawiliśmy z Goibhniu, kiedy pracowaliśmy nad Scáthmhaide'em dla Granuaile – mówi Luchta – że aż smutno nam było, jak skończyliśmy.

– Tylko że mnie w ogóle nie dopuścili do tego projektu – skarży się Creidhne. – Ale twój wynagrodzi mi tamto rozczarowanie. Po kolacji zmierzę ci rękę i pogadamy, co by tu można wykombinować.

Jednym słowem, nie mam w tej sprawie za wiele do powiedzenia. Ci chłopcy to artyści, którzy kochają życie za piękno, które im ono ukazuje. Całe dni zastanawiają się, jak tworzyć, a nie jak niszczyć. Zawsze po cichu podziwiałem takich ludzi i ich wizję. Gdybym tak miał choć ćwierć tego, co postrzegają ich oczy. Skreślałem ich z listy.

– A ty co takiego porabiasz ostatnimi czasy, Ogmo? – zagaduję.

Ogma jest wielki, łysy i ma wyraźną słabość do złotych kolczyków. W pierwszej chwili myślę sobie, że mogą one przecież stanowić kuszący cel dla przeciwników, ale dociera do mnie, że przecież on właśnie chce, żeby się skusili, sięgnęli po nie i zobaczyli, co się stanie.

– Głównie latam między krainami. W imieniu Brighid, jako posłannik faerii. Nie jest to może tak heroiczne zajęcie jak te, jakimi parałem się w dawnych czasach, ale z drugiej strony inne panteony powinny mieć świadomość, że Tuatha Dé Danann należy traktować poważnie, a wysyłanie do nich faerii w liberii jakoś nie wywoływało pożądanego skutku.

– A, rozumiem. A przy okazji robisz zwiady oczywiście. Znaczy tam, gdzie zostaniesz akurat wysłany.

Patrzy na mnie, jakby dopiero teraz mnie zauważył. Dotąd unikał kontaktu wzrokowego i w ogóle odnosiło się wrażenie, że siadł z nami do stołu tylko z obowiązku, nie dla przyjemności. A teraz nagle kolacja stała się ciekawsza.

– Oczywiście – potwierdza, a w kąciku jego ust czai się uśmiech.

– Bo jeśli się chce, żeby kogoś zabolalo, najpierw trzeba wiedzieć, gdzie ukrywa swój słaby punkt.

– Otóż to.

Unoszę kielich i mówię:

– Za ciosy w ich najslabsze ogniwa.

Ogma uśmiecha się serdecznie i pije ze mną.

– Znasz może bogów Wendów? – pyta.

– Nie, nie znam nawet żadnych Wendów.

– W większości już zaniknęli, zostali zasymilowani przez kultury germańskie i słowiańskie – wyjaśnia. Tych ludów też nie znam, ale trzymam język za zębami i pozwalam mu mówić dalej. – Ich pogańskie świątynie zostały zaatakowane i zniszczone przez otaczających ich chrześcijan. Od wieków nikt ich właściwie porządnie nie czci, są więc bardzo słabi. Trudno byłoby sobie wyobrazić, dlaczego chcieliby z nami zadzierać. A jednak jedna z faerii wysłanych tam ostatnio przez Brighid w ogóle do nas nie wróciła. Wybrałem się więc do ich krainy zbadać sprawę i właśnie wróciłem.

Gdy tak opowiada o mocnych i słabych stronach Wendów, staje się dla mnie jasne, że

Ogma to doskonały umysł militarny, który jednak myśli dość prosto i któremu zdecydowanie brak subtelności. Nie ma pojęcia, jak przechytrzyć Wendów, i kombinuje tylko, jak ich pokonać. To nie to, że jego pomysły nie są dobre – są wyśmienite; naprawdę trudno się do czegokolwiek przyczepić. Sęk w tym, że wyraźnie powstały w określonym typie umysłu – i to nie taki umysł próbuję namierzyć. Ogma jest bystry, ale nie mógłby być mózgiem żadnej intrygi. To taki typ, którego mózg operacji wysyła, by mieć pewność, że twoje organy wewnętrzne zostaną zmienione w bitki mięsne.

Na noc zostaję u Creidhne'a, który do późna mierzy mi ręce, wykonuje odlewy i co tam jeszcze. Gdy już zasypiam, łapię się na tym, że w półśnie zastanawiam się, co porabia Greta. Nawet na mojej subiektywnej osi czasu bardzo dawno temu ostatni raz zależało mi na kimś aż tak, żeby łapać się na podobnych myślach. Potem jeszcze przychodzi mi do głowy, że być może jestem jedynym człowiekiem, który zawarł jakąś umowę z Morrigan i na tym skorzystał.

## Rozdział 17



Po pogawędce z Rebeką Dane popędziłem na północ, do Flagstaffu, chwyciłem kawałek pizzy w Alpine Pizza na ulicy Leroux, a potem wynajętym samochodem pojechałem krętą drogą za górami w północnej części miasta. Ulokowałem się na Lockett Meadow, pod kilkoma osikami, żeby na spokojnie przemyśleć sobie plan działania, skoro teraz już Inari i jej klika dali mi zielone światło na własne pomysły. Ale nijak nie mogłem się skupić. Lockett Meadow to dość popularne miejsce, a że nie spadł jeszcze pierwszy śnieg, byli tam też inni ludzie. Właściwie to tylko dziewięciu obozowiczów, ale jakoś wystarczyło, żeby mi rozpraszać uwagę.

Co jakiś czas muszę uciec w ciche miejsce, żeby sobie przemyśleć różne rzeczy – zabrać mózg gdzieś, gdzie nie słychać hałasu współczesnego świata i gdzie można szukać jasności myśli w środowisku niezniszczonym zasięgiem sieci komórkowych. Rewelacje Rebeki Dane wymagały wnikliwego przemyślenia i nawet znałem odpowiednie miejsce. W parku narodowym Glacier jest taki wodospad, który w dzisiejszych czasach nazywają Bird Woman Falls. Samochodem da się tam dotrzeć tylko latem, ale jeśli ktoś się przenosi między krainami, to dociera tam bez żadnych ograniczeń. Drzewa w tym miejscu splotłem, na długo nim zadecydowano, że będzie to park narodowy, i jakoś zaczęto kojarzyć wodospad z kobietą ptakiem. Widać stąd Heaven's Peak, pokryty śniegiem i dzielnie sterczący ponad chmurami. Gdy przeniosłem się tam z Oberonem, dech nam zaparło na widok tej pięknej panoramy. I nie musiałem się nią z nikim dzielić. Going-to-the-Sun Road była zamknięta o tej porze roku, przy wodospadzie więc nie było nikogo. Niosły się jedynie towarzyski szum wodospadu i przyjazne szepty wiatru wśród drzew. Byliśmy tu tylko ja i pies. Sami.

Przez całe pięć minut.

– *Hola, amigo!* – zawołał czyjś głos, ledwie zdążyłem sformułować sobie pierwsze hipotezy.

Zaskoczony przeturlałem się na lewo, bo górę wziął instynkt. Dopiero potem zacząłem szukać właściciela głosu. Wymachiwał do mnie szeroko uśmiechnięty niski Latynos ze złotym zegarkiem błyszczącym na ręce. Na szyi miał złoty krzyż na ciężkim łańcuchu, a pod nim zapinaną na guziki koszulę, która była zupełnie nieodpowiednia na wycieczkę w zimne góry Montany. Choć muszę przyznać, że ja też nie byłem odziany właściwie na tę pogodę.

Oberon szczerknął równie zdumiony jak ja.

<Atticusie, kto to? Jak mu się udało nas tak zaskoczyć?>.

*Nie wiem, chłopie.*

Ale uśmiech nieznajomego był przyjazny i zaraźliwy. Miał wielkie, łagodne oczy. Nad górną wargą widać było cienkie wąsiki, ale brodę miał solidniejszą. Ciemne włosy były długie, lekko falujące i zebrane z tyłu w warkocz. Spojrzałem na sam dół jego spodni i stwierdziłem, że podjął dość dziwną decyzję, by przyjść tu w sandałach. Też noszę sandały, gdzie tylko mogę, ale ludzie strasznie się wtedy gapią – szczególnie w takich miejscach jak to, gdzie człowiek spodziewałby się raczej traperów.

– *Hola* – odpowiedziałem, ale nie traciłem czujności.

On dalej się uśmiechał i mówił po hiszpańsku.

– *Es un placer volverte a ver, Siodhachan.* – A potem nagle przeszedł na angielski i choć miał lekki akcent, mówił niskim, pewnym głosem. – By odpowiedzieć na to, o czym myślisz: Nie przyszedłem tu piechotą. Użyłem... innych metod. Gdy ostatni raz mieliśmy okazję

porozmawiać, raczyliśmy się rybą z frytkami oraz bardzo smaczną whisky. Było to w Arizonie. Uleczyłem cię też wtedy z dość poważnej rany zadanej nożami, po czym udzieliłem ci pewnej rady, której postanowiłeś nie posłuchać.

Aaa. Zmrużyłem oczy.

– Jezu! To ty?

Roześmiał się i schował ręce w kieszeniach.

– No, wydaje mi się, że tym razem powinieneś się do mnie zwracać raczej Jesus – wymówił to po hiszpańsku, przez h. – Ale tak, to ja. Jak ci się podoba to ciało, które przybrałem? Dostałem je od pewnej przemilej Meksykanki, która mieszka w Whitefish. Ma na imię Gina i zamartwia się o swojego syna. Wciąż się modli o to, żeby on kochał mnie tak jak ona. Jednak niewielu jest ludzi na tym świecie, którzy kochają mnie tak czystą miłością jak ta kobieta. – Wyciągnął rękę z kieszeni i machnął nią w swoją stronę, jakby prezentował nagrodę w teleturnieju. – Tak mnie postrzega Gina i powiem ci szczerze, że mnie się podoba ta moja wersja. Jest to dość nietypowa wizualizacja, szczególnie jeśli chodzi o współczesne gadzety. Ten zegarek na przykład. Przecież go nie potrzebuję i sama Gina nie jest chyba pewna, po co mi on, ale uznała, że ładnie by na mnie wyglądał, więc trudno mi się z nią nie zgodzić.

<Atticusie, znasz tego typu?>.

*Tak, to chrześcijański bóg Jezus. Nie było cię ze mną, gdy ostatnio się na niego natknąłem.*

Jezus zawsze starał się szybko mi udowodnić, że to on – zwykle poprzez wspomnienie o szczegółach, które znaleźliśmy tylko my dwaj – żebym nie zrobił sobie krzywdy, spoglądając na niego w magicznym spektrum. Większość starych bogów nieco za mocno dawała mi po oczach białą magią emanującą z ich ciał, ale gdybym chciał spojrzeć magicznym wzrokiem na jednego z tych najpotężniejszych we współczesnym świecie, pewnie na dobre by mnie to oślepiło.

– Dobrze cię widzieć – powiedziałem z uśmiechem i podszedłem ucisnąć mu dłoń. – Co za miła niespodzianka.

– Siądziemy? Masz ochotę na coś mocniejszego? Tym razem ja stawiam.

Sięgnął do prawej kieszeni i wyciągnął z niej wysoką butelkę bursztynowej tequili Milagro Añejo, która przecież nie mogła tam cały czas na nas czekać. Z lewej kieszeni wyciągnął dwa kryształowe kieliszki z połączanymi krawędziami, które też przecież nie mogły cały czas brzdękać mu dotąd w kieszeni. Podał mi je, a sam zajął się otwarciem flaszki.

<Ja nie mogę. Podoba mi się ten typek, Atticusie. Co on tam jeszcze ma w tych portkach? Może grube salami dla pieska?>.

Mało mi kieliszki nie powypadały z rąk.

*Oberonie, na miłość boską, dobrze, że cię nikt nie słyszy. Nie uchodzi pytać żadnego faceta, czy ma w spodniach grube salami, rozumiesz? A już w szczególności nie tego.*

<Dlaczego? Facet ma coś przeciwko salami?>.

Jezus roześmiał się rozbawiony i nalał nam hojnie tequili.

– Podoba mi się twój pies, Siodhachanie. – Przechylił głowę, żeby zwrócić się bezpośrednio do niego. – Cześć, Oberonie. Ja też cię słyszę i powiem ci szczerze, że nie mam nic przeciwko salami samemu w sobie. Lepiej jednak, żeby każdy wiedział, kiedy powinien trzymać swoje salami w porciętach, a kiedy je wyciągać, i powiem ci, że nawet moi księża mają czasem z tym problemy. Tak się jednak szczęśliwie dla nas składa, że tym razem nie ma żadnych wątpliwości, jak postąpić w tej sytuacji. – Z tej samej kieszeni, w której trzymał kieliszki, wyciągnął długą soppresatę. – Mam nadzieję, że to choć odrobinę zaspokoi twój głód. Siodhachanie, wyświadczyłbyś nam obu wielką przysługę i rozplół tę skórę, żeby Oberon mógł zjeść mięso?

<Na Wielkie Jeziora sosu! Dzięki, Jezusie! Atticusie, dlaczego ty nas wcześniej z sobą nie poznałeś?>.

Jezus znów się roześmiał.

– Nie ma za co, Oberonie. Jeśli zaś chodzi o twoje pytanie, to naprawdę rzadko wpadam tu, na dół, z wizytą, więc twój przyjaciel po prostu nie miał okazji nas sobie przedstawić.

Rozplotłem skórkę, żeby spadła z mięsa, a Jezus podał je Oberonowi. Jako że pies już był zadowolony, poszliśmy z powrotem nad wodospad i usiedliśmy na ziemi po turecku, z tequilą i widokiem na Heaven's Peak. Powiedzieliśmy sobie „na zdrowie” i stuknęliśmy się kieliszkami.

– Ten alkohol w ogóle jeszcze nie istniał, gdy po raz pierwszy chodziłem po ziemi – zauważył Jezus. – Tak zresztą jak Meksyk jako naród. Czy zwróciłeś uwagę, Siodhachanie, że jakoś już tak jest z historią, że mimo tych wszystkich rzeczy, które straciliśmy i których nie możemy odzłować, wciąż pojawia się coś nowego do kochania?

– Tak, zauważyłem.

Ta tequila była zdecydowanie nowa i nie dało się jej nie darzyć ciepłymi uczuciami. Łagodnie paliła gardło i to zupełnie inaczej niż ostra, agresywna tequila blanco. Aż się chciało oblizywać z rozkoszy, tylko że Oberon robił to za nas trzech.

– Powiedz mi więc, co cię tu sprowadza, Siodhachanie – odezwał się po chwili Jezus.

– Chciałem sięść w spokoju i zastanowić się, co zamierzacie, bo wiem już, że należysz do gangu bogów wagi ciężkiej, który został poproszony o opiekę nade mną. To ty powiedziałaś Inari, gdzie mnie znaleźć w Pirenejach.

Jezus dopił do dna i nalał sobie jeszcze jeden kieliszek, przy okazji i mi trochę dolewając.

– Zawsze doceniałem twoją ambicję.

– Ambicję?

– Tak. Może słyszałeś już kiedyś, że nieodgadnione są moje ścieżki. Toteż ten, kto próbuje je odgadnąć, musi mieć nie lada ambicję.

– To może lepiej będzie, jak cię spytam wprost. Jezu, jakie są twoje plany wobec mnie?

– Ironia polega na tym, że choć wszyscy ci ludzie powtarzają, że mam plan, nie do końca jest to prawda. Inni bogowie przecież też mają swoje plany, tak zresztą jak każda istota, która chodzi po tej ziemi. I wszyscy oni mają wolną wolę. To sprawia, że dosłownie nikt nie jest właściwie w stanie powiedzieć: „Wszystko potoczyło się dokładnie tak, jak to sobie zaplanowałem”. Powiedzmy raczej, że widzę wiele ścieżek przyszłości i preferuję jedne nad inne. Tak się przy tym składa, że akurat twoje decyzje i działania odgrywają dość ważną rolę, bo to od nich zależy, czy możliwe będą te najlepsze ścieżki przyszłości z dość marnego zestawu.

– Pamiętam, że już wcześniej mówiłeś coś podobnego. Powiedziałaś, że odziedziczyłbym ziemię, gdybym pozostał potulny.

– Tak.

– To mnie naprawdę męczy.

– Rozumiem. Ale jeśli mogę coś doradzić, przyjacielu, może niechby to cię raczej pouczało, niż męczyło. Już dawno minął moment, kiedy wszystko jeszcze mogło się udać. Jesteśmy raczej na etapie zarządzania kryzysowego i pozostaje nam jedynie liczyć na to, że sprawy potoczą się tylko źle, a nie dużo, dużo gorzej.

Takie słowa trzeźwią bez względu na to, ile się wypilo doskonałej tequili.

– Ale przecież Inari powiedziała, że teraz mam działać i że nie muszę już być potulny. Że mam stanąć do walki przeciwko Lokiemu i Hel.

– Nie powiedziała dokładnie tego. Dała ci tylko do zrozumienia, że jesteś wolny, więc możesz to zrobić. Równie dobrze możesz nic nie zrobić. Wycofaliśmy jedynie nasz zakaz. Pomyślałem sobie, że być może Inari nie wyraziła się dość jasno, i dlatego właśnie postanowiłem

złożyć ci wizytę.

Było to trochę irytujące, ale z drugiej strony rozumiałem też jego sytuację. Wolna wola nie jest wolna, jeśli się rozkazuje ludziom, co mają konkretnie robić. A jednak Jezus nie pojawiłby się tu przede mną, gdyby nie liczył na to, że jakoś może mi pomóc. Mógł poprosić Brighid lub Odyna, żeby mi powiedzieli, albo Inari mogła wysłać do mnie kitsune, albo na wiele innych sposobów mógł mi wyjaśnić, że mogę robić, co chcę. To była więc moja szansa, by spytać go, o cokolwiek chcę. Być może uda mi się jakoś podgryzać problem po trochu, aż da się jakoś wreszcie zgryźć ten twardy orzech.

– A twój przeciwnik? – spytałem. – Czy ma rolę do odegrania?

– W tym wypadku jest mu obojętne, jak się sprawy potoczą. Co się bardzo dobrze składa. Ragnarök nie jest jego ulubioną wizją apokalipsy, sam rozumiesz. To kwestia ego. Wolaliby oczywiście, by sprawy potoczyły się według jego planu. Ragnarök wręcz popsułby mu szyki. Więc obraził się na wszystkich i wziął na przeczekanie, tak zresztą jak wiele innych ciemnych mocy z innych panteonów, którym w głowie się nie mieści, że miałyby słuchać Lokiego.

– To dobre wieści. A skoro już o dobrych wieściach mowa, może jeszcze jakieś dla mnie masz. Co się stało z wdową MacDonagh? Hel powiedziała mi, że jej dusza powędrowała do krainy chrześcijańskiej, ale nie mam zwyczaju ufać córce Lokiego.

– I słusznie. Nie ufaj. Lecz tym razem mówiła prawdę. Tym się nie martw. Już nic nie zakłóci spokoju Katie. Jest u mnie.

Westchnąłem z ulgą. Spadł mi z serca wielki ciężar.

– Pozdrów ją, proszę, ode mnie. Bardzo za nią tęsknię.

– Pozdrowię. I ona tęskni za tobą. Byłeś błogosławieństwem zmierzchu jej życia.

Piliśmy już trzecią rundkę i czułem, że mi lekko wiruje w głowie. Jezus sprawiał jednak wrażenie zupełnie odpornego na alkohol. Zaczynałem się martwić, że nie dam nawet rady wybełkotać odpowiedniego pytania. Człowiek zawsze wie, o co chciał zapytać, chwilę po tym, jak już minie na to właściwy moment, i czułem, że ten moment właśnie mija. Więc oczywiście spytałem o coś zupełnie bezsensownego.

– Jezu, po co w ogóle wciągałeś w to Inari? Dlaczego wcześniej mnie nie odwiedziłeś?

– Chciała cię poznać. Kiedy potrzebowałeś czasu i miejsca, by się leczyć, mogłeś wybrać dosłownie każdy zakątek na ziemi, a jednak zdecydowałeś się na Japonię. To jej schlebilo. Lubi cię.

Jakoś nie wydawało mi się, żeby Inari przejawiała jakąkolwiek sympatię wobec mnie.

– Aha – powiedziałem. – Ale w każdym razie zupełnie nie mogę pojąć, jaki jest wasz ostateczny cel, znaczy waszej dziewiątki. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że pracujecie nad czymś wielkim, ale pojęcia nie mam co to. No wiesz, Odyn całkiem sporo poświęcił. Hajmdala, Frejra, Thora... Wszyscy oni nie żyją. I jeszcze walkirie...

– Czy Thor naprawdę nie żyje? – przerwał mi Jezus.

– Co? Kpisz sobie ze mnie?

– Tylko pytam. Wiesz przecież, że pewni członkowie irlandzkiego panteonu nadal działają spoza zasłony. Podejrzewasz, że i Morrigan to potrafi. Wiara ludzka daje im moc objawiania się zależnie od własnej woli, nawet jeśli ich ciało już przepadło. Także ja jestem przykładem tej zasady. Umarłem ponad dwa tysiące lat temu, a jednak siedzę tutaj i piję z tobą tequilę. Mogę się objawiać, kiedy zechcę, w dowolnej formie wybranej przez mojego wyznawcę. Jestem bogiem w wielu wyobrażeniach. Skąd więc przypuszczenie, że z Thorem miałoby być inaczej? Wciąż czczony jest w Skandynawii i w różnych zakątkach Islandii. Podobnie rzecz się ma z Hajmdalem i Frejrem. Zatem co właściwie stracił Odyn?

Jeżeli Odyn rzeczywiście mógł nadal liczyć na Thora podczas Ragnaröku, a przy okazji

udało mu się wymusić na mnie obietnicę walki, to nieźle mnie wrobił. Tylko w takim razie dlaczego Thor jeszcze się dotąd nie ujawnił? Choćby po to, żeby mi dać w ryja?

- Ale... gdzie jest Thor? W Walhalli?
- O to powinieś raczej pytać Odyna.
- O!

Odpowiedź sama zaświtała mi w głowie. A przynajmniej jej część. Thor pewnie pozostanie w ukryciu aż do samej końcówki. Zmarli bogowie będą siedzieć cicho, żeby zwiększyć swoje szanse na przetrwanie. Oczywiście nie uda im się wrócić po Ragnaröku, jeśli większość ich wyznawców zostanie wybita. Odyn raczej zarządził dla nich plan „umrzyj teraz, żyj później”. Mówił szczerze, gdy wyrażał nadzieję, że – by sprawiedliwości stało się zadość – umrę okropną śmiercią podczas Ragnaröku. A jeśli on też polegnie podczas tej ostatniej bitwy, wtedy będzie jeszcze Thor i pozostali, by podjąć walkę. To jest, jeśli przedtem będą grzecznie siedzieć na ławce rezerwowych. Ponieważ stare proroctwa Norn już nie obowiązywały i Odyn nie miał pojęcia, kto przeżyje walkę, chciał w ten sposób zapewnić sobie to, że jednak ktoś z nordyckiego panteonu przetrwa.

Zorientowałem się, że niepotrzebnie skupiam się na pobocznych tematach.

– Okej, okej, sorki. Wracając do waszego głównego celu...

Jezus wzruszył ramionami.

– Nie jest aż taki znowu skomplikowany. Nadciąga duża walka i chcemy, żeby wygrali ci dobrzy.

– Pamiętam, że powiedziałaś, że czeka mnie ogromny ból.

– Tak. – W jego łagodnych oczach ujrzałem współczucie. – Przykro mi, ale nadal cię czeka.

Już i tak robiło się zimno na naszym pięknym górskim szczycie, ale dopiero teraz zadrzałem.

## Rozdział 18



Obudzić się zupełnie samemu to szczególnie rodzaj samotności. Tym bardziej jeśli emocje i tak już są w rozsypce. Obudziłam się, tęskniąc za Atticusem. Tak wiele się wydarzyło, odkąd ostatnio zdołaliśmy nawiązać jakikolwiek kontakt. Jego tatuaż będzie skończony pewnie dopiero dziś po południu albo może nawet jutro. Wciąż widzę w głowie śmierć mojego ojca i zalewają mnie fale rozpaczy, złości i bezradności. Rozbijają się od środka o moje powieki. Unoszę je i pozwalam prześwitującemu przez trawę słońcu wypalić wszystkie złe myśli. Ale te fale będą wracać, póki się czymś nie zajmę, więc muszę coś z sobą zrobić. Przewracam się na brzuch i podnoszę. Obok mnie leży zwinięta w kłębek Orlaith, więc trącam ją czule, żeby się obudziła.

*Dzień dobry, słodka psino.*

<Granuaile! Witaj! Radość! Musieć przeciągnąć>.

*Też się z tobą przeciągnę.*

Przeciągamy się rozkosznie i nie po raz pierwszy myślę sobie, że ten pies to prawdziwe błogosławieństwo. Orlaith już pomaga mi przetrwać te ciężkie chwile, przypominając po prostu, że życie toczy się dalej i trzeba się nim cieszyć.

<Idziemy biegać?>.

*Tak. Musimy biec.*

Wczoraj wieczorem po prostu nie byłam już w stanie nic zrobić, ale teraz trzeba przede wszystkim uciec z tej posiadłości. I tak mam szczęście, że nie trafiłam na mojego ojczyma, a teraz nie chcę ryzykować, że jednak go spotkam. Podnoszę z ziemi broń i biegniemy długo, aż do wzgórz Osage, gdzie przenosimy się za pomocą splecionego drzewa. Jesteśmy obie wykończone biegiem. Łądujemy w naszej chacie w Ouray, gdzie zaczynamy od najważniejszego, czyli od śniadania.

Gdy już siadam do stołu, zauważam list, który napisałam do Atticusa, nim wyruszyłam po Fuilteacha. Jest tak pełen nadziei, że nie odważam się go zniszczyć. Niech Atticus go znajdzie i poczuje nadzieję, którą wtedy czułam. Nic nie zyskam na tym, że obciążę go swoim terażniejszym zmartwieniem.

Zresztą na pewno będzie bardzo zajęty swoim archdruide, gdy już skończą jego tatuaż. Spotkamy się wkrótce, nasze nici znów się splotą i będziemy wtedy silniejsi.

Tymczasem muszę znaleźć odpowiedzi w sprawie mojego taty. Być może nawet wiem jak. Laksha wspomniała, że naczynie, w którym uwięziony był raksojudź, zostało wykopane na północ od Tańdżawuru. Może czeka tam na mnie choć część odpowiedzi. Choćby na takie pytania: skąd tata się tam w ogóle wziął? Nigdy nie specjalizował się w wykopaliskach na subkontynencie indyjskim. Czy celowo szukał tego pojemnika, czy trafił na niego przypadkiem? A nawet jeśli pogodzę się z tym, że wszystko to wydarzyło się zupełnie przypadkowo, przynajmniej mogę spróbować pomóc jakoś miastu, które musi teraz wrócić do życia po czymś, co pewnie wygląda jak najbardziej tajemnicza zaraza w historii.

Biorę prysznic i do małej torby pakuję między innymi touchpada i paszport na Nessę Thornton. Wrzucam też naszyjnik Lakshy, choć cały czas się nie odezwała i nie jestem pewna, co mam z nią zrobić. Ze Scáthmhaide'em w dłoni i Fuilteachem na lewym udzie przenoszę się z Orlaith do znanego nam już gaju bananowego pod Tańdżawurem.

Dziwnie jest wrócić do Indii tak szybko po tym wszystkim. To świeża rana, w którą wbijam paznokiec, nim zdążył nawet zrobić się strupek. Wystarcza zapach w powietrzu, a moje



oczy już są pełne łez. Niestety różnica czasu sprawia, że jest ciemno – koniec dnia, a nie początek.

Zagaduję Kaweri, licząc na to, że pokaże mi, gdzie kopią ludzie na północ od miasta. Rzucam zaklęcie noktowizji na siebie i Orlaith, a potem wędruję za wskazówkami żywiołaka od miejsca do miejsca. Pierwsze cztery to dziury wykopane z powodu budowy, a nie wykopalisk, ale piąta rzeczywiście należy do archeologów. Zapamiętuję to miejsce i wyruszam z Orlaith na poszukiwanie jakiegoś noclegu. Znajduję hotel, przemycam zakamuflowaną Orlaith przez recepcję, a gdy tylko docieramy do pokoju, otwieram laptopa i sprawdzam wiadomości.

Anglojęzyczne gazety donoszą dość powściągliwie o cudownym ozdrowieniu wszystkich chorych, którzy zmagali się przez ostatnie dni z niepowstrzymywalnym patogenem. Nie wiem, jakie były nagłówki, gdy sytuacja się pogarszała, ale domyślam się, że wtedy, gdy ludzie chorowali i szybko umierali, gazety bardziej ją nagłaśniały. Lekarze nadal zupełnie nie potrafią wyjaśnić, co wywołało plagę, i ostrzegają, że być może to jeszcze nie koniec, a więc ludzie powinni nadal przestrzegać podstawowych środków ostrożności, by zmniejszyć ryzyko zarażenia.

Potem googluję nazwisko ojca i słowo „Tańdzawur”. Znajduję krótki artykuł o tym, że od tygodnia uważa się go za zaginionego. Jego zniknięcie zgłosiło kilku członków jego zespołu, którzy przebywali w Indiach na tymczasowych wizach – koledzy z jego uniwersytetu. To pewnie warto by było sprawdzić.

Szukam więcej informacji o jego uniwersytecie i wydziale archeologii. Wygląda na to, że kierownik wydziału – czyli ktoś, kto musiał przecież wyrazić zgodę na te wykopaliska i pewnie wydać na nie pieniądze – przebywa w Stanach, bo ma wykłady w semestrze jesiennym. Pamiętam to imię i nazwisko: Michelle Liu. To stara przyjaciółka taty, która zawsze wolała salę wykładową i przytulne biuro od skwaru i kurzu wykopalisk. Często razem publikowali artykuły o odkryciach taty. Wydaje mi się, że to była swego rodzaju symbioza – ona minimalizowała jego obowiązki pedagogiczne i zniechęcała go przez niego akademicką biurokracją, a on brał na siebie brnięcie w błocie i użeranie się z obrzydliwymi robakami, by wykopywać skarby. Każde z nich uważało, że to drugie odwała brudną robotę. To nazwisko dobrze w każdym razie znać. Uznaję, że już zebrałam dość informacji do przemyślenia i że mam bezpieczną przechowalnię na rzeczy.

– Gotowa na kolejną wyprawę? – pytam psa.

Orlaith zwija się na łóżku, zupełnie je zaświniając.

<Drzemka najpierw>.

– Już przecież drzemałaś. No chodź. Chyba że wolisz tu zostać.

<Nie! Iść z tobą!> mówi i złazi z łóżka, merdając ogonem.

Zostawiam torbę w pokoju, a na drzwiach wywieszam znaczek „Nie przeszkadzać”. Ale broń zabieram. Jeśli mam powęszyć w okolicy, Scáthmhaide może się przydać.

Gdy docieramy znów na stanowisko archeologiczne, podchodzę do stojącej z boku przyczepy z nadzieją, że w środku jest biuro, a nie sypialnia archeologów. Na wszelki wypadek rzucam kamuflaż na nas obie i ostrożnie próbuję otworzyć drzwi. Zamknięte.

Nigdy tego jeszcze nie robiłam, ale Atticus mówił, że bez problemu można spleść zamek tak, że sam się otworzy. Wbrew jego opinii mam z tym sporo kłopotu. Nie znam się tak dobrze na tego typu splotach, a w dodatku przecież nie widzę tego zamka od środka i nie wiem, jak mam rzucać sploty bez wizualizacji. Odkąd Atticus splótł mnie z ziemią, jakoś nie mieliśmy czasu przerobić *Podręcznika włamywacza dla opornych druidów*. Siłuję się z tym zamkiem dobre dziesięć minut, po czym się poddam i rozplatom całą klamkę i zamek tak, że stapiają się i zostaje po nich tylko dziura. Problem rozwiązany.

– Zostań tu i daj znać, gdyby ktoś nadchodził – szepczę do Orlaith.

<Dobra. Czuwam>.

W przyczepie znajdują się trzy biurka, mała lodówka i kosz pełen puszek po napojach i opakowań po kanapkach. Żadnych chrapiących archeologów.

Rezygnuję z noktowizji i włączam światło, bo zakładam, że Orlaith da mi znać, jeśli ktoś się pojawi, żeby sprawdzić, co jest grane. Ale podejrzewam, że nikt tu nigdy nie przychodzi – poza samymi archeologami, którzy śpią sobie smacznie w jakimś hotelu.

Nie potrzebuję dużo czasu, żeby ustalić, które biurko należało do taty. Dwa są zabałaganione, a jedno pieczołowicie uporządkowane. Na tym uporządkowanym leżą papiery zapisane jego starannym, pedantycznym pismem.

Nie ma w nich nic ciekawego dla mnie – to katalogi znalezionych artefaktów, opisy składu gleby, datowanie radiowęglowe i takie tam. Chcę zajrzeć do szuflad, ale są pozamykane. Tym razem nie tracę już czasu, tylko od razu stapiam zamki. To, czego szukam, znajduję w najniższej – dziennik taty. Przerzucam kartki, aż docieram do ostatnich zapisków. Zaczynam od trzeciego października:

Jestem teraz w Indiach. Ściągnął mnie tu telefon od byłego studenta. Sprawa dotyczy przedziwnego znaleziska. To zapieczętowane gliniane naczynie. Napis w sanskrycie na jego zewnętrznej stronie ostrzega, żeby go nie otwierać. Oczywiście naukowe podejście wymaga, byśmy je otworzyli. Nigdy jeszcze czegoś takiego nie widziałem. Być może trafiliśmy na zupełnie niesamowite odkrycie. Cały dzień spędziłem na przygotowywaniu próbek dla laboratorium. Nie mogę się doczekać wyników.

Omijam resztę tego paragrafu, bo wiem przecież, jak to się skończyło. Ale jestem ciekawa, co to za tajemniczy był student i co się z nim stało, bo to wskazuje, że ojciec nie znalazł naczynia sam – jak przedstawiła to Laksha – ale że ktoś mu je dał. Chętnie bym zamieniła parę słów z tym, kto jest za to odpowiedzialny. Wskazówkę w tej sprawie znajduję we wpisie z czwartego października:

Nic nowego, jeśli chodzi o artefakty, ale Logan twierdzi, że ma miarodajne informacje co do lokalizacji Zaginionych Strzał Waju. Upiera się, że są zakopane gdzieś blisko stąd, na północ od Tańdżawuru. Gdybym nie miał tu przed sobą tego wspaniałego odkrycia, wyśmiałybym go. Co za naiwność! Strzały stworzone przez boga wiatru i natchnione magią? Bzdura. W dodatku bez żadnego wiarygodnego źródła pochodzenia, przynajmniej z tego, co mi wiadomo. Logan próbuje mi wmówić, że te strzały miały bezpośredni wpływ na stworzenie broni Thora i Odyna. Ale w każdym razie być może rzeczywiście są tam jakieś stare strzały o historycznym znaczeniu, które zostały pewnie stworzone ku czci boga, bo przecież nie przez samego boga, na miłość boską. Gdy już opublikujemy naszą pracę na temat tego naczynia – Ray nazywa je Urną Czarnoksiężnika – być może udałoby się dostać dodatkowe fundusze na poszukanie tych strzał.

Potem już żadnych wpisów. Czyli mam dwa imiona, o które warto by popytać – Logan i Ray – a do tego jeszcze może powinnam poszukać tych strzał. Dziennik zabieram z sobą, resztę zostawiam nietkniętą, choć rzucam jeszcze okiem na bałagan na pozostałych biurkach, żeby choć ustalić, do kogo należą. Wydruki e-maili świadczą o tym, że przy jednym biurku siedzi Chirayu Parekh – być może to ten Ray – a przy drugim Miriam Vargas. Wrócę tu o świcie i postaram się złapać jedno z nich, albo oboje, nim przyjdą do przyczepy i zorientują się, że było włamanie.

*Dobra, moja ukochana psino – mówię, wychodząc na zewnątrz. – Czas na drzemkę. Wracajmy do hotelu i zapakujmy cię do łóżka.*

<Nie pakować do łóżka Granuaile?>.

*Może później. Muszę przez chwilę popracować nad pewnym problemem.*

Przypominam sobie, że przecież Durga coś jakby sugerowała, że powinnam zastanowić się nad bronią, którą miała podczas bitwy. Teraz na wzmiankę o strzałach uświadamiam sobie, że

nie miała z sobą łuku.

Kiedy wracam do hotelu i przeglądam szybko obrazy Durgi, widzę, że bardzo często przedstawiana jest z łukiem, a opowieści o podarunkach, jakie sprawili jej bogowie z hinduistycznego panteonu, wyraźnie wspominają o strzałach Waju. Nie mogę jednak znaleźć w tych historiach żadnej wzmianki o łuku, poza jego znaczeniem symboliczno-religijnym. Z tego by wynikało, że ważną bronią są strzały Waju, a dewi przybyła bez nich. Czy to dlatego, że naprawdę zostały zakopane gdzieś na północ od Tańdżawuru? A jeśli tak, to po co? I dlaczego mi tego nie wyjaśniła?

Kiedy znów czytam ostatni wpis taty, rzuca mi się w oczy jeszcze coś. Ta myśl, że kultura wedyjska miała wpływ na nordycką – moje doświadczenie potwierdzałoby tę hipotezę. Przecież asurowie otaczający ojca mieli niebieską skórę i cztery ręce, tak jak Loki, gdy napadł na nas w Polsce. Pamiętam, że pomyślałam sobie wtedy, co jest, kurwa, dlaczego jest niebieski, ale nie przyszło mi na myśl, że to coś więcej niż jakiś skutek jego szaleństwa. Mieliśmy wtedy przecież Olimpijczyków na głowie, więc siłą rzeczy Loki schodził na dalszy plan. A teraz wciąż wraca ta myśl: a jeśli to była moja wielka wskazówka, jeśli to była moja jedyna szansa, by pójść jedną z tych ścieżek, o których wspomniała Durga, ścieżek, które nie prowadziłyby do tego wszystkiego?

Kryję twarz w dłoniach i mamrocę:

– Oj, zamknij się.

Orlaith unosi głowę z łóżka.

<Co? Przecież nic mówiłam>.

*Nic. Nic. Tylko mówię do siebie. A ty nie zapominaj o negacji czasownika.*

<Dobra. Nic nic mówiłam. Teraz lepiej?>.

Wiem, że nie ma już teraz sensu spekulować i zamęczać się tym, co mogło się zdarzyć, ale obawiam się, że i tak stracę na to trochę czasu. Później. Teraz, żeby nie wpaść w spiralę gdybania i samooskarżania, prześpię się choć kilka godzin, żeby się przestawić na indyjski czas i zacząć pracę o świcie. Namierzę tego całego Logana, a gdy go już znajdę, zapytam, skąd wytrzasnął urnę.

To doskonały plan i nie dostrzegam jego głównej wady, póki następnego dnia rano nie zatrzymuję Raya, gdy drepcze właśnie do przyczepy, gdzie za chwilę zorientuje się, że zniknęła klamka. Idzie mi gładko – mówię mu, że nazywam się Beverly Childress, podpieram się nazwiskiem doktor Liu i wciskam mu, że wysłał mnie uniwersytet, żebym zbadała sprawę zniknięcia Donała MacTiernana. Mój amerykański akcent uwiarygadnia te bzdury.

Urodzony w Indiach, ale wykształcony w Stanach Chirayu Parekh jest uroczym, nieco pulchnym mężczyzną w okularach i z wąsami importowanymi z lat siedemdziesiątych. Jak wielu ludzi z zagranicy, ma już dość powtarzania w kółko swojego imienia, więc skrócił je do Ray, żeby „Merykanie” dawali radę je w ogóle wymówić. W jednej ręce ma skórzaną torbę, w drugiej kubek kawy i zlustrowawszy mnie pospiesznie, jest bardzo chętny do pomocy, bo widać uznał, że fajnie by było, jakby mi się spodobał.

– Panie Parekh, w naszym wstępnym dochodzeniu natknęliśmy się na informacje o studencie doktora MacTiernana o imieniu Logan. Podobno pracował przy wykopaliskach – mówię. – Czy wie pan coś o nim?

– A, tak, jasne. Taki wysoki blondyn, raczej trzymał się z dala od ludzi. W każdym razie ode mnie i Miriam. Ale dużo czasu spędzał z doktorem MacTiernanem.

– Gdzie go mogę znaleźć?

– Przykro mi, ale nie wiem.

– Rozumiem. Jak ma na nazwisko?

– Tego też nie wiem. Zawsze wszyscy go nazywają Logan.  
Próbuję ukryć poirytowanie, ale nie wiem, czy mi się to udało.

– Czy będzie tu dziś?

– Nie sądzę. Zniknął w tym samym czasie co doktor MacTiernan. Ale nie zgłosiliśmy tego, bo, wie pani, nie znaleźliśmy jego nazwiska.

Marszczę brwi.

– My? Ma pan na myśli to, że Miriam Vargas także nie zna jego nazwiska? Jak to możliwe, że pozwolili państwo pracować komuś nad finansowanym z budżetu uniwersytetu projektem, nie znając nawet jego nazwiska?

Ray wpada w panikę na sugestię, że coś spieprzył.

– No, ale doktor MacTiernan za niego ręczył i facet znał się na rzeczy, to co mieliśmy pytać? Znaczy...

– Przecież ten człowiek może być odpowiedzialny za zniknięcie doktora MacTiernana. Nie ma pan zupełnie pomysłu, jak sprawdzić jego nazwisko?

W głębi duszy boję się, że jest dokładnie odwrotnie – że to mój ojciec, gdy tylko został opętany przez raksojudża, doprowadził do zniknięcia Logana. Ale tego oczywiście nie mogę powiedzieć Rayowi.

– No... Nie... Znaczy, tak rzadko myślę o żyjących ludziach. Sama pani rozumie, to nie należy do zadań archeologa...

– Proszę mi opowiedzieć, jak pan poznał tego Logana, panie Parekh.

– Hmm. Kiedy przyjechaliśmy tu z Miriam, Logan już był z doktorem MacTiernanem, który przedstawił nam go jako Logana, byłego studenta. Hej, a może omówimy to na spokojnie w biurze?

– Nie, już prawie skończyłam. Przylecieli państwo ze Stanów?

– Tak. Ale doktor MacTiernan przyleciał z Anglii, bo miał tam wykopaliska. Więc był tu szybciej niż my.

– I to było trzeciego października, tak?

– Tak.

– Państwo zostali tu wezwani przez doktora MacTiernana?

– Pośrednio. Doktor MacTiernan zadzwonił do doktor Liu z uniwersytetu i poprosił ją o przysłanie kogoś, kto mógłby pomóc z sanskrytem. Wtedy ona zaproponowała mu nas, to spakowaliśmy walizki i ruszyliśmy. Publikować mieliśmy razem.

– Było tu to naczynie, prawda? Z tekstem w sanskrycie. Dlatego byliście mu potrzebni? Ray jest wyraźnie zdumiony.

– Tak. Skąd pani o tym wie?

– Od doktor Liu – kłamie. – Gdzie znajduje się to naczynie?

– Zniknęło razem z Loganem i doktorem MacTiernanem. Chyba któryś z nich je wziął.

– Też tak podejrzewam. Czy naczynie zostało wydobyte na tym stanowisku?

– Tak utrzymywał Logan. Mówił, że tu je wykopał. Pokazał nam dół w ziemi, z którego je wyciągnął. Ale właśnie dotarły do nas z laboratorium wyniki próbek gleby i materiału, które wysłał doktor MacTiernan, i wygląda na to, że urna w ogóle nie pochodzi z tego stanowiska. Laboratorium twierdzi, że pierwotnie musiała znajdować się gdzieś na zachodzie, prawdopodobnie w Gudżaracie.

– Ciekawe. Dziękuję za pomoc. Damy panu znać, jeśli się czegoś dowiemy.

– Co? To tyle? Hej, nie chciałyby pani może kawy?

Macham mu na do widzenia i znikam bez słowa. Orlaith pospieszenie do mnie dołącza, jakby rozumiała, że lepiej znaleźć się jak najdalej stąd, nim biedny Ray odkryje, że w jego biurze

doszło do włamania, i przypomni sobie, że nie zna się za bardzo na ludziach i może powinien był najpierw dobrze sprawdzić, kim jestem, nim podał mi te wszystkie informacje. Z pewnością Miriam porządnie natrze mu uszu za tę jego łatwowierność. Biedny Ray.

Gdy tylko znikam mu z oczu, rzucam kamuflaż na nas obie i biegniemy na południe od Tańdżawuru, do domu, w którym przebywał mój ojciec, a raczej raksojudź. Przedtem nie weszłam do środka, ale skoro Logan zniknął razem z tatą, być może i on tam był. A może nadal jest – tylko martwy. A może znajdę tam jakieś wskazówki co do miejsca jego przebywania. Chyba dobrze będzie zacząć tam poszukiwania.

Tylko że takie miejsce już nie istnieje. Gdy tam docieram, nigdzie go nie widzę, choć głowę bym dała, że to to samo pole, na którym stałam dwa dni temu i gdzie wszystko się wydarzyło. Po chwili uzmysławiam sobie, że to pewnie Durga zmiotła je z powierzchni ziemi w ramach rytuału oczyszczania. No, oczyściła ziemię, że aż łśni. Ani śladu po rakszasach, asurach ani nawet po ludziach, mnie nie wyłączając.

Nie wiem co dalej. Jeśli ciało Logana znajdowało się w tym domu, to już go tam nie ma. Jakiś celnik ma pewnie informację, że Logan wjechał do kraju na początku września czy na początku października, ale celnicy mają to do siebie, że nie da się zwykle wydobyć z nich żadnych danych zwykłym uśmiechem. Mogłabym zgłosić się do doktor Liu z uniwersytetu taty, udając, że wynajęła mnie rodzina zaginionego, ale ona przypuszczalnie nie będzie tak łatwowierna jak Ray. Zresztą nawet jeśli ma dostęp do list studentów taty z ostatnich dwudziestu lat, to ze względu na ochronę danych osobowych nie wyda mi tych nazwisk, jeśli nie będę miała sterty papierów podpisanych przez odpowiedniego sędziego.

Jedyne, co wiem, to że Urna Czarnoksiężnika nie zniknęła razem z tatą lub Loganem. Jakimś cudem znalazła ją Laksha, więc to do niej teoretycznie mogę się zgłosić, żeby to przegadać. Tylko że do gadania z zasady przydają się usta, tym bardziej że Laksha się wyraźnie nie pali, żeby znów wskoczyć mi do głowy.

Wracam do hotelu i siadam do laptopa, bo takie poszukiwania łatwiej zamaskować na komputerze niż na komórce czy innych bezprzewodowych gadżetach. Załatwiam nam coś na ząb, a tymczasem google mówi mi, że niedaleko znajduje się szpital Raja Mirasdar, i wyznacza mi do niego trasę. Wyciągam naszyjnik Lakshy z torby, wsuwam go do kieszeni i wyruszamy załatwić jej nowe ciało.

Kilka razy okrążamy zabudowania szpitalne, aż w końcu znajdujemy dobre drzewo, pod którym Orlaith może się uwalić i uciąć sobie drzemkę. Kamufluję ją i proszę Kaweri, żeby ukrywała psa, gdy będę odcięta od ziemi w środku szpitala.

Posługując się splotem wyrzeźbionym w Scáthmhaidzie, znikam z ludzkich oczu i wchodzę do szpitala, by szukać nowego gospodarza dla Lakshy.

Od katastrofy na polu nie odezwała się do mnie ani słowem. Czuję się trochę urażona, ale z drugiej strony tak jest lepiej. Mogła znów zamieszkać w mojej głowie, ale postanowiła tego nie robić. Nie wiem, czy to dlatego, że jest zbyt słaba, czy dlatego, że boi się pytań, jakie chcę jej zadać. Tak czy siak, nie chcę być odpowiedzialna za jej życie, a jako że dotąd zwykle wybierała ciała młodych kobiet, po prostu liczę na to, że znajdę jej jakieś.

Namierzenie w szpitalu pacjentów pogrążonych w śpiączce zajmuje trochę czasu. Przy drzwiach wiszą tabliczki, tylko niektóre z napisami po angielsku. Dopiero po przeszukaniu kilku pięter i utknięciu kilka razy w ślepych zaułkach trafiam na odpowiedni oddział. Dwóch mężczyzn, jedna starsza pani i wreszcie jedna wysoka trzydziestoparolatka o bladej twarzy i cienkich włosach. Większość informacji przy jej łóżku to zupełnie niezrozumiałe dla mnie robaczki, ale część jest też podana w alfabecie łacińskim. Stąd wiem, że nazywa się Mhathini Palanichamy. Uznaję, że to ładne imię, a naprawdę nie mam teraz tyle cierpliwości do dłuższych

poszukiwań, ile wiele lat temu, gdy znalazłyśmy Selai, wyciągam więc rubinowy naszyjnik i zakładam go Mhathini na szyję. Gdy cofam rękę, naszyjnik staje się widoczny. Wygląda zupełnie niewłaściwie na tej szpitalnej koszuli.

Sprawdzam, czy jestem aby jedyną przytomną osobą w pokoju, a potem pochylam się, żeby przemówić do rubinów. Czuję się jak idiotka, mimo że nikt mnie przecież nie widzi.

– Laksho, to ja, Granuaile. Twój naszyjnik wisi na szyi pogrążonej w śpiączce pacjentki, która może być twoim nowym ciałem. Zostawię go tu, więc jeśli chcesz mieć pewność, że nie wymknie ci się spod kontroli, przejdź teraz w jej ciało i obudź się, nim wyjdę.

Odczekuję pełną minutę i nic. Pochylam się raz jeszcze i mówię:

– Teraz, Laksho. Daję ci jeszcze jedną minutę, a potem wychodzę i nie wiem, co się stanie z naszyjnikiem.

Piętnaście sekund później powieki kobiety zaczynają drżeć, a urządzenie monitorujące pracę serca znacznie przyspiesza swoje piszczenie. Zrzucam niewidzialność, żeby mogła mnie zobaczyć.

– Witaj z powrotem.

– Mmm... mmm? Yy. Mmm?

– Słucham?

– Ooo. Tu!

Unosi rękę, z kropłówką i wszystkim, i wskazuje na usta, a potem kręci palcem przy głowie. Wygląda na poirytowaną.

– Oj. Ta kobieta pewnie odniosła jakieś poważne obrażenia mózgu, co zaburza jej zdolności mowy. To może być afazja. Ale rozumiesz mnie, tak? Kciuki do góry lub do dołu. – Unosi kciuk. – To dobrze. Czyli zdolności motoryczne są bez zarzutu. Domyślam się, że problem mowy jakoś sobie rozwiążesz z czasem, co?

Jeszcze raz kciuk w górę.

– To świetnie.

Zła jestem, że nie możemy od razu porozmawiać, ale trudno obwiniać o to Lakshę.

– To zostawię cię teraz w świętym spokoju i pogadamy później. Masz swoje sposoby, żeby mnie znaleźć, więc mam nadzieję, że zrobisz to, gdy tylko będziesz mogła. Musimy porozmawiać.

– Ak e aywam?

– Nazywasz się Mhathini Palanichamy. O to pytałaś? – Kciuki w górę. Słyszę kroki na korytarzu, czyli pewnie już nadciągają pielęgniarki zdumione zmianą sygnału. – Jesteś nadal w Tańdzawurze. Dam ci teraz w spokoju zacząć nowe życie.

Znikam jej z pola widzenia i zaraz potem do pokoju wchodzi pielęgniarka, która na widok jej otwartych oczu podnosi oczywiście wielki krzyk. Przemykam obok niej i oddycham z ulgą na korytarzu. Dobrze mieć choć to jedno z głowy. Nie wiem nawet, czy Mhathini wciąż tu jest i dzieli przestrzeń z Lakshą, czy też już dawno opuściła to ciało, ale tego pewnie dowiem się potem.

Zabieram Orlaith spod drzewa i resztę popołudnia spędzam na poszukiwaniach sposobu, by pomóc jakoś miastu odzyskać siły po pladze rakszasów. Brak znajomości języka utrudnia mi jednak wszystko, a dodatkowo paranoja, ksenofobia albo zwykły strach przed dużymi psami powodują, że nikt nie chce naszej pomocy.

Cały dzień jest niezwykle frustrujący. Po pospiesznej kolacji zwijam się na łóżku obok Orlaith i wracam do lektury dziennika ojca, czytając go do tyłu, w nadziei, że może jakieś wcześniejsze wpisy wspominają o Loganie. Nie znajduję nic na ten temat, ale natrafiam na wpis o moich urodzinach.

Granuaile kończyłaby dziś trzydzieści trzy lata. Ciekawe, jaką by była osobą. Gdyby... Ale za późno już na gdybanie. Za późno na naprawienie czegokolwiek. Zostały mi już tylko próżne żale. O Boże, jak ja za nią tęsknię.

Czuję się tak, jakbym spadła z pierwszego piętra i wylądowała brzuchem na koniu z lękami. Kompletnie tracę dech w piersiach, a gdy znów go odzyskuję, robię przy tym tyle hałasu, że budzę Orlaith.

<Granuaile?>.

*Nic, nic. Śpij.*

Przesuwam palcem po słowach, jakbym chciała odzyskać kontakt z tatą przez atrament, który rozlał tu trzy miesiące temu. Wiem aż za dobrze, co czuł, bo czuję teraz to samo. Przede mną tak dużo czasu na rozpacz – dni, miesiące, lata. Odkładam dziennik, przewracam się na bok, wtulam w Orlaith i mam wielką nadzieję, że choć część tego czasu uda mi się przespać.

Postanawiam odnaleźć to stanowisko archeologiczne na północ od miasta, gdzie mają niby być zakopane Zaginione Strzały Waju. Jeśli Logan żyje, być może gdzieś tam atakuje ziemię łopata.

Kiedy się budzę, jest szara indyjska sobota. Jeszcze zanim wskoczę pod prysznic, wysyłam krótkiego esemesa do Atticusa, żeby wiedział, że nie musi się o mnie martwić. Ku mojemu zdziwieniu, gdy wychodzę spod prysznic, dostaję odpowiedź. Atticus pyta o mojego ojca.

Jego śmierć to nie jest wiadomość, którą chciałabym przekazać w esemesie, więc piszę tylko: „O niego też się nie martw”, a wtedy Atticus robi ten swój myk z Szekspirem, kochany Atticus, całuje mnie wersem z *Troilusa i Kresydy*: „Miłości mojej podwaliny / Tak są potężne, jak jest środek ziemi, / przyciągający”.

To taka nasza gra. Chodzi o to, żeby na słowa jednego poety odpowiedzieć słowami innego, tak byśmy mogli porozmawiać i my, i bardowie. Odpowiedź musi mieć sens w danym kontekście, a do tego dostaje się dodatkowe punkciki, jeśli cytat zawiera jedno lub kilka słów z poprzedniego. Posyłam mu więc dwa wersy z Whitmana: „Opadająca głęboko, w łuk wygięta ziemi, pełna dojrzewających jabłek, ziemi! Uśmiechnij się, oto nadchodzi twoja miłość”. A potem, dla uściślenia, dodaję: „W każdym razie najszybciej, jak będę mogła. Idź spać, nie czekaj na mnie”.

## Rozdział 19



Posiadłości Tuatha Dé Danann to prawdziwe zamczyska, ale wyrastają z ziemi niczym góry. Bez żadnych takich murów, jakie widziałem wokół zamków budowanych przez ludzi na ziemi. Oczywiście to między innymi dlatego, że zamki bogów nigdy nie bywają oblegane, ale wiem dobrze, czemu tak naprawdę nie ma tu murów – Tuatha Dé Danann chcą, żeby na widok ich zamków ludzie robili w gacie ze strachu przed boską potęgą. Śmiać mi się chce, gdy o tym myślę. Splatanie kamienia w gładką wieżę zupełnie mi nie imponuje. Pokażcie mi, co potraficie, gdy nie chowacie się za kamieniem, a wtedy być może zyskacie sobie mój szacunek.

Gdy przenoszę się do drzew otaczających pastwiska na ziemiach Manannána Mac Lira, widzę, że w szarą skałę wplół tu i ówdzie niebieskie kamyki, a do tego jeszcze lśniące kawałki muszli, które według Siodhachana nazywa się w dzisiejszych czasach masą perłową. Pełno tego przy wejściu do jego pałacu, a nawet na posadzce i wewnętrznych ścianach. Wyjątkowo nietrafiony pomysł. Błyszczą się to wszystko i już sam nie wiem, kiedy to tylko muszelka, a kiedy skrzydełko jakiejś pixie. Chyba że właśnie o to chodziło. Może to taka strategia kamuflująca.

Zresztą w tym miejscu aż się, kurna, roi od faerii. Latają tuż nad ziemią i pod sufitem, kryją się za meblami, paradują w dwóch różnych liberiach, bo część służy przecież Fand, a część Manannánowi. Te Manannánowe są niebieskie i szare, bo to raczej faerie wodne. Selkie i konie morskie o wielkich oczach, które wciąż szukają ukochanego oceanu, ale widzą tu tylko kamień i małe, martwe kawałki istot, które kiedyś pływały w jakimś morzu. Faerie Fand wołają bordowy i złoty. Zdecydowanie przeważa też u nich miękki materiał zwany aksamitem. I to one mnie najbardziej denerwują, bo latają. Jest wśród nich cała masa pixie i innych powietrznych paskudztw, a do tego mnóstwo dużych faerii wielkości człowieka, które wyglądają tak, jakby miały kości z witek wierzbowych. Wystarczy, że człowiek przy nich porządniej sobie odetchnie, a już się przewracają. Mimo to część z nich ma broń – jakieś przerośnięte igły z brązu, które mają chyba udawać miecze.

Nie da się też nie zauważyć, że ich wzrok zsuwa się natychmiast na moją szyję. Dopiero gdy stwierdzają, że tam nic nie ma, uspokajają się nieco. Szukają żelaza. Dwie takie witają mnie przy bramie i prowadzą na wewnętrzne podwórze, gdzie znajduje się splecione drzewo i głęboki staw ze słoną wodą.

– A to po co? – pytam, wskazując staw. Przecież nie łowią tu chyba ryb.

– Pan nasz, Manannán, czasami wychodzi i wraca tędy. Otwiera podwodną bramę i wpływa prosto do ziemskich oceanów.

Bardzo sprytne. Staw jest na tyle głęboki, że Manannán może się za jego pomocą przenieść na ziemię albo i nie – zależnie od potrzeby – i nikt nie będzie wiedział, czy rzeczywiście sobie poszedł, czy jednak został. Trzeba by zanurkować w bajorze, żeby to sprawdzić. Wracać też może zupełnie niezauważony i wcale nie wypływać na powierzchnię, jeśli akurat nie ma na to ochoty.

Nad sadzawką stoją białe ławki, a przy nich rzeźby z żywopłotu i kwiaty. Z jednej z ławek podnoszą się dwie postaci i ruszają w naszą stronę. Wydaje mi się, że znam jedną z nich, ale drugiej chyba nie. Lepiej poczekać, aż się przedstawi. Ta pierwsza to ruda kobieta w białej tunice o zielonych splotach na krawędziach dekoltu i rękawów. Przy niej stoi olbrzymi mężczyzna o kręconych, też rudych włosach i gęstej brodzie. Po lewej stronie głowy przyczepił



mu się liść, ale chyba nie należy do moich obowiązków mu o tym wspomnieć. Oboje mignęli mi wczoraj na dworze, ale zniknęli zaraz po mojej audiencji i nie mieliśmy okazji porozmawiać.

– Eoghane Ó Cinnéide – mówi eskortujący mnie sługa. – Mam zaszczyt przedstawić cię Flidais z Tuatha Dé Danann oraz Perunowi, bogu piorunów u ludów słowiańskich.

Czyli miałem rację co do kobiety. Łowczyni ma na biodrze nóż z zielonym kamieniem. Siodhachan wspominał mi o tej jej broni.

– To dla mnie zaszczyt – stwierdzam i lekko schylam głowę. Być może oczekują, że się głęboko pokłonię, padnę na kolana albo bogowie wiedzą co jeszcze, ale jeśli naprawdę chcą, żebym ich całował po dupskach, to będą mnie musieli do tego zmusić.

– Bardzo mi miło cię poznać, Eoghane – odpowiada Flidais.

Jej twarz to maska uprzejmości. Maską w niektórych miejscach pomarszczona i nieprzyjemnie różowa. Tak zresztą jak jej ramiona. Nie tak dawno poparzył ją Loki, a do tego jeszcze przyprawił o szaleństwo Bachus, ale odzyskała już w pełni siły i bynajmniej nie ślini się teraz na swoje buty ani nic. Perun uśmiecha się do mnie spod brody.

– To wielki zaszczyt poznać kolejnego druida. Ja lubię irlandzkie ludzkie bardzo.

– Jesteś tu w odwiedzinach?

Tak naprawdę wiem, że Loki spalił jego krainę, Perun więc ma w zasadzie status uchodźcy, ale jestem ciekaw, jak to przedstawi obcemu.

– Tak, jestem tu gościem.

Aha. Czyli tylko podstawowe dane.

Flidais ujmując jego dłoń i dodaje:

– Moim gościem.

– Aha – mówię, rozumiejąc, co ma na myśli.

Siodhachan nie wspominał mi o tym, że są razem, więc to może coś nowego. Albo może ten szczegół nie wydał mu się istotny. Znając reputację Flidais, domyślałam się, że ledwie przed chwilą Perun był jej gościem w lesie, a liść w jego włosach świadczy o tym, że świetnie się bawili. Musiała już zauważyć ten liść – raczej nie da się go przeoczyć – zatem zostawiła go tam celowo. Ale właściwie co chciała przez to osiągnąć? Czy ma to być tylko niewinny żarcik z kochanką? Czy oznaczenie go jako jej własności? Czy też jakiś znak dla mnie lub dla naszych gospodarzy? Jako że Fand jest jej córką, być może Flidais bawi zawstydzanie jej takimi drobnymi dowodami rozwiązłości. Nigdy się tego nie dowiem, jeśli nie zaczekam i nie będę obserwował, mówię więc:

– Życzę wam obydwójgu spokoju i harmonii.

Flidais rejestruje to, że zauważyłem liść i nic nie powiedziałem. Puszczając do mnie oko tak, że Perun tego nie zauważa. Potem jeszcze uśmiecha się miło.

– Manannán i Fand oczekują nas w jadalni – wyjaśnia. – Dołączymy do nich?

– Czekać cię posiłek, którego długo nie zapomnisz – zapewnia mnie Perun, wymachując wielkimi łapami. – Nikt nie serwuje takich kolacji jak Fand i Manannán.

I nie przesadza. W życiu nie widziałem tyle jedzenia, a do stołu siada tylko nas pięcioro. Najdziwniejsze, że to wszystko mamy raczej podziwiać, niż jeść. Każde z nas ma przy sobie faerię, która stawia przed nim pełny talerz, ale zaraz go zabiera po kilku pierwszych kęsach. Po czym pojawia się kolejny talerz z przysmakami do skosztowania, ale nigdy z tym, co już stoi na stole. Talerze pojawiają się z kuchni. Osobna grupa faerii odpowiada za napoje, dolewając nam, czegokolwiek sobie zażyczymy.

– Na libację sprowadzimy każdy trunek, jakiego sobie zażyczysz – zapewnia mnie Fand, gdy tylko siadam, i choć pojęcia nie mam, co to, kurna, libacja, ważne, że chodzi o picie. Postanawiam sprawdzić, czy naprawdę każdy.

– A mielibyście może kapkę whisky? Jakąś taką dwudziestoletnią czy starszą?  
Siodhachan mówił, że takie napoje są dość rzadkie i drogie, bo ludzie generalnie mają duże trudności z tym, żeby poczekać z piciem czegoś, co już wydestylowali. Fand odpowiada mi dość szczerze:

– Tak starej whisky nie mamy, ale zaraz zostanie przyniesiona dla ciebie z Irlandii. –  
Odwraca się do faerii odzianej w jej liberię: – Przynieś nam, proszę, jak najszybciej taką whisky.  
Sługa, który pewnie jest tu szafarzem, kłania się nisko i mówi:

– Tak, królowo – po czym znika.

Rozumiem, że zamierza ukraść mi na ziemi kilka flaszek.

Gdy tylko siadam przy stole, z trudem udaje mi się nie wpatrywać w Fand. Jest to kobieta niezwyklej urody, choć czuć w niej pewien chłód – jest trochę jak ostre, ośnieżone szczyty gór na tle błękitnego nieba. I im bardziej o tym myślę, tym trafniejsze wydaje mi się to porównanie. Góry nie wywołują u mnie żadnego seksualnego pożądania – i bogom dzięki, bo co może być bardziej bezsensowne niż posuwanie góry – ale zawsze chętnie na nie patrzę i jestem wdzięczny, że mogę. Fand jest właśnie taka. Olśniewająca i niedostępna.

Z trudem odrywam od niej wzrok i skupiam się na Manannánie. Facet stara się bardzo wyglądać na spokojnego, ale trochę za mocno zaciska palce na swoim dzbanie, żebym mógł uwierzyć w ten jego pozorny spokój. Dzban pełen jest jakichś pyszności uwarzonych przez Goibhniu, więc to na pewno nie chodzi o piwo. Coś go męczy i myślami jest gdzie indziej.

– Co takiego zajmuje ci dni ostatnimi czasy, Manannánie? – pytam uprzejmie.

Prycha.

– Lepiej spytaj, co nie. Muszę się zajmować morzami i zmarłymi. Muszę przeczesywać oceany w poszukiwaniu Jörmungandra i starać się nie zabić przy tym Posejdona i Neptuna, którzy mają mi jakoby pomagać w poszukiwaniach, ale raczej słabo im to idzie.

– A tak. Słyszałem, że z Olimpijczykami bywa ciężko.

Znów prycha. Ta kolacja zmieni się zaraz w festiwal prychania.

– Delikatnie mówiąc – warczy. – To skończone ignorantupki.

Pojęcia nie mam, co znaczy to słowo, ale Perun też nie i pyta o to pierwszy.

– Ignorantupek to ktoś – wyjaśnia Manannán – kto jest nie tylko bezbrzeźnie głupi, ale jest też zwykłym dupkiem.

– To być wspaniałe słowo! – woła zachwycony Perun. – Znam całą mnóstwą ludzi, którym pasować to słowo! Bardzo użyteczne! – Odwraca się w moją stronę. – Ty się zgadzać, Eoghan?

– Zdecydowanie. Na pewno będę miał okazję go użyć. Rozumiem z tego, Manannánie, że na razie poszukiwania Jörmungandra nie zakończyły się sukcesem?

– Na razie nie. Podejrzewam, że znacznie zmniejszył swój rozmiar. Ale jeśli chce zaatakować, będzie musiał znów urosnąć, musimy więc mieć się na baczności.

Szafarz wraca z kilkoma butelkami bardzo dobrego trunku i mi je pokazuje, ale najlepszą zostawia na koniec. To coś, co się nazywa Knappogue Castle 1951. Twierdzi, że ta whisky była destylowana w Tullamore, a potem przez trzydzieści sześć lat dojrzewała w wiśniowych beczkach, nim w 1987 roku przelano ją do butelek. Teraz, w 2022 roku, zostało mniej niż sto takich butelek na świecie. Jest to najrzadsza irlandzka whisky na rynku i pamiętam, że słyszałem już o niej. Rúla Búla w Tempe miała nawet jedną butelkę. Siodhachan mówił, że kupił szklaneczkę tego specjału temu chrześcijańskiemu bogu Jezusowi.

– Ano, tę poproszę. Zostaw mi tu na stole całą butelkę, synek – mówię, bo jak już pić kradzioną whisky, to najlepiej taką, którą piją bogowie.

Widząc moje zadowolenie, Fand zaszczycą swojego szafarza uśmiechem i skinieniem

głowy.

– Wyśmienicie – chwali go, a faeria tak się przejmując tym dobrym słowem, że mało się nie poroczy, i kłaniając się nisko, wycofuje się wzruszona.

– A ty co porabiasz, Fand, gdy Manannán załatwia te wszystkie sprawy? – zwracam się do niej, nalewając sobie whisky.

– Zarządzam naszą posiadłością. I wykonuję różne sprawunki dla Brighid. Aktualnie wiele faerii zajmuje się poszukiwaniami Lokiego, więc koordynuję ich pracę.

– Udało się go namierzyć?

– Niestety ukrywa się równie dobrze jak Jörmungandr.

– Hmm. – Rozkoszuję się złocistym pieczeniem whisky w gardle i rozważam jej słowa. – Czy ktoś próbował już wywróżyć Lokiego? A Jörmungandra?

– Tak. Bez skutku – odpowiada Flidais, a Fand tylko kiwa głową.

– A jego ludzie? Nie znam się na nordyckich stworzeniach i niewiele wiem o ich mocach, ale czy ten cały Odyn nie może go jakoś zlokalizować?

Odpowiada mi Manannán:

– Ma tron, który nazywa się Hlidskjálf, i może z niego zobaczyć niemal wszystko z wyjątkiem krainy Hel. Jej całe królestwo zasnuwane jest gęstą mgłą.

– A ty wiesz co nieco o ukrywaniu we mgle, prawda? – stwierdzam z uśmiechem.

Nim Manannán ma czas mi odpowiedzieć, wcina się Flidais:

– Już nie możemy się doczekać, kiedy znów spotkamy Lokiego. – A jej mina świadczy dość wymownie o tym, że nie będzie to spotkanie miłe dla tego nordyckiego boga. – Wierz mi, że jeśli znów go spotkam, będzie miał natychmiast strzałę wbity w szyję.

– Wierzę ci z całego serca – zapewniam ją. Nalewam kolejną rundkę, unoszę szklanekę i proponuję wypić za szybką acz bolesną śmierć Lokiego.

– *Da!* Szybka i bolesna śmierć! – ryczy z zapalem Perun, jego broda aż się trzęsie z przejęcia, a pozostali z wielkim entuzjazmem dołączają się do toastu.

Powinienem tu od razu zaznaczyć, że nie mam zwyczaju pić za niczyją śmierć. Zwykle o wiele chętniej piję za pokój i zdrowie, a i równie chętnie piję zupełnie bez powodu. Tym razem jednak sytuacja była wyjątkowa.

Przed nami pojawiają się kolejne smakołyki, a konwersacja płynie gładko i ciekawie. Postanawiam tylko ją mentalnie nagrywać, a potem będę odsiewał to, co nieważne.

Może źle to ująłem. Informacje, które zbieram, przypominają raczej jedno wielkie łajno, z którego potem będę usiłował wyrzeźbić prawdę. Brzydką prawdę, która na pewno będzie cuchnęła jak łyko. I być może będzie nieco chybotliwa, bo i ja nie trzymam się najlepiej na nogach, wypiwszy dobre pół butelki whisky i zjadłszy więcej niż kiedykolwiek.

Kiedy kilka godzin później jakaś faeria musi mnie ratować przed rymśnięciem gębą w *pie'a*, wiem już, że czas się zbierać. To chyba dość uniwersalna prawda: jeśli już nie dajesz rady zjeść swojego *pie'a*, lepiej idź do domu.

Belkoczę jeszcze jakieś chaotyczne podziękowania za gościnę i udaje mi się wstać od stołu. Nawet jestem na tyle przytomny, żeby zgarnąć butelkę z resztką tego boskiego trunku, gdy dwie faerie próbują mnie wyprowadzić z zamku. Bardzo rozsądnie prowadzą mnie od razu do śmierdzącego chlewu, gdzie mój żołądek pozbywa się nadmiernej zawartości prosto w błoto.

– Aaa, znaaacznie lepieeeej – mówię im. – Niiieeemaaciejakiejwoooooody?

Opieram się o płot i czekam, aż jedna z faerii wróci z bukłakiem czegoś, co by nie było whisky. Z bramy wylaniają się Perun i Flidais, żegnają się ze mną miło i dość niepewnym krokiem kierują w stronę wschodniego pastwiska. Choć mój biedny łeb kręci się jak pies, co to się szykuje do spania, ignoruję trwające przy mnie uparcie faerie i pozwalam, by w mojej starej

czasem przesuwają się powoli wydarzenia tego wieczoru. Dziś nie jadłem kolacji z takimi samymi ludźmi jak wczoraj, to jest z ludźmi, których mogłem dość szybko jednoznacznie skreślić z listy podejrzanych o prowadzenie tajnej wojny z druidyzmem (bo jeśli ktoś próbuje zabić dwóch ostatnich druidów, to jakże to inaczej nazwać?).

Kiedy faeria wraca wreszcie z wodą, mówię jej i tej drugiej, żeby spadały, bo próbuję dojść do siebie, a nie mogę, jak tak nade mną ślęczą. Gdy mnie wreszcie zostawiają w spokoju, usiłuję z jaką taką godnością, z whisky w jednej ręce, a wodą w drugiej, dotrzeć z powrotem do drzew i tym samym jak najdalej od śmierdzących wieprzów. Idzie mi nawet całkiem nieźle, jeśli chodzi o kierunek; gorzej z tą godnością.

W tym filmie, który mi puścił Hal, tamten detektyw Holmes mruży oczy albo mówi zbyt szybko, żeby pokazać, jaki to jest bystry i świetnie rozwiązuje sprawy. Albo leży na kanapie, a na ramieniu ma plastry, które dostarczają chemikalia do jego mózgu. Te sceny robią z niego sprytnego nałogowca, ale nie mówią nic o tym, jak pracuje geniusz. Ani druid. Tymczasem tak naprawdę Sherlock szkoli swój umysł tak, by zapamiętywał szczegóły, odtwarzał je, gdy zachodzi taka potrzeba, i wylapywał między nimi ukryte związki i znaczenia. To jak dostrzeganie zwierząt w chmurach – para jest ta sama, ale bywa, że jesteś jedyną osobą, która widzi, co tam płynie po niebie, bo patrzysz akurat pod odpowiednim kątem i masz wystarczającą wyobraźnię. I na tym polega magia Sherlocka Holmesa – to jego talent do syntezy i odkrywania. Każdy może wyćwiczyć umysł we wchłanianiu i odtwarzaniu informacji. Na tym w większości polega przecież nauczanie druidyzmu. Ale analizowanie ich to zupełnie osobna sprawa i nie jestem pewien, czy mój sposób rozumowania – bądź co bądź przestarzały o dwa tysiące lat – nada się tu do czegoś. Szczególnie gdy jest zamroczony whisky.

Wypijam połowę bukłaka, a resztę wody wylewam sobie na łeb, żeby osiągnąć stan lekkiego podchmienienia zamiast prawie zerowej przytomności. I myślę sobie tak: problem z tą grupą bogów jest taki, że wszyscy oni są wystarczająco przebiegli, by odwalić taki myk. Manannán niby wciąż jest na morzu, ale kto mi niby zagwarantuje, że rzeczywiście tam jest? Faerie Fand nie mogą go tam przecież wyśledzić, a on doskonale potrafi się przenosić z krainy do krainy. Flidais znika na całe dni w lasach we wszelkich możliwych krainach i nikt jej nie namierzy. Ma przy tym smykałkę do łowów, wybitny spryt i doświadczenie myśliwego, a jakby tego było mało, dodatkowo boga piorunów na każde skinienie.

Jeszcze trzy chwiejne kroki i już jestem na skraju drzew, które rosną wokół posiadłości. I to w tym miejscu, o wiele szybciej, niż się tego spodziewałem, w moim zamroczonym umyśle nagle rozbłyskuje odpowiedź i drze się na mnie:

– Ta-da!

Kiedy Siodhachan próbował mnie wprowadzić w tajniki współczesnych przekleństw, niezwykle podkreślał wagę spółgłosek.

– Jest czas na kurnę i czas na kurwę, Owen. I mądry Irlandczyk wie, kiedy co powiedzieć.

Głowy nie dam, czy jestem mądry, ale wiem, kiedy sytuacja wymaga zmiany najważniejszej spółgłoski.

– Kurwa mać! – mówię do drzew, nim po ich niciach przeniosę się z powrotem do lasu za domem Sama Obrista. – I co my teraz zrobimy?

Drzewa nijak mi na to nie odpowiadają, ale kołyszają się tak zamasyście, że musi wiać cholernie potężny wiatr. No chyba że to ma coś wspólnego z tą moją whisky.

## Rozdział 20



Wróciłbym do naszej chaty w Kolorado, gdyby nie to, że Owen miał się po wyprawie do Tír na nÓg zgłosić do Sama Obrista, a poza tym musiałem jeszcze oddać samochód wynajęty we Flagstaffie.

Gdy już Jezus się ze mną pożegnał, zostawiając mi na pamiątkę kieliszki i resztkę tequili, jakoś nie czułem, żebym w ogóle choć trochę się posunął naprzód w wymyślaniu, co tu dalej robić. Miałem więcej wątpliwości niż wniosków, a niepokój o Granuaile narastał z każdą chwilą. Gdy w piątek wieczorem zaczęło się już robić ciemno, pomyślałem, że jednak spróbuję do niej zadzwonić. Przeniosłem się z powrotem do Arizony, gdzie miałem zasięg, i już chciałem wcisnąć jej numer, kiedy przyszedł od niej esemes, że mam się o nią nie martwić. Wciąż była w Indiach, gdzie był teraz sobotni poranek. Nie wiedziałem, jak w końcu wszystko się potoczyło z jej tatą, ale pisała, że o to też się mam nie martwić, więc miałem teraz ten luksus, że mogłem się spokojnie zastanowić nad kolejnym krokiem.

Wymarzyłem sobie kilka różnych scenariuszy pełnych męskich, zdecydowanych akcji opartych na mięśniach, mieczach i stękaniu z wysiłku, ale wcale nie byłem pewien, czy któryś z mojego gangu dziewięciu bogów pobłogosławiłby takie opcje. Jezus dość jasno dał mi do zrozumienia, że jestem zdany na siebie, a to oznaczało, że każde moje działanie będzie okropnie ryzykowne. Po nocy spędzonej pod gwiazdami przedłużyłem medytację na sobotę. Wybraliśmy się z Oberonem na długą przebieżkę do lasu narodowego Coconino, gdzie Oberon poinformował mnie o swoich planach na napisanie książki takiej jak Miyamoto Musashi, z tym wyjątkiem że jego będzie zatytułowana *Księga pięciu mięs*.

*Tylko pięciu?*

<Trzeba sobie zawsze zostawić miejsce na sequela, Atticusie>.

*Sprytne. O tym nie pomyślałem. Miyamoto podzielił swoją książkę na pięć kręgów czy też sposobów: Krąg Ognia, Krąg Ziemi i tak dalej. Każdy ten krąg nauczał o innym aspekcie jego podejścia do sztuk walki. A jak będą wyglądały twoje kręgi?*

<Krąg Drobiu. Krąg Wołowiny. Krąg Owoców Morza. Krąg Delikatesów>.

*To interesujący podział na grupy, Oberonie. Zwłaszcza że owoce morza i delikatesy to dość szerokie kategorie. Bardzo jestem ciekaw, co będziesz miał do powiedzenia na temat salcesonu. A ostatnia grupa?*

<Krąg Kielbasy oczywiście. Uwaga, zaczynam!>.

*Dawaj.*

<Doskonałość życia, tak jak doskonałość kielbasy, osiągamy poprzez smak, który musi być różnorodny i składać się muszą nań rozmaite przyprawy, by karmił nas i budził w nas naturalną chęć do miłowania go>.

*Jest tu coś na rzeczy, chłopie.*

<Nawet najwspanialsza kielbasa jedzona dzień w dzień powszednie nam z czasem>.

*O! To jest świetne. Ostrzeżenie przed niebezpieczeństwem rutyny, a do tego jaki ładny rytm i jeszcze podtekst na dodatek.*

<Pod co? Znaczy, oczywiście, że ma podseks. Tak to przecież zaplanowałem!>.

Mój telefon zadzwonił w końcu w niedzielę po południu. Był to numer Sama Obrista, ale po drugiej stronie usłyszałem głos Owena.

– Siodhachan?

- Tak?
- Podjedź no do domu Sama, żebyś nie musiał dłużej gadać z tym wynaturzonym łajnem, na miłość boską.
- Co, do licha, Owen? Sam nie jest żadnym wynaturzonym łajnem!
- Co takiego? Niech cię piorun, przecież nie mówię o Samie, kurna, tylko o komórce!
- Musisz zacząć starannie dobierać słowa!
- Zamknij dziób i mi tu nie nudź o słowach. Zapomniałeś już, że to nie jest mój ojczysty język, kurna?
- Dymaj se kozę!
- Wydymałeś już je wszystkie!
- Zaraz tam będę!
- I dobrze!

Rozłączyłem się i zobaczyłem, że Oberon dziwnie na mnie patrzy.

<Hmm, dość szybko doszło do eskalacji konfliktu>.

Wzięłem głęboki wdech i próbowałem się uspokoić.

– No. Nie wiem, jak to się dzieje, ale rozmowy z nim zwykle tak właśnie przebiegają.

Kiedy dotarłem do domu Sama, czekało mnie powitanie w stylu: „Koniec zabawy.

Siodhachan przyszedł”. Owen zostawił im pół butelki whisky, a jego niepewny krok świadczył dobitnie o tym, gdzie się podziało drugie pół, ale w końcu udało nam się przenieść do Kolorado. Był tu pierwszy raz i nawet zadał sobie trud, by powiedzieć kilka miłych słów na temat okolicy. Być może był to jego sposób, żeby przeprosić za to niemile zachowanie przedtem. A może za to potem.

Narastający ziąb zapowiadał zbliżającą się zimę, a ptaki już zaczynały to zauważać. Gdy słońce kryło się za postrzępione szczyty pasma San Juan, wiele z nich już głośno świergotało, że czas się zbierać na południe. A przynajmniej tak to brzmiało, jakby co najmniej jedna para powiedziała: „Chrzańć to, spadamy stąd w tej chwili”.

Dobre pół godziny siedzieliśmy z Owenem na leżakach z piwem w dłoniach i wsłuchiwalismy się w milczeniu w pieśń Gai, udając, że nie mamy o czym rozmawiać. Po czym nagle bez żadnego wstępu Owen odchrząknął i zaatakował temat, którego starannie unikał, odkąd wrócił:

– Słuchaj, Siodhachan, dobra wiadomość jest taka, że to nie Brighid.

– Tak, wiem. Właśnie też się tego dowiedziałem z innego źródła. Ale cieszę się, że nasze źródła są co do tego zgodne.

Mój archdruoid pokiwał głową z niepewną, zawiedzioną miną, jakby bardzo żałował, że nie ma już co roztrząsać dobrych wieści i trzeba przejść do złych.

– Dobra. Pamiętaj, że nie mam żadnych dowodów – powiedział. – Ktoś inny będzie je musiał zdobyć. Dysponuję jedynie poszlakami, ale jestem przekonany, że mam rację. Opowiem ci wszystko po kolei. Cały ten cyrk z faerycznymi zabójcami, wampirami i mrocznymi elfami zaczął się, kiedy przestałeś się ukrywać i przedstawiłeś na dworze faerii, prawda?

– Prawda.

– Czyli to twoje pojawienie się tam uruchomiło całą tę maszynę. Wiemy, że to nie Brighid, i możemy też spokojnie wyeliminować wszystkie faerie, bo nie mają wystarczających kontaktów z istotami spoza Tír na nÓg, żeby przeprowadzić tak szeroko zakrojoną intrygę. Czyli to musi być ktoś z Tuatha Dé Danann.

– Aha.

– Jeśli się przyjrzeć synom Brighid, to chłopaki nie mają motywu. Każdy z nich jest całkowicie pochłonięty swoim rzemiosłem i cieszy się, że wróciłeś, bo dzięki tobie ich życie jest

bardziej interesujące. Ogma aż się pali do bójki, ale on z kolei lubi komuś po prostu przyłożyć, a wszelkie subtelności woli pozostawić innym. Gdyby to on cię chciał dorwać, wiedziałbyś o tym od razu. I podobnie rzecz się ma z Flidais. Gdyby chciała, żebyś nie żył, to już byś nie żył, a z oka sterczałaby ci jej strzała. Poza tym przybyła ci przecież na ratunek wtedy, gdy goniły cię łowczynie. Prawie wszyscy inni, którzy mieliby moc i środki, żeby odwalić taką grę, już dawno nie żyją. Jednym słowem, na mój rozum zostaje nam tylko dwoje spośród Tuatha Dé Danann: Manannán Mac Lir i Fand.

– Nie.

Wolną ręką walnął w podłokietnik.

– Słuchaj, kurna, co do ciebie mówię, synek! Obydwoje są niesamowicie dobrzy w utrzymywaniu tajemnic, ale tylko jedno z nich miało okazję, by to zrobić. Manannán Mac Lir ma na głowie wszystkie obowiązki pana mórza, a do tego jeszcze teraz jest jedynym irlandzkim bogiem umarłych, więc zwyczajnie nie miałby czasu. Zresztą motywu też nie.

– Czy ty mi mówisz, że to Fand? A niby jaki ona by miała mieć motyw?

– Jest Królową Faerii, Siodhachanie! Faerii, które nie znoszą zimnego żelaza, które nienawidzą cię i boją się cię jak niczego innego i które, pozwól, że ci przypomnę, wybierasz regularnie od lat.

Byłem tym tak oszołomiony, że zdołałem tylko wybąkać:

– Ale Fand jest dla nas zawsze taka miła...

Mój archdruid stracił smętne resztki cierpliwości.

– Oczywiście, że jest, kurna, miła, ty wielgachny cycu! Popiera cię Morrigan, jej własny mąż, a nawet Brighid, więc Fand nie ma wyjścia, musi cię zawsze witać z uśmiechem na twarzy! Ale nienawidzi cię z całego serca, bo współczuje faeriom, które tak ją kochają. Faerie szanują Brighid, boją się jej, Siodhachanie, ale to Fand uwielbiają. A Fand jest gotowa zrobić wszystko, by zapobiec pojawieniu się kolejnego Żelaznego Druida. Czy ty tego nie widzisz, że jak dla niej jeden to już i tak zdecydowanie za dużo? Więc chce zlikwidować i ciebie, i Granuaile, ale w taki sposób, żeby nikt się nie domyślił, kto za tym stoi. Manannána prawie nigdy nie ma w domu, a jej mama spędza czas w lesie, grzmocąc się z Perunem, więc Fand ma mnóstwo czasu, by knuć, znikać i wracać tak, że nikt nawet tego nie zauważy. Granuaile poznała na dworze, gdy ją przedstawiłeś bogom, a zatem znała jej imię, uściśniła jej dłoń, może nawet zwinęła jej włos czy coś, żeby łatwiej jej było potem namierzać ją przez wywrócenie, i to wystarczyło. Odtąd mogła zawsze was zlokalizować poprzez Granuaile i nasyłać na was takich czy innych zabójców, choć trochę czasu jej zajęło, nim udało jej się dogadać w tej sprawie z Rzymianami i odciąć was od możliwości przemieszczania się między krainami.

– I myślisz, że to ona zabiła Midhira i Lorda Łonobrodego? I zostawiła mantykorę w jego domu...?

– Ano. Mantykora wspomniała ci, że porwał ją ktoś zamaskowany i o dziwnym głosie, prawda?

– Tak.

– Założę się o trzy babcie i wszystkie ich ciasteczka, że miała na sobie tę samą maskę, gdy zabiła Midhira. W ten sposób, gdy przyszedł po niego Manannán, Midhir nawet nie mógł mu powiedzieć, że to Fand dokonała zbrodni.

– Na bogów, Owen. Przecież ona jest żoną Manannána i córką Flidais.

– Wiem, synek. – Uśmiechnął się szeroko, rozłożył wygodnie na leżaku, wziął łyk guinnessa i oblizał się ze smakiem. Na jego wąsach zostało trochę piany. – To jest po prostu pyszne. Ot co. Ale ty to masz, kurna, przerąbane. Słowo daję.

– Może niekoniecznie.

- Tak? Niby jak z tego wybrniesz?
  - Przecież wiem już, jaki jest jej tok rozumowania. Gdyby ktoś mi zabijał ludzi, których kocham, też bym go próbował dorwać. Trudno mi ją winić, bo na jej miejscu zrobiłbym to samo. Musi istnieć jakiś sposób, żeby nareperować stosunki między nami.
  - Aha. Czyli chcesz się położyć i pokazać jej swój brzuch, co? Będziesz się sam prosił, żeby cię zabiła, bo jej złość jest w pełni usprawiedliwiona?
  - Oczywiście, że nie. Ale to jeszcze nie jest sytuacja zabij-albo-daj-się-zabić. Jeszcze możemy porozmawiać.
  - Ano, synek. Głowę daję, że i z Midhirem też sobie miło pogadała, nim go zakuła w te żelazne łańcuchy i poderznięła mu gardło – zadrwił mój archdruid.
  - Jestem w zupełnie innej sytuacji niż Midhir. Ja tylko... nie... nie chcę tak od razu uciekać się do przemocy.
  - Dlaczego nie? Przemoc rozwiąże problem i jesteś w niej dobry.
  - Nie. Za każdym razem, kiedy mi się wydaje, że rozwiązałem jakiś problem przemocą, okazuje się, że tylko się w jego miejsce pojawiło kilka nowych. Przemoc jest jak hydra...
  - Hydra? To taki żółty słupek, który mi pokazywałeś niedawno?
  - Nie. Tamto to hydrant, a hydra to grecki potwór. Taki, któremu jak odetniesz łeb, to odrosną mu dwa nowe.
  - O. No to nie ma co odcinać łba. Trzeba wyrwać mu serce albo nerki.
  - Tak, Owenie, o to mi właśnie chodzi. Że chciałbym rozwiązać ten problem jakoś inaczej.
  - A rozwiąż go sobie, jak chcesz, nawet na kolanach. Tylko mi potem nie mów, że ci nie mówiłem.
- Zdusiłem odpowiedź, która cisnęła mi się na usta, i zamiast tego spytałem:
- Jutro Samhain. Chcesz świętować ze mną?
- Owen nie odpowiedział od razu, zupełnie jakby zastanawiał się, co się kryje za moją propozycją. W końcu odparł:
- Ano, synek. Tak zrobię.
  - Dobrze. Jeśli szczęście nam dopisze, będziemy świętować z Manannánem Mac Lirem.



## Rozdział 21



Ta krótka wymiana esemesów z Atticusem bardzo mnie pociesza i wręcz zaczynam mieć nadzieję, że być może ten dzień przyniesie coś dobrego. Po śniadaniu daję w hotelu znać, że zostaniemy na jeszcze jeden czy dwa dni, a potem wracamy do gaju bananowego, bo wiem, że tam będę miała spokój. Siadam w pozycji lotosu, zamykam oczy i kontaktuję się z żywiołakiem Kaweri. Rozmawiamy przez dobre kilka godzin. Orlaith kładzie się na kolejną drzemkę. W końcu udaje nam się z żywiołakiem namierzyć miejsce pod ziemią, gdzie w starożytnych czasach istniało jakieś pomieszczenie, które teraz jest wypełnione.

Kaweri wyjaśnia mi, że to:

//Miejsce magii / Uśpione od dawna / Niebezpieczne / W środku skryte okrawki powietrza//

To może wcale nie być skrytka ze strzałami Waju, ale jednak „miejsce magii” brzmi interesująco i – z braku jakichkolwiek śladów Logana – proszę Kaweri, żeby nas tam zaprowadziła. Ruszamy na północ od gaju i w końcu Kaweri każe mi się zatrzymać pośrodku pola ryżowego, które na ten sezon leży odłogiem. Jesteśmy tu same.

//Tu// mówi.

Przede mną osuwa się czarny kwadrat gruntu, jakby spływał odpływem w zlew. Czuję ostry zapach ziemi. W dziurze pojawiają się stopnie prowadzące w ciemność, w której mogę odkryć cuda lub koszmary. Jest w niej coś, co mnie niepokoi. Waham się.

*Orlaith?*

<Tak?>.

*Wcale nie mam ochoty tam iść, ale czuję, że powinnam. Lepiej będzie może, jak zaczekasz tutaj. Żywiołak mówi, że to niebezpieczne.*

<Chodzę z tobą. Też jestem niebezpieczna>.

Prawda jest taka, że wolałabym iść z nią, ale nie mogę ryzykować. Oberon odniósł kiedyś bardzo poważne rany, gdy usiłował ochronić Atticusa przed wampirem.

*Wiem, że jesteś, Orlaith, ale rozsądniej będzie, jeśli tu zaczekasz, żeby w razie czego mi pomóc. Zostań, proszę. Wróć, gdy tylko będę mogła.*

Wcale jej się nie podoba ten pomysł, ale posłusznie zostaje ze zwieszonymi uszami. Schodzę ostrożnie w ciemność, schodek po schodku. Mówię sobie, że złe przeczucie, które mnie opada, jest zupełnie irracjonalne, bo jeszcze przed chwilą była tu sama ziemia. W środku nie może być niczego, co mogłoby mnie skrzywdzić. Ale jestem przecież na tyle obeznana z horrorami, żeby wiedzieć, że dziewczęta, które wchodzą same w ciemne miejsca bez latarki, zwykle marnie kończą. Gdzieś w połowie drogi – a Kaweri zrobiła mi bardzo długą klatkę schodową, bo ta komnata znajduje się dość głęboko – wrzucam noktowizję i liczę na to, że słabe światło z powierzchni wystarczy mi tam, pod ziemią.

Na dnie jednak okazuje się, że nie wystarczy, nawet z noktowizją. Proszę Kaweri o stworzenie jakiegoś świetlika i żywiołak posłusznie otwiera dla mnie wąską szparę w ziemi nad moją głową, tak żeby do dziury wpadała odrobina światła słonecznego.

Znajduję się w obszernej starożytnej komnacie – może mieć dobre dziesięć metrów wszerz i wzdłuż. Resztki oryginalnych ścian i podłogi mieszają się z ziemią. Nie mam pojęcia, jakim cudem Kaweri zapamiętała w ogóle jej kształt, ale nim mam czas przyjrzeć się czemukolwiek uważniej, światło niemal natychmiast zaczyna gasnąć. Szpara się nie zamyka. To

coś ciemnego pojawia się między nią a resztą sali, jakby ktoś wkładał całe pomieszczenie do czarnej torby.

//Pytanie: Co się dzieje?//

//Stara istota się budzi / Długo ukryta / Zapomniana / Nienawidzi światła / Powietrza//

Odruchowo chcę wołać Orlaith, ale opanowuję się, bo nie chcę, żeby i ona natknęła się na to coś. Coś niewidzialnego popycha mnie do tyłu, coś bezpalcego i bezkształtnego, ale o niezwykłej sile, wciska mnie w podłogę. Ciśnie coraz bardziej, wyciska mi powietrze z płuc, miażdży nogi, ręce, głowę – klaustrofobiczny koszmar.

Nie mam z czym walczyć. Nie mam od czego się odepchnąć. To tak jak utknąć w zsypie na śmieci, w którym ktoś włączył ubijarkę, tylko że nie ma tych stalowych ścian ani astromechanicznego droida na drugim końcu komunikatora, który by potrafił wyłączyć podłgę maszynę. To raczej miękki, nieubłagany ciężar – jak poduszka ciśnięta przez wielkiego hulka. W połączeniu z nieprzeniknioną ciemnością ten ciężar jest świetnym paliwem dla narastającej we mnie paniki. Jeśli nie wykombinuję, jak uciec, zaraz zostanę uduszona. Włączam magiczny wzrok, ale to nic nie zmienia. Widzę tylko kompletną ciemność, nic, co mogłabym zaatakować, nic, co mogłabym spleść. A jednak coś przecież próbuje mnie zabić.

Nie mogę nawet unieść ręki, by zadać cios na oślep. Wykorzystuję ograniczone zasoby magii, które mam w srebrnej części Scáthmhaide'a, bo żaden z moich tatuaży nie dotyka akurat ziemi – pod moim prawym ramieniem znalazło się kilka fragmentów starożytnej podłogi, więc zupełnie izolują moje tatuaże na bicepsie od źródła magii. Szybko okazuje się, że nawet moja podkręcona siła nie wystarczy, by wyrwać się spod tego ciężaru. Ale gdy próbuję unieść rękę, okazuje się, że mogę się odrobinę przesunąć bokiem.

Łamię mi się obojczyk – pierwszy z wielu kości. Jeszcze kilka sekund, a popękają też mocniejsze, a wtedy zapadnę się jak łódź podwodna, która zeszła zbyt głęboko – okruchy wapnia pływające w skórzanej torbie pełnej krwawej zupy.

Przesuwam lewą rękę do uda. Z wielkim trudem odpinam kciukiem rzemyk przytrzymujący Fuilteacha w pochwie. Wyciągam wirujące ostrze i krawędź zostaje natychmiast wciśnięta w ziemię, a nacisk zwiększa się z każdą sekundą. Próbuję przekręcić nóż tak, żeby czubek stał na sztorc, ale mój nadgarstek po prostu pęka. Po chwili pęka też prawy, a potem obie golenie tuż nad kostkami. Potem nos. Nie mam już dość powietrza, by krzyżeć, a zresztą i tak czuję, że moje gardło już się zapadło. Moje palce tak mocno zaciskają się na rękonożce, że czuję, jak pękają w nich kości. Jeszcze chwila, a wszystko będę miała połamane. Nie mając innego wyjścia i zaciskając zęby z bólu, wciskam nóż w kierunku pochwy, tylko że jest już niżej i ani drgnie. Ale w walce z istotą, która jakimś cudem otula ofiarę jak koc, każdy cios jest ciosem w jej ciało. Czubek wirującego ostrza coś przedziurawia i gdzieś z tyłu komnaty słyszę nagle cichy dźwięk, jakby pękł balonik. Ciśnienie się zmniejsza.

Ciemność znika i wraca światło słoneczne sączące się przez szparę. Nie mogę się jednak ruszyć, tylko drzę z bólu i rozpaczliwie oddycham. Zbyt wiele kości mam złamanych, a całe ciało w siniakach. Ale żyję. Póki co. Puszczam Fuilteacha i Scáthmhaide'a. Przerzucam prawe ramię tak, żeby dotknąć ziemi i móc zacząć się leczyć. A potem sprawdzam, co z moim psem.

*Orlaith?*

<Okej, mieć schodzić do ciebie?>.

*Nie, zostań, proszę.*

<Dobra, zostawam>.

Muszę się najpierw upewnić, że już jest bezpiecznie. Pytam Kaweri:

//Pytanie: Więcej starych istot?//

//Nie//

A więc zagrożenie minęło. Naprawdę minęło. Nie widzę żadnego ciała, ale też mam raczej ograniczony zasięg wzroku. Kiedy próbuję unieść głowę, szyja odmawia współpracy. Nie jest sparaliżowana, tylko nadwerżona, tak że nie może chwilowo funkcjonować. Muszę po prostu poczekać.

W uszach mi dzwoni, jakbym właśnie wróciła z koncertu metalowego. Też będzie trzeba je leczyć, ale przynajmniej nic się tak całkiem nie oderwało.

Zaczynam analizować swój stan i stwierdzam, że mam więcej złamań, niż z początku mi się zdawało. Właściwie wszystkie kości, w tym te czaszki, mają jakieś pęknięcia. Moje całe ciało będzie przez jakiś czas jak jeden wielki siniak i choć dość szybko mogę naprawić kości, nie dam rady się jeszcze jakiś czas ruszyć, a już na pewno nie wdrapię się po tych schodach. Na myśl o nich opada mnie niepokój, że ktoś może je odkryć i zajrzeć do środka – zwłaszcza że przecież tuż obok siedzi wielki pies. Będzie mi trudno wyjaśnić, co tu robię i jak to się stało, że odniosłam tak poważne obrażenia. Nim jednak mam czas poprosić Orlaith, żeby do mnie zeszła, odzywa się sama i słyszę w jej głosie zaskoczenie.

<Hej! Wysoki mężczyzna. Nadchodzi.>

*Co? Orlaith, czy jest miły?*

Słyszę cichy męski głos. Coś do niej mówi. Ale Orlaith już nie odpowiada na moje pytanie, mimo że je powtarzam. Zaczynam wpadać w panikę. Potem jakiś cień zasłania mi źródło światła i po schodach schodzi Orlaith, ale nic do mnie nie mówi. Ktoś idzie za nią. I gwizdże.

Chwilę łudzę się jeszcze, że to tylko bardzo wysoka osoba, ale potem, gdy ciało ciągnie się i ciągnie do wysokości, których nie osiąga żaden normalny człowiek, wiem już, że to w ogóle nie jest żadna osoba. A gdy w pole mojego widzenia wchodzi w końcu głowa, widzę płonące włosy wokół wąskiej twarzy. Przystaje gwizdać i wybucha śmiechem, więc rozpaczliwie sięgam zgruchotanym ramieniem po Scáthmhaide'a, w nadziei, że zarzucę na siebie niewidzialność, nim mnie zobaczy. Nie jestem jednak dość szybka.

Jedna z jego rąk staje w płomieniach, a druga wyciąga się w moją stronę. Grozi mi palcem.

– Nie, nie, nie wstawaj. I żadnego mamrotania. Wystarczy jeden twój ruch, a pies stanie w ogniu. Wystarczy, że nie odpowiesz na jedno pytanie, i pies stanie w ogniu. Jasne?

– Tak, Loki Płomiennowłose. – Orlaith staje w kącie, tak że jej nie widzę. Zupełnie mnie ignoruje, więc Loki musiał jakoś przejąć nad nią kontrolę. – Co zrobiłeś z moim psem?

– Tylko sobie z nią pogadałem. Nie stanie się jej żadna krzywda, chyba że nie pozostawisz mi wyboru.

Loki nie spuszcza ze mnie oczu i schodzi dalej po schodach. To najbardziej niepokojące spojrzenie, jakie w życiu widziałam, bo jego skóra wciąż jest pełna blizn wokół oczu po wszystkich tych wiekach niewoli, gdy kapał na nie jad węża.

Nie ruszam się. Gdy dociera do mnie, przykuca tuż obok, a butami celowo przygniata Scáthmhaide'a, żebym nie mogła go użyć, gdybym jeszcze o tym w ogóle myślała. Jakimś niewypowiedzianym rozkazem gasi ogień na ramieniu, a potem obie ręce opiera o uda, tak że dłonie zwisają między kolanami.

– Doskonale. Czas więc zaczynać. Witaj, płomiennowłose dziewczę. Jesteś córką Donała MacTiernana, prawda?

– Tak.

– I druidką?

– Tak.

– A ta dabāva? Jak ją pokonałaś?

– Co? Przepraszam, nie wiem, o czym mówisz.

– Dabāva. Ciśnienie. Na pewno je czułaś, bo masz połamane kości. To istota ziemi. Gasi ogień. Nie przepada też za powietrzem i próbuje je zawsze wypchnąć. Parafrazując stare powiedzenie, uznałem, że czas zwalczyć ziemię ziemią. Czy to właśnie zrobiłaś?

Robi mi się zimno na myśl, co oznaczają jego słowa. Co oznacza sama jego obecność tutaj. Wiedział, że w ciemności czai się tamten potwór, i posłużył się mną, by go pokonać.

– Tak.

Loki uśmiecha się ponuro.

– Ech, nie umiesz kłamać tak dobrze jak twój luby. Czy to to załatwiło sprawę?

Swoją długą ręką bez trudu sięga przez moje ciało i z połamanej dłoni wyjmuję Fuilteacha. Unosi go tak blisko twarzy i przygląda mu się, że i ja dobrze go teraz widzę. Komnata Dusz jest już czerwona, a nie niebieska, czyli yeti odzyskały swoją magię, a dusza tej... dabāvy sprawi, że ostrze będzie przez jakiś czas ostre i nie stopnieje. Nie znajduję w sobie ani odrobiny poczucia winy, że tak się stało.

– Hmm – mruczy Loki. – Broń wykuta w lodzie. Praca godna olbrzymów mrozu. Albo i lepiej, bo nigdy nie widziałem, żeby udało im się zrobić coś tak wspaniałego. Ale to magia wody i jako taka z pewnością świetnie niszczy istoty ziemi.

Żeby nie spytał mnie, skąd wzięłam ostrze, sama zadaję mu pytanie:

– Dlaczego tu przyszedłeś?

– Jestem pewien, że wiesz dlaczego.

– Żeby mnie zabić?

– Hmm... nie. Gdybyś była O’Sullivanem, to powiedziałbym, że tak. Znaleźć go w takim stanie, w jakim ty teraz jesteś, byłoby wręcz bosko. Ale ja jestem tu, tak jak ty, by znaleźć strzały Waju.

– Skąd...

– ...o nich wiem? Jesteś tu, bo znalazłaś odpowiednie wskazówki w dzienniku ojca, nieprawdaż? Wskazówki, których dostarczył mu jego były student imieniem Logan? Obawiam się, że udawałem kogoś dość żalnego. Potrzebowałem pomocy przy znalezieniu strzał, a nie miałem ochoty obiecywać niczego w zamian.

Narasta we mnie przemożna chęć strzelenia go w ten jego zadowolony z siebie pysk, ale nie mogę nic zrobić.

Zatem za tym wszystkim stał Loki. Gdyby nie on, tata nigdy by tu nawet nie przyjechał. To Loki rozpętał ten chaos z rakszasami, wiedząc dobrze, że zabije w ten sposób niezliczoną liczbę niewinnych ludzi, a potem już tylko czekał, aż tu dotrę i zlikwiduję strażnika strzał. Postanawiam, że muszę się cieszyć każdym, choćby najmniejszym zwycięstwem w tej sytuacji.

– Nic ci to wszystko nie dało. Strzał tu nie ma.

– Nonsens. Są tuż obok. Przez tę dabāwę ich nie zauważyłaś.

Nie mogę się nawet obejrzeć w kierunku, który mi wskazuje, bo to ściana za moją głową, naprzeciwko schodów. Loki każe mi poczekać i wychodzi z mojego pola widzenia. Gdy wraca, znów przykuca. Trzyma teraz kołczan z sześcioma strzałami. W normalnym spektrum wyglądają jak zwykłe strzały, choć pewnie samo to, że brzechwy nie zgniły zupełnie przez wszystkie te lata, świadczy, że są wybornej jakości.

– Co w nich takiego niezwykłego?

– Te strzały zostały stworzone przez boga wiatru w taki sposób, że przekłuwają serce wybranej osoby i lecą bez względu na pogodę. Bardzo przydatne, gdy się jest tak słabym łucznikiem jak ja, a tym bardziej przydatne, jeśli się chce walczyć z bogami piorunów, którzy zwykle dysponują całkiem imponującą bronią.

– Thor nie żyje.

– Tak, ale pozostały przecież jego słabsze wersje, a poza tym zawsze może wrócić, jeśli uzna za stosowne. W końcu nadal jest czczony przez ludzi. A do tego są jeszcze inni bogowie. Choćby ten wasz Perun, którego tak przede mną ukrywacie. Rozumiem, że trzymacie go w jednej z irlandzkich krain.

Nie odpowiadam, tylko sama zadaję mu pytanie:

– Skąd wiedziałeś, że strzały są tutaj?

– Niektóre najciekawsze opowieści to te, które nigdy nie zostały spisane. Choćby ta, kiedy trochę zamieszałem z jedzeniem Thora i potem srał przez siedem dni bez przerwy. Widzisz, te żenujące elementy biografii herosów często są pomijane w piśmie. To samo w Indiach. Możesz znaleźć wiele historii o tym, jak w dawnych czasach Durga pokonywała asurów, ale bardzo mało szczegółów tych bitew. Podczas jednej z nich dewi walczyła z całą armią asurów i wystrzeliła wszystkie swoje strzały właśnie tu – mówi, machając nimi w tę i w w tę. – Każda z nich zabiła jakiegoś przeciwnika, a potem Durga cisnęła jeszcze kołczanem tak mocno, że przebiła nim pierś kolejnego. Było to oczywiście wspaniałe, tego nie podważam, ale po bitwie bogini nie mogła nijak znaleźć ani strzał, ani kołczanu. Stało się tak dlatego, że jeden z asurów postanowił podczas walki pozbierać je i ukryć, żeby nikt już nigdy nie mógł ich użyć. Był, widzisz, tchórzem i widząc, jak padają jego towarzysze, wmówił sobie, że to wcale nie będzie ucieczka z pola walki, skoro robi to, by osłabić Durgę w przyszłości. Schował je tu i na straży umieścił dabāvē. Zmarł kilka dni temu, wraz z twoim ojcem, bo mu się ubzdurało, że tym razem Durga zostanie pokonana. Nawet tchórze mogą się na coś przydać.

Nagle coś sobie uświadamiam.

– Hej! A dlaczego ty się już nie jąkasz?

Gdy tym razem się uśmiecha, jest szczerze ubawiony. Głowa mu się kiwa, a włosy znów stają w płomieniach.

– Ja-ja-ja-ja się ją-ą-ą-ąkam? – Płomienie gasną, nim kończy. – Nigdy się nie jąkałem. Ale nieźle udawałem, nie? Wiesz, od kogo się nauczyłem angielskiego?

– Frigg powiedziała, że ktoś cię nauczył, gdy jeszcze byłeś w niewoli. Jakiś duch przysłany przez Hel.

– Tak. Duch, którego mi przysłała, należał do byłego nauczyciela literatury angielskiej. Czytał mi Hamleta. Wielokrotnie. Bo go o to prosiłem. Wspaniała sztuka, pełna oszustw i zrad. Znasz ją może?

– Tak.

– Cóż, podobnie jak Hamlet, gdy już byłem wolny, wydało *mi się stosownem przyjąć taką postać. Jednak kiedy z południa wieje, umiem odróżnić jastrzębia od czapli* \*.

– Nie – mówię. – Nie uda ci się mnie okłamać. Byłam tam i wiem, że nie udawałeś. Atticus cię oszukał. I to kilkakrotnie.

– Tylko za pierwszym razem. Przyznaję, że jest bardzo sprytny i wziął mnie z zaskoczenia kłamstwem o tym, że jest tworem krasnoludów. Ale gdy już się zdrzemnąłem w Nidavellirze, dowiedziałem się prawdy i tylko udawałem, że jestem szalony i głupi. Kiedy w Polsce przyjąłem postać asury, liczyłem na to, że natychmiast będzie chciał podrażnić temat, i zaplanowałem wszystko tak, żeby tu trafił. Ale chyba miał wtedy jednak za dużo na głowie. Posłuzenie się twoim ojcem, żeby dostać się do ciebie, żebyś ty dostała się do tego skarbu – mówi, wymachując mi strzałami tuż przed nosem – było planem B, ale jak tak teraz o tym myślę, trzeba było od razu od tego zacząć. Wszystko tak idealnie się ułożyło.

Pochyla się tuż nad moją twarzą, wyraźnie się ciesząc, że może się tak ze mnie naigrawać, a ja nic mu nie mogę zrobić, bo wciąż jestem niewyleczona, zresztą i tak bałabym się narazić Orlaith na ryzyko.

– Kiedy, a raczej: jeśli uda ci się stąd wydostać, bądź tak dobra i powiedz mu, że go wystrychnąłem na dudka, dobrze? Teraz nie ma już sensu ciągnąć tej komedii, a nie chcę, żeby dalej zadzierał nosa.

Urywa i czeka na moją odpowiedź.

– Przekażę mu to.

– Dziękuję. Doszły mnie słuchy, że zawarł rozejm z Olimpijczykami, ale to na nic.

Ragnarök już nadciąga, świat zostanie oczyszczony i zbudowany od nowa, tak jak powinno się było stać już dawno temu. Mam swoich sojuszników. Są nie do pokonania. A teraz nie ruszaj się, proszę. I tak już dość cię wszystko boli i pamiętaj, że twój pies jest nadal bardzo łatwopalny.

Wyciąga rękę w stronę mojego lewego uda. Opuszcza jego palca wskazującego płonie.

– Co robisz?

– Biorę sobie ten uroczy nóż z lodu. Widzę też, że masz na niego bardzo ładną pochwę.

Jak nie będziesz się ruszać, to może uda mi się ją zabrać bez poparzenia cię.

Mało jest uczuć tak okropnych jak uczucie bezsilności, gdy musisz patrzeć i znosić to, że ktoś wykorzystuje twoją słabość. To żądło, które wcale z czasem nie znika, i nawet teraz, gdy to piszę, wciąż je czuję, ale w tamtej chwili musiałam przełknąć wściekłość, bo nie miałam jak się poruszyć, gdy przepalał rzemień, którym przymocowałam pochwę do nogi.

Czuję ciepło przez dzinsy, choć tak jak obiecał, nie czyni mi żadnej krzywdy. Odcina pochwę i wkłada do niej nóż, a potem wstaje, zabierając też strzały Waju. Kopie Scáthmhaide’a, żebym nie miała do niego dostępu. Patrzy na strzały i na Fuilteacha z podziwem, aż z tego zachwyty zagapia się na chwilę.

– Podarowałaś mi dziś wspaniałe prezenty – szepcze w końcu. – Wiesz, nawet mam lekkie wyrzuty sumienia, że tak cię wykorzystuję. Nie zamierzałem ci niczego dawać w zamian, ale może jednak powinienem choć ten jeden raz pozwolić ukazać się mojej dobrej naturze. – Odrywa przerażający wzrok od swoich łupów i skupia go znów na mnie. Uśmiecha się od ucha do ucha. – Ma pani ochotę na małą niespodziankę, panno MacTiernan?

Wzdrygam się na myśl, co to może być.

– Nie, dzięki.

– Nonsens. Nie wiesz nawet co to. – Ostrożnie odkłada kołczan i ostrze na ziemię u swoich stóp, a potem szuka czegoś w sakwie przy pasie. Wyciąga z niej w końcu jakiś kamienny cylinder, który rzeźbiony jest na spodzie niczym japońska pieczęć, tylko zamiast kanji ma runy. Jego palce stają w ogniu, a kamień rozgrzewa się tak bardzo, że runy aż lśnią.

– Myślę, że to ci się bardzo spodoba.

– Nie, już czuję, że nie. Dzięki za pomysł, ale zachowaj to dla siebie.

– Wciąż jeszcze nie wiesz, co ci oferuję. – Przykuca przy mnie. Jego prawa ręka stoi w ogniu, a lewa przebiera palcami, jakby grał jazz. – Ukrycie – szepcze. – Rodzaj zasłony! Idealny prezent dla każdego młodego druida.

Nim mam czas odpowiedzieć, wyciąga rękę i przyciska kamień częścią z runami do mojego lewego bicepsu. Przeszywający żar wyrывa z mojego gardła rozpaczliwy wrzask. Loki odsuwa kamień po zaledwie sekundzie, ale już się stało i Orlaith nawet nie zareagowała.

– Proszę bardzo! – mówi Loki, a jego ręka wraca do normalnego stanu i ostudza kamień.

– Teraz masz już mój znak. Zobaczysz, że nie da się go wyleczyć, ale też po co miałabyś go leczyć. Jest taki atrakcyjny. Odtąd będzie cię krył przed wszelkim wywróceniem. Odyn nie będzie już mógł cię szpiegować ani Tuatha Dé Danann, ani nikt inny. Poza mną. Ja zawsze będę wiedział, gdzie jesteś, ale mniejsza z tym. Pomyśl tylko! Na zawsze już będziesz bezpiecznie ukryta przed tymi knującymi bogami, wiedźmami i ouijami!

– Spier...

– Nie, no naprawdę. Nie musisz mi dziękować – syczy. – Przynajmniej tyle mogę dla ciebie zrobić.

Znów wstaje, chowa swoją cholerną pieczętkę do sakwy, podnosi z ziemi strzałę i nóż.

– Żegnam panią, panno MacTiernan. Wierzę, że znów się kiedyś spotkamy i znajdziesz nowe sposoby, by mi się przysłużyć wbrew swojej woli.

Wiem, że powinnam mu przynajmniej jakoś dogadać na pożegnanie, ale czuję się tak do cna pokonana, że nawet nie mam siły na słabe „I twoją matkę też!”, gdy jego plecy znikają powoli na schodach. Pozostaje mi tylko mieć nadzieję, że wypróbuje ostrość Fuilteacha własnym palcem.

## Rozdział 22



Gdy w poniedziałek rozpoczął się w końcu Samhain – czyli dla wszystkich innych Halloween – uświadomiłem sobie, że nie miałem kontaktu z Granuaile już od dobrych kilku dni. Oczywiście może robić, co chce, i jeśli by miała ochotę ze mną pogadać, sama by zadzwoniła, ale miałem cichą nadzieję, że jeśli zadzwonię do niej życzyć jej wesołego Samhain, nie obrazi się, że się jej narzucam czy coś. Kiedy jednak w końcu zadzwoniłem, od razu przekierowało mnie na pocztę głosową. Albo padła jej komórka, albo jest poza zasięgiem. Zostawiłem jej krótką wiadomość z życzeniami harmonii i poprosiłem, żeby zadzwoniła, jak będzie miała chwilę.

Owen zaskoczył mnie zupełnie, bo zrobił nam na śniadanie tosty francuskie. Kiedy wszedłem do kuchni, już czekał na mnie talerz, a Oberon siedział i wpatrywał się w jedzenie Tęsknym Psim Wzrokiem, ale nie odważył się nic zwędzić. Kiedy podziękowałem Owenowi za jego miły gest i spytałem, gdzie się nauczył gotować, powiedział mi, żebym się zamknął i żarł. Oberon wyczuł, że to mnie zdenerwowało, i próbował mnie jakoś pocieszyć.

<Gdybyś ty mi powiedział, że mam się zamknąć i żreć, to normalnie nie miałbym nic przeciwko temu> zapewnił mnie. <Możesz nawet od razu spróbować. Wcale się nie obrażę>.

Uśmiechnąłem się do niego i podrapałem go za uszami. Potem wyciągnąłem z zamrażarki paczkę kielbasek z syropem klonowym i wrzuciłem je na patelnię przy francuskiej operacji Owena, a talerzowi z tostami pozwoliłem wystygnąć. Archdruoid miał minę, jakby chciał mi coś powiedzieć, ale to w końcu mój dom, moja kuchenka, a poza tym mogę mu dać trochę kielbasy, jeśli ładnie poprosi.

Może miał pewne problemy ze zrezygnowaniem z naszych dawnych układów, kiedy to on mi rozkazywał, a ja rzucałem się natychmiast robić, co mi każe. Patrzyliśmy w milczeniu, jak nasze jedzenie smaży się na sąsiednich krążkach. Skwierczenie z rzadka zagłuszało głośne oblizywanie się Oberona. Po chwili zorientowałem się, że ten brak rozmowy jest raczej zabawny niż niepokojący. Kiedy byłem młodszy, milczenie mojego archdruida przerażało mnie bardziej niż jego reprimendy, ale teraz dawało mi poczucie spokoju i nawet małego zwycięstwa. Zresztą sam zażądał przecież, żebym się zamknął. Włączyłem kawę, żeby się już parzyła, gdy będę czekał, aż przyrumieni mi się kielbaski. Kiedy była gotowa, nalałem każdemu z nas po kubku i podałem mu jeden bez słowa. Wymamrotał jakieś niewyraźne podziękowania. Wyglądało na to, że całkiem lubi ten napój. Skinąłem głową z lekko złośliwym uśmiechem. Usiedliśmy i przypomniałem sobie, że wszystkie te ciche dźwięki wydawane przez noże i widelce, których zwykle się w ogóle nie rejestruje, stają się zadziwiająco głośne, gdy nikt nic nie mówi.

<Pamiętasz, jak cię spytałem, czy zimna wojna odbywała się w zimie, a ty mi wałnęłaś tę okropnie długą lekcję historii, która nie miała nic do pogody?> spytał Oberon. Już spałaszował swoje kielbaski i od dobrych pięciu minut tylko patrzył, jak jemy w milczeniu. Jęzor wywiesił, a łeb przekrzywił to w jedną, to w drugą stronę, uważnie obserwując, jak wkładamy kolejne kęsy do ust.

*Tak.*

<No to to jest jak zimna wojna, tylko z tostem francuskim. Choć pewnie „Panie Gorbaczow, podałbyś mi pan syrop” nie brzmi dość dramatycznie>.

Zdusiłem śmiech, ale uśmiechu już nie zdołałem powstrzymać i Owen od razu go zauważył.

– Co cię tak śmieszy? – warknął, z góry zakładając, że śmieję się z niego.



*Cholera, Oberonie, teraz muszę mu przecież coś odpowiedzieć.*

<Dyplomatyczne zwycięstwo należy do mnie!>.

– To tylko coś, co powiedział pies – powiedziałem do Owena.

Archdruoid spojrział na psa podejrzliwie i wziął łyk kawy.

– Pies, mówisz? – syknął, odstawiając kubek.

– Miałeś kiedyś jakiegoś zwierzęcego towarzysza, Owenie? Choć raz?

– Nieee. Nigdy.

– A próbowałeś może zagadać z Oberonem? Powinieneś spleść się z nim i zobaczyć, jak to jest. Wiem, że już ci sugerowałem zwierzę, i powiedziałaś, że masz swoje powody, by być samemu, ale może dobrze by było, żebyś zobaczył chociaż, na czym to w ogóle polega.

Zmrużył oczy i znów spojrział na Oberona.

– Tobie to nie przeszkadza? – spytał go.

Oberon szczerknął zachęcająco.

– W takim razie niech będzie.

Skoncentrował się i widać nawiązał kontakt, bo usłyszałem, jak Oberon mówi:

<Cześć! Masz masło na czole>.

– Co? – Owen uderzył się w czoło w poszukiwaniu masła, po czym popatrzył na zupełnie czyste opuszki.

Oberon prychnął zadowolony.

<Zartowałem! Ale fajnie się walnąłeś w głowę>.

Roześmiałem się.

Owen spiorunował mnie wzrokiem.

– Rozumiem, że to ty go podpuściłeś?

Uśmiechnąłem się wesoło.

– A skąd. Ma całkiem dobrze rozwinięte poczucie humoru.

– Ty mi powiedz, co masz na myśli, mówiąc „dobrze”, synek.

Pochyliłem się do przodu, oparłem ręce o blat.

– Nieważne, co ty uważasz za zabawne. Ważne, co mnie śmieszy. A jeśli mogę cię przed czymś ostrzec, gdy chodzi o przedłużone życie, to radzę ci zapamiętać, że twoim wrogiem będzie przede wszystkim nuda. Jeśli znudzi ci się ta niekończąca się powtarzalność, ciągłe jedzenie, spanie, sranie i pracowanie, żebyś mógł znów jeść, spać i srać, to zaczniesz robić różne głupoty, żeby się jakoś rozerwać, a to się prędzej czy później skończy twoją śmiercią. Albo popadniesz w depresję, zdecydujesz się na Ostatnią Przemianę i dożyjesz końca swoich dni w zwierzęcej postaci. Albo zaczniesz w kółko rozmyślać o swojej przeszłości i wszystkim, co straciłeś, przez co odwrócisz się zupełnie od ludzi. Więc radzę ci dobrze: zawsze miej coś do kochania i coś, co cię roześmiesza. Coś, co trzyma cię tu i teraz. Psy są w tym dobre i jak dla mnie ich towarzystwo to świetne rozwiązanie. Być może ty musisz sobie znaleźć inne.

Oczekiwałem jakiegoś niegrzecznego stwierdzenia, że nie potrzebuje żadnych moich rad, i języka oscylującego między lekceważącym a zjadliwym, ale zaskoczył mnie zupełnie, bo najpierw wydał z siebie zamyślane „hmm”, a potem spytał:

– Gdzie ty się nauczyłeś tego triku, żeby tak dobrze uczyć zwierzęta mowy?

– To nie trik. To proces. Nauczyłem się go od Goibhniu. Miał kiedyś konia, którego nazywał Apple Jack. Pożyczył mi go raz w szóstym wieku.

– I ten Apple Jack też lubił żarty?

– Nie. Przez większość czasu był w kompletnej panice. Cierpiał na poważną goblinofobię. Był przekonany, że kiedyś go dopadną.

– I dopadły? – spytali Owen i Oberon naraz.

– Nie wiem, co się z nim stało, gdy się rozstaliśmy. Wiem tylko, że lubiłem jego towarzystwo. Skończyłeś? – Wyciągnąłem rękę po jego talerz. – Pozmywam. Dzięki za śniadanie.

– Proszę – mruknął Owen i gdy tylko wstawiłem naczynia do zlewu i włączyłem wodę, zmienił temat. Mówił głośno, żeby przekrzyczeć szum: – Nim zasnąłem wczoraj, wspomniałeś, że chciałeś, żeby Manannán Mac Lir dołączył do nas na Samhain. Już go zaprosiłeś?

– Nie, ale zaraz to zrobię.

– Jak zamierzasz go tu ściągnąć bez Fand albo nawet bez jej wiedzy?

– Znam jedną zaufaną selkie.

– Ano, ano – prychnął. – Każdy zna jakąś selkie, synek.

– To prawda. Ale już przedtem pomagała mi się z nim kontaktować, gdy starałem się ukrywać moje położenie przed Aenghusem Ógiem.

– Ile to zajmie?

– Nie wiem na pewno. Mógłbyś, kiedy mnie nie będzie, przygotować ogniska na ceremonię?

– Jasne.

– Oberon będzie miał oko na ewentualne faerie i da ci znać, jeśli coś zobaczy lub usłyszy.

<Będę? Znaczący... tego... jasne, że będę!>.

*Może nam się zdarzyć kilku niechcianych obserwatorów. Szukaj wysoko w drzewach albo nisko w krzakach, licho je wie. Jeśli coś wyczujesz, nie szczekaj, tylko od razu daj znać Owenowi albo mnie.*

<Dobra>.

Pożegnałem się z nimi, rozebrałem i przemieniłem w wydrę morską, a potem posłużyłem osiką, żeby przejść do Tír na nÓg. Tam wzięłem tylko głęboki wdech i znów przeskoczyłem na ziemię, ale tym razem od razu pod wodę – do małego lasu wodorostów rosnącego przy południowo-zachodnim wybrzeżu Irlandii. Manannán wplótł tu nici bardzo dawno temu. Mógł się tu przenieść każdy, kto potrafił przemieszczać się między krainami, ale mało kto chciał. Z pozoru nie było tu do roboty nic poza obserwowaniem ptaków i bawieniem się w turystę, bo wpływało się na powierzchnię tuż przy Wyspie Kozy i miało niesamowity widok na słynne klify Moher – znane między innymi z *Narzeczonej dla księcia*. Mają tu swoje gniazda alki, maskonury i mnóstwo innego ptactwa, które szybuje na niebie i nurkuje w falach oceanu chronionego nawet przed rybakami, żeby ptaki miały dość pożywienia. Ja jednak wcale nie zamierzałem wpływać na powierzchnię. Popłynąłem prosto pod Wyspę Kozy, gdzie rósł kolejny las wodorostów, a płyta łupkowa z Namuru skrywała podziemne przejście, które prowadziło do groty wielkości sali balowej.

Kiedy dopłynąłem do groty i wyłoniłem się na powierzchnię, moje uszy powitał cichy, pobrzmiwający zaskoczeniem chichot. Ciemnowłosa kobieta o czarnych oczach siedziała przed sztalugami na plaży złożonej z wygładzonych przez morze szkiełek i kamieni. Jej pędzel zamarł nad płótnem przedstawiającym sztormowe błękity i szarości; budzące grozę skały oszronione rozbryzgującą się morską pianą. Była naga i nic sobie z tego nie robiła, a na mnie spojrzała raczej z zainteresowaniem niż strachem. Za nią kute schody prowadziły na platformę skalną, gdzie kamienne meble otulone były miękkimi futrami i poduszkami. Wszędzie stało mnóstwo świeczek, przy czym paliło się ich tak wiele, że zupełnie rozświetlały to podwodne mieszkanie. Plaża oświetlona była natomiast pochodniami. Efekt był imponujący, choć też od razu przychodziło na myśl, że ta kobieta musi mieć niezły zapas świeczek i paliwa.

– Wydra morska? – spytała z lekkim irlandzkim zaśpiewem. – Któż to taki? Czyżby to Siodhachan?

Przemieniłem się z powrotem w człowieka i pomachałem do niej z lodowatej wody.

– Cześć, Mearo. Sto lat.

Odłożyła pędzel, wstała z okrytego futrami stołka, na którym siedziała, i rozłożyła ramiona na powitanie.

– To naprawdę ty! Sto lat albo i więcej! Na pewno w każdym razie za długo cię nie widziałam. Ale pewnie nieźle przemarzłeś. Chodź, chodź, dam ci futro.

Podpłynąłem do niej i wyszedłem na plażę, szczękając zębami, a ona poszła po coś, czym mógłbym się wytrzeć. Uśmiechała się szeroko, gdy wróciła, i uparła się, że musi mi to sama zarzucić na ramiona, a gdy już mnie otuliła starannie, uściskała mnie i ucałowała w policzek. Jedną z wielu zalet selkie polega na tym, że mogą sobie na to pozwolić i wcale nie zostaje po nich garstka proszku. W przeciwieństwie do innych faerii żelazo w ogóle im nie szkodzi, ponieważ urodziły się w ziemskich morzach albo przynajmniej blisko nich.

– Co cię sprowadza do mojej groty? – spytała, ujmując moją głowę w jedną dłoń, a drugą targając mi włosy. – Nie chcesz chyba przecież, bym znowu cię kochała?

– Choć to byłoby wspaniałe, jestem tu w innej sprawie. Zresztą i tak mam kogoś.

Byliśmy z Mearą kochankami przez krótki czas w dziewiętnastym wieku. Miała zawsze wielką słabość do sztuki, więc kiedy powiedziałem jej, że spotkałem raz Rembrandta oraz genialnego młodzieńca, który się nazywał Vincent van Gogh, nasz związek przemienił się w niekończące się pieszczenie oczu kolorem, pięknem i pocałunkami pędzla na płótnie.

– Ożeniłeś się?

– Nie było ceremonii, ale w moim umyśle nie ma wątpliwości.

Uśmiech Meary był niesamowity.

– Gratulacje! To kobieta ludzkiego rodzaju? Nie faeria?

– Tak, ale jest druidką.

– To naprawdę wspaniałe wieści!

Puściła mnie, odstąpiła na krok, położyła ręce na biodrach, przechyliła głowę.

– W jakiej więc sprawie przypląnąłeś?

– Chciałbym, żebyś skontaktowała się z Manannánem Mac Lirem. To ściśle tajne. Muszę się z nim zobaczyć. Poproś go, żeby wpadł do mnie, ale nie może go nikt śledzić ani nikt mu towarzyszyć, z wyjątkiem ciebie. To pilne.

Jej urocza twarz zachmurzyła się, ale nie pytała o szczegóły. Wiedziała, że nie zawracałbym głowy ani jej, ani Manannánowi, gdyby nie było to coś dużej wagi.

– Gdzie ma się z tobą spotkać?

– Mogę ci pokazać?

– Dobrze. Tylko skoczę po skórę.

Pobiegła do swojego mieszkania, z ciężkiej kamiennej skrzyni stojącej u stóp łóżka wyciągnęła foczą skórę, a potem zgasila wszystkie świece i zostawiła tylko kilka jasno płonących pochodni na plaży. Zdjąłem futro, podziękowałem jej za to tymczasowe ciepło, a potem wszedłem z nią do zimnej laguny. Przemieniłem się w wydrę, a ona zarzuciła sobie skórę na ramiona i wpadła, wyginając się, do wody. Przemieniała się w fokę zupełnie inaczej niż ja w wydrę. Wypląnęliśmy razem z groty z powrotem do lasu wodorostów, skąd przenieśliśmy się do chaty w Kolorado.

Foki nie czują się zwykle najlepiej w lasach wysokogórskich, ale Meara nie musiała wcale spędzać tu dużo czasu. Uruchoimiłem charms splatający mnie z powrotem z postacią człowieka, a potem powiedziałem:

– Dziś będziemy tu świętować Samhain. Zapalimy ogniska i zorganizujemy wszystko jak trzeba. Przekaż, proszę, Manannánowi, że mam pewne informacje przeznaczone tylko dla jego

uszu. Niech upewni się, że nikt go nie śledzi. Tylko ty możesz mu towarzyszyć.

Meara szczerknęła na znak, że rozumie, a potem zniknęła, by przenieść się z powrotem do morza i znaleźć tam Manannána.

Mentalnie zawołałem:

*Oberonie?!*

<Atticus? Już wróciłeś?>.

*Tak. Gdzie jesteś?*

<Zbieramy z Owenem drewno. Ten facet rzeczywiście nic tylko narzeka. Oj! Zapomniałem, że mnie słyszy>.

*Wracam do chaty.*

<Już do ciebie lecę! Pa, Owenie!> Nie słyszałem odpowiedzi mojego archdruida, ale widać musiał zgłosić jakieś zażalenie i poczuć się zdradzony przez mojego psa, bo Oberon odpowiedział na to: <No, ale Atticus mnie kocha i daje mi bekon, i drapie po brzuchu, i chodzi ze mną na polowania, i czasami dostaję pudlicę, ale o tym nie będziemy rozmawiać, bo teraz jest Orlaith, a ty to tylko cały czas narzekasz, że on wszystko źle robi, gdy tymczasem moim zdaniem on robi wszystko właśnie dobrze, więc możesz iść i się...>.

*Dość już tego, Oberonie.*

<O nie. Ale w moim wielkim finale miał wystąpić pudding z tapioki i...>.

*Nie musisz kończyć tej myśli.*

Nie ulegało wątpliwości, że popełniłem wielki błąd, gdy zaproponowałem Owenowi, by splótł swój umysł z umysłem Oberona, i na dodatek zostawiłem ich samych. Muszę jak najszybciej znaleźć dla mojego archdruida jakieś inne miejsce.

Oberona najpierw usłyszałem, a dopiero potem zobaczyłem. Pędził do mnie z góry, znad polnej drogi prowadzącej do Yankee Boy Basin. Język mu powiewał na wietrze, pysk wyrażał pełne szczęście, a po chwili równie pełne zdumienie, gdy rąbnął prosto w plecy Manannána Mac Lira, który przeniósł się z Tír na nÓg i pechowo trafił akurat na Oberona. Padli razem na ziemię, wydając rozmaite odgłosy zdziwienia.

<Hej! Skąd on się tu wziął?!>.

Nigdy bym nie przypuszczał, że Manannán zjawi się tak szybko. Obok stała Meara, odziana teraz w długą, niebieską tunikę z foczą skórą zarzuconą na ramiona niczym płaszcz. Najpierw rozszerzyła oczy zdumiona, ale za chwilę zmrużyła je i roześmiała się wesoło, gdy zobaczyła, jak Oberon ucieka przed Manannánem z panicznie podwiniętym ogonem.

<Czy on to zrobił celowo, Atticusie?> spytał mój pies. <To miał być dowcip? Bo nos mnie boli i to wcale nie było śmieszne>.

*To był wypadek, chłopie.*

– Przepraszam, Manannanie! – zawołałem do boga morza, który już stał, ale minę miał srogą. – Co za niefortunny zbieg okoliczności.

Manannán otrzepał sobie kolana.

– Raczej się tego nie spodziewałem, ale nie zaprzatajmy sobie tym głowy. Cóż tak pilnego masz mi do powiedzenia, że wzywasz mnie w Samhain?

– Nim zaczniemy rozmawiać, lepiej przedsięwziąć dodatkowe środki bezpieczeństwa – odparłem. – Wiem, że i ty, i Meara byliście bardzo ostrożni, gdy tu szliście, ale może lepiej byłoby jeszcze na wszelki wypadek spleść bańkę ciszy, a może nawet Płaszcz Mgły.

– Nie ma sprawy.

Owen jeszcze nie wrócił. Pojęcia nie miałem, po co w ogóle poszedł aż tak wysoko po to drewno. Ale nie musiałem na niego czekać. Kiedy Manannán zarzucił na nas swój płaszcz, który ukrył nas we mgle, a do tego splótł powietrze tak, że żaden dźwięk nie mógł wymknąć się poza

bańkę, wcisnąłem wielki metaforyczny czerwony guzik i czekałem, co się stanie.

– Jako że dziś Samhain i zasłona oddzielająca ten świat od świata umarłych jest najcieńsza w całym roku – zacząłem – chciałbym, żebyś pomógł mi porozmawiać z kimś, kto odszedł od nas niedawno, to jest z Midhirem z Tuatha Dé Danann.

Między brwiami boga pojawiła się nagle głęboka zmarszczka.

– Pomijając już nawet to, skąd w ogóle wiesz, że on nie żyje, dlaczego chcesz z nim rozmawiać?

– Chcę go spytać, kto go zabił.

Manannán przyglądał mi się w milczeniu, a potem ciszej, niż się spodziewałem, powiedział:

– Nie.

– Dobrze. W takim razie ty mi powiedz, kto go zabił. Z pewnością powiedział ci to przecież, gdy przyszedłeś przeprowadzić go do następnego świata.

– Nie.

– Możemy się pobawić w kalambury, jeśli wolisz. Jedno słowo, jedna sylaba...

– Nie.

– Czy ukrywasz jego śmierć, bo imię, które podał ci Midhir, brzmiało: Fand?

I to była ta granica. Meara jęknęła głucho, a kamienne spojrzenie Manannána zaczęło pękać. Dźgnął mnie palcem i warknął:

– Licz się ze słowami.

– Manannanie, znamy się od wieków. Wiesz, że cię Kocham i szanuję. Rozmawiam z tobą o tym właśnie dlatego, że cię Kocham i szanuję. Nigdy nie należałeś do tych, którzy wolą ignorować fakty.

– Nie masz żadnych faktów.

– Midhir został zabity przez kogoś zamaskowanego i twierdzi, że tym kimś była Fand. To fakt.

– Skąd o tym wiesz? – spytał tylko, czym potwierdził to, co podejrzewał Owen.

– Znalazłem jego ciało, Manannanie. Oraz mantykorę przykutą łańcuchami w jego komnacie rozkoszy.

– A, czyli rozmawiałeś z mantykorą?

– Po tym, jak próbowała mnie zabić. Twierdziła, że umieścił ją tam ktoś w przebraniu.

– I nie powiedziałaś o tym jeszcze nikomu?

– Powiedziałem Granuaile i Owenowi. A ty?

– Nikomu.

– Kiedy chcesz poinformować Brighid, że jeden z Tuatha Dé Danann nie żyje?

– Próbuję zebrać więcej danych. Nie mogę iść z tym do Brighid, póki nie wiem, kto go zabił. To będzie jej pierwsze pytanie, a ja nie mam odpowiedzi.

Była to dość marna wymówka, ale być może sobie tego nie uzmysławiał.

– Fand dobrze zaciera ślady, Manannanie. Wiedziała od początku, że to ty pierwszy się o tym dowiesz, zrobiła więc wszystko, by zmylić trop.

– To po prostu nie może być prawda, Siodhachanie! – wyszeptał głosem nabrzmiałym od niepokoju. – Dlaczego miałyby zrobić coś takiego?

– Być może uda mi się ci to wyjaśnić. – Próbowałem mu wytłumaczyć, że dla kogoś, kto tak kocha faerie, wizja pojawienia się nowego Żelaznego Druida, a może nawet jeszcze jednego, jeśli by Owen też chciał do nas dołączyć, to prawdziwy koszmar. – Usiłowała zabić mnie i Granuaile, wysługując się Midhirem i ukrywając wszystko przed resztą Tuatha Dé Danann. Kiedy udało nam się jej uciec, Midhir stał się jej kulą u nogi, więc go zabiła. Zrozum, że

naprawdę trudno mi ją winić za te uczucia. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że sobie na nie zasłużyłem. Ale chciałbym, żeby zaprzestała ataków.

Manannán pokręcił głową.

– Jeśli to Fand, a nie wierzę, żeby to mogła być ona, to nie wyobrażam sobie, jakby udało jej się tak dobrze wszystko to przed nami ukryć.

– Czy to aż takie trudne? – Wskazałem mu dłonią Mearę. – Ty masz swoje zaufane faerie, które są ponad wszystko lojalne względem ciebie, i ona ma ich tyle samo, jeśli nie więcej. Midhir i Lord Łonobrody też mieli całkiem sporo swoich.

– Lord jaki? A, racja, pamiętam. To on stał na czele strażników.

– Tak. To pewnie on powiedział strażnikom, co mają robić, choć wcale bym się nie zdziwił, gdyby nie wyjaśnił im przy tym, jaki jest prawdziwy powód tych działań. Nie wiem, czy znasz szczegóły moich ostatnich problemów w Europie. Kiedy o nich usłyszysz, myślę, że zgodzisz się ze mną, że wszystko wskazuje na Fand.

Opowiedziałem mu o kolejnych nasłanych na mnie zabójcach, którzy zaczęli się pojawiać po tym, jak przedstawiłem Granuaile na dworze i oświadczyłem, że chcę ją spleść z ziemią. Najpierw faerie i cisowcy na górze Olimp. Potem wampiry, które jakoś zawsze wiedziały, gdzie będę, i to nie od Leifa, jak się początkowo obawiałem, bo on jednak nie potrafił mnie wywęszyć, ale pewnie dlatego, że Fand lub Midhir wywróżali położenie Granuaile i przez jakąś faerię wysyłała tę informację Theophilusowi. Oddziały mrocznych elfów i w końcu także Rzymianie, którzy pomogli zastawić na mnie pułapkę na kontynencie i sami na mnie polowali, choć o tych ostatnich Manannán wiedział oczywiście, bo przecież pomógł mi uciec im przez kanał La Manche. Nagłe i przedziwne pojawienie się fińskiego boga Ukko, który wyrwał Lokiego z transu, przez co go uwolnił i umożliwił mu dalsze polowanie na mnie i Granuaile. Fir Darrigi, które zaatakowały nas z Owenem, gdy tylko wyciągnąłem go z Wyspy Czasu. Ten atak był akurat wyjątkowo mało przemyślany, ale trudno się dziwić, bo Fand musiała zorganizować go naprędce zaraz po tym, gdy uzdrowiła Owena.

– Wszyscy ci zabójcy musieli kosztować sporo złota, Manannanie – dodałem. –

I z pewnością musiała też zapłacić Midhirowi i Lordowi Łonobrodemu. Nie zauważyłeś może jakichś większych wydatków w waszym budżecie? Być może pod pretekstem niezbędnych prac remontowych czy czegoś takiego?

Kamienna twarz Manannána, która dotąd była niemal maską nieprzejednania i wyparcia, nagle niemal się skruszyła i opadła jak klif wpadający do oceanu po trzęsieniu ziemi. Przycisnęła sobie dłonie do oczu, jakby chciał je zasłonić przed prawdą, a gdy po chwili odjął ręce od twarzy, wyglądał na zrozpaczonego i zagubionego. Zachwiał się, a Meara natychmiast położyła mu dłoń na ramieniu, by go podtrzymać.

– Może powinienem usiąść – wyszeptał.

– Oczywiście. Możemy usiąść w środku lub na zewnątrz.

– Na zewnątrz. Ale już teraz o tym nie rozmawiajmy. Rozplotę płaszcz. Muszę wszystko to sobie przemyśleć.

Zaprowadziłem go i Mearę do leżaków, na których poprzedniego wieczoru siedzieliśmy z Owenem. Manannán rozplótł mgłę i powietrze, przez co naszym oczom ukazał się mój archdruid z naręczem drewna.

– A tu, kurna, jesteście – mruknął. – Głowę daję, że ten pies znów coś przeciwko mnie knuje i to pewnie ma coś wspólnego z jakimś puddingiem.

<Nie, ale mogę to nadrobić> zapewnił go Oberon.

*Nie daj się sprowokować* – ostrzegłem Oberona.

– Powiedziałeś mu? – spytał Owen, wskazując mi głową Manannána.

– Tak. Powiedział, że musi to sobie teraz przemyśleć.  
– Teraz? Domyślam się, że to mu może chwilę zająć. Równie dobrze mogę w tym czasie skoczyć po więcej drewna. Gdzie chcesz rozpalić ogniska?

– Nad rzeką.

– Tego się można było spodziewać.

Minął nas, idąc w kierunku brzegu rzeki Uncompahgre. Nadal nie pojmowałem, po co chodzi po to drewno tak daleko w górę, ale że byłem prawie pewien, że chce, żebym o to zapytał, nie zapytałem.

Manannán oparł łokcie na kolanach i skrył twarz w dłoniach. Wiedziałem, że nie mogę powiedzieć nic, co by go pocieszyło, więc zdecydowałem się na standardowe angielskie zachowanie w niepokojących sytuacjach społecznych.

– To ja zaparzę herbaty.

Te kilka minut, gdy gotowała się woda i parzyła herbata, wystarczyło, by Manannán uporał się ze swoimi uczuciami i zastanowił nad najlepszym wyjściem z sytuacji. Gdy wyszedłem z chaty z filiżankami i talerzykami, już siedział prosto gotowy do dalszych rozmów.

– Musimy porozmawiać z Flidais – oświadczył.

– Dobrze – zgodziłem się, podając mu filiżankę.

– Mearo, czy spróbowałabyś sprowadzić ją tak dyskretnie, jak tylko się da?

– Dobrze, Manannanie. A jeśli będzie chciała wziąć ze sobą tego swojego boga piorunów?

– On mi nie przeszkadza. Tylko żadnych faerii.

– Tak będzie.

Wstała z leżaka i z wodną gracją podeszła do osiki, by się przenieść. Usiadłem przy Manannanie na opuszczonym przez nią leżaku. Bóg morza upił ostrożnego łyka z filiżanki, po czym odstawił ją z cichym brzdękiem.

– Midhir powiedział mi, że to Fand go zabiła, ale nie miał żadnych dowodów – odezwał się w końcu, ostatecznie potwierdzając moje podejrzenia. – Ktokolwiek to był, był przebrany od stóp do głów. Widziałem powidok w jego oczach, ale nie widziałem dowodu. To mógł być każdy. Dlatego mu nie uwierzyłem.

– Ale mnie wierzysz?

– Nie. Ty także nie masz dowodu. Powiedziałeś, że miała motyw, środki i okazję, więc wzbudziłeś moje podejrzenia i bardzo mnie zaniepokoiłeś, ale nie zacznę działać, póki nie będę miał niezbitego dowodu. Nie wybaczę ci też żadnego twojego działania w tej sprawie.

W tym momencie wrócił Owen, ale nie wtrącił się do naszej rozmowy. Stał tylko, przysłuchując się ze skrzyżowanymi na piersi rękoma. Odpowiedziałem bez wahania:

– Nie wybaczysz mi żadnego ruchu? A jeśli zdobędziemy dowód, którego potrzebujesz?

– A jak to zamierzasz zrobić?

– Może nie być tak łatwo zdobyć dowód, że zabiła Midhira, ale istnieje prosty sposób na to, by dowiedzieć się więcej o szczegółach jej intrygi. Tak jak już sugerowałem, przywołaj cień Midhira i spytaj go, dlaczego został zabity i co takiego robił dla Fand.

– To na nic. Jego słowa nie będą godne zaufania.

– Nie mówię, że mamy mu ufać. Ale powinniśmy przeanalizować to, co powie, żeby spróbować potwierdzić lub zanegować naszą hipotezę. Być może Midhir naprowadzi nas na dowód na to, że Fand próbowała zabić mnie i Granuaile.

– A niech to diabli z dziewięciu piekieł – wtrącił się w końcu Owen. – Idźmy z tym do Brighid i niech ona to rozwiąże.

To wywołało dość gwałtowną reakcję Manannána. Zerwał się na równe nogi i wrzasnął:

– Nie! Nie pójdziecie z tym do Brighid! Może przemykać oczy na różne przewinienia Fand, ale nie może zignorować śmierci Midhira.

Udając, że wcale nie zauważyłem, że w tym zdaniu w zasadzie zdradził się z ukrywanym przekonaniem, że Fand jest winna, spytałem:

– Chcesz, żeby Brighid zignorowała śmierć Midhira?

– Nie, ale chcę mieć niezbite dowody, nim dojdzie do jakichkolwiek publicznych oskarżeń. Jeśli Brighid postanowi aresztować Fand na czas dochodzenia, czy wy macie pojęcie, co zrobią faerie?

– Wyobrażam sobie, że posłusznie wykonają rozkaz Pierwszej wśród Faerii.

Manannán posłał mi spojrzenie, które wyrażało mieszankę politowania i niedowierzania. Zmarszczył czoło, wargi uniósł nad zęby.

– Ależ masz wyobraźnię. – Machnął dłonią, jakby wymazywał moją wizję. – Nie, Siodhachanie, faerie się zbuntują. Fand ma po swojej stronie o wiele więcej faerii niż Brighid. Więcej niż ktokolwiek.

– Masz więc jakiś inny pomysł, co powinniśmy teraz zrobić? Nie możemy przecież tego tak po prostu zostawić. Brighid w końcu się dowie.

– Już wie – odezwał się Owen, a Manannán natychmiast obrócił się w jego stronę. – Nie o Fand – wyjaśnił mój archdruide. – Ale wie o śmierci Midhira. Bada sprawę.

– To wszystko komplikuje.

– Co komplikuje co? – spytał nowy głos.

Obróciliśmy się i zobaczyliśmy, że ku nam idą od strony drzew Flidais, Perun i Meara, którzy właśnie przenieśli się tu z Tír na nÓg. Flidais miała na sobie skóry łowczyni i łuk, a Perun szedł w naszą stronę z toporem na plecach i liściem na głowie. Przyłapałem Flidais na tym, że puszcza oko do Owena, więc uznałem, że to jakiś ich żart z tym liściem Peruna i że nikt go nie poratuje, nikt mu nic nie powie. Zresztą naprawdę mieliśmy teraz poważniejsze problemy... na głowie.

Owen natychmiast wciągnął Peruna w zdobywanie drewna.

– Ten topór bardzo nam się przyda, synek.

A ja zaprosiłem Flidais, Mearę i Manannána do środka, żebym mógł im jeszcze raz wszystko opowiedzieć. Flidais była o wiele bardziej zaskoczona niż Manannán naszą teorią, że Fand szuka zemsty za pozabijane przez mnie faerie. Wiadomość o śmierci Midhira zupełnie nią wstrząsnęła. Nic o tym dotąd nie wiedziała.

– On i ja... cóż, dobrze się kiedyś bawiliśmy. Jeśli Fand go zabiła...

– To co? – spytał Manannán, gdy się zawahała. Flidais spojrzała na niego ostro. – To pytanie, które musimy sobie zadać. A jeśli to prawda? I nie możemy zapominać o tym, że Brighid już także przeprowadza dochodzenie w tej sprawie.

– Za mało wiemy – odparła Flidais. – To otchłań, w którą wskoczymy, gdy już do niej dotrzemy. Ale jak się dowiedzieć, czy to jest prawda?

Manannán opowiedział jej o moim pomysle, by wezwać Midhira, a ona zgodziła się, że póki co to najlepsze rozwiązanie, więc wyszliśmy na zewnątrz zapalić ogniska. Dopiero zmierzchało, ale nim dojdziemy do momentu, kiedy będzie już można wezwać Midhira, będzie zupełnie ciemno. I choć tu jeszcze nie było północy, to była ona gdzie indziej, a to wystarczyło Manannánowi, żeby zrobić to, co powinien.

– A gdzie jest Granuaile? – spytała Flidais, nagle zauważając jej nieobecność.

– Nie wiem. Próbowałem się do niej dodzwonić, zostawiłem jej wiadomość, ale nie odpowiedziała.

– Próbowałeś ją wywróżyć?



– Nie. Zdawało mi się, że to by było trochę w złym stylu.  
– Jeśli naprawdę uważasz, że Fand próbuje was zabić, to myślę, że to by raczej było dość rozsądne.

– Granuaile żyje – powiedział na pocieszenie Manannán. – W innym razie pierwszy bym się o tym dowiedział.

– Może jednak ją wywróżę, żeby się tylko upewnić, że nic jej nie jest – mruknąłem, bo też się już trochę tym martwiłem. Kwadrans później mój niepokój tylko wzrósł. Nie dało się jej namierzyć. – Może coś źle robię. Nigdy nie byłem w tym najlepszy – powiedziałem do Flidais.

– Ani ja – przyznała. – Ale spróbuję.

Niestety i jej nie udało się odnaleźć Granuaile. Manannánowi też nie.

– Ma na szyi talizman z zimnego żelaza – stwierdziłem niepewnie, próbując wyjaśnić to jakoś bez wpadania w panikę.

– Ano, tylko miała go też wtedy, jak ganiłicie po Europie – zwrócił mi uwagę Owen – a mimo to Fand... przepraszam, Manannanie... a mimo to ten ktoś i tak bez problemu ją namierzał przez wywróżenie.

Umilkliśmy, żeby się nad tym zastanowić. Przed oczami znów stanął mi Midhir owinięty żelaznymi łańcuchami. Coś takiego na pewno uniemożliwiało wywróżenie. A jeśli Fand już porwała Granuaile?

– Póki co nie da rady rozwiązać tego problemu – stwierdziła Flidais. – Skupmy się na wezwaniu Midhira i rozwiązaniu tych zagadek, które dadzą się rozwiązać.

– Akceptujesz taki plan, Siodhachanie? – upewnił się Manannán, a ja skinąłem głową.

To było pragmatyczne rozwiązanie. Ale przemknęło mi jeszcze przez myśl, że w ostatnich esemesach Granuaile w ogóle mi nie powiedziała, gdzie jest ani co robi. Tylko że wróci, jak będzie mogła. Bez żadnej wskazówki, jak miałbym zacząć jej szukać. Nie miałem co się ludzi. Mogła być dosłownie wszędzie... na ziemi lub w jakiejś innej krainie.

Gdy zrobiło się ciemno, rozpoczęliśmy nasze rytuały Samhain. Były to stare obrzędy, których współcześni zupełnie nie rozumieli, bo nie znali już słów, a my ich nie zapisaliśmy. Potrzebę ognia na przykład wyjaśniano dość mętnie. Słyszałem, jak ludzie tłumaczyli, że przejście przez ognisko to rodzaj oczyszczenia albo że symbolizuje zostawienie starego roku za sobą i rozpoczęcie nowego. I całą masę innych nieszkodliwych interpretacji, z którymi nie warto było się spierać. Ognie symbolizowały wiele dwoistości, ale między innymi życie ciała i ducha, światło obu światów; pośród ognia w Samhain możemy się porozumiewać z tymi, którzy zamieszkują już ów inny świat. Spotykamy się w połowie drogi i rozmawiamy przez oddzielający nas całun.

Perun i Oberon postanowili, że gdy my będziemy zajęci, oni się zwyczajnie pobawią.

Krażyli wokół siebie przed chatą. Oberon merdał ogonem jak szalony, a Perun miał taką minę, jakby nie merdał tylko z braku ogona. Uśmiechał się całą brodą i powiedział:

– Lubisz się bawić, da?

<On jest prawie tak włochaty jak ja, Atticusie. Tylko bardziej pokręcony. Jeśli rzucę się na niego, czy szepimy się jak rzepy?>.

*Myślę, że musicie poeksperymentować, to się przekonacie.*

<TAK! WALCZĘ W IMIĘ NAUKI!>.

Szczeknął i rzucił się na Peruna. Bóg piorunów roześmiał się i potoczyli się w liście. Cieszyłem się, że będą przynajmniej zajęci na czas naszej ceremonii.

Najpierw wspomnieliśmy Morrigan. Życzyliśmy jej pokoju za zasłoną. Wszyscyśmy się przy tym trochę wzruszyli, mojego archdruida nie wyłączając. W sumie zadawało to kłam przekonaniu Morrigan, że nikt jej nie kocha. Może i nie była to typowa miłość, może nie taka,

jakiej szukała, ale nie dało się ukryć, że wszyscy za nią tęskniliśmy. I prawdę powiedziawszy, mimo że zginęło już jej ludzkie ciało, nadal mogła się objawiać na ziemi, kiedy tylko chciała. Wciąż było dość magii w modlitwach tych, którzy ją czcili, również naszych. Miałem nadzieję, że skorzysta z tej możliwości i odwiedzi mnie kiedyś.

Z Midhirem natomiast rzecz się miała inaczej. Nigdy go specjalnie nie czczono, a na dodatek chcieliśmy, żeby się zjawił i z nami pogadał bez względu na to, czy ma ochotę czy nie. Manannán zabrał się do jego przywoływania. Zaintonował słowa, które miały go zachęcić do przybycia i zarazem przymusić. Weszliśmy za nim między ogniska, powtarzając jego słowa i wzmacniając sploty, aż z dymu drugiego ogniska wyłoniła się postać, która trochę przypominała negatyw Midhira, blady hologram wijącej się pary, nawet nie światła. Wcale nie wyglądał na zadowolonego, a w jego głosie wyczuwało się irytację – syczące podmuchy wiatru.

– Świetnie. Znów ten cholerny Żelazny Druid, a do tego Manannán Mac Lir, Mistrz Wyparcia. – Jego wzrok odnalazł Flidais, Owena i Mearę, ale przesunął się po ich twarzach bez żadnego zainteresowania. – Czego chcecie?

– Kiedy prowadziłem cię do Mag Mell, twierdziłeś, że zabiła cię Fand – odezwał się Manannán.

– Ano, a ty mnie olałeś, ty przesolona cioto.

– Mniejsza o to. Powiedz mi teraz to, co byś wtedy powiedział. Dlaczego cię zabiła?

– Bo go nie zabiłem – odparł Midhir, wytykając mnie palcem. – Albo przynajmniej nie udało mi się tego tak zorganizować, żeby samo się to ładnie stało.

Nie było wcale tak łatwo wyciągnąć potem z niego szczegółów jego zaangażowania w intrygę Fand i oświadczył, że zrobi to, tylko jeśli obiecamy mu, że więcej już go nie będziemy niepokoić. Manannán zgodził się na ten warunek.

– Po prostu nie daj nam powodu, byśmy chcieli jeszcze o coś dopytywać. Powiedz nam wszystko.

Midhir przyznał, że to on koordynował współpracę między wampirami i mrocznymi elfami oraz zasugerował wampirom, że snajperzy powinni mieć broń na podczerwień, żeby przejrzeć nasze kamuflaże, a nawet niewidzialność Granuaile. Lord Łonobrody zarządzał strażnikami – tak jak się domyślaliśmy – i posłużył się nimi, żeby odciąć nam drogę ucieczki przez Stare Drogi. Przegapił kilka w Anglii, głównie pewnie dlatego, że się nie spodziewał, iż damy radę tam dotrzeć. Między innymi zostawił przejście przez piwnicę w zamku Windsor, którym Flidais przybyła nam na ratunek. Midhir musiał je pospieszenie wysadzić w powietrze od ziemskiej strony, żeby żadne z nas nie wróciło do Tír na nÓg, ale Łonobrody zapomniał też o tym w dębie Herna. Fand nie mogła im tego wybaczyć. Była przekonana, że Artemida i Diana bez trudu by nas zabiły w Lesie Windsorskim, gdyby nie pojawiła się tam Flidais. Gdy poskładałem sobie w głowie opowieść Midhira i porównałem ją z moją wersją wydarzeń, stwierdziłem z przerażeniem, że Fand zlikwidowała go i Łonobrodego w tym samym czasie, gdy ja służyłem za przekąskę zębuszkom w lochach Midhira. Gdyby tylko strzeliło jej do głowy zajrzeć piętro niżej, miałyby mnie jak na talerzu.

Dla mnie najważniejszymi nowymi informacjami w wyznaniu Midhira były dane jego kontaktów. Jeśli chodzi o wampiry, to rozmawiał z Theophilusem, co i tak już podejrzewałem, ale dobrze było uzyskać teraz potwierdzenie. A z mrocznymi elfami kontaktował się przez Svartálfa zwanego Królem Hrafnsonem, który był przywódcą czegoś w rodzaju gildii płatnych zabójców. Najbardziej frustrujące było w tym wszystkim to, że Fand działała w bezpośrednim porozumieniu z Olimpijczykami. Tego nigdy nie uda nam się jej udowodnić. Olimpijczycy niby nie próbowali mnie już zabić, ale przecież z pewnością nie zaliczali się do moich przyjaciół. W życiu niczego nie potwierdzą.

Gdy Midhir powiedział w końcu, że przekazał nam wszystkie informacje, jakie miał, a potem jeszcze odpowiedział na kilka pytań Flidais, Manannán wypuścił go wraz z obietnicą, że pozwoli mu w spokoju iść dalej. Dym układający się w jego postać rozplótł się i uniósł niespokojnymi smugami w nocne niebo. Ktokolwiek powiedział, że zmarli nie opowiadają niczego, nigdy chyba nie spędził Samhain z druidami.

Meara, Owen i Flidais pierwsi odeszli od ognisk. Manannán westchnął i ruszył za nimi. Już miałem pójść w jego ślady, gdy nagle w płomieniach zobaczyłem Morrigan, mroczną i piękną. Zamarłem. W przeciwieństwie do Midhira wyglądała, jakby miała normalne ciało. To pewnie dlatego, że sama postanowiła się ukazać i nie wiązały jej żadne sploty. W głowie usłyszałem jej zachrypły głos, a zimny palec ducha wysunął się w moją stronę i przesunął po szczęce z zaskakująco namacalną siłą.

– Ochraniaj mroczne elfy, Siodhachanie – powiedziała i nim zdążyłem cokolwiek odpowiedzieć, zniknęła mi z oczu, efemeryczna jak mgła.

Desperacko zacząłem wołać w ogień tamtego świata.

– Morrigan! Zaczekaj! Wróć!

Miałem jej tyle do powiedzenia, a ona nie dała mi ani chwili. Pewnie wszystko to już wiedziała, ale i tak czułem potrzebę powiedzenia jej tego. Choć prawdę powiedziawszy, nie bardzo miałem ochotę mówić jej tego w obecności innych, a oni oczywiście obrócili się natychmiast i wpatrywali teraz we mnie wyczekująco. Zadowolilem się więc tylko wymamrotaną obietnicą, że pogadamy kiedy indziej.

– Widziałeś Morrigan? – spytał Manannán.

– Przez króciutką chwilę – przyznałem. – Zrobiła tylko takie „a kuku!” w ogniu.

– Co powiedziała? – spytała Flidais.

– Wybaczcie, ale to było tylko dla moich uszu.

To im się nie spodobało, ale wiedzieli przecież, że nie mogą mnie zmusić do zdradzenia tajemnicy.

– W porządku – udała obojętność Flidais. – Powiedz mi, co zamierzasz zrobić teraz, gdy już usłyszałeś, co miał do powiedzenia Midhir.

– On nic nie zamierza – syknął na nią Manannán. – Wciąż nie mamy żadnych dowodów. To wszystko herezje.

Flidais pokręciła głową.

– Manannanie.

– Co?

– Nie trzeba być łowczynią, żeby widzieć, dokąd prowadzi trop. Choć bardzo bym chciała, żeby to nie moja córka, a twoja żona zabiła Midhira i usiłowała zabić dwoje ostatnich druidów chodzących po tej ziemi... znaczy dwoje do niedawna... – poprawiła się, spoglądając na Owena. – Nie wiem, kto inny mógłby się tego dopuścić. Chyba że masz pomysł, kto mógłby zmusić Midhira do wrobienia Fand?

– Przecież jemu może chodzić tylko o to, by tym podłym oszczerstwem zniszczyć życie twoje, moje i Fand – zdenerwował się Manannán. – Nie jest naszym krewnym i nigdy nie przepadał za żadnym z nas.

– Zrobiłby to ze świadomością, że tym samym jego prawdziwemu zabójcy ujdzie na sucho morderstwo? – spytała drwiącym tonem Flidais.

– Nie ma pojęcia, kto był zabójcą – upierał się Manannán. – Więc zadowala się taką zemstą, jaką może.

Zapadła cisza, bo wszyscy czekaliśmy na odpowiedź Flidais. Może celowo ją przedłużała, żeby wybrzmiały jego słowa i Manannán sam uświadomił sobie, jakie są niedorzeczne.

– Wiem, jak bardzo ją kochasz – powiedziała w końcu. – Wiem, że świetnie się obydwójcie bawiliście oszukiwaniem siebie nawzajem w nieszkodliwych polowaniach na innych łóżkowych partnerów. Rozumiem, że to taka wasza figlarna gra. Ale to oszustwo to już nie jest gra. To morderstwo, spisek i działanie niezgodne z życzeniami Brighid. A utrzymując te informacje w tajemnicy przed Pierwszą wśród Faerii, narażasz się na ryzyko współwiny, Manannáine. *Nie wolno nam dłużej przymykać oczu.*

Zamiast przymknąć oczy, wytrzeszczyłem je zdumiony. Flidais właśnie zacytowała Arthura Millera i to w dodatku w doskonałym kontekście. Pastor Halle w *Czarownicach z Salem* mówi w ten sposób sądowi, że ludzie boją się prawdy. Muszę ją potem spytać, czy przypadkiem nie nauczyła się dzieł Millera w ramach angielskiej przestrzeni myślowej. To by było bardzo interesujące, gdyby bogini polowań wybrała utwór o polowaniu na czarownice.

Bóg morza zacisnął pięści i zamknął mocno powieki – być może w ostatniej próbie niedostrzegania złego.

– Jeśli mogę się wtrącić – odezwałem się. – Myślę, że powinniśmy dość szybko pójść z tym do Brighid. Ale być może zdążymy jeszcze przedtem zobaczyć, czy nie udałoby mi się po prostu naprawić relacji między mną a Fand. Mogę jej wybaczyć, już to uczyniłem, ale i ona musiałaby mi wybaczyć. Może moglibyśmy wtedy iść z tym do Brighid i od razu wyjaśnić jej, że kara jest niepotrzebna.

– Ma jej niby nie ukarać za zabicie Midhira?! – wybuchnął Owen.

– Midhir zapłacił w ten sposób za swój udział w intrydze, a on nie miał przecież takiej wymówki jak Fand, co do której poniekąd rozumiem, dlaczego chce mojej śmierci. Jako strona poszkodowana mogę powiedzieć, że śmierć Midhira była wymierzeniem sprawiedliwości, i prosić o łaskę dla Fand.

– Zrobiłbyś to? – spytał Manannán.

– Tak. Rano pójde do Fand i poproszę o rozejm. Jeśli chcesz, wy z Flidais idźcie do Brighid i opowiedzcie jej wszystko, oczyszczając się z ewentualnych podejrzeń o współudział. To, że tak późno ją poinformowaliście, możecie wytłumaczyć tym, że musieliście poczekać na Samhain, żeby móc przy Flidais przepytąć szczegółowo Midhira.

Bogowie spojrzeli po sobie i wzruszyli ramionami.

– Dobrze więc – powiedział Manannán. – Ale nie możesz iść do niej sam. Weź Owena i Mearę.

– Że co niby? – obruszył się mój archdruid.

– Jeśli Fand naprawdę jest wrogiem Siodhachana, nie powinien iść do niej sam. Ty jesteś neutralny w tym konflikcie, a Meara jako selkie będzie reprezentowała mnie. W ten sposób będziecie niejako występować pod moją egidą.

Perun, który zdążył już zupełnie wymęczyć Oberona, a potem długo czekał cierpliwie, aż skończymy, uśmiechnął się na to szeroko i ryknął:

– Zatem sprawa załatwiana! A teraz chodzimy do miasteczko na dół tej góry i najebijmy się w sześć gąb i jeden psi pysk.

Wszystkim nam opadły szczęki i spojrzeliśmy na niego zdezorientowani.

– Co proszę? – wybąkałem.

– Nie tak się mówi? To jak się mówi, jak się ludzi chce porządnie upić?

– A. Masz może na myśli „najebać w cztery dupy”?

Perun bezwolnie zamachał rękoma.

– I jak to ma niby być logicznym? Nas być sześć luda. I niby czemu w dupy? Dobra wódka nic nie ma do dupy!

– Hmm, nie mnie to oceniać...

- I dobrze. To chodźmy się najebijać w sześć gąb.
  - Okej, ale wpierw wyjmij sobie wreszcie ten liść z włosów.
- Trzech bogów, dwóch druidów i selkie wchodzą do baru...

## Rozdział 23



Jedno jest jasne – nikt tak nie potrafi spieprzyć ci dnia jak Siodhachan. I mało jest chyba ludzi wśród żywych, którzy by wiedzieli o tym lepiej niż ja. Jeszcze jak tylko samego siebie krzywdzi, to pół biedy, bo może i nawet nauczy się czegoś na własnych błędach. Ale jeśli widzę, że jego shenanigany jak nic wpakują w kłopoty i mnie, to przecież muszę zaprotestować. Tak, wiem, że ściśle rzecz biorąc, jest ode mnie teraz dużo starszy, i że jeśli ktoś coś wie o przetrwaniu, to właśnie on, ale przecież to jeszcze nie znaczy, że mam siedzieć cicho, jak wygaduje głupoty. To tylko znaczy, że muszę mu jak najdelikatniej powiedzieć, że jest głupi.

I nie strzelić go niczym, jak będę to mówił.

– Słuchaj, Siodhachanie, to się nie może dobrze skończyć, jak pójdziemy tam sami – mówię mu. – Weźmy sobie do pomocy armię szkockich dudziarzy, żeby odwrócić uwagę Fand, jak się będziemy skradać po cichu z flanki. No wiesz, tych typków takich weźmy, co śmierdzą jak stary ser. Albo może tych krasnoludów z toporami, o których mi opowiadałeś.

– Jeśli weźmiemy z sobą armię czegokolwiek, to nie będzie to dobry wstęp do naszych pokojowych rozmów.

– Żadne „my” nie chce rozmawiać, synek. Tylko ty masz takie pomysły.

Ale oczywiście Siodhachan odwraca się do tej selkie, szukając poparcia dla swojego zawszonego argumentu.

Poprzedniego wieczoru spiliśmy się prawie do nieprzytomności. Potem on oddał jej swój pokój, a sam rozwalił się na kanapie w salonie. Pies skulił się na podłodze przy nim.

– Wolisz rozmawiać czy walczyć, Mearo? – pyta.

– Pan mój Manannán nakazuje rozmowy.

Ano, taki właśnie wydał rozkaz, gdy już zamknięto bar, a zaraz potem wyniósł się przez najbliższe drzewo, a wraz z nim Flidais i jej wielka jak góra, włochata zabawka erotyczna. Wkrótce pójda się wypłakać Brighid, w nadziei, że nie spali ich na tosty.

Siodhachan wie przecież, że Meara nie dała mu prawdziwej odpowiedzi, ale udaje, że taka też jest dobra. Wychodzi na to, że mój zdrowy rozsądek przegrywa z posłuszeństwem selkie wobec jej boga.

– Póki co jesteś postrzegany jako strona neutralna – przekonuje mnie Siodhachan. – Dlatego jesteś mi potrzebny. A Meara będzie oczami i uszami Manannána, do tego zapewni nam bezpieczeństwo.

– Obyś miał rację – wzdycham. – Ale boję się, że jej nie masz. Myślę, że Fand już raz straciła głowę i to się u niej może powtórzyć. A jeśli się tam stawię z tobą, to moja neutralność będzie warta bobek króliczego łajna.

Na co odzywa się ten jego pies:

<Czy to znaczy mało czy dużo? Jaki jest aktualnie kurs króliczych bobków, Atticusie? I czemu on ciągle mówi łajno zamiast gówno? Czy łajno to jakieś fajniejsze słowo, czy on tylko tak udaje, że jest fajniejsze?>.

– Wkroczyliśmy tam z szeroko otwartymi oczami, Owenie.

– Skoro już o wkraczaniu mowa – mówi Meara. – Czy zamierzamy się przenieść bezpośrednio na podwórze zamku? Wiem, którymi nićmi się tam dostać.

– Nie, ale dzięki za propozycję – odpowiada Siodhachan. – Przeniesiemy się przez drzewa wokół, tak jak zwykle. Chcę, żeby nas zaprosiła do środka, bo wtedy będą ją

obowiązywały reguły gościnności.

– To będą raczej reguły wojny, synek. Powinniśmy iść tam z tysiącem nagich wojowników, którzy by potrafili walczyć jak mokre koty o nadpobudliwych bebecach.

– Możesz iść nagi, jeśli chcesz – odpyskowuje mi gówniarz, zupełnie ignorując moją radę. – Ja wolę w spodniach.

Wzdycham i się wycofuję. Jeśli mam do niego jakoś dotrzeć, to muszę wymyślić inny sposób. Są rzeczy, które naprawdę muszę mu powiedzieć.

– Mearo, czy mogłabyś zostawić nas na chwilę samych? – pytam.

– Jasne. Wyprowadzę psa – mówi selkie i wstaje.

<Czy ona ma na myśli, że będzie szła ze mną, a ja będę obwąchiwał różne rzeczy?> pyta Oberon. Nie odpowiadam mu, ale widocznie Siodhachan to robi, bo pies wstaje i wymachuje ogonem. <Gdzieś tam jest lisia jama. Moim zadaniem jest ją namierzyć i ustalić, czy ten lis też ma dodatkowe ogony>.

Znikają wśród drzew, a Siodhachan robi co może, żeby wyglądać tak, jakby w ogóle się nie bał tego, co mam mu do powiedzenia.

– Musisz mi teraz szczerze odpowiedzieć, synek. Czy ty się mi sprzeciwiasz, bo naprawdę masz coś przeciwko temu, żeby iść tam przygotowanym na wszystko, czy robisz to tylko po to, żeby się odegrać na mnie za te wszystkie kuksańce, jakie ci dawałem, jak byłeś moim uczniem?

– A mogę powiedzieć, że i to, i to? – odpowiada. – Albo żadna z tych możliwości? Bo to dość pozorny wybór.

– Nic z nim nie jest nie tak. Pójść tam w trzy osoby równa się pójść na wojnę bez żadnego przygotowania. I tu nie ma żadnego znaczenia to, że jesteś najpotężniejszym druidem, jaki kiedykolwiek chodził po ziemi.

To zwraca jego uwagę. Obraca głowę tak szybko, jakbym mu wsadził język do ucha.

– Słucham?

– Tak, słyszałeś. – Kontakt wzrokowy to może być za dużo dla niego albo dla mnie, więc na wszelki wypadek odwracam głowę w stronę lasu i mówię cicho, ale staram się przynajmniej mówić wyraźnie: – Wiem, że ze mnie drań, Siodhachanie, ale to tylko dlatego, że nie boję się mówić przykrej prawdy. A prawda jest taka, że miałeś zwyczaj pieprzyć wszystko dość regularnie. Ale prawdą jest też, że jesteś bystrzejszy i bardziej utalentowany niż ktokolwiek, kogo znałem.

Na chwilę zapada cisza. Ja wpatruję się w wierzchołki drzew, a on we mnie. Intensywność jego spojrzenia trochę jakby pali mnie po gębie.

– Jeśli to nie sarkazm – mówi – to jakoś nigdy o tym dotąd nie wspomniałeś. Nigdy.

Wzruszam ramionami.

– A myślisz, że dlaczego nikt mnie nie lubi? Zawsze jakoś zapominam mówić tę miłą prawdę.

Siodhachan nic na to nie odpowiada. Widzę kątem oka, że zaciska usta i szczęki, że odwraca wzrok i wbija go w ziemię. Znów zapada między nami milczenie i dociera do mnie, że nie powiedziałem dość. Chyba naprawdę go dotąd raniłem. Jak już mam mówić niemiłą prawdę, to może powinienem zacząć od powiedzenia sobie, że powinienem przestać być skończonym dupkiem i pamiętać, co to znaczy być miłym.

– Słuchaj, synek – mówię. – Jestem ci winien przeprosiny i zalegam z tym całe stulecia. Przepraszam, że tak hojnie rozdawałem kuksańce i krytykę, a tak skąpiłem pochwał. Powinienem był bardziej dbać o równowagę i będę się odtąd starał mówić na głos, gdy zrobisz coś dobrze, zamiast tylko wytykać ci błędy. Może zacznę od razu, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Dziękuję, że mnie wyciągnąłeś z tej wyspy. Dużo jeszcze nie widziałem tego nowego świata, większość tego, co widziałem, wygląda jak pięć pieprzących się wieprzów, ale jednak to coś nowego i ciekawego i, no, kurna, od lat się tak dobrze nie czułem. A w Arizonie poznałem nawet jedną taką wilkołaczycę, która mnie lubi, a ja lubię ją. I jestem za to bardzo wdzięczny i tobie, i Morrigan, co jest tym dziwniejsze, że swego czasu byłem pewien, że albo jedno, albo obydwójce doprowadzicie w końcu do tego, że mnie szlag trafi. He he.

Pochyla się i zakrywa oczy ręką, jakbym go przyprawiał o ból głowy, ale nic nie mówi. Może nie powinienem był wspominać o tym, że byłem kiedyś pewien, że doprowadzi mnie do śmierci.

– Oj, spieprzyłem moje przeprosiny, co?

– Może troszkę – przyznaje.

– Chrzanić to. Słuchaj, przepraszam, Siodhachan. Naprawdę. Przepraszam i tyle.

– Hmm...

– Czekaj, właściwie to nie wszystko! Jeszcze sobie coś uświadomiłem. Od jakiegoś czasu to ja jestem twoim uczniem i pokazałeś mi, że można uczyć w sposób łagodny. – Muszę odchrząknąć, żeby dalej mówić, bo coś mnie nagle chwyta za gardło. – Widzę, na jakiego wyrosłeś człowieka, i to jest dobry człowiek. Człowiek, który szuka pokoju, ale umie zwyciężyć w walce, gdy już nie da się jej uniknąć. Ja nigdy nie znalazłem pokoju. Może i jakoś za bardzo nie szukałem, jeśli wiesz, co chcę przez to powiedzieć. Więc jestem ci wdzięczny, synek, że wskazałeś mi ścieżkę przez las. Wydaje mi się, że chciałbym spróbować nią iść. Być może na końcu znajdę coś jakby szczęście.

Kiwa głową, żeby mi dać znać, że słyszał, co powiedziałem, ale przez dłuższą chwilę nie odpowiada. Może myśli, że mam jeszcze coś do powiedzenia. Ale powiedziałem, co chciałem, i dobrze się z tym czuję.

Kiedy się odzywa, mówi tak cicho, że ledwo go słyszę:

– Dziękuję za to wszystko. To dużo dla mnie znaczy.

Kiwam głową i myślę sobie, że chodzi mu o coś więcej niż słowa. Kiedy Siodhachan był jeszcze kajtkiem, jego stary dał się zabić podczas kradzieży bydła, więc potem byłem mu jak ojciec. Gówniany ojciec. Nie pamiętam, żebym mu choć raz powiedział dobre słowo.

– Ty dużo dla mnie znaczyś, synek.

Dzieje się coś dziwnego. Obaj wzdychamy, jakbyśmy zdjęli wielki ciężar po długiej wędrówce. A potem wybuchamy śmiechem, jakbyśmy ledwo uszli śmierci. I, bo ja wiem, może tak jest. Żaden z nas nie powinien niby widzieć tego zachodu słońca. Dary Gai są bezgraniczne.

Chciałem go znów prosić, żebyśmy jednak wzięli sobie kogoś do pomocy na tę wyprawę do Tír na nÓg, ale odpuszczam. Spróbuję pokojowej drogi i zobaczymy, co będzie. Nawet jeśli to najgłupszy pomysł świata, to już trudno – przynajmniej mieliśmy dzięki niemu okazję do przegadania innych rzeczy.



## Rozdział 24



Wciąż nie mogłem się dodzwonić do Granuaile i nie odpowiadała na moje esemesy. Nagrałem jej się jeszcze raz na pocztę głosową, powiedziałem, że zostawiam jej list w chacie, a potem napisałem ten obiecany list i zostawiłem go na kuchennym stole. Nie chciałem, żeby dołączyła do nas, nie mając pojęcia o sytuacji, więc streściłem jej ją w kilku krótkich zdaniach i poradziłem, żeby przybyła w pełnym trybie ninja i bez psów.

Podniosłem Fragaracha i zarzuciłem go sobie na plecy.

*Oberonie, chciałbym, żebyś tu został i czekał na Granuaile i Orlaith. Powiedz jej, żeby jak najszybciej dołączyła do mnie. Na stole zostawiam list.*

<O nie, Atticusie! Granuaile już mi to kiedyś zrobiła. Nikt nie powiedział, że trzeba zostawiać list i psa, żeby komuś powiedzieć, gdzie się jest. List w zupełności wystarczy>.

*Musisz jej powiedzieć, gdzie jest list. W innym razie może go tak od razu nie zauważyć. Masz bardzo ważną rolę do odegrania.* – Oczywiście nie była ona aż taka ważna, ale na szczęście mogłem łatwo przekonać Oberona, że jest, jeśli tylko połączyłem to jakoś z jedzeniem, więc dodałem: – *A poza tym zrobię ci za to antrykot.*

<Antrykot! Na Wielkie Jeziora sosu! I muszę jedynie, jak tylko tu wejdziesz, powiedzieć jej, żeby natychmiast przeczytała list?>.

*Tak.*

<Możesz na mnie liczyć!>.

*Dzięki, chłopie.*

Odwróciłem się do Meary i Owena.

– Gotowi do drogi?

– Wcale nie mam na to ochoty – odburknął Owen. – Ale gotowy jestem.

– Gotowa – powiedziała Meara.

Podrapałem Oberona pod brodą na pożegnanie, poszliśmy do tego drzewa co zwykle i przenieśliśmy się do gaju otaczającego posiadłość Manannána. Był to las mieszany, ale z przeważającą liczbą dębów, z dość poskromionym podszytem i wolnymi przestrzeniami do spacerów między drzewami. Znajdowaliśmy się w zachodniej części posiadłości jakieś trzy czy cztery drzewa w głąb gaju, a wejście było od południa. Spoglądając spod gałęzi, widzieliśmy rozciągające się przed nami pastwisko i szare mury zamku w oddali.

Normalnie powinniśmy słyszeć świergotanie ptaków, ale było tak cicho jak w klasie, gdy uczeń napyskuje nauczycielowi i wszyscy czekają z zapartym tchem, co teraz będzie.

– Coś tu za cicho – mruknął Owen, odruchowo półprzykucając.

Meara nieświadomie skopowała jego ruch.

– Ano.

Obnażyłem na wszelki wypadek Fragaracha, bo uznałem, że mam jeszcze mnóstwo czasu, nim dotrę do bramy, żeby go schować i okazywać tam moje pokojowe nastawienie. Tu, pod drzewami, wolałem popuścić smycz mojej kochanej paranoi.

Skradaliśmy się maleńkimi krokami w trawie, rozglądając się nerwowo na boki, a nawet w górę, na gałęzie, ale nic nie słyszeliśmy i nie widzieliśmy. Minęliśmy jeden rząd drzew, potem drugi i wszystko szło dobrze prócz dziwnego napięcia w powietrzu. Nie wyczułem problemu, aż było już za późno.

Byłem odcięty od ziemi – a raczej od tego, co uchodzi za ziemię w Tír na nÓg. Jak we

wszystkich krainach, i ta powinna dawać mi zmniejszony, ale jednak pewny dostęp do energii Gai, ponieważ wszystkie krainy są z nią połączone. Zamarłem, gdy dotarło do mnie, że tym razem jednak obecność jej energii nie jest zwyczajnie zmniejszona, lecz zupełnie zablokowana. Nim zdołałem cokolwiek powiedzieć do Owena, wskazał mi coś przez gałęzie. W oddali, wokół wież zamku, unosiła się chmura latających faerii.

– Wygląda mi na to, że one są gotowe do walki, Siodhachanie. Widocznie Fand już wie, że ty wiesz.

– Owen, nie mamy dostępu do mocy.

– Co takiego?! – Mój archdruoid spojrział w dół, na swoje stopy, i zobaczyłem, jak dociera do niego, że mam rację. Jego tatuaże też nie wciągały żadnego soku. – A niech mnie siedem par wolicz jaj trzaśnie! Jakim cudem?

I wtedy właśnie zza wielkich dębów wyskoczyło na nas czterech Firbolgów – olbrzymich brzydali, którzy, ściśle rzecz biorąc, nie zaliczają się do faerii, ale chętnie dorabiają sobie u nich jako płatne oprychy. Mieli ogromne pistolety do wystrzeliwania siatki i posłużyli się nimi bez żadnego ostrzeżenia czy choćby okrzyku wojennego. Próbowałem krzyknąć, żeby ostrzec Owena i Mearę, ale zdążyli jedynie dzięki temu podnieść wzrok i zobaczyć, jak siatki na nas opadają. Gdy tylko dotknęły mojej skóry, wiedziałem, że mamy poważne kłopoty. Dosłownie wbiły nas w ziemię, bo między oczka wplecione były obręcze z żelaza. Było go na tyle dużo, że uniemożliwiało rzucenie jakiegokolwiek zaklęcia, szczególnie biorąc pod uwagę żelazo, które i tak już przecież dyndało mi na szyi. Odcięci od ziemi, a przez żelazo pozbawieni możliwości korzystania z magicznych zapasów, byliśmy teraz zupełnie bezbronnymi ludźmi.

Zaczęliśmy się oczywiście miotać pod siatkami, a gdy my byliśmy zajęci tym bezsensownym działaniem, Firbolgowie rzucili na ziemię swoje wystrzeliwacze siatek i złapali za włócznie, które znajdowały się dotąd poza zasięgiem naszego wzroku, oparte o dęby. Ruszyli w naszą stronę z podłymi uśmiezkami i wiedziałem już, że nie zdołamy się uwolnić na czas.

## Rozdział 25



Gdy tylko Loki znika mi z oczu, zaczynam znów mentalnie przemawiać do psa. Słyszę jej oddech, ale siedzi poza zasięgiem mojego wzroku.

*Orlaith? Błagam, odpowiedz!*

<Co? Granuaile! Cześć! Gdzie jestem?>.

Ciążący mi w piersi węzeł niepokoju poluzowuje się znacznie.

*Jesteś w dziurze pod ziemią razem ze mną.*

<O! A skąd ja się tu brałam? Był taki wysoki mężczyzn i... hej! Granuaile ranna?>.

Podchodzi, pochyla się nade mną, a ja zmuszam się do słabego uśmiechu.

*Tak, ale to się da wyleczyć.*

A w każdym razie większość tego. W przeciwieństwie do bólu moich potrzaskanych kości i zgniecionych mięśni, pieczenia piętna wyciśniętego przez Lokiego nie da się ugasić. Mam wrażenie, że wciąż wręcz skwierczy, że wciąż śmierdzi wokół spalenizną. Łzy płyną mi po policzkach, trochę z bólu, częściowo z upokorzenia, a częściowo z ulgi, że obie żyjemy. Ale nie odważam się wydać żadnego odgłosu. Jeśli Loki wciąż czai się gdzieś tam u góry, nie chcę mu dać żadnej satysfakcji.

Zastanawiam się, czy zimne żelazo przygasi magię tego znamienia na tyle, żebym zdołała się z niego wyleczyć. Ale to jeszcze długo nie będzie możliwe, bo wymagałoby ruchu ręką, a na to na razie nie mam siły. W ogóle nie mogę jeszcze w żaden sposób obciążać kości, boby tylko jeszcze bardziej popękały. Przede mną długie czekanie. Orlaith pociesza mnie, jak może, a ja radzę jej, żeby zdrzemnęła się przy moim boku. Sama zupełnie nie mogę zasnąć.

Światło wpadające przez szparę staje się mocniejsze w południe, a potem gaśnie stopniowo, gdy dzień schodzi mi na walce z fizycznym bólem i psychicznym samobiczowaniem się. Pieczenie na ramieniu przechodzi w końcu w tępe mrowienie, ale wewnętrzne samooskarżanie staje się tylko mocniejsze. Tą ścieżką poprowadziła mnie własna głupota i wiem, że nigdy sobie tego nie wybaczę.

Gdy zmierzch przechodzi w ciemność, kończą się resztki mojej cierpliwości, a przy tym muszę koniecznie pójść na stronę, stwierdzam więc, że najwyższy czas się ruszyć. Wiem, że blokada nerwów, którą się posługuję, de facto odcina mnie od wszelkich informacji zwrotnych, które wysyła moje ciało, tak więc zdejmuję ją – i natychmiast wrzeszczę, bo wraca nieznośny ból mięśni. Orlaith budzi się z drzemki.

<Co? Dlaczego krzyk?>.

*Odblokowałam ból i mnie zaskoczył. Chciałam spróbować się ruszyć.*

<Okej>.

Boli mnie wszędzie i moje ciało błaga o jakiś sposób na uniknięcie tego bólu, ale nie ma takiego sposobu, bo każdy skurcz mięśni powoduje tylko nową falę zażaleń. Zaciskam zęby, wkładam lewą rękę do kieszeni džinsów – powolna operacja, która wymaga szybkich wdechów i wydechów, ale przynajmniej ta kończyzna działa. Wpycham palce do środka i udaje mi się wyciągnąć komórkę, ale okazuje się, że jej dotykowy ekran jest zupełnie do niczego, bo popękał w drobny mak pod naciskiem. Zastanawiam się, czy działałaby na polecenia głosowe, ale nawet nie chce się włączyć. To by było na tyle, jeśli chodzi o szanse dodzwonienia się do Atticusa.

Sprawdzając mięśnie brzucha, próbuję uisnąć. Kompletnie mnie zaskakują, bo pozwalają mi się unieść, tylko lekko przy tym narzekając. Rozglądam się w poszukiwaniu jakichś

szczątków dabāvy, ale nie widzę nic, tylko tuż przy mojej kostce leży stos poplątanej czarnej wstążki niczym zużyte serpentyny albo pozostałości jakiejś masakry z udziałem taśmy magnetofonowej. Czy to to? Czy to to odcięło mnie od światła i próbowało zgnieść jak winogrono?

Z moich ust znów wrywa się jęk, gdy spoglądam na swoje ciało. Ręce są całe opuchnięte i sine. Pewnie także twarz i szyja są jednym wielkim siniakiem.

Okazuje się, że jedyne, co uda mi osiągnąć bez nieznośnego bólu, to to, że usiadłam. Wszystko tak strasznie boli i czuję się tak krucha, że każdy ruch jest niewyobrażalnie powolny i wywołuje grymas cierpienia. Zapada kompletna ciemność, nim daję radę przeczołgać się niczym zombi te sześć metrów dalej, żeby się wysikać, a potem wrócić i znów się położyć. Jestem po tej wyprawie obłądnie zmęczona.

Znów zakładam blokadę bólu. Przesypiamy noc. Budzimy się niebotycznie spragnione. Proszę Kaweri o stworzenie dla nas małej misy w podłodze i wypuszczenie tam wody. Jest zimna, przezrysta i przepyszna. Wypijam kilka garści, a potem podchodzi Orlaith i wychłęptuje swoją część, robiąc przy tym wiele hałasu, który zwykle mógłby być denerwujący, ale tym razem wydaje mi się taki kochany.

<Jedzenie?> pyta, gdy tylko kończy.

*Przydałoby się, nie? Ale ja chyba nie dam rady się stąd ruszyć. Muszę się dłużej poleczyć. Moje kości nie są jeszcze dość mocne. Może chciałabyś pójść coś upolować? Choć nie wiem, czy to dobre miejsce na polowanie.*

<Możę spróbować>.

*Tylko trzymaj się z dala od ludzi. Najlepiej, żeby cię w ogóle nie zobaczyli. A jeśli ktoś cię zacznie gonić, wracaj tu natychmiast.*

<Ty nie będziesz idła ze mną?>.

*Nie dam rady, Orlaith. Ale będę tu bezpieczna. Idź, zobacz, czy coś znajdziesz, a o mnie się nie martw.*

Orlaith ociąga się, ale potem nie ma jej dobre dwie godziny. Kiedy wraca, ma ślady krwi na pysku i kładzie się przy mnie. Zabijamy czas kolejnymi lekcjami języka. Cała niedziela schodzi mi na leczeniu ciała. Burczy mi w brzuchu, ale staram się zachować zen, choć nie mogę się już doczekać, kiedy stąd wyjdę.

Gdy słońce znów znika z naszej szpary, wiem, że nadszedł Samhain. Atticus pewnie się zastanawia, gdzie się podziewam. Albo zacznie, gdy się obudzi. Muszę sobie wciąż przypominać, że między Indiami a Kolorado jest dwanaście godzin różnicy. Wydaje mi się, że nawet mogłabym już do niego wrócić, ale chyba lepiej będzie, jak jeszcze chwilę zaczekam. Uściskałby mnie i znów potrzaskał mi obojczyk. Wiedziałby od razu, że ktoś mi porządnie skopał tyłek – nadal jestem cała fioletowa – i musiałabym mu wszystko wyjaśniać. A poza tym muszę się zastanowić nad problemem piętna wyciśniętego przez Lokiego. Możliwość ukrywania się przed wywróceniem to – muszę przyznać – wspaniały dar. Sama bym tego nie dała rady osiągnąć bez splecenia amuletu z aurą, a Atticus mówi, że to proces, którego nie da się przyspieszyć. Jemu zajęło to całe lata. Lecz ten prezent od Lokiego nie jest za darmo – wiedziałabym o tym, nawet gdyby sam tego nie powiedział. Cena jest taka, że Loki może mnie już zawsze namierzyć. Więc jeśli teraz wrócę do Kolorado, potencjalnie zaprowadzę go prosto do Atticusa, który tego dnia akurat nie będzie przygotowany na atak, a Loki nie robił tajemnicy z tego, że chce go zabić. Uzmysławiam sobie, że może w ogóle nie powinnam już wracać do domu. Jeśli chcę, by Atticus był bezpieczny, może powinnam go unikać. Albo pozbyć się jakoś znamienia.

Czuję się już trochę sprawniejsza, więc zdejmuję z szyi żelazny amulet i przyciskam go do run wypalonych w skórze ramienia. Są czerwone i opuchnięte, ale już nie czuję pieczenia.

Proszę żywiołaka o pomoc.

//Kaweri / Pytanie: Uleczyć poparzenie?//

//Pytanie: Jakie poparzenie?//

Próbuję wskazać jej piętno czy znak, czy jak to nazwać, ale Kaweri nie widzi żadnego problemu w moim ciele, nie licząc głębokich uszkodzeń tkanki. Gdy przyglądam się runom w magicznym spektrum, widzę tylko słaby, biały blask magii w kole, ale nic, co mogłabym rozpleść czy jakoś ruszyć. Choć wielokrotnie dotykam znaku zimnym żelazem, nic to nie daje. Co on takiego zrobił, do cholery?

Mam ochotę wrzeszczeć z bezsilności, ale się opanowuję. Przecież nie spróbowałam jeszcze wszystkiego. Być może „Młodości Czar” może cofnąć mnie do stanu, gdy nie miałam jeszcze tych run. Albo może Atticus coś wymyśli, gdy już wreszcie się zobaczymy.

Zastanawiam się dłuższą chwilę nad różnymi aspektami podróży. Loki z pewnością chciałby spróbować zniszczyć Tír na nÓg, ale nie może się przenosić przez połączone z nią drzewa, bo nie jest spleciony z Gają. Mogę więc bezpiecznie przechodzić po niciach. Na pewno jednak nie powinnam już nigdy używać żadnych Starych Dróg, bo pokażę mu wtedy przejście, którym spokojnie może za mną pójść. Wyobrażam sobie, że nie będzie mógł mnie namierzyć, gdy już będę w Tír na nÓg, bo to kraina zupełnie poza jego zasięgiem, ale pewnie domyśli się, że tam jestem, jeśli nie będzie się dało mnie znaleźć na ziemi.

<Głodna, Granuaile>.

Odpowiada jej mój żołądek – burczeniem.

– Myślę, że już możemy stąd wyjść. Ale będziemy musiały się cały czas trzymać nagiej ziemi, żebym mogła kontynuować leczenie.

Podnoszę Scáthmhaide’a. Poruszam się bardzo powoli. Choć zablokowałam ból, czuję napięcie mięśni. Teraz, gdy kości mogą już unieść mój ciężar, czas wszystko tam poluzować.

*To, co? Spadamy stąd?*

<Tak!>.

Rozglądam się po raz ostatni, ale nie widzę nic poza czarną stertą wstążki, która musi być pozostałością po dabāvie. Żadnej głowy. Kończyn. Ogona. Niczego, co łączyłoby tę fizyczną postać z istotą, która mała mnie nie zgmiotła na śmierć. Zupełnie jakby to była ta ciemność, która mieszka w szafie albo pod łóżkiem. Tylko spotęgowana, potworna. Dobrze, że teraz martwa.

Wspinaczka po schodach kosztuje mnie sporo czasu i wysiłku. Idę pochylona do przodu, prawie na czworakach, tak jak się wspina po drabinie. Cała jestem spocona, a Orlaith zasapana, nim wychodzimy w końcu na światło dzienne. Kaweri posłusznie spełnia moją prośbę o zasypianie dziury i zamknięcie szczeliny. Niczym niewyróżniające się pole ryżu.

– Uff, udało nam się – mówię, choć wiem, że w pewnym sensie już nigdy nie wydam się z tej dziury w ziemi. To mój własny Kolosalny Błąd, który będzie do mnie wracał przez całe wieki, jeśli będę miała szczęście tyle żyć. A jeśli kiedykolwiek dopadnie mnie taki atak pychy, by uważać kogoś za głupca, to to właśnie będzie gotowy dzban pokory, który w każdej chwili będzie mógł mi się wylać na ten mój dumny łeb.

Oczywiście nie wybrałam świadomie tej porażki. To nie jest coś, na co się człowiek sam decyduje, i zwykle wymyka się spod kontroli, sterowane czymś takim jak fizyka, okoliczności i inni ludzie. Zawsze jednak możemy kontrolować własną reakcję na porażkę.

Nierównym krokiem wlokę się po na poły wiejskich drogach z powrotem do hotelu, żeby odzyskać laptopa, nasze rzeczy i się wymeldować. Wywołujemy panikę wśród wszystkich, których mijamy. Większość ludzi po prostu szybko schodzi nam z drogi i unika kontaktu wzrokowego. Ale jednemu mężczyźnie wyraźnie się nie podoba, że chodzę sama w takim stanie. Albo coś w tym stylu. Nie wiem do końca, o co mu chodzi, bo nie rozumiem słowa z tego, co do

mnie mówi. Może tylko czepia się o to, że Orlaith nie jest na smyczy. Może zna skądś moją twarz. Nie jest przecież wykluczone, że widział mnie z Lakshą tamtej nocy, gdy ratowaliśmy ludzi przed rakszasami, i teraz jestem w jego oczach wiedźmą.

Jego ton staje się bardziej agresywny, gdy nie odpowiadam. Zastępuje mi drogę, na co Orlaith reaguje warczeniem. Chyba uznaje to za groźbę, a może obrazę. W każdym razie zupełnie nie dociera do niego, że to on zachowuje się jak skończony kretyn. Kiedy próbuję go wyminąć, wyciąga rękę i mnie łapie.

Robię to zupełnie odruchowo – jeden ruch Scáthmhaide’a, uderzenie w głowę. Nie jest silne, więc facetowi nic nie jest, ale jednak teraz to już jest bójka, a temu typowi wyraźnie się wydaje, że musi mi pokazać, gdzie moje miejsce. Nie mam siły rozwiązywać tego jakoś zgrabniej, więc tylko uderzam go w brzuch kijem, gdy się na mnie rzuca, przez co musi się odsunąć, a potem stosuję trik, który tak lubi Atticus, i splatam materiał spodni na jego kolanach z ziemią. To go zmusza do ukłęknięcia. Utknął w tej pozycji, więc nie będę musiała mu robić krzywdy. Jego wściekła mina jest jednak dość zabawna, więc wybucham śmiechem, pokazuję mu środkowy palec i zarzucam niewidzialność na siebie, a kamuflaż na Orlaith. Odchodzimy po cichu, a on wciąż wydziera się tam, na ziemi, choć już zbierają się wokół niego ciekawscy. Zapewnia sobie całkiem sporą widownię na tę chwilę, gdy w końcu będzie musiał zdjąć gacie. Nawet jeśli przedtem nie miał mnie za wiedźmę, teraz już na pewno ma. I to taką, której udało się uciec. Cokolwiek zamierzał, nie powiodło mu się to. Widać gołym okiem, że jego reakcja na to wydarzenie nie zaowocuje żadnym rozwojem jego osobowości.

Przemykamy się chyłkiem koło portiera w hotelu, bo się boję, że może mnie w takim stanie nie wpuścić do środka. Gdy już docieram do pokoju i zrzucam niewidzialność, spoglądam na siebie w lustrze i zwyczajnie mnie zatyka. Cholera, sama bym siebie nie wpuściła do hotelu. Ciekawe, że moja szyja jest prawie zupełnie pozbawiona siniaków z przodu. Chyba żelazny amulet jakoś ją jednak ochronił. Być może, gdyby był spleciony z moją aurą, tak jak u Atticusa, w ogóle byłabym odporna na dabāvē. Choć jestem posiniaczona po bokach szyi i dabāva zdecydowanie ograniczała moją zdolność oddychania, wydaje mi się, że amulet uratował mi tchawicę. Inaczej pękłaby, tak jak moje kości.

Pakuję się i dzwonię na recepcję, żeby powiedzieć im, że się wymeldowujemy, i żeby mnie odpowiednio skasowali za pobyt. Nie mam już dość magii, żeby znów wrzucić niewidzialność i kamuflaż, musimy się im więc po prostu pokazać. Obsługa hotelowa jest przerażona naszym widokiem, ale dzięki temu tylko jeszcze szybciej nas wymeldowują. Kładę lewą rękę na grzbiecie Orlaith i razem przechodzimy przez tunel ciekawskich spojrzeń i odwracanych oczu, a gdy wreszcie opuszczam posadzkę hotelowego lobby i wychodzę na trawnik, moje kroki stają się znacznie sprawniejsze, a może i nawet szybsze. Balsam na moje cierpienie. Gdy tylko znów mogę pobierać energię ziemi, kamufluję nas, żeby nie ściągać niczyjej uwagi, bo z mojego dotychczasowego doświadczenia wynika, że ciężko posiniaczone kobiety są albo agresywnie zaczepiane, albo się ich unika, ale raczej się im nie pomaga.

Znalezienie czegokolwiek zjadliwego dla Orlaith okazuje się trudniejsze, niż przypuszczałam, bo przecież jest to region w większości wegetariański. W końcu muszę przyznać, że łatwiej będzie przenieść się gdzie indziej, żeby jej coś znaleźć. Może nawet mogłybyśmy się poprzemieścić do wielu miejsc, tak żeby Loki nie mógł się połapać, które jest ważne, a które nie. Spędzić po dziesięć minut, może pół godziny w każdym miejscu, a dopiero potem wpaść do Kolorado i tam też spędzić tylko tyle czasu, żeby zdążyć powiedzieć Atticusowi, jak wygląda sytuacja, a zaraz potem znów się przenieść. Zresztą Atticus może się przecież przenieść ze mną. Możemy jakoś razem rozwiązać problem piętna Lokiego i nie narażać na niebezpieczeństwo naszego domu.

Analizuję plan pod każdym względem, także czasowym. Odpocznę w Samhain, żeby odzyskać siły, ale powinnyśmy jeszcze poszukać po całym globie, nim zostaniemy gdzieś na nocleg. Wybierzemy jakieś miejsce na dworze, gdzieś, gdzie świt nadejdzie kilka godzin przed wschodem słońca w Kolorado. W ten sposób, kiedy wstaniemy, będziemy mieć jeszcze czas na przeskoczenie w kilka miejsc, nim jak gdyby nigdy nic wylądujemy w naszej chacie rano pierwszego listopada, mniej więcej w porze śniadaniowej.

Pustkę w żołądkach zapełniamy w Argentynie, a potem, gdy już zaliczamy wystarczającą, miejmy nadzieję, ilość przeniesień na dzień, noc Samhain spędzamy w Appalachach, z dala od wszystkich podświetlanych dyń i toreb na cukierki. Rano czuję się o wiele lepiej. Nie kuleję już, choć nadal poruszam się dość powoli. Ból jest znośny, taki mniej więcej, jaki się czuje dzień po zbyt intensywnym treningu. Gaja jest dla mnie taka dobra.

Miotamy się po całym globie dobrą godzinę, żeby zmylić Lokiego, jeśli nadal mnie obserwuje, aż w końcu stwierdzam, że już wystarczająco długo zwlekaliśmy z powrotem do domu. Przygotowuję się psychicznie na liczne pytania Atticusa i szalony przelot przez zapasy, żeby spakować rzeczy potrzebne na długą nieobecność w domu, a potem przeciągam nas do drzew tuż nad Ouray.

<Granuaile! Już jesteś!> wrzeszczy mi Oberon w głowie. Siedzi pyskiem do drzew, spośród których wychodzimy, zupełnie jakby na nas czekał, co jest nieco zaskakujące. <Masz przeczytać list, który leży na stole, a ja dostanę antrykot!>.

– Co?

<To część Księgi Pięciu Mięś. Frykasy oto czekają na tych, którzy dobrze wykonają swoją pracę. Tak tam pisze. A raczej będzie pisało, jak już ta księga zostanie spisana. W każdym razie Atticus powiedział, że mam dopilnować, żebyś od razu przeczytała ten list>.

Pojęcia nie mam, o jakiej on księdze mówi, ale nie ulega wątpliwości, że Atticusowi zależało na tym, żebym jak najszybciej przeczytała list, więc mówię:

– Dobrze, Oberonie – żeby go jakoś uspokoić. – To pewnie znaczy, że Atticusa tu nie ma, tak?

<Nie! Właśnie zniknął! Powaga! Ale cieszę się, że wróciłaś! Pobawię się wreszcie z Orlaith!>.

<Oberon jest tu! Szczęście!> mówi Orlaith, merdając ogonem.

– Bawcie się dobrze.

<Hej, Bystra Dziewczyno. Jakoś dziwnie wyglądasz. Wszystko okej?>.

– Nic mi nie jest, Oberonie. Ale dzięki za troskę.

<Miałem już wcześniej się zatroskać, ale antrykot przesłonił mi oczy. Sama rozumiesz>.

– Jasne.

Psy dosłownie rzucają się na siebie z radości i tarzają w liściach, gdy ja pędzę do drzwi chaty. Wstyd się przyznać, ale chyba mi ulżyło, że Atticusa tu nie ma. Przynajmniej nie zobaczy mnie w tym stanie. Jutro będę wyglądała tylko trochę strasznie – już nie jak chodzący truposz, którym jestem dziś. Ulga ulatnia się jednak, gdy tylko spoglądam na jego list.

Granuaile!

Przyjdź, proszę, jak najszybciej do posiadłości Manannána Mac Lira. Okazało się, że to Fand próbowała nas zabić. Nie chce mieć więcej Żelaznych Druidów. Długa historia, ale Manannán i Flidais poszli do Brighid, a ja i mój archdruid jesteśmy na spotkaniu z Fand, żeby spróbować jeszcze jakoś uratować sytuację. Znaczy, środkami dyplomatycznymi. Mam wielką nadzieję, że będzie dobrze. Ale gdyby nie... Najlepiej bądź gotowa na wszystko. Full ninja. Psy zostaw w domu.

– To niemożliwe – wymyka mi się, ale zaraz przypominam sobie, że naprawdę nie mam

czasu, żeby się teraz nad tym zastanawiać.

Muszę stąd zniknąć, a psy zostawić w chacie. Sprawdzam jeszcze, czy mają jedzenie w misie, bo wody to mają pod dostatkiem w rzece. Zresztą jeśli nie będzie nas dłużej, zawsze mogą coś sobie upolować i wiedzą o tym.

Rzucam wszystko, co przywiozłam z hotelu, wbiegam do sypialni i najpierw znajduję jakieś gumki, żeby związać włosy, bo inaczej zbyt łatwo byłoby je wykorzystać moim przeciwnikom w walce. Potem wyciągam moją kolekcję noży i zabieram się do umocowywania ich w kaburach. W końcu mam na pasie po obu stronach po trzy noże i jeszcze dodatkowe na nogach. W szafie mam jeszcze lekką skórzaną kamizelkę, którą Atticus podarował mi na trzydzieste urodziny. Ma po sześć kieszonek po obu stronach guzików z przodu. Mieści się w niej dwanaście shurikenów, wyglądają jak Mini DVD. Pamiętam, jak pomyślałam sobie: „Niby kiedy mi się przyda coś takiego?”, ale teraz wydaje mi się, że to idealny prezent. Jeśli mam być w trybie full ninja, to shurikeny jak najbardziej się przydadzą. A w walce z faeriami każdy ten mały dysk ze stali jest bronią śmiertelną, która przemieni je w proch. Przeciwno większym przeciwnikom to wstęp do śmierci – rana zadana shurikenem powinna ich rozproszyć na tyle, żebym zdążyła wykończyć ich czymś innym.

Wypijam pospiesznie trochę wody, a potem idę na dwór spróbować, czy w ogóle potrafię rzucać. Poruszanie się nie sprawia mi już większych trudności, ale nie wiem, jak moje ciało radzi sobie z czynnościami bardziej manualnymi. Jako cel obieram czarny ślad po dawno oderwanej gałęzi osiki i wykonuję trzy szybkie rzuty. Puśluję za każdym razem. Siła rzutów jest w porządku, ale jestem zbyt spięta, mam nie dość płynne ruchy. Próbuję wolniejszych rzutów i idzie mi lepiej obydwoma rękoma, ale szybkie ruchy nie wchodzą w grę. W walce wręcz też nie będę raczej błyszczeć – żadnych akrobatycznych ruchów i pewnie kopniaki również odpadają. Jeśli rzeczywiście natknę się na bójkę, będę się musiała zdać na Scáthmhaide’a. I to raczej do bliskiej obrony, bo nawet zamaszyste ruchy kijem są dla mnie zbyt trudne.

Zbieram noże i shurikeny z ziemi, a przy okazji podładowuję zapas energii w mojej srebrnej końcówce Scáthmhaide’a. Potem rzucam splot podkręcający mi siłę i prędkość oraz włączam niewidzialność. Mam wielką nadzieję, że wszystko to robię zupełnie niepotrzebnie. Psy leżą jakieś dwadzieścia metrów ode mnie i czule podgryzają sobie nawzajem uszy.

– Oberonie! Orlaith! Idę teraz do Atticusa. Wróć, jak tylko będę mogła!

Przenoszę się do Tír na nÓg, nim mają czas mi odpowiedzieć.



## Rozdział 26



Pozwól, że powiem tylko jedno: a nie mówiłem, kurna?! – wrzeszczę i wcale niewykluczone, że to będą moje ostatnie słowa. No trudno.

Bo w moją stronę już pędzi wielki Firbolg, a ja tkwię pod obciążoną żelazem siatką. Olbrzymi drań nie zabija mnie jednak. Podchodzi na tyle blisko, że wiem już z całą pewnością, że śmierdzi jak jaja byka i zdechła ryba. Trąca mnie lekko w ramię, żeby mi dać znać, że jego włócznia jest ostra i że nie zawaha się jej użyć, jeśli będę podskakiwał.

Nie, żeby miał jak. Z całym tym żelazem na sobie nie mam nawet szans na przemienienie się w niedźwiedzia, żeby urozmaicić naszą walkę. Szlag by trafił tę siatkę. Gdybym przemienił się tak blisko tego Firbolga, pewnie bym go bez trudu powalił, a jego włócznia byłaby łąno warta.

Na lewo ode mnie siedzi pod siatką Meara, a na prawo Siodhachan. Każdego z nas pilnuje jeden Firbolg. Czwarty olbrzym ma gębę jak borsuk wygryzający się z kartonu, a gdy gwizdże na najbliższe drzewo, z liści wylatuje pixie w bordowo-złotej liberii. Jej skrzydełka szumią w powietrzu, a głos ma irytująco piskliwy:

– Czy to Żelazny Druid?

– Ano – odpowiada Firbolg. – Przekaż wiadomość tej, która chce wiedzieć.

Ma oczywiście na myśli Fand. Faerie nazywają ją królową, ale to tytuł bez żadnego pokrycia. W Tír na nÓg rządzi Brighid i wszyscy o tym wiedzą. Gdyby ktoś spróbował nazwać Manannána królem, toby potem musiał szukać swoich frywolnych części w bagnie. Ale faerie chyba lubią dramatyczność i sceny, a tego Brighid im nie zapewnia. Kiedy widziałem ją na dworze, była bardzo konkretna, można by wręcz powiedzieć: potężna, ale nie królewska. Tymczasem faerie wyraźnie mają chęć na więcej ceremonialności, którą ona ma za nic.

Pixie odlatuje w stronę zamku, a Firbolg wydaje zadowolony pomruk. Wyraźnie chodziło mu o to, żeby dotarło do nas, że to nie była zasadzka na byle kogo, tylko właśnie na nas. Siodhachan nic nie mówi i niemal widzę, jak rozważa nasze opcje. Robię zresztą to samo.

Jeśli złapiemy, zapłaczymy lub wybijemy któremukolwiek Firbolgowi włócznię z łapy, zawsze jeszcze jest ten dodatkowy, który rzuci mu się z pomocą. A jeśli nas jakoś porządniej drasną, nie damy rady się wyleczyć, póki tkwimy pod tymi siatkami i to jeszcze na ziemi, która z jakiegoś powodu nie przepuszcza energii.

Siodhachan wciąż ma pewnie Fragaracha, bo mu go nie zabrali, ale jakoś go nie widzę. Może schował go pod sobą. Bystry chłopak. Choć pod siatką i tak się nim raczej nie zamachnie.

Opcje mamy tak atrakcyjne jak ślimak w słońcu, mokry, oślizgły i bezradny – bogowie, jak ja ich nie cierpię! Pozostaje nam czekać, aż pojawi się jakaś lepsza okazja do ruchu.

Pixie wraca z zamku zaledwie po kilku minutach, choć wydaje mi się, że minęły całe wieki. Czas się dłuży, gdy się tkwi w pułapce, a Siodhachan nie wypełnia powietrza zwykłą gadką. Odkąd próbował ostrzec nas przed zasadzką, nie powiedział ani słowa.

Pixie nie jest sama. Cztery latające faerie w liberii – te wierzbowe typki uzbrojone w broń z brązu – eskortują piątą postać, która płynie ku nam ponad trawą w jakimś dziwnym worku zamiast ubrań i z obnażonym mieczem wycelowanym w ziemię. Nad nią i za nią bzczyły mały rój pixie. Gdy do nas docierają, faerie i pixie unoszą się nad nami, a ta nie tak znowu całkiem anonimowa postać w worku zatrzymuje się przed Siodhachanem. Jej głos jest zachrypły i zupełnie niekobiecy.

– Widzę dwóch druidów i selkie. Gdzie trzeci druid? Czy chowa się w lesie?

Odpowiada jej Siodhachan:

– Fand, przybyliśmy porozmawiać. Wiem, co uczyniłaś, ale nie przyszedłem szukać zemsty. Jestem tu po to, by zawrzeć z tobą rozejm. Czy możemy porozmawiać twarzą w twarz? Przecież wszyscy wiemy, że to ty ukrywasz się pod workiem.

– Wszyscy wiecie? Doprawdy?

Zamiast ściągnąć sobie kaptur czy zrzucić płaszcz, rozplata przebranie, które rozsypuje się na nitki i opada powoli na ziemię jak jesienne liście. Bładoskóra Fand ukazuje nam się zupełnie naga. To groźba, której znaczenia współczesny mężczyzna mógłby nie chwycić.

Siodhachan już mi wyjaśnił, że w dzisiejszych czasach ludzie kompletnie nie rozumieją, dlaczego Celtowie rzucali się do walki nadzy. Jedyne, na co wpadli, to że próbowaliśmy zastraszyć wrogów własną nieustraszonnością. To poniekąd prawda. Ale najważniejsze było to, że trzeba by być skończonym durniem, żeby walczyć w ubraniach, jeśli każdy druid może je przecież spleść do ziemi i zabić cię bez żadnego trudu. Jeden druid mógłby pokonać całą grupę ludzi próbujących ukraść bydło, gdyby byli na tyle głupi, żeby przyjść po nie w ciuchach. Ludzie szybko się nauczyli, że przy najmniejszym ryzyku, że się natkną na druida, jedyną szansą wygrania jest rzucić się na niego nago i ze stalową bronią, w której jest dość żelaza, by znacznie utrudniła rzucanie splotów.

Współczesny mężczyzna mógłby więc mylnie odebrać nagłą nagość Fand jako znak jej sympatii. Siodhachan i ja wiemy jednak dobrze, że jest wręcz odwrotnie. Więcej – skoro się ukazała, to znaczy, że porzuca swoje podstępny. Jeśli teraz zginiemy, Manannán będzie miał ten dowód, którego tak chciał, bo przecież będzie musiał przyjść po nasze cienie. Ale jego żonie jest już najwyraźniej wszystko jedno. Nie wiem, czy jej otwarte działanie to oznaka desperacji czy pewności siebie, ale tak czy siak jestem tym mocno zaniepokojony, a tego sobie z pewnością życzy. Rezygnuje też z tej dziwnej techniki zmieniania sobie głosu i mówi już swoim zwykłym cichym tonem, choć wyraźnie słychać w nim wściekłość:

– Odnoszę wrażenie, że nie zdajecie sobie sprawy z tego, jak daleko gotowa jestem się posunąć. Pytam po raz ostatni, Siodhachanie. Gdzie jest Granuaile MacTiernan?

– Nie wiem. Nie mam z nią kontaktu od wielu dni.

– Nie jesteście teraz gośćmi w moim domu. Nie będę się uśmiechać i zadowalać kłamstwami i półprawdami. – Odwraca się do Firbolga na lewo ode mnie i rzuca krótki rozkaz: – Zabić mi tę selkie.

## Rozdział 27



Podjęmowanie działań na podstawie pobożnych życzeń jest niebezpieczne. Ale nigdy nie uświadomiłem sobie tego tak boleśnie jak wtedy, gdy Fand wydała rozkaz, by zabito Mearę. Byłem dotąd święcie przekonany, że przystąpi do rozmów z nami, że nie złamie podstawowych zasad uprzejmości. Jej wcześniejsze zachowanie wskazywało, moim zdaniem, że próbuje za wszelką cenę unikać konfrontacji, a tak się składało, że i ja wolałem jej uniknąć. Wszystko więc powinno pójść jak z płatka.

Ale Meara była niegdyś moją miłością, a jeszcze wcześniej była także miłością Manannána. Nie wiem, czy Fand o tym wiedziała i czy w ogóle zdawała sobie sprawę z tego, że pod siatką siedzi właśnie Meara, a nie jakaś tam pierwsza z brzegu selkie. Bez względu jednak na wszystko każda selkie znajdowała się pod ochroną Manannána i to Fand wiedziała bardzo dobrze. A Manannán dowie się, jeśli Meara zginie. Toteż gdy włócznia Firbolga wbiła się w kręgosłup selkie, by przebić całe jej ciało – mimo moich głośnych i rozpaczliwych protestów – wiedziałem już, że nie skończy się na śmierci jednej z najśłodszych, najkochańszych kobiet, jakie znałem. To był dopiero początek. Fand już nie miała teraz odwrotu i od tej chwili chodziło tylko o to, by zabiła, nim ją zabiją. Bynajmniej nie była to spontaniczna decyzja. Gdy ja darłem się, by wyleczyła Mearę, szybko, szybko, by jej nie zabijała, Fand spokojnym głosem zwróciła się do jednej z faerii nad sobą:

– Zabić wszystkie faerie Manannána, jakie znajdziecie w zamku.

Sługa odleciał przekazać rozkaz innym, a Fand znów skupiła się na mnie.

– Fand, zawołaj go z powrotem. Proszę. Nie musisz tego robić. Możemy rozwiązać nasze problemy bez wciągania w to innych.

– A na czym niby polegają te problemy? Że niby na tym, że mnie raz osobiście obraziłeś? Tu chodzi o coś więcej. O tyranie żelaza, Siodhachanie. O całe wieki tej tyranii. Ty i Brighid jesteście najgorszymi tyranami ze wszystkich. Dość już niszczenia faerii. Dziś nastąpi koniec terroru.

Uniosła miecz i zobaczyłem, że to Moralltach, broń Aenghusa Óga, którą Leif zabił Thora. Dałem go Manannánowi, a ona najwyraźniej go sobie przywłaszczyła. Jedna rana zadana tym ostrzem wystarczy – nie sposób było wyleczyć się ze śmiertelnego zaklęcia wplecionego w ten miecz. Moja aura nie chroni przed magią, która przebija się przez skórę, a Moralltach potrafił tego świetnie dokonać. Nie wiem, czy Fand naprawdę nie widziała żadnej hipokryzji w tym, że wymachuje mi przed nosem Moralltaczem, prawiać kazania o tyranii żelaza, czy po prostu nie dała tego po sobie poznać.

– Pytam po raz ostatni: gdzie jest Granuaile MacTiernan?

Wyglądało więc na to, że Fand miała takie same problemy z wywróceniem Granuaile jak ja.

– Skąd ta myśl, że powiedziałbym ci, nawet gdybym wiedział?

– Niech i tak będzie.

Uniosła Moralltacha i zrobiła krok do przodu. Pospiesznie odnalazłem rękojeść leżącego pode mną Fragaracha i wtedy właśnie cienki nóż wbił się w bok szyi Fand, pchając ją całą do tyłu.

– Jak się tak nad tym zastanowić, to myślę, że ona jednak jest gdzieś w pobliżu – mruknąłem, a Fand chwyciła nóż, żeby sobie go wyrwać z szyi.

To była nasza okazja do ucieczki. Rój pixie i kilka faerii natychmiast otoczyły ją niczym ochronny kokon. Uniosły ją nad ziemią i przeleciały z nią w bezpieczne miejsce, czyli z dala od drzew, na otwarte pole przed zamkiem.

Wypchnąłem czubek Fragaracha przez siatkę, celując w pilnującego mnie Firbolga, i wrzasnąłem:

– *Freagroidh tu!*

Zamarł w niebieskiej aurze zaklęcia. Fragarach nie przejmował się zupełnie żelazem siatki. Sam był przecież wykuty z żelaza, a zresztą i tak przepchnąłem go przez jedną z dziurek.

Jednego z Firbolgów mieliśmy już z głowy. Nie da rady się ruszyć. Ale ja mogłem go ruszyć i tak też zrobiłem, celując czubkiem Fragaracha w stronę czwartego Firbolga i powalając go. To mi dało kilka cennych sekund na wyplątanie się z siatki. Na lewo ode mnie rozległ się okrzyk zdumienia i bólu, bo Firbolg pilnujący Owena miał teraz w oko wbity shuriken. Coś uderzyło go w nadgarstek, tak że musiał puścić włócznię, a potem nagle usiadł ciężko na ziemi, w czym pewnie bardzo mu pomógł cios zadany niewidzialnym Scáthmhaide'em. To dało Owenowi okazję do wymknięcia się spod siatki, a Granuaile cisnęła kolejne dwa shurikeny w stronę Firbolga, który zabił Mearę. Nie trafiła najlepiej, ale i tak chwycił się za nie, tracąc czujność, zupełnie więc się nie zorientował, że z ciała Meary znika jego włócznia, która pojawiła się po paru sekundach wbita w jego własne bebechy. Tak jak Meara, nie miał nawet szans walczyć. Sprawiedliwości stało się zadość.

Wyzwoliwszy się z siatki, Owen zużył energię własnego ciała, by przemienić się w niedźwiedzia i rzucić na Firbolga, którego Granuaile powaliła przed chwilą na ziemię. Upewnił się tym samym, że olbrzym już nigdy nie wstanie. Mnie zostały dwa do wykończenia. Magia Fragaracha sprawiała, że ten, który leżał na koledze, wciąż znajdował się pod moją kontrolą, toteż obaj leżeli ładnie unieruchomieni i bez trudu można ich było pozbawić czerepów.

Obejrzałem się w stronę Fand. Wciąż otaczała ją chmura faerii, ale zatrzymała się w połowie drogi między drzewami a zamkiem. Byłoby mądrze z naszej strony wykorzystać jej chwilową dezorientację.

– Wycofajmy się i wynośmy stąd! – zawołałem do Owena i Granuaile, gdziekolwiek była.  
– Musimy ściągnąć tu sobie jakąś pomoc.

– Pomoc już przybyła, Siodhachanie – odparł głęboki kobiecy głos.

Odwróciłem szybko głowę i zobaczyłem, że z głębi lasu idzie w moją stronę Brighid, która właśnie przeniosła się tu z dworu faerii.

Miała na sobie pełną zbroję, którą sama kiedyś zrobiła, i niosła miecz tak ogromny, że najbardziej by pasował na stronicach mangi. Za nią szli Flidais, Perun i Manannán Mac Lir, a do tego Ogma, Goibhniu, Luchta i Creidhne. Wszyscy uzbrojeni i gotowi do walki. Przepatrywali pole przed sobą.

Zalała mnie fala ulgi.

– Tak się cieszę, że cię widzę, Brighid. Aha, zacznę od tego, że to martwa strefa. Nie wiem, jak jej się to udało, ale Fand odcięła przepływ energii przez ten kawałek ziemi. Podejrzewam, że to działa tylko tu, a nie na całym obszarze aż do zamku, bo na leczenie przesunęła się na środek tamtego pola.

Pierwsza wśród Faerii przystanąła. Jej oczy widoczne przez szparę w helmie zmieniły się, gdy przyglądała się ziemi w magicznym wymiarze.

– Tak. Stoisz na krawędzi obszaru, który ciągnie się aż do początku pastwiska. Wsunęła coś pod ziemię. Chyba martwe drewno.

Wystarczyłaby dykta. Bardzo proste rozwiązanie, którego nie dało się zauważyć, póki się go celowo nie szukało.

– Mearo! – krzyknął Manannán i padł na kolana przy nieruchomej postaci.

– Fand ma Moralltacha – ostrzegłem ich wszystkich.

Przyjęli tę informację w milczeniu, a po kilku sekundach Brighid powiedziała:

– Naprzód! Na pole!

Choć był to rozkaz, którego wszyscy się baliśmy, nikt nie śmiał go nie wykonać. Flidais zniknęła nam natychmiast z oczu, zarzucając na siebie niewidzialność, tak jak Granuaile. Ogma i trzech rzemieślnicy rozpletli swoje ubrania i pozwolili im opaść na ziemię, żeby Fand nie mogła niczego spleść. Zrobiłem to samo. Ciuchy miałem na sobie tylko po to, żeby zademonstrować moje pokojowe nastawienie, ale to już minęło. Owen pozostał w niedźwiedziej postaci, a Perun tylko rozerwał koszulę i zacisnął prawą dłoń na toporze. Miał na sobie czarne pantaloney rodem z jakiegoś teledysku z lat osiemdziesiątych, wciśnięte w wysokie do kostek, błękitne zamszowe botki, które na pewno ukradł z jakiegoś komiksu z tej samej epoki. Przebiegliśmy szybko przez martwą strefę, aż znów poczuliśmy pod stopami energię ziemi. Atakowaliśmy w szeregu, z Brighid w środku. Jej głos – potrójny głos, którym nie mogła kłamać – rozbrzmiał na polu pod zamkiem.

– Fand, która zamordowałaś Midhira i rozliczne faerie, w tym część w ciągu kilku ostatnich minut, poddaj się i stań przed sądem! Nie możesz zwyciężyć.

Fand także spotęgowała swój głos, choć nie potrafiła mówić potrójnie, tak jak Brighid. Otaczające ją faerie leciały teraz tak, że co chwilę odsłaniały ją na krótki moment, a zatem nadal ją ochraniały, ale jednak dawały jej możliwość imponowania nam potęgą. Jeśli o mnie chodzi, zrobiło już na mnie wrażenie samo to, że tak szybko wyleczyła się z rany zadanej nożem w szyję. Zawsze należała do najlepszych uzdrowicieli wśród Tuatha Dé Danann.

– Nie zgodzę się z tobą. To tobie radzę się poddać. Wiem, że wydaje ci się, że dopuściłam się zdrady, ale to ty zdradziłaś nas już dawno temu. Oddałaś się żelazu, więc nie zasługujesz na to, by być Pierwszą wśród Faerii. A co więcej, Brighid, faerie zgadzają się ze mną. Możesz już się nie martwić swoim tronem. Odbieram ci go dzisiaj.

Jej buta była wprost śmieszna. Nie miała żadnych szans, by pokonać nas z tą małą chmurką pixie i kilkoma faeriami. Brighid wzięła wdech i zaczęła:

– Ty...

Ale cokolwiek zamierzała powiedzieć, uwięzło jej to w gardle, gdy zza murów zamku wylała się zaćmiewająca słońce, nieprzebrana masa sidheógów, duszków i bean sídhe.

Żadne z nich nie stanowiłoby zagrożenia większego niż pojedyncza pszczoła dla człowieka bez alergii. Ale cały rój pszczoł może powalić najsilniejszego, a oto ciągnął na nas rój wściekłych latających faerii.

Fand miała także piechotę. Gdy powietrze huczało od tysięcy skrzydełek, zza murów wyłoniły się zastępy goblinów, sprigganów i Fir Darrigów.

Nie były to gobliny rodem z filmów Petera Jacksona opartych na Tolkienie. Były to istoty starsze, zamieszkujące Ziemię, z zapalem majsterkujące i za pan brat z metalem, ale pozbawione wszelkiej prawdziwej magii. Za to dysponujące pewnymi znajomościami. Najbardziej lubiły swoje podziemne tunele ukryte w górach na Ziemi, ale często wpadały też z wizytą do Tír na nÓg przez Stare Drogi. Szaroskóre i drobne, jeśli nie liczyć wielkich nosów i uszu, nie kulały ani nie cierpiały z powodu żadnego innego kalectwa, które w opowieściach o nich miało symbolizować ich moralne zepsucie. Poruszały się całkiem sprawnie, choć może bez specjalnej spójności, jakiej by się spodziewało po oddziale militarnym, a odziane były w przedziwną zbieraninę zbroi domowej roboty i takąż broń. Pewnie tak jak Fir Darrigom, obiecano im spore wynagrodzenie za udział w tej walce i stąd się tu wzięły.

Nie widziałem natomiast w tej armii leprechaunów, choć w sumie nie powinno mnie to

zaskoczyć. Te skrzaty zawsze gotowe były splatać jakieś shenanigany, ale w życiu nie zaangażowałyby się w wojnę. Były na to zbyt samotnikami, a poza tym zdecydowanie wolały doprowadzać ludzi do szału swoimi psikusami, niż doprowadzać ich do śmierci jakąś konkretniejszą bronią. Tak na oko nadciągały ze trzy czy może nawet cztery tysiące goblinów i może z kilkaset sprigganów i Fir Darrigów. Wszystkie te stworzenie wyglądały na mocno spragnione walki.

Fand zaplanowała rewolucję dla szarej faerii, a ja stałem właśnie z arystokracją i patrzyłem, jak nadciąga motłoch.

– Cholera – mruknąłem przez zaciśnięte zęby.

Teraz już żadna ze stron się nie wycofa, a to oznacza, że przeleje się całkiem sporo krwi.

– Flidais – powiedziała Brighid, ale już normalnym głosem. – Nie prosiłabym cię, ale w ten sposób zakończymy tę sprawę znacznie szybciej.

Rwęąc się łkanie zdradziło mniej więcej położenie Flidais.

– Rozumiem – odpowiedziała, a jej głos był nabrzmiały od emocji.

Brzdęknięła cięciwa łuku i przez powietrze pomknęła strzała. Nie trafiła, ale nie dlatego, że była źle wycelowana. Po prostu Fand już nie było w tym miejscu, gdzie stała przed chwilą. Uniosła się w powietrzu dzięki faeriom, a gdy włączyłem magiczne widzenie, zobaczyłem, że były wśród nich i sylfy, faerie powietrza, niewidoczne dla zwykłego oka. Zaczęły wirować wokół swojej pani, tworząc ochronny cyklon z Fand w środku, i to właśnie sprawiło, że druga strzała też jej nie trafiła. Łowczyni nie miała czasu na trzecią, zresztą i tak nie miałoby to sensu.

Piechota była już zaledwie dziesięć sekund od nas. Latające faerie były znacznie bliżej. To gdzie w takim razie jest konnica? – przemknęło mi przez myśl.

– Atticusie, za nami! – usłyszałem okrzyk Granuaile, której wciąż nie widziałem. – Wielkie psy! Manannánie, uważaj!

Bóg morza wciąż oplakiwał jeszcze Meare, pierwszy więc musiał teraz spotkać się z watahą barghestów, która właśnie wypadła z lasu. Czarne, półwidmowe psy były mniej więcej wielkości Oberona, ale miały dużo ostrzejsze zęby, a do tego lśniące, czerwone ślepia – półwidmowe, bo barghesty wydają się namacalne i gryzą zdecydowanie namacalnie, ale większość broni przelatuje przez nie, jakby były widmami. Elegancko zademonstrował to jeden z noży Granuaile, który przeleciał przez przywódcę stada, jakby był on utkany z pary. Barghesty można zabić tylko ręką lub specjalną bronią, taką jak na przykład Fragarach, więc jako że byłem lepiej wyposażony do walki z nimi, obróciłem się w stronę nadciągającej watahy.

Manannán wstał i owinał się płaszczem mgły, a barghesty, które wpadły pod jego poły, wyłoniły się po kilku sekundach z nicości już zupełnie potrzaskane. Pierwszego, który rzucił się na mnie, walnąłem ostrzem po karku, gdy mnie mijał, a potem tym samym ciosem rąbnąłem w pysk następnego. Trzy inne minęły mnie, żeby skoczyć na plecy Perunowi, Owenowi i Goibhniu. Peruna to poirytowało, ale nie jakoś specjalnie. Schylił się pod ciężarem bestii, a potem sięgnął sobie ponad głowę, zatopił palce w jej futrze i pociągnął. Barghest poleciał prosto w pierwsze szeregi goblinów. Owen ryknął i otrząsnął się, tak że jego barghest spadł mu pod nogi, a wtedy wystarczyło jedno potężne trzepnięcie łapą – która jest w końcu naturalną ręką, a nie żadną bronią – i już było po psinie. Goibhniu niestety nie poradził sobie tak dobrze z atakiem, a gdy runął na twarz z barghestem na plecach i bean sídhe piszczącą jego imię – co w zasadzie wieściło jego koniec – nie tylko ja rzuciłem się go ratować. Jego brat Luchta odwrócił się plecami do nadciągającej watahy, żeby mu pomóc, a Creidhne i Ogma skoczyli, żeby go zasłonić. Brighid nakreśliła na niebie szerokie wstęgi ognia, co zmieniło najbliższe nam powietrzne faerie w popiół i sproszkowane kości, a następnym dało powód do poważnego zatroskania się nagłą zmianą klimatu.

Barghest wbił zębiska w lewe ramię Goibhniu, bóg więc przetoczył się na prawo, tak że pies musiał się zdecydować, czy puścić i próbować chwycić gardło, czy trzymać, ale wylądować na boku i stracić przez to dobrą pozycję. Postanowił puścić, a Goibhniu zablokował mu dostęp do szyi przedramieniem. Dopadłem do nich kilka sekund przed Luchtą, wbiłem Fragaracha w żebra bestii, by zaraz wyrwać miecz, bo barghest już upadał. Lecz gdy jeszcze to robiłem, dotarł do nas główny zastęp piechoty i choć większość z nich spotkał marny, mokry koniec z rąk Tuatha Dé Danann, jeden ze sprigganów zdołał wyskoczyć wysoko, przelecieć nad Creidhne'em i wylądować na plecach Luchty.

Spriggany to paskudne stwory, faerie drewna, na których podobieństwo Morrigan stworzyła swoich cisowców, łączące drwa z mnóstwem ostrych wystających części i niewielkimi obszarami zdolnymi do fotosyntezy. Nie mają ciała, jeśli nie liczyć nasączonej sokiem, zielonej celulozy. Ich kończyny i całe ciało wygląda trochę jak płaskie żebra karnegii olbrzymiej, ale z tymi wiecznie lśniącymi, żółtymi oczami – takimi, jakie zamieszcza się w kreskówkach, żeby dzieci bały się potem chodzić nocą do lasu.

Tenże spriggan wylądował na Luchcie akurat w momencie, gdy bóg kowalstwa i tak już z trudem utrzymywał równowagę. Luchta przekreślił się na prawo, gdy upadał, żeby zrzucić z siebie napastnika, spriggan rzeczywiście z niego spadł i to dość szybko, ale wylądował tym razem tyłem na Goibhniu, w sposób najgorszy z możliwych – prostopadle, jakby chciał stworzyć literę T, a ostry kawał drewna, wystający z jego łokcia niczym pał, wbił się Goibhniu w klatkę piersiową i utkwiał w sercu.

Goibhniu zacharczał krwią i zmarł, a odrąbanie głowy sprigganowi, który go zabił, nie złagodziło ani trochę ciosu w serce, który odczułem na widok śmierci tego wspaniałego boga. Luchta i ja ryknęliśmy zgodnie, gdy dotarło do nas, że aura Goibhniu znika i nie da się go już uratować. Rzuciliśmy się bez opamiętania na faerie. Łzy zmywały krew, która tryskała na nasze twarze, gdy cięliśmy i rąbaliśmy, wiedząc dobrze, że cokolwiek byśmy zrobili, nie zastąpi nam to ani Goibhniu, ani Meary, i że nie pocujemy się ani odrobinę lepiej, zadając śmierć istotom, którym ubzdurało się, że walczą za wolność albo za jakąś błyskotkę.

Z nieba spadały zwęglone pixie i sprite'y, niektóre wciąż jeszcze płonąć. Brighid dość skutecznie zneutralizowała siły powietrzne przeciwnika ścianą ognia. Na prawo ode mnie Ogma wymachiwał dwiema ciężkimi maczugami, które odbijały po trzy czy nawet więcej goblinów za jednym zamachem i to na tyle sprawnie, że ich cielska od razu miażdżyły przy okazji dalsze szeregi, co blokowało następnym atakującym dostęp do Ogmy, dzięki czemu miał czas znów się zamachnąć. Creidhne i Luchta robili swoje tuż przy mnie, posługując się magiczną bronią własnej produkcji z równą skutecznością jak Ogma maczugami, bo za każdym razem likwidowali po kilku napastników.

Ich wściekłość była wręcz niepokojąca i bałem się, że nie będą wiedzieli, kiedy się zatrzymać. Mimo to jednak dobrze się złożyło, że byli tuż przy mnie, bo inaczej załapały mnie fala faerii. Fragarach świetnie sobie radził z przecinaniem zbroi i docieraniem do ciała, ale nie byłem w stanie walczyć z więcej niż jednym przeciwnikiem naraz, a tymczasem oni rzucali się na mnie tak, jakby na dworze był jesienny ziąb, a ja bym był ostatnią parą ciepłutkich, milusich rękawiczek. Nie byłem jeszcze ani zmęczony, ani ranny, ale czułem, że to się wkrótce zmieni, bo zastępy przede mną nie miały końca.

Na lewo ode mnie, między Brighid a mną, Perun wymachiwał toporem załadowanym błyskawicami. Gdy tylko wbił go w ciało jednego goblina, elektryczność wykańczała zbrojnych kompanów jego ofiary, przez co bóg piorunów zawsze miał przed sobą czyste pole, a przy okazji pomagał Brighid w utrzymaniu smrodu powietrza na poziomie mocno zwęglonym. Sprigganów i Fir Darrigów nie ruszały pioruny, tak więc mijały je, podchodząc bliżej do Peruna, ale te faerie

tylko odbijał od siebie potężnymi uderzeniami lewej ręki. Ładowały gdzieś w tylnych szeregach, gdzie je tratowała lub nadziewała na gałęzie reszta drzewnej armii.

Owen walczył po drugiej stronie Brighid, wbijając pazury w kolejne twarze i od czasu do czasu rozdzierając gardło jakiemuś goblinowi, któremu udało się podejść za blisko. Tak jak i mnie, groziło mu, że w końcu zginie pod siłą zbyt licznego wroga. Co gorsza, już wystawało z niego kilka mieczy. Granuaile i Flidais walczyły gdzieś niewidzialne. Manannán stał teraz na lewej flance, wymachując włóczniami jednego z Firbolgów. Wśród całego tego zamieszania migła mi czasem wśród mgły jego twarz, która pewnie wyglądała tak jak moja – zastygła w bólu twarz kogoś, kto walczy z rozpaczą, wściekłości i poczucia winy.

Tak, winy. Jak to się stało, że nieświadomie pchnąłem Fand do takiej ostateczności? Gdybym nie był tak ślepy, nigdy nie znalazłaby się nad tą przepaścią, w którą próbowała nas teraz razem z sobą wciągnąć. Wiedziałem, że Manannánowi huczą w głowie te same pytania: jak się tu w ogóle znaleźliśmy? Czy mogliśmy tego uniknąć? W którym miejscu popełniliśmy błąd? I czy kiedykolwiek nauczymy się wreszcie, jak żyjąc własnym życiem, nie pieprzyć ludziom ich życia?



## Rozdział 28



Będę miała koszmary pełne tych okrzyków wojennych, wrzasków umierających, pisków strachu i ryków wściekłości faerii rzucających się w stronę Atticusa ze zdecydowanymi morderczymi zamiarami. A ponad tym ciągle wycie bean sídhe. Wykrzywione w złości twarze, obnażone zęby, tryskająca krew – i część z niej tryska z mojej winy. Wszystko to będzie mnie prześladować. Te diabelskie miny skupiałyby się też na mnie, gdybym była widzialna – co do tego nie mam wątpliwości. Przecież Fand oświadczyła, że tu chodzi o zimne żelazo, a jego spory kawałek dynda mi na szyi. Nie zapomnę już nigdy tych okrzyków, tego ognia, krwi i Fand unoszącej się nad polem w zimnym kokonie sylfów.

Nie wiem, co ją pchnęło do tego wszystkiego, ale jestem przekonana, że to nie Atticus zaczął tę walkę. Lubi Fand i ja także ją lubię. To dlatego nie celowałam nożem w jej oko, nie chciałam, by ostrze trafiło w mózg. Wiedziałam dobrze, że z rany na szyi spokojnie się wyleczy. Miałam nadzieję, że to sprawi tylko, że sobie wszystko przemyśli. Ze strategicznego punktu widzenia chyba po prostu spieprzyłam sprawę. To była moja szansa, by zakończyć walkę, a ja ją przegapiłam. Ale kto mógł wiedzieć? Atticus napisał mi przecież w liście, że wyrusza z pokojowymi zamiarami. Tylko że Fand takich zamiarów nie miała. Osiągnęła to, czego chciała. Wojnę.

A Manannán wciąż ją kocha. Tkwią z nim na lewej flance i słyszę, jak jęczy i łka pod swoim płaszczem mgły, jak zaklina ją:

– Nie, Fand, nie rób tego, przestań...

A gdy mgła rozwiewa się na chwilę, tak że mogę zobaczyć jego twarz, widzę rozpacz, nie gniew. Nawet nie atakuje. Zabija tylko wszystko, co wpadnie w jego mgłę. Gobliny jakoś nie są specjalnie nim zainteresowane, ale przynajmniej chroni lewą stronę Owena, bo część napastników próbuje dotrzeć do niedźwiedzia przez mgłę i to im się zdecydowanie nie udaje. Te gobliny, które postanawiają ominąć Manannána z jego lewej, trafiają na mnie i ich stopy odrywają się od ziemi, gdy tylko uderza je między oczy kij, którego w ogóle nie widzą.

Zbyt mi tu łatwo, zbyt bezpiecznie, więc muszę zmienić pozycję. Atticus znajduje się w samym środku naszego szeregu i widzę, że ledwie się trzyma. Nie daje rady oczyszczać sobie drogi, tak jak czynią to bogowie. Perun eliminuje część napastników po jego lewej, a Luchta po jego prawej, ale Atticus i tak ledwo ciągnie. Kiedy dociera do mnie, jak z nim słabo, porzucam swoje stanowisko, bo wiem, że Manannán sobie z łatwością poradzi, i pędzę na ratunek.

Jako że to gobliny mają broń, która jest dla niego najbardziej niebezpieczna, Atticus całkiem słusznie skupia się na nich, zakładając, że latające faerie nie przedrą się przez obronę Brighid i nie oderwą mu głowy. Tylko że gdy biegnę w jego stronę, widzę, jak jedna pixie przemyka się jakimś cudem przez piekło Brighid i wbija mu pod obojczyk swoje brązowe ostrze. Udaje mu się ją pacnąć, ale nie ma już czasu, żeby wyrwać sobie z ciała jej broń. Musi robić uniki i odparowywać ciosy zadawane przez gobliny i Fir Darrigi, które na niego napierają. A potem mała strzelecka formacja sidheógów przemyka za tamtą jedną pixie pod sufitem płomieni i zasypuje go swoimi miniaturowymi strzałami – takimi mniej więcej jak wykałaczką, ale dużo ostrzejszymi. Głowę daję, że gdyby tylko miał gruby wełniany sweter, nawet by ich nie poczuł, ale Atticus oczywiście walczy nago. Setki ich wbijają mu się w lewą część torsu i całe mnóstwo utyka w twarzy i szyi. Atticus wygląda teraz jak jeżozwierz. To nie są poważne rany, ale jednak wzdryga się odruchowo i przez to nie zauważa nadciągającego ciosu topora goblina.

Chcę krzyknąć, chcę go ostrzec, ale już za późno. Topór – brązowy, poszczerbiony – uderza Atticusa wysoko w lewe ramię. Wbija się w kość i zostaje w niej, gdy Atticus pada na prawo. Goblin puszcza rękojeść, częściowo dlatego, że upadek wyrywa mu ją po prostu z rąk, a częściowo dlatego, że jest zdumiony tym, że mu się udało, więc gdy do niego docieram, stoi tam jak wmurowany. Jego łeb traktuję jak piłkę baseballową, którą mam wybić na środek boiska. Czaszka pęka, cielsko pada na ziemię jak pień drzewa, a ja poprawiam linię ciosu, tak żeby za jednym zamachem od razu walnąć po głowach dwa następne gobliny. Nadciągają z uniesionymi toporami i bez zachowania czujności, bo im się zdaje, że dadzą radę wykończyć Atticusa, póki leży na ziemi. Same jednak padają.

– Wstawaj, Atticusie! Oslaniam twoją lewą!

Nie marnuje czasu, tylko stęka cicho, gdy podnosi się i wstaje, odpychając miecz goblina grożący mu z prawej i podrzynając gardło jego właścicielowi. Odskakuje na lewo i wymachuje dalej mieczem, bo gobliny wciąż nadciągają. Stara się wycinać je tak, żeby mnie nie drasnąć, a ja próbuję jak mogę likwidować swoją część napastników, żeby dać nam trochę miejsca. W lewe ramię Atticusa, które zwisa mu bezwładnie, wciąż wbity jest topór.

– Dałabyś radę... wyrwać topór? – pyta, mrugając rozpaczliwie. Odpiera przy tym atak spriggana, który myślał, że go zaskoczy, przeskakując ponad atakującym go goblinem.

– Jasne – odpowiadam i przerzucam sobie Scáthmhaide'a do lewej ręki. – Czekaj.

Kij okręca się tak, że popycha dwa gobliny, które pakują się prosto pod błyskawiczny atak Peruna. Atak na nas staje się nieco wolniejszy, bo gobliny za poległymi szeregami uświadamiają sobie, że kopie im tyłki coś niewidzialnego. Mrużą oczy, szukają. Dzięki temu mam chwilę, by chwycić za rękojeść topora i wyrwać go z ramienia Atticusa. Trochę mu przy tym rozrywam mięsień i wszędzie jest pełno krwi. Atticusowi wyrywa się jęk bólu, ale teraz przynajmniej będzie mógł zacząć się leczyć z tej rany.

Przy okazji tak się składa, że topór staje się niewidzialny pod moim dotykiem, więc dla atakujących goblinów musi to wyglądać tak, jakby zniknął. Znow się pojawia, gdy ciskam nim w głowę najbliższego napastnika, ale gdy już go wreszcie zauważa, ma czas jedynie zrobić unik, a kolega za nim nie ma czasu nawet na to, ostrze więc rozrąbuje mu twarz. Skaczę do przodu, podrywając kij, tak że wali tego, co zrobił unik, w brodę. Pada na plecy z roztrzaskaną szczęką, a zęby wylatują mu z gęby krwawym łukiem i lądują na cielsku. To niestety daje kilku goblinom pojęcie o mojej pozycji, zaczynają więc rąbać na oślep w moim kierunku. Wycofuję się i wciskam im do gardła kilka noży. Gdy padają, zadaję ostre ciosy w słabe punkty następnego szeregu. Obok mnie Atticus nadal wymachuje Fragarachem, ale jego ruchy wydają mi się niepokojąco chaotyczne.

– Nnnnneurotoksyny w igłach – szepcze. – Leczyć się z nich szszszszybko. Jeśli cię traffffią. Mnie trafiło mnósssstwo.

Cofa się i ledwie o włos unika ciosu kolejnego topora, traci równowagę, robi kolejny krok i jeszcze jeden, zatacza się, pada na kolana. Fragarach wypada mu z dłoni.

– Atticus!

## Rozdział 29



Jestem naprawdę wkurwiony i dobrze mi z tym. To tego typu bitwy opiewali bardowie w starych dobrych czasach – takie, gdzie wszyscy tracą zupełnie rozum i jeszcze im się zdaje, że mają po temu powód. Mój wuj byłby nią z pewnością zachwycony. Na pewno by ułożył jakąś pieśń i zatytułował ją *Rzeki, jeziora i bagna krwi* albo jakoś inaczej. Pewnie raczej inaczej, jestem do dupy, jeśli chodzi o układanie pieśni. Jednego jestem pewien – krwi to tu będzie po kostki albo wyżej, bo gobliny wciąż nadciągają, a ja wciąż je zabijam. Nie wiem, czy zdają sobie sprawę z tego, że jestem druidem – że mam niekończący się zapas energii i umiem się szybko leczyć. Jakoś chyba nie spodziewają się po mnie takich ruchów, jakie wykonuję. Może im się zdaje, że jestem zwykłym niedźwiedziem.

Tę postać lubię najbardziej, bo jest mnie wtedy cholernie trudno zabić, jeśli się nie ma włóczni albo jednego z tych eleganckich granatów ręcznych, które tak lubią współcześni żołnierze. Jeśli masz tylko miecz albo topór, to marna szansa, żebyś dał radę podejść dość blisko, by mnie nimi drasnąć, bez narażenia się na to, że ja pierwszy cię rąbnę łapą. A nawet jak już mnie trafisz, to jeszcze musisz się przebić przez kilka centymetrów tłuszczu, nim dotrzesz do czegoś ważniejszego. Więc trzymam łeb w górze, poza zasięgiem ciosów, a sam uderzam szczodrze, zabijając drani jednego po drugim, bo siła niedźwiedzia spotęgowana siłą ziemi równa się bilet w jedną stronę do piachu dla każdego, kto mi się nawinie pod pazury.

Nie mówię, że idzie mi jak z płatką. Mam już wbite w skórę trzy dziadostwa, a żadne nie jest przyjemne. I wiem dobrze, że nim skończy się nasza walka, będzie tego więcej. Może dużo więcej. Może za dużo.

Być może zaraz tu umrę. Powinienem był bardziej się postarać i przekonać Siodhachana, żebyśmy szli tu z kimś do pomocy, bo niech to piorun przystojnego kuraka trzaśnie, miałem raczej co do Fand. Ale wiecie, co jest dziwne? Że podoba mi się ta walka, której pragnąłem uniknąć. I żałuję tylko jednego – że przy moim boku nie walczy Greta. Wbiła mi się głębiej niż wszystkie te ostrza goblinów.

Zamiast niej mam jednak zaryczanego Manannána Mac Lira po lewej i wściekłą Brighid po prawej. Nie ma w moim sercu ani krztyny współczucia dla żadnego z nich, bo nikogo z nas by tu w ogóle nie było, gdyby nie spędzili tych wszystkich lat na unikaniu prawdy.

Ze strategicznego punktu widzenia prawda jest taka, że już jesteśmy pochyleni i tylko czekamy, żeby nas dobito. Druidzi mają niesamowitą moc, ale nie jesteśmy bogami, więc polegniemy pierwsi. Wróg zalewa nas bez końca. Wreszcie któryś mnie powali na ziemię i już nie wstanę. I choć Tuatha Dé Danann mogą wytrzymać nieco dłużej, i oni polegną, jeśli siły będą wystarczająco duże. Brighid doszła chyba do tego samego wniosku, bo przestała rozniecać ogień na niebie i teraz sama już jest ogniem – skoczyła wysoko, stanęła w płomieniach i pędzi na spotkanie z Fand. Raczej nie da się tego przeoczyć i gdy tylko Brighid znajduje się w powietrzu, szarża się zatrzymuje, bo nikt nie chce przegapić takiego widowiska. Zresztą przecież i tak w całej tej walce chodzi tylko o to, czy zostanie po niej Brighid czy Fand.

Sylfy, które chronią Fand i pozwalają unosić jej się w powietrzu, teraz pomagają jej spłynąć na ziemię. Brighid nurkuje, by wylądować tuż przed nią. Gdy Fand dotyka stopami ziemi, i tak jest wyższa o głowę i ramiona od goblinów, a ja na tylnych łapach mam dobre dwa i pół metra wzrostu, widzę więc dobrze obie boginie ponad szeregiem, które mnie od nich oddzielają.

Fand odsuwa się z drogi lądowania Brighid, a potem stoi niewzruszona, gdy bogini ognia próbuje upiec ją bez sosu. Sylfy rozdmuchują płomień na boki. Widząc, że w ten sposób nic nie wskóra, Brighid gasi ogień i rzuca się na Fand z olbrzymim mieczem. Jestem pewien, że teraz to już będzie chwila, bo Brighid jest doświadczoną wojowniczką i ma zbroję, gdy tymczasem Fand rzadko walczy, a do tego jest przecież naga. Ale Fand nawet nie próbuje odpierać jej ciosów, tylko unika każdego z nich z tak niehumaniczną szybkością – szybciej nawet niż Brighid, bo jej druidzka prędkość wspomagana jest dodatkowo przez sylfy – i czeka, aż Brighid straci czujność. Jej wzrok na ułamek sekundy zatrzymuje się na hełmie Brighid, gdzie znajduje się jedyna dziura w zbroi, i już wiem. Chce zadać tylko jeden cios Moralltachem, cios na tyle mocny, że wbije się w tę dziurę i zakończy walkę – bo wystarczy jeden cios, który przebije skórę. Inaczej Fand nie zdoła pokonać Brighid. Jej zbroja została stworzona, tak by oprzeć się ciosom zadany przez Fragaracha – miecz przebijający się jakoby przez każdą zbroję – więc raczej wątpię, by Moralltach zdołał się przez nią przebić.

Napięcie narasta, bo pojedynek trwa coraz dłużej. Brighid wciąż pudłuje, ale ma się na baczności. Fand nie robi nic poza unikami. Czekają. Żadna z nich się nigdy nie zmęczy, więc to raczej pojedynek umiejętności i sprytu. Mija dobra minuta – czyli bardzo długo jak na bitwę – nim dochodzi do mnie, że coś tu jest nie tak. Dlaczego bean sídhe nie wykrzyczała imienia tej, która zginie? Przecież ich zapowiedzi śmierci nie są dobrowolne. Kiedy wiedzą, muszą to wykrzyknąć. Od początku bitwy zdzierają sobie gardła jak szalone. A teraz nagle milczą. I to jest, kurna, przerażające.

Odpowiedź mam już pięć sekund później. Wykorzystując okazję po tym, jak Brighid chybia przy ciosie w głowę i utyka ze swoim wielkim mieczem w ziemi, Fand rzuca się i zamachuje na cienką szparę, przez którą Brighid widzi cokolwiek spod hełmu. Uświadomiwszy sobie, że oto chyba jedyny moment, kiedy jednak lepiej nie było mieć oka na przeciwnika, Brighid odwraca się i pochyla głowę, ile się da, a czubek Moralltacha zahacza o metal i żłobi go znacząco. Fand próbuje odskoczyć poza zasięg przeciwniczki, ale zbyt się zamachnęła, zbliżyła się odrobinę za bardzo i gdy Brighid uderza ze swojej lewej, łapie ją pod prawym ramieniem. Ponad piersiami Fand pojawia się czerwona linia. Nie jest to śmiertelna rana, ale wywołuje u niej ryk bólu i obnaża jej nieudolność w walce. Decyduje się wtedy na coś, czego nikt się nie spodziewał – bez słowa salwuje się ucieczką. Sylfy unoszą ją z koła i z błyskawiczną prędkością zabierają daleko na pastwisko już graniczące z drzewami, skąd będzie się mogła przenieść, dokądkolwiek zechce.

Spod tego hełmu Brighid nie widzi jakoś zabójczo dobrze i zajmuje jej dobrych kilka sekund, nim się orientuje, że Fand porzuciła pole walki, zostawiając swoją armię na pastwę losu. Brighid nie ma czasu, by ją gonić, a do tego musi się zająć swoimi ludźmi, że już nie wspomnę o tym, że nadal otacza ją tłum wrogich, zbuntowanych faerii. Wszyscy stoją jak oniemiała – szczególnie faerie, które właśnie na własne oczy widziały, że ich przywódczyni uciekła po tym, jak ledwie ją draśnięto – ale przynajmniej wiemy już teraz, skąd to milczenie bean sídhe.

Brighid pierwsza dochodzi do siebie. Wylatuje w powietrze i wisi teraz nad polem otoczona płomieniami. Nad naszymi głowami grzmi jej potrójny głos:

– Bitwa skończona. Fand uciekła, a ja daję wszystkim faeriom prosty wybór: przebaczenie lub ogień. Jeśli pragniecie przebaczenia, opuśćcie to pole, a jutro wyślijcie na dwór emisariusza, by przedyskutował ze mną, jak mogę najlepiej służyć faeriom w przyszłości. Z całego serca pragnę być lepszą przywódczynią i chcę się dowiedzieć, jak mogę to uczynić. Jeśli jednak wybieracie ogień, walczycie. Wybierajcie.

Entuzjazm, z jakim, kurna, wybierają przebaczenie, jest imponujący. Pierwszy szereg goblinów i sprigganów rzuca nerwowe spojrzenia w moją stronę. Nie są chyba pewni, czy wiążą

mnie słowa Brighid czy nie. Kiwam łbem i kładę cztery łapy na ziemi, żeby im pokazać, że nie mam wcale ochoty rozrywać im bebeczków. Niedobitki latających faerii, w tym bean sídhe, czmychają niemal natychmiast na wszystkie strony, pozostawiając oddziały lądowe bez sił powietrznych. Teraz unosi się nad nimi tylko Brighid. Nie zastanawiają się długo. Spriggany i Fir Darrigi pędzą do najbliższego lasu, a gobliny kopią dołki w ziemi, z której powstały. Dopiero wtedy mam czas obejrzeć się na prawo i zobaczyć, że Siodhachan leży.

## Rozdział 30



Już wiem na pewno – ponad wszystko nie znoszę trucizn. Nigdy już żadną się nie posłużę. Nie tak chcę wygrywać.

Toksyny sidheógów wywołały ledwie ułamek bólu, do jakiego doprowadził mnie niegdyś jad mantykory, ale to wystarczyło. Poruszałem się wolniej, niezdarniej. Poza tym trucizna była z tych podstępnych – przez to, że nie odczuwałem wystarczającego bólu, nie zorientowałem się, co jest grane, póki nie było już prawie za późno. Moje mięśnie działały na pół gwizdka, ruchy stały się powolne, nierówne. Przed oczami wszystko mi się rozmazało, a gdy ostrzegąłem Granuaile przed trucizną, to już z trudem jedynie bełkotałem.

Cudem uniknąłem ciosu topora goblina, ale i tak się przy tym potknąłem do tyłu i nie złapałem równowagi, tylko runąłem na tyłek. Fragarach wypadł mi z dłoni, gdy kłykcie uderzyły w ziemię. Granuaile krzyczała moje imię, ale nie miałem już jak odpowiedzieć. Wiedziałem, że mogę pokonać truciznę, że potrzebuję tylko czasu, ale goblin, który we mnie nie trafił, uparł się, że spróbuje jeszcze raz. Leciał za mną z brzydkim uśmiechem na gębie i uniesionym toporem, żeby mi wypruć bebechy, gdy niewidzialna siła pchnęła go na bok, jakby go ktoś kopnął. Bo i kopnął, a raczej kopnęła. A gdy próbował wstać, dostał nożem w twarz. Kolejne dwa gobliny też spotkał marny koniec, gdy próbowały mnie dorwać, bo Granuaile stała na mojej straży czujna i niewidoczna. A potem Brighid zaatakowała Fand i wszyscy zamarli.

– Atticusie, nic ci nie jest? – spytał bezcielesny głos Granuaile.

– Prrr... pracuję nad tym.

Miałem tylko nadzieję, że cokolwiek zamierza Brighid, zajmie to wszystkich na dobre kilka minut. Moje ciało już rozpoczęło rozbijanie toksyn, ale raczej jeszcze długo nie będę w stanie zrobić gwiazdy ani nawet powiedzieć słowa. A gdy byłem skazany na nieruchome leżenie i rozmyślanie, przybił mnie ciężar odpowiedzialności za tę katastrofę.

Nigdy już nie napiję się piwa z Goibhniu. Już uwarzył swoją ostatnią beczkę, wykuł swój ostatni projekt, gdy robił żelazne i srebrne plecionki na Scáthmhaidzie. Już nigdy nie porozmawiam z Mearą o Rembrandcie. Jej grota będzie odtąd na zawsze ciemna, ciemniejsza niż czerń płótna *Nocnej straży*.

Nie wstydzę się łez, którymi ich opląkałem. Zasłużyli na o wiele więcej. A potem, choć nic nie widziałem, usłyszałem, jak Brighid mówi, że Fand już nie ma, a armia faerii rozplynęła się jak bałwan na pustyni Mojave. Rzuciło się w oczy, że po naszej stronie nikt się jakoś z tego nie cieszy. Obejrzałem się na lewo i zobaczyłem, że Manannán Mac Lir zniknął. Po tak ogromnej bitwie miał aż nadto roboty z eskortowaniem duchów do następnego świata. A tymczasem jego żona zyskała właśnie oficjalny status zdrajczyni i uciekinierki. Pewnie tak prędko go nie zobaczymy. Owen i pozostali Tuatha Dé Danann fizycznie byli cali i zdrowi – w każdym razie będą za chwilę. Owen podszedł do mnie w swojej niedźwiedziej postaci i trącił mnie pyskiem, żeby sprawdzić, czy żyję. Z jego cielska sterczało kilka ostrzy. Trzeba by mu je wyciągnąć, żeby w ogóle mógł się przemienić z powrotem w człowieka. Ale odszedł, nim zdążyłem mu zaproponować jakąkolwiek pomoc. Widocznie chciał się tylko upewnić, że tak zaraz to jeszcze nie umrę.

Z Tuatha Dé Danann sprawa wyglądała zupełnie inaczej. Pomyślałem sobie, że ich emocjonalne rany już się nigdy nie zagoją. Na prawo ode mnie Flidais zrzuciła niewidzialność i łkając, padła na kolana. Przybiegł Perun i zaczął ją pocieszać. Luchta i Creidhne stanęli nad

ciałem poległego brata i skupili się na katartycznym przeklinaniu. Ściągnęli z Goibhniu trupa spriggana, złożyli jego ramiona na ranie. Potem Luchta stracił panowanie nad sobą i walił w głowę spriggana tak długo, aż została po niej tylko mokra plama na trawie. W głębi duszy chciałem biec do nich – do nich wszystkich – żeby im powiedzieć, jak bardzo mi przykro, jak bardzo przepraszam i że nigdy sobie nie wybaczę tego, jaką rolę odegrałem w tym wszystkim, ale była to obrzydliwa myśl. Nie poczują się od tego lepiej – a może nawet poczują się gorzej – a do tego, jeśli przyznam się do winy, stanę się ich dłużnikiem. Nie pozostało mi nic innego, jak płakać gorzko i głowić się, jak moja propozycja zawarcia pokoju mogła się skończyć taką katastrofą. Czulem się mały i samotny, ale jednak ciut sprawniejszy, więc usiadłem i podparłem się na prawym ramieniu.

Przy lewym uchu usłyszałem cichy głos Granuaile.

– Tu jestem, Atticusie, jeśli mnie szukasz.

Obróciłem się, ale nadal jej nie widziałem.

– Gdzie?

– Wiem, że bitwa skończona, ale wolę pozostać niewidzialna. Mam ci dużo do opowiedzenia.

– Jesteś ranna? – spytałem z niepokojem. Mówiłem już całkiem sprawnie i trochę mi ulżyło, że tak szybko odzyskuję siły.

– Tak, ale zaraz się uleczę. – Niewidzialna dłoń potargała mi włosy. – Tęskniłam za tobą.

– Ja za tobą też. Prawdę powiedziawszy, bardzo się martwiłem. Nie mogłem się nijak z tobą skontaktować. Ale rozumiem, że przeczytałaś list. Dzięki, że mi uratowałaś skórę. Jakieś pięć razy albo i więcej.

– Nie ma sprawy. Nie liczyłam sobie punkcików. – Jej dłoń znów przesunęła się po mojej głowie. – Hej. Płakałaś.

Usiadłem prosto, odciążając rękę. Otarłem oczy i pociągnąłem nosem.

– No. To był paskudny dzień. Liczyłem na zawarcie pokoju, a zamiast tego wywołałem rewolucję. Nie chciałem, żeby ktokolwiek umierał. Żaden goblin, żadna faeria, a już na pewno nie Meara i Goibhniu.

– W takim razie o tym też musimy pogadać. Jak twoja ręka? Ten topór wszedł dość głęboko.

– Za kilka dni będzie jak nowa.

– Pomóc ci z wyciąganiem tych malutkich strzał, które tak ci zaszkodziły? Wyglądasz jak zmutowany jeź.

Roześmiałem się bardziej z zaskoczenia niż radości.

– No, to by było super. Dzięki.

Gdy tak siedzieliśmy wśród tego pobojuwiska i ostrożnie wyciągaliśmy z mojego ciała miniaturowe strzały, ogarnął mnie zadziwiający spokój, łagodna pociecha wywołana niewielkim odkryciem, które dało mi nadzieję. Tak bardzo starałem się odnaleźć harmonię tam, gdzie nie mogłem jej znaleźć. O wiele lepiej było po prostu nie ruszać się i dać się odnaleźć harmonii.

## Rozdział 31



Choć niczego tak nie pragnę, jak szybko zniknąć z pola walki, wiem, że nim pójdziemy, muszą paść pewne słowa. Nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że Brighid wini siebie bardziej niż kogokolwiek innego – za niewyłapanie tej próby rebelii dość szybko, by jej zapobiec. Sama liczba faerii, które stawiły się na polu walki, przemawia przeciwko jej władzy, ale choć nie zawsze popieram jej decyzje, wiem, że jest przynajmniej dość uczciwa, by przyznać się do porażki. Jak wiele faerii z tych, które dziś stanęły przeciwko niej, jeszcze niedawno poprzysięgało jej wierność? Dlaczego żadna nie broniła ani jej, ani nikogo spośród Tuatha Dé Danann? Odpowiedzi na te pytania będą bolesne.

Nim Brighid może skupić się na nas, mija smutna, pełna napięcia chwila, bo oczywiście musi najpierw podejść do Flidais, a potem okazać współczucie swoim dwóm synom, którzy oplakują stratę trzeciego brata. Na pewno czuje rozpacz z powodu śmierci Goibhniu, ale chyba nie należy do osób, które publicznie okazują smutek. Tymczasem Atticus neutralizuje truciznę w swoim organizmie i udaje mu się wstać. Podchodzi do nas Brighid z mieczem zarzuconym na plecy tak, jak ma zwyczaj robić to Atticus. Hełm trzyma w lewej dłoni. Jej włosy są jak zwykle dziwacznie idealne i puszyste. Boskość ma swoje zalety. Słucham w milczeniu, jak naradza się z Atticusem i jego archdruidem Owenem, który zdążył już się pozbyć ostrzy wbitych w cielsko niedźwiedzia i przemienić w ludzką postać. Całe jego ciało poorane jest czerwonymi, głębokimi ranami. Nie zostaliśmy jeszcze sobie oficjalnie przedstawieni i jakoś mi się z tym nie spieszy. Sądząc po wyrazie jego twarzy, nie ma specjalnie przyjemnego usposobienia, co by zresztą potwierdzały opowieści Atticusa o jego przeszłości. Choć z drugiej strony powinnam pewnie traktować go ulgowo. Raczej trudno się dziś spodziewać czyichkolwiek uśmiechów.

Okazuje się, że Owen poinformował Brighid o śmierci Midhira już kilka dni temu. Wstępne dochodzenie, które przeprowadziła, wskazywało raczej na Manannána jako winnego. Teraz, gdy odkryła, że to Fand i że ona i faerie od dawna utrzymywały w sekrecie swoją nienawiść, Brighid nie mieści się w głowie, jak mogła tak zupełnie niczego nie zauważyć. A gdy mówi na głos, że boi się, iż to jej rywalizacja, jej obsesyjna wręcz rywalizacja z Morrigan zaślepiła ją na inne problemy i pozwoliła im rozrosnąć się do monstrualnych rozmiarów, mało nie upuszczam Scáthmhaide'a, żeby jej bić brawo. Tak uczciwe przyznanie, że i ona czasem popełnia błędy, jest pełnym zaskoczeniem. Przychodzi mi nawet na myśl, że być może bogini zmieni się i stanie lepszą przywódczynią. Wiem aż za dużo o popełnianiu błędów, teraz więc czuję, że budzi się we mnie szacunek dla kogoś, kogo miałam dotąd za bóstwo małostkowe i krótkowzroczne. Wydaje mi się, że inni też tak to odczuwają, bo niemal czuć, jak nastrój poprawia się o kilka stopni, ciut ponad zawodzenie i zgrzytanie zębami, jakby jednak wszyscy przypomnieli sobie, że były czasy, gdy byliśmy szczęśliwi, i może znów tacy kiedyś będziemy.

Potem Atticus psuje wszystko, bo pyta nagle:

– A tak swoją drogą, Brighid, to co się stało z tą mantyką, która była przykuta w posiadłości Midhira?

Brighid marszczy brwi i mówi:

– Tak, pamiętam, że Owen ostrzegał mnie przed nią, ale nie natknęłam się na żadne takie stworzenie ani na jakiegokolwiek ślady po nim, jeśli nie liczyć tego błota.

– Żadnych łańcuchów?

– Nie.



Oczy Atticusa wrzeszcza: „Oż, kurwa”.

Ale jego usta mówią:

– Aha, dobrze wiedzieć.

– Przyjdź do mnie za kilka dni na dwór, Siodhachanie. Mam jeszcze inne sprawy do omówienia, ale mogą poczekać... – Urywa, a potem już bardzo cichym głosem dodaje: – ...póki nie pochowamy naszych zmarłych. Idźcie i niech Gaja ma was w swojej opiece.

– Nawzajem, Brighid.

Owen postanawia zostać i pomóc przy całej tej brudnej robocie. Mówi, że dołączy do nas w chacie, jak skończy. Już mamy się pożegnać, gdy nagle powietrze za Brighid porusza się nieznacznie. Widziałam to zbyt często podczas nauki, żeby móc przegapić ten znak – to zakamuflowany druid. I nie wyobrażam sobie, po co ktokolwiek miałby się kamuflować, jeśli nie życzy źle któremuś z nas. Poprawiam dłonie na Scáthmhaidzie, tak że teraz trzymam go oburącz, zostawiam Atticusa i podbiegam za Brighid, a potem walę z całych sił w krawędź drzenia w powietrzu. Słyszę zdumiony krzyk i głuchy huk, a ręce aż mi drżą od siły uderzenia. Potem jeszcze jeden huk i moja ofiara już leży na ziemi. Ukazuje się naszym oczom u stóp Brighid.

To nagie, zakrwawione ciało Fand. W prawej dłoni dzierży Moralltacha. Trafiłam ją w głowę. Jest nieprzytomna. Gdybym tego nie zrobiła, z pewnością zadałaby Brighid cios w szyję. Królowa Faerii przeniosła się do jakiejś kryjówki, wyczekała, aż stracimy czujność, a teraz wróciła, by zamordować Brighid.

Biorę głęboki oddech, gdy dociera do mnie, że właśnie uratowałam życie Brighid.

Bogini obraca się zaskoczona hałasem i widzi leżącą na ziemi Fand. Teraz wszyscy już ją widzą. W oczach Brighid błyska wspomnienie strat poniesionych z winy zdrajczynie. Upuszcza hełm i obnaża miecz gotowa uczynić jej to, co Fand uczyniłaby z nią.

Zamachuje się nad głową nieprzytomnej, ale Flidais krzyczy:

– Nie!

Metal szczeka o metal. Miecz Brighid zatrzymuje się na głowni Fragaracha.

Oczy Brighid błyszczą wściekłym błękitem, gdy patrzy na mojego ukochanego, który rzucił się zapobiec katastrofie.

– Siodhachan? Czy i ty stajesz po stronie zdrajczynie?

– Wiesz, że nie – zapewnia ją Atticus. – Powołuję się jedynie na starodawny przywilej druidów, by służyć radą przywódcom ich ludu.

– Nie prosłam cię o radę.

– Wiem, Brighid, i oczywiście postąpisz tak, jak uznasz za słuszne. Proszę tylko, byś mnie wysłuchała i zastanowiła się nad moimi słowami. Fand nie stanowi teraz zagrożenia. Pod drzewami tuż obok nas wciąż leżą żelazne sieci – ciągnie, wskazując głową na południe. – Jeśli ktoś przyniesie jedną z nich, gdy my będziemy rozmawiać, Fand będzie bezsilna, nawet gdy się ocknie.

Jestem pod wrażeniem, jak Atticus od razu przechodzi do sedna sprawy i nie traci czasu na takie drobiazgi jak to, jakim cudem w ogóle Fand jest nieprzytomna. Skupia się na terażniejszości i przyszłości, zamiast na przeszłości.

– Będziesz miała czas, by mnie wysłuchać, nim podejmiesz decyzję – dodaje.

Brighid odsuwa miecz i mówi:

– Dobrze. – Odwraca się do Owena i oficjalnym tonem oświadcza: – Eoghane Ó Cinnéide, proszę cię o przyniesienie żelaznych sieci, żeby unieruchomić Fand na czas mojej rozmowy z Siodhachanem Ó Suileabháinem. – Archdruid Atticusa kiwa tylko głową i bez szemrania wykonuje rozkaz. Brighid odwraca się do Atticusa i jemu także rozkazuje: – Radź, druidzie.

Podchodzi Perun, pochyla się i wyciąga Moralltacha z dłoni Fand. Odrzuca go na bok. Atticus bierze głęboki wdech i mówi:

– Szanowna Brighid, uważam, że zabicie teraz Fand tylko zwiększy zajadłość faerii przeciwko tobie. Ledwie powiedziałaś im, że twoją wolą jest stać się lepszą przywódczynią. Okazałaś im łaskę. Jeśli nie okażesz łaski także Fand, zepsujesz sobie reputację. Masz okazję spowić Fand żelazem i zupełnie ją zneutralizować, a przy okazji umocnić swój autorytet jako łaskawej władczyni. Jeśli zostawisz otwarte drzwi, jeśli upewnisz się, że Fand będzie miała szansę na poprawę, zaskarbisz sobie wdzięczność Manannána Mac Lira i Flidais, którzy zawsze wiernie ci służyli.

Brighid odwraca głowę, żeby spojrzeć na Flidais, matkę Fand. Te dwie boginie przyjaźnią się od wieków. Razem przeprowadziły ze mną rytuał Baolach Cruatan, gdy zdecydowałam się zostać druidzką uczennicą. Na prośbę Brighid Flidais strzeliła nawet kilka razy do Fand. Łączą ich lata zaufania i przyjaźni. Widać to teraz w ich spojrzeniach. I wiem już, że Brighid nie może skazać Fand na śmierć, choćby nie wiem jak się czuła zdradzona.

Atticusowi zdarza się popełniać ogromne błędy. Ale bywają i chwile takie jak ta, gdy swoje życie zmienia w poemat i osiąga coś w rodzaju apoteozy – gdy jego lata doświadczenia owocują prawdziwą mądrością, która pozwala mu dostrzec ścieżki niewidoczne dla nikogo innego. Tym razem oznacza to niepozwolenie, by miecze opadły tam, gdzie mogłyby opaść. Brighid znów odwraca głowę w jego stronę i mówi cicho:

– Radzisz więc rozwagę i spokojne przemyślenie sprawy.

– Radziłabyś to samo, gdybyś była na dworze, a nie na polu bitwy – odpowiada Atticus.

Brighid kiwa głową.

– To dobra rada, druidzie.

Wraca archdruid Atticusa. Zarzuca na Fand żelazną sieć, a Flidais podchodzi do córki. Brighid przemawia do niego swoimi trzema głosami:

– Idź z Flidais i uwięźcie Fand na ludzki sposób, w wybranym przez was miejscu, tak żeby nie miała dostępu do faerii, ale też nie cierpiała fizycznie. Przystajecie na taki plan?

Oboje zapewniają ją, że owszem, a w Tír na nÓg takie słowa znaczą o wiele więcej niż przysięga z prawą dłonią na Biblii. Archdruid podnosi nieprzytomną Fand i idą z Flidais w stronę drzew, skąd będą mogli się przenieść. Nie wiem, dokąd pójdą, ale czuję, że bez względu na ich wybór nie obejdzie się bez napięć między Flidais, Manannánem i Brighid. Z jednej strony Brighid może im obojgu powiedzieć: „Fand nas zdradziła, więc jest jak martwa”, ale z drugiej strony każde z nich może jej przypomnieć niezliczone przysługi, jakie przez wieki wyświadczały Pierwszej wśród Faerii.

Nie chciałabym być na miejscu żadnego z nich – jakiegokolwiek by to miejsce było. Chcę być tylko z Atticusem i naszymi psami. Tak się szczęśliwie składa, że i on czuje to samo.

– To bardzo uprzejme z twojej strony, że mnie wysłuchałaś – mówi do Brighid. – Jeśli mnie już nie potrzebujesz, odejdę, a wkrótce stawię się na dworze.

Odpowiada mu skinieniem głowy.

– Idź, Siodhachanie, i niech cię Gaja prowadzi.

Tak odprawieni ruszamy w stronę drzew, żeby wrócić na ziemię.

– Nie możemy jeszcze przejść do chaty – szepczę do Atticusa, gdy jesteśmy już blisko dębów. – Musimy porozmawiać gdzie indziej. Zaufaj mi, jest po temu bardzo poważny powód.

– Dobra. – Wzrusza ramionami. – Psy na pewno sobie jeszcze chwilę bez nas poradzą.

Dokąd chcesz przejść?

– Może do Kostaryki. Mogę cię tam zabrać?

– Jasne.

Zaciskam palce na jego dłoni i przenoszę nas do Lasu Mgielnego Monteverde, pokrytej mchem kostarykańskiej dżungli pełnej świergocących, skrytych we mgle ptaków, zapachu orchidei i kwiatów innych epifitów. Atticus uśmiecha się i bierze głęboki wdech.

– Dobry wybór – wzdycha. – Bardzo dawno mnie tu nie było.

– Okej, a teraz nie spanikuj, jak mnie zobaczysz.

Milczy chwilę, a potem mówi:

– Przerazasz mnie, ale obiecuję nie spanikować.

Zrzucam niewidzialność, a Atticus drży lekko, gdy mnie widzi, ale milczy dłuższą chwilę i tylko ogląda moje siniaki.

– Mam wielką nadzieję, że ten, kto to zrobił, już nie żyje – szepcze w końcu.

– Tak, to już nie żyje.

– To?

– Długa historia. Chodź, siądźmy gdzieś, to ci wszystko opowiem.

Schodzimy w dolinę i znajdujemy kilka porośniętych mchem kamieni wystających z rzeki. Siadamy, broń opieramy o skały i z szumem wody i szczebiotaniem kłótliwych małp w tle opowiadam mu wszystko, co mi się przydarzyło, odkąd widzieliśmy się ostatni raz w Tańdzawurze i poradził mi, żebym odnalazła yeti. Mówię mu o śmierci ojca, o mojej krótkiej wizycie u matki, o nowym ciele Lakshy, o stworzeniu Fulteacha, o tym, jak Loki zabrał mi to ostrze; o Zaginionych Strzałach Waju, które też ma teraz Loki; i o tym, że na moim ramieniu znajduje się znak, który sprawia, że nie da się mnie wyróżnić – co jest wielkim plusem – ale zarazem też sprawia, że nie powinnam nigdzie dłużej przebywać, bo mogę narazić wszystkich wokół na wielkie niebezpieczeństwo.

– Jeśli zostanę na dłużej w chacie, Loki będzie od razu wiedział, że tam mieszkam i że pewnie ty tam mieszkasz. A on chce cię zabić, Atticusie.

– Niech przyjdzie – odpowiada. – Loki nie umie nawet walczyć mieczem, a jego ogień nie robi mi krzywdy. Bogowie dali mi teraz zielone światło, mogę więc zabić i jego, i Hel.

– Przecież on mógł tylko udawać, że nie umie walczyć mieczem... zaraz, zaraz, jacy bogowie?

– Dziewięćoro grubych ryb. Plus mamy jeszcze Olimpijczyków tuż pod ringiem, których też się wciągnie do walki.

– Ale skoro on ma teraz strzały Waju, może do ciebie strzelić i wtedy na pewno trafi.

– Wcale nie. Takie zakłęcia obchodzi się stosunkowo łatwo, jeśli się jest zmiennokształtnym. Zmieniasz postać i znika cel. Przecież Odyn cisnął we mnie Gungnirem i spudłował.

Czuję wielką ulgę, gdy to mówi, choć nie wiem, czy dość poważnie traktuje cały problem.

– Przecież Loki może podpalić chatę – uświadamiam mu. – Albo nawet cały las. Może zrobić coś psom.

– Granuaile, rozumiem to. Naprawdę. Będziemy ostrożni. Jeśli się chce, da się stworzyć zabezpieczenia niemal przed wszystkim. Ale wydaje mi się, że nie musimy się martwić, że nas tak po prostu zaatakuje. To by nie było w jego stylu, żeby zagroził czymś i potem to po prostu zrobił. Jego styl to powiedzieć jedno, a potem zrobić coś zupełnie innego, gdy ty patrzysz w złą stronę, prawda?

– No może...

– Nie porzucamy naszego domu tylko z powodu jego gróźb. Tym bardziej nie skazujemy się na życie osobno i w paranoi. Już wystarczająco długo tak żyłem. I choć najchętniej bym jego i Hel jakoś przekonał po prostu, żeby jednak nie palili nam świata, to ostatnie wydarzenia

pokazują, że jestem dyplomatą od siedmiu boleści. Zamiast tego przygotujmy się więc do skopania mu tyłka, Groźna Druidko – mówi, czym siłą rzeczy wywołuje mój uśmiech.

Myszę, że część tej brawury włączył tylko na mój użytek, ale skoro rzeczywiście mamy teraz wolną rękę w radzeniu sobie z Lokim, jak nam się podoba, to możemy znaleźć sobie sojuszników, których w życiu by nie przewidział. To mnie trochę pociesza.

– Powiedz mi, Atticusie, kto by wygrał w walce: ogień Lokiego czy mroźna magia strasznych pięciu yeti?

## Epilog



Nie bardzo rozumiem, skąd u współczesnych mężczyzn te opory przed przyznaniem, że lubią się przytulać. Kiedy prychają na nie z pogardą albo twierdzą otwarcie, że nie znoszą przytulanek, kłamią oczywiście jak z nut, próbując dopasować się do jakiegoś żalostnego ideału macho. Bez względu na wiek mało można doświadczyć w życiu przyjemności tak wspaniałych jak leniwy poranek pod wygodnym kocem z kimś, kogo się kocha. Łagodny uśmiech Granuaile i poranne promienie słońca na jej zaleczonych już piegowatych policzkach były tak piękne, że czułem, że już nic piękniejszego tego dnia nie da się zobaczyć. Właściwie to byłem prawie pewien, że już nic lepszego mnie tego dnia nie spotka, podziwiałem więc ten widok, póki mogłem, szczęśliwy, że żyję. Takie chwile nigdy nie są za długie.

Ta jednak była wyjątkowo krótka, bo nagle psy zażądały naszej pełnej uwagi, jako że zakończyły już swoje poranne przeciąganie się i tonem nieznoszącym sprzeciwu zasugerowały, że mamy wszyscy iść biegać do lasu. Kiedy nie zareagowaliśmy jakoś zbyt entuzjastycznie, wskoczyły nam do łóżka i rozpoczęły karne obślinianie.

– Wrr! – warknęła Granuaile. – Dobrze, już dobrze, wstaję, Orlaith! A raczej wstałabym, gdybyś ze mnie zlazła. Chodźmy!

Wymknęliśmy się z chaty na paluszkach, żeby nie budzić Owena, który ledwie wczoraj wrócił z Tír na nÓg po tygodniowej służbie u Brighid i Manannána, po czym poszedł do miasta, schlał się w trzy i zasnął na kanapie. Mroźne listopadowe powietrze wspaniale orzeźwiało, a beztraska przebieżka była wymarzoną lekarstwem po tygodniach stresu i niepewności.

– Trochę jestem dziś w Probierczykowym nastroju – wyznałem Granuaile, gdy psy popędziły naprzód radosnymi susami. Były zupełnie spokojne, że je dogonimy.

Uśmiechnęła się do mnie.

– Doprawdy? Jesteś jak ten błazen z *Jak wam się podoba?* No to dawaj w takim razie.

Odchrząknąłem, jedną rękę położyłem na sercu, drugą uniosłem przed siebie jak najgorszy aktor świata i z emfazą wyrecytowałem:

– *My, wierni kochankowie, dziwne stroimy figle; ale gdy wszystko jest śmiertelne w naturze, wszelka zakochana natura śmiertelnym dotknięta jest szaleństwem* \*\*.

– Nieźle, nieźle – pochwaliła mnie Granuaile. – Niech pomyślę. – Jej oczy śmiały się do Oberona i Orlaith, którzy kąsali się beztrusko pod drzewami. – Ja jestem chyba w ciut innym nastroju. Nie mogę się już doczekać, aż pobiegniemy wszyscy razem, ciesząc się z tego, że wreszcie wszyscy doszliśmy do siebie. Więc Whitman odpowie ci tak: „Sądzę, że mógłbym odmienić swe życie i zamieszkać wśród zwierząt, tak są łagodne i powściągliwe./ Stoję bardzo długo i je obserwuję”.

Tak doskonale myśli i uczucia spływające z jej lśniących ust mogły wywołać tylko jedną odpowiedź.

– Kocham cię – powiedziałem.

– Wiem – odparła, a potem roześmiała się, bo po prostu musiała mi odpowiedzieć tekstem Hana Solo: – Złap mnie, jeśli potrafisz.

Przemieniła się w jaguara i pomknęła w las, celowo wpadając między Oberona i Orlaith, żeby instynktownie zaczęli uciekać. Przemieniłem się w wilczarza i dołączyłem do gonitwy. Ogony nam merdały, a jęzory zwisały, gdy śmigaliśmy między sosnami, świerkami i brzożami. Nasze łapy wzburzały tumany zeschniętych liści osiki.

Był to jeden z piękniejszych poranków, jakie pamiętam z ostatnich czasów. To, że przeżyliśmy go ze świadomością, iż w każdej chwili może się pojawić Loki, bynajmniej nie umniejszało jego wyjątkowości.

Być może w pewnym sensie to nawet czyniło ten czas tym cenniejszym. Przez ostatnie kilkaset lat uciekałem, gdy tylko wyczułem choćby najmniejsze zagrożenie, i przez to zapomniałem już, jak dobrze móc zapuścić gdzieś korzenie. Zapuszczenie korzeni to coś zupełnie innego niż bycie uwiązany. Zapuścić gdzieś korzenie to powiedzieć: tu jest mi dobrze, tu będę rósł, bo znalazłem miejsce, gdzie każdy wschód słońca pokazuje mi, jak stać się kimś więcej, niż byłem wczoraj, i nie muszę już iść, by czuć cudowność tego błogosławieństwa. A gdy jesteśmy zakorzenieni, bronienie swojej przestrzeni przestaje być obowiązkiem czy powinnością, a staje się pragnieniem. To właśnie czułem, gdy myślałem o naszej chacie w Kolorado. Niedługo spadnie śnieg, wielkie białe koce puchu, i pewnie będziemy musieli znaleźć sobie jakieś inne miejsce na zimę, ale nim się wyniesiemy, założę na chatę mnóstwo magicznych zabezpieczeń. Chciałbym przeżyć jeszcze wiele takich poranków jak ten.

Nawet Owen, gdy wróciliśmy, nie miał jakoś nic niemiłego do powiedzenia przy śniadaniu. Nie chciało mi się poruszać tematu znalezienia mu jakiegoś domu, bo bałem się, że moje słowa zniszczyłyby nasz beztroski nastrój. Niestety zniszczenie nadciągało z innej strony – zadzwonił Hal Hauk.

– Musimy porozmawiać – zaczął prosto z mostu. – Policja w Tempe znów wypytuje o twoją przeszłość.

– Ale przecież dla nich jestem już dawno martwy, nie? – zdziwiłem się. – W oczach amerykańskich władz Atticus O’Sullivan zginął całe lata temu.

– No i właśnie dlatego chcą ze mną rozmawiać. Z innych źródeł dowiedzieli się, że owszem, żyjesz, i są ciekawi, czy to prawda, a jeśli tak, to gdzie przebywasz.

– No to pięknie – mruknąłem. – Dobra, daj mi trzy godziny.

– Może lepiej ty mi daj trzy godziny, dobra? Dziś pełnia i musimy i tak wydostać się z miasta. Pomyślałem, że zabiorę moich ludzi do Sama i Tya do Flagstaffu. Spotkamy się u nich?

– Okej, jak dla mnie bomba.

Owen nie miał nic przeciwko temu, żeby znów zobaczyć się z Samem i Tyem, a nam też byłoby na rękę go tam zostawić. Gdy tylko dotarliśmy na miejsce, zniknął w lesie z dużą częścią watahy z Tempe i całą z Flagstaffu. Planowali kolejne przyjazne zapasy z Tyem. Zauważyłem, że Greta też pobiegła z nimi, i wydaje mi się, że był to pierwszy raz, gdy widziałem, żeby się uśmiechała. A ten uśmiech wyraźnie zakwitł na jej twarzy na widok Owena. Idę o zakład, że mój archdruid osiadzie gdzieś w Arizonie, i mam nadzieję, że harmonia w końcu znalazła ich oboje.

Hal i Farid zostali z nami w domu. Usiedliśmy z Granuaile przy stole, naprzeciwko Hala, który cisnął o blat grubą teczką. Farid trzymał psy tuż przy blacie bardzo prostym sposobem – właśnie marynował wielgachny kawał wołowiny i wyczarowywał rozmaite frykasy dla dwóch głodnych watah. Bez względu na to, jakie wiadomości miał dla mnie Hal, przynajmniej lunch będzie smaczkowy.

– Pamiętasz tego księgowego, o którym mi wspomniałeś, tego Craiga Blacka? – warknął Hal. – Tego, co to zarządzał sporą częścią twojej fortuny?

Coś w moich jelitach wywinęło się nie w tę stronę co trzeba i wydało cichutki dźwięk. To się nie zapowiadało dobrze.

– Taaak? – powiedziałem, sięgając po teczkę.

– Próbowałem się z nim skontaktować, tak jak mi poleciłeś. A gdy tylko to zrobiłem, przyczepili mi się do dupska detektywi.

– Ale dlaczego?

– Bo pan Black nie żyje. A umarł w sposób wyjątkowo przyciągający ciekawskich policjantów. – Brodą wskazał mi teczkę. – Sam zobacz. Zdjęcie jest na wierzchu.

Otworzyłem teczkę i spojrzałem na lśniące zdjęcie mojego przyjaciela. Zbliżenie. Ciało Kodiaka Blacka wyglądało strasznie, ale tak wyglądają wszystkie trupy. Ze zdjęcia nie mogłem zgadnąć, dlaczego sposób, w jaki zginął, miałby być taki wyjątkowy. Oczywiście miał otwarte, ubrany był we flanelową koszulę i dzinsy. Jego twarz była napuchnięta i nienaturalnie blada, a pod oczami miał niebieską pajęczynę żyłek. Jego ciemne włosy wyglądały jak zamrożone, niemal kruche, jakby miały rozsypać się w pył przy byle podmuchu wiatru.

– To jakaś nowa choroba? – zapytałem.

– Nie. Morderstwo. Nie wiemy tylko, co go zabiło.

– To skąd wiemy, że to morderstwo?

– Bo potwierdzają to wszyscy świadkowie. To się stało kilka dni temu w Anchorage. Wychodził z piwiarni, cały uśmiechnięty. Ktoś czekał na niego na zewnątrz. Piwiarnia się nazywa Humpy's.

To oczywiście zwróciło uwagę Oberona.

<Humpy's? Tak jak „hump”, czyli ocierać się o nogawkę ukochanego właściciela? Możemy tam natychmiast jechać?>

*Oj, nie, Oberonie. „Humpy” to przydomek gorbuszy, gatunku ryby z rodziny lososiowatych. To dlatego, że przed złożeniem ikry rosną im takie garby na grzbiecie.*

<Nie masz serca... – żeby tak zniszczyć moje piękne marzenia jakimiś nudnymi faktami rybologicznymi?!>.

– Nic z tego nie rozumiem, Hal. Mówisz mi, że zabito go w publicznym miejscu, ale i tak nie wiadomo jak?

Hal wzruszył ramionami.

– Mnie przecież tam nie było. Ale raporty policji wspominają o dziesięciorgu ludziach, którzy byli świadkami jego śmierci, w tym o jego dziewczynie. Wszyscy oni twierdzili, że nic mu nie było, wyglądał zdrowo, nie narzekał na żadne problemy, a potem nagle dostał konwulsji i po trzech sekundach padł na chodnik z opuchniętą twarzą. Już nie oddychał. Okres od pierwszych symptomów do końca trwał mniej niż dziesięć sekund. Nieznane nam są żadne choroby, które mogłyby doprowadzić do tak szybkiego zgonu.

– Co na to toksykologia? – spytała Granuaile.

Hal pokręcił lekko głową.

– Jeszcze za wcześnie na wyniki z laboratorium. W telewizji robią te testy w jakieś pięć, dziesięć minut czasu ekranowego, ale w prawdziwym życiu to zajmuje tygodnie, czasami miesiące. Policja liczy na to, że znajdą w laboratoriach coś, co pozwoli im powiedzieć, że to była trucizna, ale w życiu nie słyszałem o truciznie, która by tak raptownie wywoływała gwałtowne konwulsje. Jedyne, w co bym tu mógł uwierzyć, to epilepsja. Ale pan Black nie cierpiał na padaczkę, prawda?

– Nie – mruknąłem. – Świadkowie wspominają opuchliznę twarzy. Czy tak wyglądał zaraz po śmierci? Bo jego skóra wskazywałaby raczej na spędzenie kilku dobrych dni na dnie rzeki.

– To zdjęcie zrobiono na miejscu przestępstwa w ciągu godziny od zgonu. Żadnych ran. Dlatego właśnie tak liczą na tę truciznę.

– Nie kumam. Dlaczego policja się o to do ciebie przyczepiła?

– Bo jestem prawnikiem zmarłego jakiś czas temu Atticusa O'Sullivana. I gdy wysłałem mejl do pana Blacka, żeby nawiązać z nim kontakt, powołałem się nieopatrznie na nazwisko O'Sullivan. Policja z Anchorage zobaczyła tego mejla, gdy szperała w jego skrzynce

w poszukiwaniu jakichkolwiek wskazówek. Zgłosili się z tym do policji w Tempe i poprosili ich, żeby ze mną pogadali. Łatwo sobie możesz wyobrazić, jak ci się z kolei zdziwili, że twoje nazwisko ma jakiś związek z tajemniczym morderstwem popełnionym w zupełnie innym stanie.

– Detektyw Kyle Geffert wciąż czuwa, co?

– W rzeczy samej.

– Ale jakim cudem w ogóle połączyli Kodiaka ze mną? Nigdy nie trzymał niczego pod nazwiskiem O’Sullivan, a kiedy do niego pisałem, to zawsze z jakichś wymyślonych kont mejlowych.

– Zaraz po tym, jak zginął pan Black, do jego dziewczyny Ayeshy Salcedo podszedł mężczyzna o dziwnych tatuażach na głowie i z, uwaga, cytuję: „ohydny fularem”, który powiedział: „Pan Black nie żyje z powodu Atticusa O’Sullivana. Proszę mu to koniecznie przekazać”. Spojrzała na kartkę, którą jej podałem, bo chciała ją przeczytać, a kiedy podniosła wzrok, już go nie było.

Niemal czułem, jak krew odpływa mi z twarzy. Zrobiło mi się dziwnie zimno i niedobrze. Ten opis wystarczał. Wiedziałem, kto zamordował Kodiaka.

– Co było napisane na tej kartce?

Hal przewrócił stronę w teczce.

– Masz to na następnym zdjęciu.

Spojrzałem na fotografię i zobaczyłem kwadratowy arkusik papieru z drukowanymi literami zapisanymi fioletowym atramentem. *Herr Atticus, musimy pogadać. Niech pan mnie znajdzie. Werner.*

– Cholera! Wiedziałem! Miałem faceta pod mieczem, Hal, i go wypuściłem!

Tajemnicza przyczyna śmierci Kodiaka Blacka nie stanowiła już dla mnie żadnej tajemnicy. Odessano mu esencję życia. Z odległości. Zamordował go Werner Drasche, skrytobójcza pijawka, którą puściłem wolno we Francji. O tak, znajdę go, ale nie po to, by uciąć sobie z nim przyjacielską pogawędkę. Jeśli ktoś zabija mi przyjaciela tylko po to, by zwrócić moją uwagę, to nie mamy już o czym rozmawiać.



## Podziękowania

Ja nie mogę – siódmy tom! W życiu nie przypuszczałem, że dotrę aż do siódmego, więc jestem Wam bardzo wdzięczny za czytanie i za rozpuszczanie wici o tej serii. Ta książka to dowód, że najważniejsze jest słowo szepnięte przyjaciołom. Dziękuję!

Wielkie piwa dla mojego agenta Evana Goldfrieda za sterowanie okrętem i wiele innych niewypowiedzianych metafor żeglarskich, które mogą, ale nie muszą zawierać sekstantu. Praca agenta w ogóle w zasadzie nie przypomina pracy żeglarza, ale chciałem podziękować Evanowi i użyć słowa sekstant.

Bohaterski zespół redakcyjny z Del Rey naprawdę robi, co może, żeby moje książki zawsze były przednie, bo oni po prostu są moimi bohaterami. Należą do Fikcyjnej Czwórki, supergrupy chroniącej świat przed lukami w fabule, wszędobylskimi apostrofami i innymi wrogami ludzkości.

Oto oni:

### FIKCYJNA CZWÓRKA

Prawdziwa jak nikt!

YETI  
COMIX

REDAKTOR  
METAL

MIKE  
WIKING

CZŁOWIEK  
WYKRZYKNIK



HOLENDESKA  
FURIA

Tricia Narwani to moja pani Redaktor Metal. Mike Braff, jak się domyślicie, to Mike Wiking. Sarah Peed jest Holenderską Furią, a April Flores – Człowiekiem Wykrzyknikiem. Regularnie ratują mi życie i mam wielkie szczęście, że z nimi pracuję.

Bardzo dziękuję Vidhy Rao, która tak serdecznie i cierpliwie oświecała mnie pewnego dnia w samolocie do Minneapolis. Dziękuję Sivi i Jessemu Nattamai oraz Jasmine Pues za pouczającą korespondencję, a Helgiemu Briemowi za pomoc z imionami yeti.

Dzięki mojej rodzinie i przyjaciołom jestem kochany i jeszcze nie oszalałem, więc mam wielkie szczęście, że są w moim życiu. I psy też. Nie zapominajcie o psach! Pokój i harmonia, przyjaciele.

## O autorze

Kevin Hearne znany jest z tego, że hasa beztrąsko z psami. Pewnie hasa nawet w tej chwili i zadaje swojemu psu te odwieczne pytania typu: „Kto jest dobrym psem?” oraz „Kto chce dostać smakołyk?”. Poza tym przytula drzewa, tańczy do old-schoolowego heavy metalu i nadal czyta komiksy. Mieszka z żoną i córką w malutkim, przytulnym domku.

\* Fragment *Hamleta* w przekładzie J. Paszkowskiego

\*\* Fragment *Jak wam się podoba* W. Szekspira w tłumaczeniu L. Ulricha

